

TERRY BROOKS

**KRÓLESTWO NA
SPRZEDAŻ**

W skład cyklu MAGICZNE KRÓLESTWO wchodzi:

KRÓLESTWO NA SPRZEDAŻ

CZARNY JEDNOROŻEC

NADWORNY CZARODZIEJ

KABAŁOWA SZKATUŁKA

NAPAR CZAROWNIC

Przełożył Maciej Karpiński

Kenardowi, Vernonowi, Billowi, Johnowi i Mikołowi

Coś takiego rzeczywiście się wydarzyło Czarownica z Północy, z pochyloną głową i oczami wbitymi w ziemię, rozmyślała przez chwilę. Wreszcie uniosła głowę i powiedziała:

– Nie wiem, gdzie jest Kansas, nigdy o nim nie słyszałam. Powiedz, czy to kraj cywilizowany?

– Ależ tak – odrzekła Dorota.

– Więc to właśnie dlatego. Jestem przekonana, że w cywilizowanych krajach nie ma już czarownic ani czarowników, ani czarodziejek, ani czarodziejów. Ale Kraina Oza nigdy nie była cywilizowana, bo jesteśmy odcięci od reszty świata. Dlatego też między nami ciągle jeszcze są czarownice i czarodzieje.

L. F. Baum, Czarnoksiężnik ze Szmaragdowego Grodu, tłum. S. Wortman, Nasza Księgarnia, Warszawa 1972.

BEN

W skrzynce leżało specjalne, gwiazdkowe wydanie katalogu domu towarowego Rosen's. Zaadresowane było do Annie.

Ben Holiday, zanim ją otworzył i wyjął broszurę, stał przez chwilę znieruchomiły. Wodził oczami po barwnej, wesołej okładce. Zatrzymał wzrok na białej naklejce z imieniem jego zmarłej żony. W lobby chicagowskiego wysokościowca panowała dziwna cisza. Tonęło ono w pokrywającym wszystko kurzu późnopołudniowych godzin szczytu. Nie było tu teraz nikogo, prócz niego i strażnika. Na zewnątrz, za sięgającymi od podłogi do sufitu oknami, wychodzącymi na frontową ścianę budynku, jesienny wiatr hulał chłodnymi podmuchami w kanionie Michigan Avenue. Szeptał o zbliżającej się zimie.

Ben powiódł palcem po śliskiej okładce katalogu. Annie uwielbiała robić zakupy, nawet jeśli były to zakupy w wysyłkowym domu towarowym. Rosen's był jednym z jej ulubionych sklepów.

Nagle do oczu nabiegły mu łzy. Nie mógł się pogodzić z jej utratą, choć od tamtej chwili upłynęły przecież już dwa lata. Czasami wydawało mu się, że to wszystko to tylko wytwór jego wyobraźni i że kiedy wróci z pracy do domu, ona będzie tam na niego czekała.

Wziął głęboki oddech, usiłując opanować wzburzenie wywołane tym drobiazgiem – widokiem nalepki z jej imieniem.

Wzburzenie bezsensowne. Przecież nic już mu jej nie wróci.

Nic nie może odmienić tego, co się wydarzyło.

Wzniósł oczy i wpatrzył się w pustą teraz skrzynkę. Pamiętał dokładnie dzień, w którym dowiedział się, że zginęła.

Wrócił właśnie z sądu, z posiedzenia przedprocesowego w sprawie firmy Microlab ze starym Wilsonem Frinkiem i jego synami. Pracował wtedy w biurze. Zastanawiał się nad argumentami,

jakimi mógłby przekonać swego adwersarza, prawnika nazwiskiem Bates, że jego rozwiązanie będzie optymalne dla wszystkich stron sporu, gdy zadzwonił telefon.

Annie miała wypadek na Kennedy Avenue. Była w stanie krytycznym w szpitalu St. Jude. Czy może do niej przyjechać...?

Pokręcił głową. Stale słyszał głos doktora, opowiadającego mu o tym, co się wydarzyło. Brzmiał tak chłodno i racjonalnie. Od razu wiedział, że Annie umiera. Poczul to w jednej chwili. Odeszła, nim dotarł do szpitala. Dziecko również. Była w trzecim miesiącu ciąży.

– Panie Holiday!

Ben rozejrzał się dookoła, spłoszony czyimś głosem. To George, strażnik, spoglądał na niego znad swojego biurka w holu.

– Czy wszystko w porządku?

Ben skinął i z trudem się zdobył na krótki uśmiech.

– Tak, zamyśliłem się...

Zamknął drzwiczki skrzynki, włożył wszystkie przesyłki do kieszeni płaszcza i trzymając oburącz katalog, ruszył w kierunku windy. Nie chciał, by widywano go w takim stanie. Może to siedzący w nim stale prawnik trzymał go w ryzach?

– Chłodny dzisiaj dzień – rzekł George, wyłaniając się z półmroku. – Zanosi się na mroźną zimę. Mówią, że będzie śnieżna. Tak jak parę lat temu.

– Tak, na to wygląda. – Ben ledwie go słyszał, znowu spoglądał na katalog. Annie zawsze sprawiało radość przeglądanie świątecznych katalogów. Czytała mu opisy co dziwaczniejszych ofert. Zwykła była układać historyjki o ludziach, którzy kupują takie rzeczy.

Nacisnął guzik przy drzwiach windy, a te natychmiast się otworzyły.

– Życzę panu miłego wieczoru! – zawołał za nim George.

Winda dojechał do swego apartamentu na najwyższym piętrze wysokościowca, zrzucił płaszcz i wkroczył do holu, wciąż trzymając w ręku katalog. Mieszkanie tonęło w mroku, lecz Ben nie włączył światła i stał bez ruchu przed oknami wychodzącymi na taras i patrzył na budynki centrum miasta.

Światła migotały w szarości zmierzchu, samotne i odległe, każde z nich niczym źródło życia, oddzielone od wszystkich innych.

Tak wiele czasu spędzamy w samotności, pomyślał. Czy to nie dziwne?

Jeszcze raz spojrzął na katalog. Dlaczego przysłali go Annie? Dlaczego firmy wysyłają zawsze swoje katalogi, reklamówki, próbki Bóg wie czego do ludzi, którzy już od dawna nie żyją? Dlaczego w ten sposób wdzierają się w prywatność?

To afront. Czy nie aktualizują list swoich klientów? A może to dlatego, że nigdy nie mogą pogodzić się z ich utratą?

Opanował gniew i uśmiechnął się gorzko, ironicznie. Może powinien zadzwonić do Andy Rooney? Niech o tym napisze!

W końcu włączył światła i podszedł do braku, gdzie przyrządził sobie glenliveta z lodem i odrobiną wody. Spróbował odrobinę. Za niecałe dwie godziny miał spotkanie w restauracji.

Obiecał Milesowi, że tym razem sam je przygotuje. Miles Bennett był nie tylko jego partnerem w interesach, lecz chyba ostatnim prawdziwym przyjacielem, jaki pozostał mu po śmierci Annie. Wszyscy inni odsunęli się, odeszli dokądś i zniknęli we wrzawie i zamieszaniu życia towarzyskiego. Pary i samotni to chyba nie najlepsze zestawienie; większość jego przyjaciół stanowiły małżeństwa. Sam Ben nie zrobił zresztą wiele, by podtrzymać rozpadające się przyjaźnie. Większość czasu spędzał w pracy lub na samotnym rozpamiętywaniu własnego smutku. Marny był z niego teraz kompan i jedynie Miles miał dosyć cierpliwości i wytrwałości, by z nim trzymać.

Ben łknął jeszcze szkockiej i przeszedł kilka kroków do otwartych okien. Światła miasta zamigotały do niego. Samotność nie jest taka zła – myślał. Tak po prostu bywa. Zmarszczył brwi. W każdym razie tak się stało w jego wypadku. Była to samotność z wyboru. Mógłby znowu znaleźć towarzystwo w jednym z niezliczonych źródeł. Mógł wejść niemal do każdego z kręgów towarzyskich tego miasta. Dysponował odpowiednimi przymiotami. Był młody, w pracy ciągle odnosił sukcesy. Był bogaty – o ile pieniądze mogą się liczyć.

A w tym świecie z pewnością się liczyły. Nie, nie musiał być sam. Sedno problemu leżało jednak w tym, że nie czuł się już do niczego przywiązany.

Myślał o tym przez chwilę – zmusił się, by o tym pomyśleć. Prócz faktu jego własnego wyboru, istniało jeszcze coś, co powodowało, że żył w ten sposób. Była to jego natura. Zawsze czuł, że jest outsiderem. Studia i praktyka prawnicza pomogły walczyć z tą świadomością, dając mu miejsce w życiu, dając grunt, na którym mógł pewnie stanąć. Lecz uczucie „stania obok”, „bycia poza”, choć tłumione, przetrwało w jakiejś formie. Utrata Annie rozbudziła je na nowo. Znowu intensywniej odczuwał, że wszelkie więzy, które łączyły go z kimkolwiek i czymkolwiek, są wątłe i przemijające. Często zastanawiał się, czy inni ludzie są pod tym względem do niego podobni. Przypuszczał, że tak. Przypuszczał, iż w pewnym stopniu każdy czuje się odrzucony, osamotniony. To uczucie nie mogło być jednak tak silne, jak w jego wypadku.

Nigdy aż tak silne.

Wiedział, że Miles coś z tego rozumie – że pojmuje przynajmniej część z tego, co czuje on sam. Rzecz jasna, Miles nigdy nie znalazł się w takim stanie. Był kwintesencją osoby towarzyskiej, zawsze w otoczeniu bliskich, zawsze dobrze czującej się wśród ludzi. Chciał, by i Ben był taki. Pragnął go wyrwać z tej skorupy, którą tamten wokół siebie tworzył, wciągnąć na powrót w strumień życia. Stawiał sobie to zadanie za punkt honoru. To dlatego tak się upierał w sprawach tych bankietów i spotkań. Chciał, by Ben zapomniał wreszcie o Annie i zaczął żyć własnym życiem.

Ben dokończył szkocką i przyrządził sobie następną. Zdawał sobie sprawę, że pije ostatnio zbyt wiele, że przekracza już granicę rozsądku. Spojrzał na zegarek. Minęło czterdzieści pięć minut. Nim minie drugie tyle, pojawi się tutaj jego niania, czyli Miles we własnej osobie. Pokręcił głową z niesmakiem. Miles nie rozumiał jednak z tego aż tak wiele.

Z kieliszkiem w ręku przeszedł znowu po pokoju. Zatrzymał się przy oknach. Przez chwilę patrzył w dal, potem odwrócił się i zaciągnął zasłony. Powrócił na sofę, zastanawiając się, czy odsłuchać wiadomości z automatycznej sekretarki, i znowu zatrzymał wzrok na katalogu. Nie pamiętał, że tam go położył. Musiał to zrobić bezwiednie. Katalog spoczywał razem z resztą poczty na stoliku przy sofie, a jego okładka błyszczała odbitym światłem lampy.

„Rosen's Ltd. – Katalog Gwiazdkowy”.

Siadł i wziął go do ręki. Gwiazdkowy katalog spełnionych snów i marzeń. Widział go nie pierwszy raz. Coroczne wydawnictwo domu towarowego, który z podziwu godną natarczywością usiłował przekonać klientów, że ma coś odpowiedniego dla każdego z nich, przeznaczone było jednak dla ograniczonego grona klientów – dla tych najzasobniejszych.

Mimo wszystko Annie zawsze lubiła go przeglądać.

Powoli zaczął przerzucać stronicę, krzyżące reklamami podarków dla najbardziej wybrednych. Był to zbiór jedyńskich w swoim rodzaju kuriozów, który znaleźć można było jedynie w tym wydawnictwie. Kolacja dla dwojga w prywatnym kalifornijskim apartamencie gwiazdy filmowej z podróżą włącznie. Dziesięciodniowa wyprawa na jachcie z pełną załogą i zaopatrzeniem dla sześćdziesięciu osób. Tydzień na prywatnej wyspie na Karaibach; w kosztach wliczone korzystanie z piwnicy win oraz w pełni zaopatrzonej spiżarni. Butelka stu pięćdziesięcioletniego wina. Ręcznie dmuchane szkło i projektowane na zamówienie wyroby z diamentów. Złota wykałaczką. Futerka z soboli dla lalek. Szachy z figurami postaci z filmów fantastycznych, rzeźbione w hebanie. Ręcznie tkana makata przedstawiająca podpisanie Deklaracji Niepodległości.

Lista ta ciągnęła się dalej, a każda jej kolejna pozycja była dziwaczniejsza od poprzedniej. Ben pociągnął sporego łyka szkockiej. Czuł niemal wstręt do tych ekstrawagancji, choć z drugiej strony było w tym coś fascynującego. Dotarł do środka katalogu. Reklamowano tam przezroczystą wannę z żywą złotą rybką. Był srebrny zestaw przyborów do golenia ze złotymi inicjałami właściciela. Dlaczegoż ktokolwiek miałby...?

W pół myśli jego wzrok przyciągnęła inna, zilustrowana efektownym obrazem reklama. Tekst brzmiał następująco:

MAGICZNE KRÓLESTWO NA SPRZEDAŻ Landover – zaczarowana wyspa przygód, ocalona przed bezlitosną rzeką upływającego czasu. Dom rycerzy i rozbójników, smoków i dziewic, czarowników i magów. Magia miesza się tam z rzeczywistością, a prawdziwi bohaterowie żyją w zgodzie z kodeksem rycerskości. W królestwie tym realne staną się wszystkie twoje sny.

Jedynym brakującym w nim elementem jesteś ty sam – jako król i władca. Ucieknij do krainy swych marzeń i narodź się na nowo!

Cena: \$1.000.000 Konieczny osobisty wywiad i wykazanie się odpowiednim majątkiem.

Kontakt: Meeks, biuro prywatne.

To wszystko. Barwna ilustracja przedstawiała rycerza na wierzchowcu, walczącego z ziejącym ogniem smokiem, piękną i odzianą w półprzezroczyste szaty dziewicę, przyglądającą się pojedynekowi z murów zamku, oraz odzianego w czerń maga, wznoszącego ręce w geście tajemnej, przerażającej klątwy. W tle widocznych było parę innych stworzeń – elfów, gnomów, czy czegoś w tym rodzaju. Okna potężnych zamków i wież ziały swymi otworami ku pokrytym kłębami mgły wzgórzom.

Niosło to smak i nastrój opowieści o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu.

– Szaleństwo – mruknął Ben bez zastanowienia.

Gapił się na obrazek z niedowierzaniem, przekonany, że nie zrozumiał, o co tu naprawdę chodzi. Przeczytał raz jeszcze. Przeczytał po raz trzeci. Zirytowany bezsensownością ogłoszenia

jednym haustem dokończył szkocką, odcedzając zębami kostki lodu. Milion dolarów za zaczarowane królestwo? To musi być jakiś żart!

Cisnął katalog, zerwał się na równe nogi i podszedł do barku, żeby przygotować sobie kolejnego drinka. Przez chwilę patrzył na swe odbicie w lustrze: człowiek średniego wzrostu, szczupły, zdrowo wyglądający i wysportowany. Twarz raczej pociągła, o wystających kościach policzkowych i wysokim czole. Jastrzębi nos i niebieskie oczy o bystrym spojrzeniu. Był trzydziestodzieciolatkiem, a jednocześnie człowiekiem, dla którego było jeszcze zbyt wcześnie, by wkraczać w średni wiek.

Ucieknij do krainy swoich marzeń...

Wrócił na sofę, postawił drinka na stoliku i jeszcze raz wziął do ręki katalog. Raz jeszcze przeczytał ogłoszenie o Landover.

Pokręcił głową. Nie, takie miejsce nie może przecież istnieć.

To z pewnością jakiś żart. Za tym musi kryć się coś zupełnie innego. Prawdy trzeba szukać tu gdzieś pomiędzy wierszami. Poczul w ustach gorycz i przełknął ślinę. Wierszy tych nie było wcale zbyt wiele. Rosen's był przecież poważnym domem towarowym. Niemożliwe, by oferował coś, czego nie będzie w stanie dostarczyć, jeśli tylko znajdzie się nabywca.

Ben uśmiechnął się. O czym myślał? O nabywcy? Komu w ogóle do głowy mogłoby przyjść, żeby...? Rzecz jasna, myślał teraz o sobie samym. To on sam właśnie się teraz nad tym zastanawiał. To on rozważał możliwość zakupu. Stał tam tak, popijając szkocką i rozmyślając o swojej alienacji. To on był owym outsiderem, czującym się nieswojo we własnym świecie, zawsze szukającym ucieczki przed sobą samym.

To była jego szansa. Coś w sam raz dla niego.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. To przecież czyste szaleństwo! Zastanawiał się teraz poważnie nad czymś, o czym zdrowy umysłowo człowiek nawet dwa razy by nie pomyślał!

Szkocka powoli zaczęła robić swoje. Ben wstał, żeby się otrząsnąć. Spojrzał na zegarek, myśląc o Milesie. Stracił resztki chęci na umówione spotkanie. Nie miał ochoty iść dokądkolwiek.

Podszedł do telefonu i wykręcił numer przyjaciela.

– Bennett – w słuchawce odezwał się znajomy głos.

– Miles, zdecydowałem, że nie przyjdę dzisiaj. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Doktoru, czy to ty?

– Tak, ja. – Miles uwielbiał nazywać go „Doktorkiem” od zamierzonych już czasów sprawy przeciw Wells-Fargo, związanej z wykupem udziałów firmy. Doktor Holiday, rewolwerowiec sądowych Bena doprowadzało to do szału. – Słuchaj, pójdziesz tam sam, zgoda?

– Idziemy razem. – Miles był nie do zdarcia. – Obiecałeś, że pójdziesz, no i idziesz – Więc wycofuję się z obietnicy. U prawników to normalne – czytasz przecież gazety.

– Ben, musisz2 -oś ze sobą robić. Musisz od czasu do czasu wyjrzeć gdzieś po/a biuro i mieszkanie, niezależnie od tego, jak są wspaniałe. Musisz się pokazywać chociażby po to, żeby ludzie z branży wiedzieli, że jeszcze żyjesz.

– Powiesz im, że żyję. Powiedz, że z pewnością przygotuję następne spotkanie. Powiedz im cokolwiek. Ale nie licz na to, że dzisiaj tam pójde.

Znowu cisza. Tym razem przez dłuższą chwilę.

– Wszystko z tobą w porządku?

– Tak, ale właśnie zacząłem coś robić. Muszę dokończyć.

Nie chcę teraz przerywać.

– Zbyt wiele pracujesz, Ben.

– A ty to niby nie? Do zobaczenia jutro.

Odłożył słuchawkę, nim Miles zdążył cokolwiek powiedzieć. Stał teraz, patrząc na aparat telefoniczny. Nie skłamał.

Faktycznie zaczął robić coś, co chciał dokończyć. Annie zrozumiałaby to. Zawsze była w stanie zrozumieć jego fascynacje zagadkami i wszelkiego rodzaju wyzwaniem, którym on stawiał czoła, a które inni woleliby obejść bokiem. W dużym stopniu to właśnie ich łączyło.

Oczywiście, gdyby była tutaj Annie, nic takiego się by nie wydarzyło. Nie myślałby wtedy o ucieczce do krainy snów, która prawdopodobnie w ogóle nie istnieje. Zatrzymał się, zaskoczony własnymi wnioskami. Trzymając w dłoni drinka, po raz kolejny podszedł do sofy, podniósł katalog i jeszcze raz zaczął czytać.

Następnego ranka Ben spóźnił się do biura spółki Bennett & Holiday, Ltd. Wyglądało na to, że jest w nienajlepszym nastroju. Umówił się na wcześniejsze spotkanie w sprawie fuzji przedsiębiorstw. Prosto z domu ruszył do budynku sądu tylko po to, by stwierdzić, że dziwnym zbiegiem okoliczności sprawy, w których miał brać udział, zniknęły z rozkładówki.

Urzednicy nie mieli pojęcia, jak to się stało, a swych sądowych oponentów nigdzie nie mógł znaleźć. Przewodniczący składu sędziowskiego powiedział mu jedynie, że po prostu musi umówić się jeszcze raz. Ponieważ bardzo zależało mu na czasie, poprosił o możliwie wczesne terminy. Dowiedział się jednak, że spotkania najwcześniej mogą nastąpić za miesiąc. Niezbyt uprzejmi urzednicy oznajmili, że to normalne pod koniec roku. Wyjaśnienie to nie zaskoczyło go. W tym miesiącu słyszał je chyba po raz dwudziesty. Zażądał więc umówienia go w sprawie nakazów sądowych tylko po to, by się dowiedzieć, że zajmujący się tym sędzia wyjechał na miesiąc na narty do Colorado i jeszcze nie zdecydował, kto ma przejąć sprawy w czasie jego nieobecności. Decyzję podejmie prawdopodobnie pod koniec tygodnia i wtedy należy się o to dowiadywać.

Spojrzenia urzedników i sędziów sugerowały, że to normalny bieg rzeczy w branży prawniczej, i że on – szczególnie ktoś taki, jak on – powinien był sobie już dawno z tego zdać sprawę.

Ben nie zamierzał jednak się z tym pogodzić. Nie zamierzał uznawać takiej sytuacji za normalną. Miał już po prostu wszystkiego tego powyżej uszu. Ponieważ jednak i tak nic nie mógł na to poradzić, sfrustrowany i zły poszedł do biura.

Dziewczyny w recepcji pozdrowił wymamrotanym „dzień dobry”. Odsłuchał wiadomości z automatycznej sekretarki i zaszył się gdzieś na zapleczu swego biura, by zwalczyć wzbierający w nim gniew. Walczył jednak nie więcej niż pięć minut, bowiem w drzwiach pojawił się Miles.

– No, no, nie bądź od rana taki naburmuszony! Choć odrobina uśmiechu! – świergotał radośnie – Dobra, dobra . – odpowiedział, kołysząc się na krześle. Niech śmieje się cały świat.

– Czy coś poszło nie tak z przesłuchaniami?

– W ogóle nie poszło Ktoś zdjął mnie z rozkładówki. Powiedzieli mi, że da się to zorganizować dopiero, gdy na jabłoniach wyrosną gruszki, a krowy zaśpiewają słowiczym głosem – Pokręcił głową – Co za życie' – Ano życie. Swoją drogą, cały świat tak właśnie funkcjonuje. Najpierw spiesz się, na łeb, na szyję, a potem – czekaj.

Czasu masz pod dostatkiem.

– Mam już tego naprawdę dosyć!

Miles podszedł bliżej i przysiadł na jednym ze stojących przed wielkim, dębowym biurkiem foteli dla klientów. Był wielkim facetem o ciężkiej budowie. Gęste, ciemne włosy i wasy dodawały powagi jego twarzy cherubina.

Jego wiecznie wpeł przymknięte oczy zamrugały powoli.

– Wiesz, na czym polega twoje nieszczęście, Ben?

– Chyba powinienem. Wszak nie raz mi to już wyjaśniałeś.

– Dlaczego więc mnie nie posłuchasz? Dlaczego tracisz czas, próbując zmienić coś, czego zmienić się nie da?

– Miles...

– Annie nie żyje, ale system prawny funkcjonuje dalej. Tego nie da się zmienić. Ani teraz, ani nigdy. Nie bądź takim don Kichotem. Marnujesz swoje życie! Przecież wiesz!

Ben gestem dłoni zdał się odpychać argumenty Milesa.

– Nie, właśnie że nie wiem. Poza tym, coś się nie zgadza w tym twoim równaniu. Wiem, że Annie nie wróci, i pogodziłem się z tym. Ale może nie jest zbyt późno, by zmienić system prawniczy – system wymierzania sprawiedliwości, do którego przywykliśmy, który podtrzymujemy przy życiu swoją pracą.

– Powinieneś od czasu do czasu posłuchać siebie samego! – westchnął Miles. – W moim równaniu wszystko się zgadza, szefie. Moje równanie jest boleśnie dokładne. Nie pogodziłeś się ze śmiercią Annie. Żyjesz w tej swojej cholernej skorupie, bo nie chcesz się pogodzić z tym, co się wydarzyło.

Tak, jak gdyby takie życie mogło cokolwiek zmienić. Jestem twoim przyjacielem – być może jedynym, jaki ci pozostał. To dlatego mówię ci to wszystko. Dlatego, że nie możesz sobie pozwolić, by utracić moją przyjaźń.

Wielkolud pochylił się nieco do przodu.

– Te wszystkie gówno warte historie o tym, jak to dawniej w prawniczej praktyce bywało, brzmią jak opowieści mego ojca o przedzieraniu się pieszo pięć mil przez zasy do szkoły. Czy i ja mam sprzedać swój wóz i zacząć przychodzić do pracy pieszo z Barrington? Nie można zawrócić biegu czasu, choćbyś nawet najbardziej tego pragnął. Musisz nauczyć się akceptować świat takim, jakim jest.

Tym razem Ben pozwolił mu skończyć, nie przerywając.

Miles co do jednego z pewnością miał rację: tylko on mógł do niego mówić w ten sposób, i to dlatego, że był jego przyjacielem. Lecz sposób na życie Milesa zawsze bardzo różnił się od tego, do czego dążył Ben. Zawsze wolał wtapiać się w otoczenie, niż je kształtować, zawsze skłonny był do ugody. Nie rozumiał, że w życiu są pewne rzeczy, z którymi po prostu nie wolno się pogodzić.

– Zapomnij na chwilę o Annie. – Ben zrobił znaczącą przerwę, nim znowu zaczął mówić. – Pozwól mi zauważyć, że zmiana to normalny element w życiu człowieka, że to normalny, nieustanny proces, napędzany przez niezadowolonych ze swej sytuacji ludzi, i że, w gruncie rzeczy, jest to zjawisko pozytywne. Pozwól mi zauważyć, że zmiana jest często wynikiem tego, czego się nauczyliśmy, a nie tylko tego, cośmy sobie wyobrazili i zaplanowali na przyszłość. Wydarzenia przeszłości odgrywają w tym swoją ważną rolę. Dlatego to, co działo się kiedyś i było dobre, nie powinno być odkładane na bok jako po prostu jeszcze jedna wypełniona kartka pamiętnika.

Miles wznosił rękę.

– Nie, przecież nie chciałem powiedzieć, że...

– Czy możesz z czystym sumieniem powiedzieć mi, że jesteś zadowolony z kształtu, jakiego nabiera praktyka prawnicza w tym kraju? Czy możesz powiedzieć mi, że jest teraz choć tak dobrze, jak było, powiedzmy, piętnaście lat temu, kiedy zaczynaliśmy? Przecież widzisz, na litość boską, co się dzieje! Nurzamy się w oceanie przepisów i ustaleń prawnych, który rozciąga się stąd aż po Chiny. Nawet prawnicy nie pojmują połowy z tego! Mówiliśmy kiedyś o sobie, że prowadzimy praktykę ogólną, a teraz jest dobrze, jeśli czujemy się kompetentni w jednej czy dwóch dziedzinach. Nie nadążamy z zapoznawaniem się z nowymi przepisami. Sądy są zbyt powolne i przeciążone pracą. Sędziowie to nazbyt często przeciętni prawnicy, którzy zajęli swe stanowiska dzięki układom politycznym. Świeżo upieczeni prawnicy patrzą na swą profesję jako na sposób robienia wielkich pieniędzy. Przede wszystkim dbają o to, żeby ich nazwiska jak najczęściej figurowały w gazetach. Zapomnieli, że ich zadaniem jest przede wszystkim pomoc ludziom. Podobnie jak naziści, mamy teraz fatalną prasę. Reklamujemy się – tak, reklamujemy! Niczym sprzedawcy używanych samochodów czy sklepy meblowe. Nie dbamy wystarczająco o stan naszej wiedzy. Nie pilnujemy się tak, jak by należało. Po prostu przedzieramy się przez sprawy – aby do przodu.

Miles spojrzał na niego, z zadowoleniem kiwając głową.

– Skończyłeś?

Ben przytaknął nieco speszony.

– Chyba tak. Czy o czymś zapomniałem?

Miles wzruszył ramionami.

– Myślę, że wyczerpałeś temat. Czy teraz ci lżej?

– O, tak, znacznie Dzięki!

– To świetnie. Jeszcze tylko jeden drobiazg. Słuchałem każdego twojego słowa, starałem się wszystko zapamiętać, i – co więcej – z prawie wszystkim się zgadzam. Jednak muszę zapytać: i co z tego? Było tysiące przemówień i wystąpień, powstawało tysiące komitetów, pisano tysiące artykułów dotyczących problemów, które tak elokwentnie przedstawiłeś w swej tyradzie. I czy cokolwiek to zmieniło?

– Niewiele – westchnął Ben.

– I oto sedno sprawy. Skoro tak to wygląda, to co właściwie zamierzasz zmieniać?

– Nie wiem. Ale nie to jest sednem sprawy.

– A więc co nim jest, do licha? Jeśli zamierzasz sam wypowiedzieć wojnę systemowi, by to zmienić, to w porządku. Ale trochę umiarkowania nie zaszkodziłoby tobie i twemu zaangażowaniu. Od czasu do czasu wolny dzień, czy jakieś relaksujące zajęcia mogłyby pozwolić ci spojrzeć na to z odmiennej perspektywy, uchronić przed wypaleniem się do dna.

– Zgoda, w porządku. Ale umiarkowanie nie jest moją najsilniejszą stroną.

Miles uśmiechnął się.

– I mi to mówisz? Choć raz porozmawiajmy o czymś innym. Opowiem ci o wczorajszym wieczorze. Wierz mi lub nie, ale parę osób pytało o ciebie w czasie spotkania. Mówili, że chcieliby cię zobaczyć.

– To znaczy, że musi im bardzo brakować towarzystwa...

Miles wzruszył ramionami.

– Być może. Cóż ważnego się wydarzyło, że musiałeś odwołać swoje przyjście? Nowa sprawa?

Ben zastanawiał się przez chwilę, potem potrząsnął głową.

– Nie, nic nowego. Po prostu chciałem coś sprawdzić. Zawahał się. Potem sięgnął nerwowym ruchem do teczki, z której wydobył katalog. – Miles, czy chcesz zobaczyć coś przedziwnego? Spójrz tylko na to.

Przekartkował katalog, by odnaleźć stronę z tekstem o Landover, i odłożył go na biurko. Jego przyjaciel przysunął się, by po niego sięgnąć, po czym znowu rozparł się w fotelu.

– Magiczne królestwo na sprzedaż... Landover – zaczarowana wyspa przygód... Ej, co to jest?

– Miles odwrócił katalog, by spojrzeć na okładkę.

– Świąteczny katalog domu Rosen's – wyjaśnił Ben wielkoludowi. – Na pewno widziałeś już takie. Z podarunkami.

Każdy jedyny w swoim rodzaju.

Miles zaczął znowu czytać. Gdy skończył, podniósł wzrok.

– Tylko milion? Cóż za okazja! Lećmy do Nowego Jorku, nim zaczną być tam ciasno od potencjalnych klientów.

– Co o tym myślisz?

Miles spojrzał na niego.

– Mam nadzieję, że to samo, co i ty. Ktoś tu zwariował!

Ben powoli pokiwał głową.

– Też tak myślałem. Ale Rosen's nie umieściłby w katalogu czegoś, czego nie będzie w stanie dostarczyć.

– A więc musi tu chodzić o jakiś spektakl, mistyfikację.

Smoki to pewno przerośnięte jaszczurki albo coś w tym rodzaju. Magia to po prostu jarmarczne sztuczki, jak ta z wyciąganiem kart z rękawa. – Miles roześmiał się. – Rycerze i

dziewice z Centralnej Agencji Castingowej, smoki dzięki uprzejmości ogrodu zoologicznego w San Diego. Johny Carson osobiście będzie kierował tą całą menażerią w przyszłym tygodniu!

Ben czekał, aż śmiech olbrzyma ucichnie.

– Tak sądzisz?

– Oczywiście, że tak. A ty?

– Nie jestem pewien.

Miles zmarszczył brwi i jeszcze raz przeczytał ogłoszenie.

Gdy skończył, odłożył katalog na biurko i pchnął go w kierunku Bena.

– Czy właśnie to cię zatrzymało w domu wczoraj wieczorem?

– Po części tak.

Zapanowała długa cisza. Miles chrząknął.

– Ben, tylko nie mów mi, że myślisz o...

Zadzwoił telefon. Ben podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, a potem skierował wzrok na Milesa.

– To pani Lang.

Miles spojrzał na zegarek.

– Chyba chce pisać nowy testament. – Zawahał się. Wyglądało na to, że chce powiedzieć jeszcze coś, ale tylko wcisnął ręce do kieszeni i poszedł ku drzwiom. – Dobra, dosyć tego. Mam teraz trochę pracy. Spotkamy się później.

Marszcząc czoło, opuścił gabinet. Ben go nie zatrzymywał.

Tego popołudnia Ben wcześniej wyszedł z biura i pojechał do klubu sportowego, aby poćwiczyć. Spędził godzinę w siłowni, przez kolejną godzinę okładał lekkie i ciężkie worki treningowe, do których zainstalowania namówił parę lat temu prowadzących klub. Jako nastolatek uprawiał boks. Niemal pięć lat walczył w Northside. Miał srebrną rękawicę, a mógłby mieć i złotą, gdyby nie inne zainteresowania, które odwiodły go wtedy od sportu. Cały czas starał się jednak utrzymać formę. Od czasu do czasu, w wolnych chwilach, sparingowa! nawet po kilka rund w klubie. Lecz na co dzień po prostu starał się utrzymać w dobrej kondycji. Zaczął przywiązywać do tego szczególną wagę po śmierci Annie. Pozwalało mu to po części rozładować gniew i zapomnieć o rozpaczy.

Wypełniało jego czas.

Siedząc w przedzierającej się przez korki godzin szczytu taksówce, myślał o rozmowie z Milesem. To prawda, że nie potrafił się pogodzić ze śmiercią Annie. Przyznawał się do tego, jeśli nawet nie przed Milesem, to na pewno przed samym sobą. Prawdą było, że nie wiedział, w jaki sposób się z tym pogodzić. Ich miłość była uczuciem tak intensywnym, że aż przerażającym. Nigdy o niej nie mówili – nie było takiej potrzeby. Kiedy Annie zginęła, myślał o samobójstwie. Nie zrobił tego, ponieważ jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, iż nie powinien robić rzeczy tak jawnie bezsensownych. Annie z pewnością tego by nie pochwaliła. Tak więc żył teraz najlepiej, jak potrafił żyć bez niej, lecz nigdy nie udało mu się pogodzić z jej odejściem. Być może nigdy mu się to nie uda.

Prawdę mówiąc, nie był wcale przekonany, czy ma to aż takie znaczenie.

Zapłacił taksówkarzowi, wszedł do lobby wieżowca, pozdrowił George'a i ruszył windą do swego apartamentu.

Miles uważał go za pogrążonego w bólu samotnika, który w ukryciu przed światem ciągle zadreżcza się rozpamiętywaniem śmierci żony. Być może za takiego uważali go wszyscy.

Ale to nie śmierć Annie wprowadziła go w ten stan. Ona go jedynie pogłębiła. W ostatnich latach coraz bardziej wycofywał się w głąb siebie, zde gustowany upadkiem prawniczej profesji, jej stopniowym pogrążaniem się i odchodzeniem od celów, do których powstała. Dla Milesa było to niezrozumiałe.

Doktorek Holiday, wzięty prawnik sądowy, który pokonał więcej Goliatów, niż sam Dawid mógłby wyśnić. Dlaczegoż człowiek, który tak efektywnie ten system potrafił wykorzystać, miałby się czuć sfrustrowany jego niedoskonałościami?

Niekiedy sukcesy prawnika sprawiają, że zaczyna wyraźniej dostrzegać szerzącą się wokół niesprawiedliwość. Tak było właśnie w jego wypadku.

Wymiesza! glenliveta z wodą i poszedł do salonu. Leżąc na sofie, wpatrywał się w okno, obserwując światła miasta.

Po jakimś czasie wyciągnął z teczki katalog Rosen'sa i otworzył go na stronie poświęconej Landover. Myślał o tym przez cały dzień. Właściwie od chwili, gdy wczorajszego wieczora po raz pierwszy zatrzymał wzrok na tym ogłoszeniu, nie myślał o niczym innym.

A jeśli to prawda?

Siedział tak przez dłuższy czas ze szklanką w dłoni, wpatrując się w otwarty katalog i rozmyślając.

Jego obecne życie zatrzymało się w martwym punkcie.

Annie nie żyła. Zawód prawnika – przynajmniej dla niego był również martwy. Oczywiście, były setki bitew sądowych, w które mógłby się zaangażować, setki przypadków, którymi mógłby się zająć, setki nowych Goliatów, których Dawid mógłby jeszcze pokonać. Ale w niczym nie zmieniłoby to pełnego niedoskonałości i dróg do nadużyć systemu. W końcu frustracja i rozczarowanie byłyby tylko powtarzaniem rytuałem bez znaczenia. A przecież w życiu szukał czegoś więcej.

I z pewnością coś takiego gdzieś istniało. Spojrzał na barwną ilustrację przedstawiającą scenę walki rycerza ze smokiem, więzioną w zamkowej wieży dziewicę, maga rzucającego zaklęcie i obserwujący to wszystko lud z czarowanej krainy Landover. Marzenie prosto z gwiazdkowego katalogu nowojorskiego domu towarowego.

Ucieknij do świata swoich marzeń...

Za milion dolarów, oczywiście. Ale pieniądze nie stanowiły problemu. Miał ich dosyć, by kupić trzy takie królestwa.

Jego rodzice byli zamożni, a jego praktyka bardzo dochodowa. Milion dolarów... Czy faktycznie chciałby je wydać właśnie na to?

I jeszcze ta rozmowa z facetem nazwiskiem Meeks. To go zastanawiało. Jaki miał być cel tej rozmowy? Dlaczego Meeks chciał poznać potencjalnych nabywców? Czyżby się spodziewał, że

będzie ich wielu i miał jakieś kryteria, by wybrać spośród nich tego najwłaściwszego? Ale chodziło w końcu o wybór króla, więc pewno jakieś kryteria musiały istnieć.

Wziął głęboki oddech. Jaki byłby z mego król? Miał pieniądze, by kupić ten tytuł, lecz i inni mogli je mieć. Był zdrowy fizycznie i psychicznie, lecz inni pewno również. Potrafił radzić sobie z ludźmi i z prawem – na tym mogła polegać jego przewaga. Był wyrozumiały. Był szanowany. Był dalekowzroczny | Był S7alony!

Dopił drinka, zamknął katalog i poszedł do kuchni przygotować kolację. Poświęcił temu sporo czasu, przyrządzając raczej ekstrawaganckie danie z wołowiny z warzywami, które zaserwował sobie z winem. Gdy skończył, wrócił do salonu i znowu zasiadł na sofie przed katalogiem.

Wiedział już, co robi. Możliwe, że w pewien sposób wiedział o tym od samego początku. Potrzebował czegoś, w co mógłby uwierzyć. Pragnął odnowić w sobie tę magiczną siłę, która skłoniła go do poświęcenia się praktyce prawniczej.

Chciał odnaleźć uczucie przedziwnego podniecenia, które ta siła kiedyś w nim wzbudzała. A przede wszystkim trzeba mu było zadania, któremu stawiając czoła, nadałby sens swemu życiu.

Landover mogło mu to dać.

Nie był jeszcze, rzecz jasna, o tym przekonany. Być może faktycznie wyglądało to tak, jak wyobrażał sobie Miles: smoki były tylko przerośniętymi iguanami, a rycerzy i magów dostarczyła agencja castingowa. Możliwe, że była to tylko marna próba naśladownictwa tego, co stworzyć mogła ludzka wyobraźnia. A jeżeli nawet wszystko to rzeczywiście istniało, jeśli było takie, jak przedstawiał to opis i ilustracja, mogło się jednak okazać tylko marną, tandetną imitacją tego, co podpowiadała pobudzona reklamą wyobraźnia. Świat marzeń mógł się okazać równie banalny, jak ten, w którym dane mu było żyć teraz.

Jednak gra była warta świeczki, ponieważ wiedział dokładnie, jakie możliwości daje mu jego obecne życie – nie było w nim niewiadomych. Czuł, że jakichkolwiek miałby dokonać teraz wyborów, to najgorszym z nich byłoby nie dokonać wyboru w ogóle.

Podszedł do barku, by przygotować Irish Mist. Przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze i wznosił do niego toast.

Czuł podniecenie.

Następnego ranka Ben poszedł do biura tylko po to, by odwołać wszystkie swoje spotkania w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Zajął się tylko kilkoma najważniejszymi sprawami, które wymagały tego niezwłocznie. Dziewczynie i studentowi prawa, który pracował u nich na pół etatu, prowadząc jednocześnie jakieś badania, powiedział, że robi sobie krótkie wakacje. Wszystko inne mogło poczekać do jego powrotu. Miles był właśnie w sądzie w Crystal Lake, więc szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie miał okazji, by zadać Benowi jakiegokolwiek pytania.

Zadzwoił na lotnisko O'Hare i zamówił bilet.

W południe był już w drodze do Nowego Jorku.

MEEKS Nowy Jork był chłodny, szary i obcy. Poszarpane zarysy jego drapaczy chmur – kości szkieletu miasta – wbijały się w wypełnione chmurami i mgłą niebo. Co pewien czas poprzez opary i smog można było dostrzec równe połacie terenu – skórę miasta. Ben obserwował, jak wszystko to materializuje się, niczym za sprawą magii, za oknami samolotu. Boeing 727 zaczął

zniżyć lot nad East River i skierował się ku wolnemu pasowi lotniska. Widać było zatłoczone autostrady, po których jak krew w żyłach ludzkiego ciała płynął strumień samochodów. Jednak Ben czuł, że to ciało jest martwe.

Z LaGuardia do Waldorfa wziął taksówkę. Siedział, nic nie mówiąc i ignorując słuchającego reggae kierowcę. W Waldorfie zamówił jednoosobowy pokój, opierając się pokusie wzięcia apartamentu. W Landover z pewnością nie będzie nowoczesnych apartamentów. Było to raczej bez znaczenia, lecz od czegoś trzeba było zacząć, a to miejsce było do tego dobre, jak każde inne. Po kroczeniu, ale do przodu.

Rozpakowanie się w pokoju zajęło mu pięć minut. Gdy skończył, sięgnął po książkę telefoniczną Manhattanu i odnalazł numer domu Rosen's. Był wydrukowany pogrubioną czcionką. Wykreślił go i czekał. Gdy zgłosiła się centrala, poprosił o połączenie z Biurem Obsługi Klientów. Gdy w słuchawce odezwał się czyjś głos, Ben oświadczył, że jest zainteresowany jedną z ofert w katalogu świątecznym i prosi o umówienie mu spotkania z panem Meeksem. Nastąpiła chwila ciszy, głos poprosił o numer oferty, i Bena połączono z kim innym.

Teraz czekać musiał przez kilka minut. Trzeci, miękki i nieco zakłopotany kobiecy głos poprosił o nazwisko, adres i numer głównej karty kredytowej. Ben przekazał swoje dane.

Poprosił o umówienie spotkania na jutrzejsze przedpołudnie, jeśli to możliwe. Wspomniał, że jest tu tylko na parę dni.

Uprzejmy głos zaproponował godzinę dziesiątą, na co Ben przystał.

Połączenie przerwało się. Ben przez chwilę wpatrywał się w aparat telefoniczny, potem odłożył słuchawkę.

Zszedł do hallu i kupił „Timesa”. Wypił kilka drinków jak zwykle glenlivetę z wodą i lodem – i poszedł na coś zjeść.

Jadł, czytając gazetę. Przeglądał pobieżnie poszczególne działy, a jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Spojrzał na wiadomości specjalne z Salwadoru i zaczął zastanawiać się, jak ludzie mogą tam, po tylu latach wojny, się jeszcze tak okrutnie zabijać. Przed siódmą był w swoim pokoju. W telewizji nadawano właśnie program rozrywkowy. Nie wyłączył telewizora, ale też nie oglądał, zajęty szczegółową analizą tego, co zamierzał przedsięwziąć. Rozważał to tego dnia przynajmniej z tuzin razy, lecz nadal nie mógł się wyzbyć pewnej niepokojącej niepewności.

Czy aby na pewno wie, co robi? Czy na pewno ma ochotę się w to wplątać?

Odpowiedzi były takie same, jak za każdym poprzednim razem. Wiedział, co robi. Miał ochotę się w to wplątać. Przynajmniej na tyle, by się dowiedzieć, o co tu chodzi. Krok po kroku. Wiedział, że jeśli istnienie królestwa Landover okaże się prawdą, pozostawi tutaj wiele. Będą to jednak przede wszystkim rzeczy materialne oraz wygody, o które teraz przestał dbać. Samochody, pociągi, samoloty, lodówki i piecyki, maszyny do zmywania naczyń, toalety i elektryczne maszynki do golenia – wszystkie te atrybuty nowoczesności, które pozostawia się w domu, wyjeżdżając na ryby do Kanady. Z tą różnicą, że taka wycieczka nie trwa dłużej niż kilka tygodni.

Teraz będzie inaczej. Z pewnością zostanie tam na dłużej i nie będzie to w niczym przypominało żadnego z kempingów, o których kiedykolwiek słyszał. Tak przynajmniej przypuszczał.

Więc jak to będzie? – zadał sobie nagle pytanie. Jak będzie w owym bajkowym królestwie Landover, które jakimś zbiegiem okoliczności trafiło do katalogu domu towarowego? Czy będzie tam jak w krainie Oz z czarownicami, Munchkinami i gadającym Żelaznym Drwalem? Czy będzie się tam szło drogą wybrukowaną żółtymi kamieniami?

Oparł się naglej chęci jak najszybszego spakowania manatków i opuszczenia Nowego Jorku, nim zabrnę z całą tą sprawą za daleko. Jeśli dobrze się zastanowić, to nie chodziło tu ani o to, czy zadając sobie takie pytania jest jeszcze w pełni władz umysłowych, ani jaka będzie przyszłość, ku której zamierza zrobić właśnie pierwszy krok. Istotne było to, że podejmuje świadomą decyzję zmiany swego życia. Gdy trzymasz się gruntu, na którym stoisz, przestajesz się posuwać. Gdy przestajesz się posuwać, wszystko zaczyna przemykać obok, omijając cię.

Westchnął. Te stare powiedzenia zawsze zdawały się zawierać więcej prawdy, niż w istocie zawierały.

Program rozrywkowy zakończył się, rozpoczęło się późne wydanie wiadomości, potem prognoza pogody i sport. Ben rozebrał się i włożył piżamę (czy nosi się je w Landover?), umył zęby (czy myją je mieszkańcy Landover?), wyłączył telewizor i poszedł spać.

Obudził się wcześnie, niewyspany. Zawsze miał kłopoty ze snem pierwszej nocy na nowym miejscu. Wziął prysznic, ogolił się, ubrał granatową, elegancką marynarkę. Windą zjechał do lobby, gdzie kupił poranne wydanie „Timesa”. Poszedł na śniadanie.

Przed dziewiątą był już w drodze do Rosen's.

Postanowił iść piechotą. Decyzja ta była wynikiem perwersyjnego przemieszania jego wrodzonego uporu i oszczędności. Sklep był zaledwie o parę przecznic od hotelu przy Lexington, a takie odcinki drogi powinno się pokonywać pieszo. Dzień był szary i chłodny, lecz strefa opadów przesunęła się na północny wschód, do Nowej Anglii. Taksówka byłaby stratą pieniędzy. Co więcej, idąc pieszo, zapewniał sobie niezależność i możliwość wyboru własnego tempa. Był więc to znowu rodzaj przygotowania do tego, co – jak sądził – go czekało. Jego prawnicza dusza zawsze czerpała radość z możliwości niezależnego zaaranżowania własnego przybycia.

Nie spiesząc się, powoli otrząsając się w chłodnym powietrzu jesiennego poranka z resztek snu, dotarł na miejsce za dwadzieścia dziesiątą. Rosen's był zbudowaną ze szkła i stali piętnastopiętrową podstawą dwóch ponad trzydziestopiętrowych drapaczy chmur, które zajmowały połowę długości Lexington i znaczną część krzyżującej się z nią ulicy zachodniej.

Stara część tego kompleksu, należąca do domu towarowego, została oczywiście zmodernizowana, gdy pojawiły się wysokościowce. Zrezygnowano z dawnej, kamiennej fasady.

Wzdłuż Lexington ciągnęły się teraz rzędy wielkich okien, w których manekiny z zamrożonymi uśmiechami i o pustych spojrzeniach prezentowały najmodniejsze garderoby. Ludzie przejeżdżający i przechodzący tędy w godzinach porannego szczytu nie odwzajemniali im uśmiechów i mijali je niezauważone. Ben podążał wzdłuż tej ściany okien na południe, w kierunku wejścia. Przeszedł przez podwójne, tworzące przedsionek, drzwi.

Był na pierwszej kondygnacji ogromnego i wypucowanego, utrzymanego prawie w sterylności domu towarowego.

Rzędy szklanych gablot wystawowych wypełnionych biżuterią, kosmetykami i srebrem wypełniały całą halę, lśnić i połyskiwać w powodzi fluorescencyjnego światła. Niewielkie grupki

klientów przemieszczały się przejściami pomiędzy wystawami, zza których obserwował je personel. Nikt nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego zwiększaniem sprzedaży. Wszystko to przypominało jakiś tajemny rytuał.

Ben rozejrzył się. Po prawej stronie dostrzegł jadącą w górę windę. Na odległej ścianie po lewej stronie wind było przynajmniej kilka. Na wprost, w miejscu, którego nie mógłby nie dostrzec nawet najbardziej zagubiony klient, w szklanej gablocie znajdowała się informacja o rozmieszczeniu działów domu towarowego.

Przez chwilę czytał. Nie znalazł jednak nazwiska Meeksa.

Właściwie nie oczekiwał nawet, że je znajdzie. Działy wyliczone były w porządku alfabetycznym. Pod literą O znalazł „Obsługę Klientów– zlecenia specjalne”. Jedenaste piętro.

W porządku, spróbujemy tam – pomyślał. Przedzierał się przez labirynt stoisk i wystaw w kierunku wind. Złapał jedną z oczekujących i pojechał na jedenaste piętro.

Z windy wyszedł prosto do recepcji wyposażonej w komfortowe, lecz nieco przesadnie ozdobne meble. Wokół stało kilka foteli, a pośrodku znajdowało się spore biurko z maszyną do pisania. Za biurkiem siedziała atrakcyjna kobieta około trzydziestki, zajęta rozmową telefoniczną. Na konsoli błyskały rzędy podświetlanych przycisków.

Gdy skończyła rozmowę, uśmiechnęła się i zapytała uprzejmie:

– Dzień dobry. Czym mogę służyć?

Ben uklonił się.

– Nazywam się Holiday. Jestem umówiony na dziesiątą z panem Meeksem.

Być może wydawało mu się tylko, że jej uśmiech nieco przybladł.

– Ach tak, proszę pana. Pan Meeks nie urzęduje na tym piętrze. Jego biura są na samej górze.

– Na samej górze?

– Tak, proszę pana. – Wskazała na jeszcze jedną windę po prawej stronie Bena. – Proszę po prostu nacisnąć guzik PL*. Winda zawiezie pana wprost do pana Meeksa. Zatelefonuję do jego recepcjonistki, że jest pan w drodze.

– Dziękuję. – Ben zawahał się. – Czy to pan Meeks zajmuje się zamówieniami specjalnymi?

– Tak, proszę pana.

– Pytam, bo w gablocie informacyjnej napisane jest, że obsługa klientów składających zamówienia specjalne jest na tym piętrze.

Recepcjonistka nerwowo odgarnęła włosy.

– Nie umieściliśmy tam nazwiska pana Meeksa. On woli, jeśli jego klienci docierają do niego za naszym pośrednictwem. – Próbowała się uśmiechnąć. – Pan Meeks zajmuje się tylko wybraną, wąską grupą specjalnych zamówień.

– Zamówieniami z katalogu świątecznego?

* Penthouse Level - Na najwyższych piętrach wieżowców znajdują się często bardzo drogie apartamenty.

– Ależ nie. Większością z nich zajmuje się zwykły personel. Pan Meeks nie jest pracownikiem Rosen's. Jest nieetatowym specjalistą do spraw sprzedaży, który w pewnych transakcjach działa jako nasz agent. Pan Meeks zajmuje się tylko najbardziej egzotycznymi i niezwykłymi ofertami z katalogu świątecznego. – Recepcjonistka pochyliła się nieco – Sądzę, że tworzy swoją własną kolekcję precjozów na sprzedaż.

Ben w odpowiedzi wzniosł brwi.

– Zapewne to utalentowany człowiek?

Recepcjonistka spojrzała nagle gdzieś w bok.

– Tak, bardzo uzdolniony. – Sięgnęła po telefon. – Zadzwoń, by ich uprzedzić, że pan przyszedł. – Wskazała raz jeszcze na drugą windę. – Będą pana oczekiwali. Do widzenia.

Odpowiedział na pożegnanie, wszedł do wskazanej windy i nacisnął guzik PL. Drzwi się zamknęły. Trzymająca słuchawkę przy uchu recepcjonistka spojrzała za nim ukradkiem. Jechał w ciszy, wsłuchując się w odgłosy pracy windy.

W windzie były tylko cztery przyciski: 1,2,3 i PL. Gdy winda stała, były ciemne. Teraz po kolei się zapalały. Winda nie zatrzymała się po drodze. Widocznie nikt jej nie wzywał, choć Ben niemal tego pragnął. Zaczynał się czuć, jak gdyby wkraczał w jakąś zakazaną strefę.

Winda stanęła, drzwi się otworzyły i Ben znalazł się znowu w recepcji niemal identycznej, jak ta, którą przed chwilą opuścił. Tym razem recepcjonistka była starsza, prawdopodobnie około pięćdziesiątki. Z zapamiętaniem sortowała sterty dokumentów pokrywające jej biurko, gdy stanął przed nią, tyłem do windy, człowiek w podobnym wieku. W jego wysokim głosie pobrzmiwała złość.

– ...nie muszę robić wszystkiego, co każe nam ten stary bęcwał i kiedyś mu o tym sam powiem! Niech nie myśli, że jesteśmy na jego każde skinienie! Jeśli nie przestanie nas tak traktować, to, do licha, pójdę z tym do... – Urwał, gdy spostrzegł, że recepcjonistka zauważyła Bena. Zawahał się przez moment, a potem szybko przemknął i zniknął w drzwiach windy, które po chwili zamknęły się za nim – Pan Holiday? – zapytała recepcjonistka łagodnym i uprzejmym głosem. Była to kobieta, z którą rozmawiał wczorajszego popołudnia.

– Tak – odrzekł. – Jestem umówiony z panem Meeksem.

Recepcjonistka podniosła słuchawkę telefonu, odczekała kilka chwil i rzekła:

– Pan Holiday, proszę pana. Tak, oczywiście. – Odłożyła słuchawkę na miejsce i spojrzała na Bena. – Zechce pan chwilę poczekać. Proszę spocząć.

Ben rozejrzał się wokół i zajął miejsce w jednym z końców sofy. Nie sięgnął po leżące na stoliku gazety i czasopisma.

Bez celu błądził wzrokiem po recepcji. Była jasno oświetlona, przyjemna dla oka, wyposażona w solidne, drewniane biurko i szafki. Ściany i podłoga były w chłodnych barwach.

Minęło kilka minut, gdy telefon na biurku recepcjonistki zadzwonił. Kobieta podniosła słuchawkę, przez chwilę słuchała, po czym odłożyła ją na miejsce.

– Panie Holiday! – Uniosła się i skinęła ręką -Proszę tedy Poprowadziła go korytarzem, do którego wejście znajdowało się na ścianie za jej stanowiskiem pracy. Korytarz wiódł przez kilkoro

zamkniętych drzwi, rozgałęziając się na lewo i prawo. Tylko tyle udało się Benowi dostrzec i zapamiętać.

– Dalej proszę tędy, potem po schodach, aż do drzwi na samym końcu. Pan Meeks oczekuje pana.

Recepcjonistka powróciła do swego biurka. Ben Holiday przez chwilę stał nieruchomo w miejscu, to rozglądając się po korytarzu, to śledząc oddalającą się postać kobiety.

No i na co czekasz? – zganił się.

Ruszył korytarzem. Po chwili dotarł do miejsca, w którym skręcał on w lewo. Otworzył drzwi, na których nie było żadnej tabliczki z numerem ani nazwiskiem. Podświetlany sufit zdawał się błądy wobec jaśniejących pastelowym błękitem i zielenią ścian korytarza. Gruba wykładzina tłumiała odgłos kroków. Było bardzo cicho.

Mrucząc melodię z The Twilight Zone, dotarł do schodów i zaczął się po nich wspinać. Schody kończyły się ciężkimi dębowymi, kasetonowymi drzwiami z napisem „Meeks” umieszczonym na tabliczce z brązu. Ben zatrzymał się, zapukał, nacisnął ozdobną klamkę i wszedł do środka.

Meeks stał naprzeciw niego.

Był bardzo wysoki, grubo ponad sześć stóp, lecz stary i przygarbiony, o całkiem siwych włosach. Na lewej dłoni nosił czarną skórzaną rękawicę. Prawego ramienia w ogóle nie miał, a rękaw jego sztruksowej marynarki zwisał wciśnięty do kieszeni. Bładobłękitne oczy patrzyły spojrzeniem twardym i spokojnym. Meeks wyglądał tak, jak kombatant co najmniej kilku wojen.

– Pan Holiday? – zapytał niemal szeptem. Jego głos brzmiał całkiem podobnie do głosu recepcjonistki. Ben przytaknął głową. – Jestem Meeks. – Starzec lekko się skłonił. Nie podał Benowi dłoni, a Ben też nie próbował tego zrobić. Proszę, niech pan spocznie.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, powłócząc nogami, które najwyraźniej nie funkcjonowały, jak należy. Ben bez słowa podążył za nim. Gabinet był elegancki i luksusowo wyposażony. Stało tam potężne dębowe biurko i dobrane do niego krzesła o siedziskach i oparciach obitych skórą. Na stołach i przystawkach do biurka rozłożone były sterty papierów. Trzy ściany pokrywały całkowicie ciągnące się od podłogi aż po sufit regały na książki, wypełnione starymi tomami i różnymi przedmiotami. Na czwartej ścianie znajdowały się okna. Były one jednak dokładnie zasłonięte. Jedyne źródłem dziwnie przyćmionego światła były lampki na suficie. Puszysta wykładzina koloru brązowego przypominała połąć wysuszonej trawy. W pokoju unosił się słaby zapach starej skóry i pasty do polerowania mebli.

– Proszę siadać. – Meeks wskazał krzesło stojące przed biurkiem, po czym poczłapał ku swemu obrotowemu fotelowi. Ostrożnie zajął miejsce, zapadłszy się w stare skórzane obicia. – Coraz trudniej mi się poruszać. Pogoda robi swoje.

Wiek i pogoda. Ile ma pan lat?

Ben właśnie siadał na swym krześle. Spojrzał na Meeksa.

Czuł na sobie ostre spojrzenie jego starych oczu.

– W styczniu skończę czterdzieści – odpowiedział.

– Dobry wiek. – Meeks uśmiechnął się blado, bez cienia radości. – Czterdziestolatek jest jeszcze w pełni sił. Wie już większość tego, czego ma się w życiu nauczyć i potrafi właściwie wykorzystać swoje możliwości. Czy jest tak i w pana wypadku?

– Chyba tak – zawahał się Ben.

– Można to wyczytać z pana oczu. Oczy mówią więcej o człowieku, niż on sam potrafi o sobie powiedzieć. W oczach odbija się ludzka dusza, ludzkie serce. Czasami zdradzają one nawet prawdy, które chciałyby się zataić. – Przerwał na moment. – Może ma pan ochotę na coś do picia? Kawa, a może koktajl?

– Nie, dziękuję – odparł Ben i niecierpliwie przesunął się razem z krzesłem.

– Sądzi pan, że to niemożliwe, prawda? – Głos Meeksa był cichy, a jego brwi głęboko się zmarszczyły. – Nie wierzy pan w istnienie Landover?

Ben uważnie przyglądał się twarzy rozmówcy.

– Nie jestem pewien.

– Cieszą pana nowe możliwości, lecz podchodzi pan do nich krytycznie. Wychodzi pan naprzeciw wyzwaniom, lecz boi się pan jednocześnie, by nie okazały się tylko papierowymi wiatrakami. Niech pan tylko pomyśli! Świat, jakiego nikt na tej ziemi nigdy jeszcze nie widział! Brzmi niewiarygodnie?

Jeśli mogę posłużyć się wysłużonym porzekadłem, to brzmi zbyt pięknie, żeby było prawdziwe.

– Owszem.

– Jak spacer człowieka po Księżycu?

Ben przez chwilę się zastanawiał.

– Raczej jak uczciwa pożyczka. Albo jak pełne zaufanie pomiędzy siostrzanymi stanami. Albo ochrona konsumenta przed kłamliwymi reklamami.

Meeks przyjrzał mu się z uwagą.

– Jest pan prawnikiem, panie Holiday?

– Tak.

– I wierzy pan w nasz wymiar sprawiedliwości?

– Owszem.

– Wierzy pan, ale i wie pan, że nie zawsze funkcjonuje on jak należy? Chciałby pan w niego wierzyć, ale rozczarowuje pana nazbyt często?

Meeks czekał.

– Tak, to prawda – przyznał Ben.

– I przypuszcza pan, że w Landover może być podobnie. Meeks raczej stwierdził fakt, niż zapytał. Pochylił się do przodu z wyrazem napięcia na pomarszczonej twarzy. – Nie, tam tak nie jest. Landover jest dokładnie tym, co obiecuje tekst reklamy. Jest w nim wszystko, o czym mowa w informacji, i wiele, wiele więcej. Rzeczy, które w tym świecie mogą być tylko fikcją, rzeczy, które trudno sobie tutaj nawet wyobrazić, w Landover istnieją. Naprawdę istnieją!

– Smoki również?

– Wszystkie rodzaje bajkowych, zaczarowanych stworzeń, panie Holiday. Dokładnie tak, jak przedstawia to tekst reklamy.

Ben założył ramię na ramię.

– Chciałbym w to wierzyć. Przyjechałem do Nowego Jorku, by dowiedzieć się prawdy; marzę o tym, by Landover istniało. Czy jest pan w stanie pokazać mi cokolwiek, co pomoże mi uwierzyć w pana słowa?

– Ma pan na myśli ulotki, prospekty, zdjęcia i przewodniki? – Jego twarz była napięta. – Nie, one nie istnieją. Ten towar jest szczególnie strzeżonym skarbem. Informacje o jego położeniu, wyglądzie i tym, czego można tam oczekiwać, są zastrzeżone. Mogę ujawnić je jedynie nabywcy, którego –jako wybrany przez firmę agent– ostatecznie sam wyłonię. Myślę, że jako prawnik doskonale pan to rozumie.

– Rozumiem, że tożsamość sprzedającego jest również zastrzeżona?

– W istocie.

– Jak również powód, dla którego chce się tego towaru pozbyć?

– Również.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego ktokolwiek miałby sprzedawać coś tak wspaniałego? Zastanawiam się, czy przypadkiem nie kupuję kawałka brooklińskiego mostu. Skąd mogę wiedzieć, że sprzedający ma w ogóle prawo, by Landover sprzedawać?

Meeks uśmiechnął się, chcąc rozwiać wątpliwości Bena.

– Wszystko zostało dokładnie sprawdzone. Osobiście tego dopilnowałem.

Ben potrząsnął głową.

– A więc wszystko opiera się jedynie na pana słowie?

Meeks cofnął się i znowu rozparł w fotelu.

– Nie, panie Holiday. Opiera się na światowej reputacji Rosen's jako domu towarowego, który zawsze dostarcza towar dokładnie taki, jaki został opisany w katalogach i reklamach. Opiera się na warunkach kontraktu, który firma podpisuje z klientem w wypadku sprzedaży towarów szczególnych, a więc takich jak ten. Kontrakt zapewnia zwrot ceny zakupu pomniejszonej o niewielką opłatę manipulacyjną w wypadku, gdy klient nie jest z nabytku w pełni zadowolony. Wszystko opiera się na normalnych zasadach handlu.

– Czy mogę zobaczyć ów kontrakt?

Meeks przesunął ubraną w rękawicę dłoń po usianym zmarszczkami policzku.

– Pragnąłbym dopełnić najpierw moich, wiążących się z tym kontraktem, obowiązków. Pan przybył tutaj, by zdecydować, czy nabyć Landover, czy też nie. Lecz jest pan tutaj również po to, bym ja mógł zdecydować, czy jest pan odpowiednim nabywcą. Czy nie będę nieuprzejmy, zadając panu kilka pytań?

– Ależ nie. A jeśli tak, to z pewnością dam znać.

Meeks uśmiechnął się niczym Kot z Cheshire i przytaknął głową ze zrozumieniem.

Przez następne trzydzieści minut zadawał pytania. Robił to niczym biegły prawnik w czasie wstępnych przesłuchań przed rozprawą – z taktem, zwięźle i celowo. Meeks wiedział, czego chce się dowiedzieć, i miało się wrażenie, że bada to dotykkiem doświadczonego chirurga. Ben widział przez lata swej praktyki setki prawników sądowych, często lepszych od siebie. Ale nigdy nie widział kogoś tak dobrego, jak Meeks.

Pytania dotyczyły wielu dziedzin.

Ben piętnaście lat temu ukończył z wyróżnieniem wydział prawa Uniwersytetu w Chicago, otrzymał Order of the Coif. Od razu zaczął pracować w jednej z większych firm, a po pięciu latach otworzył z Milesem własną, specjalizującą się w sprawach sądowych. Wygrał wiele spraw, o których głośno było w prasie krajowej, a w dziesiątkach innych doprowadził do ugody. Koledzy po fachu szanowali go i uważali za jednego z najlepszych. Był prezesem Chicago Bar Association i członkiem zarządów wielu komitetów Illinois State Bar*. Mówiono nawet o nim jako o kandydacie na prezydenta American Trial Lawyers Association**.

Pochodził z bardzo majątnej rodziny. Jego matka odziedziczyła sporą fortunę, ojciec sam się dorobił majątku. Oboje już nie żyli. Ben nie miał rodzeństwa. Po śmierci Annie został właściwie sam. Miał kilku kuzynów ze strony matki na Zachodnim Wybrzeżu i wuja w Wirginii, lecz nikogo z nich nie widział od przynajmniej pięciu lat. Spośród kilku bliższych przyjaciół pozostał mu w zasadzie tylko Miles. Chociaż koledzy darzyli go szacunkiem, on trzymał ich na dystans. Ostatnie pięć lat żył przede wszystkim pracą.

– Czy ma pan doświadczenie w administracji? – zapytał w którymś momencie Meeks. Ben, spojrzawszy w jego nieprzeniknione, stare oczy, wyczuł, że chodzi tu o coś innego, niż sugerowałaby to sama treść pytania.

– Nie.

– Ma pan jakieś hobby?

– Nie – odrzekł Ben, przekonany, że udziela prawdziwej odpowiedzi. Cóż – trenował jednak w klubie Northside. Już chciał sprecyzować swą odpowiedź, lecz stwierdził, że to fakt bez znaczenia.

Podał Meeksowi oświadczenie finansowe przygotowane w odpowiedzi na ogłoszenie, a zawierające dane o wartości jego majątku. Meeks przejrzał je bez słowa, pokiwał z zadowoleniem głową i odłożył je na biurko.

– Tak, panie Holiday. Jest pan idealnym kandydatem – powiedział cicho, a jego szept zdawał się przerażać w syku. Jest pan człowiekiem, który z łatwością może się odciąć od swych korzeni, który nie będzie się musiał martwić o swoją rodzinę czy chcących zbyt wiele wiedzieć przyjaciół. Nie będzie pan bowiem mógł przez pierwszy rok komunikować się z nikim stąd, z wyjątkiem mnie. To jeden z warunków umowy. Nie powinno być to dla pana problemem. Ma pan również odpowiedni majątek, by dokonać zakupu – majątek rzeczywisty, nie w papierach. Wie pan, jaka to różnica. Ale, co chyba najważniejsze, jest pan człowiekiem, który ma coś do zaoferowania jako władca Landover. Nie sądzę, by się pan nad tym głębiej zastanawiał, lecz dla tych, w których imieniu występuję, jest to sprawa znacznej wagi. Ma pan do zaoferowania coś szczególnego.

* Organizacje zawodowe (izby) prawników Chicago i całego stanu Illinois.

** Ogólnoamerykańska Organizacja Prawników Sądowych

Meeks przerwał.

– Cóż to takiego? – zapytał Ben.

– Pańskie przygotowanie zawodowe, panie Holiday. Jest pan prawnikiem. Proszę pomyśleć, ile dobrego mógłby pan uczynić, będąc nie tylko interpretatorem, ale i twórcą praw.

Król winien mieć poczucie sprawiedliwości. Pańska inteligencja i wykształcenie będą panu bardzo pomocne.

– Sądzi pan, że w Landover będą miały jakiegokolwiek znaczenie?

– Oczywiście. – Twarz Meeksa pozostawała bez wyrazu. Królowi zawsze potrzebne jest odpowiednie wykształcenie i inteligencja.

Przez chwilę Benowi się zdawało, że w głosie Meeksa wyczuwa utajoną drwinę.

– Czy wie pan, jakimi przymiotami powinien się charakteryzować król?

Meeks uśmiechnął się twardo.

– Tak, dysponuję wiedzą o tym, czym winien charakteryzować się władca Landover, jeśli o to panu chodzi. W wypadkach takich, jak ten, nasi zleceniodawcy dostarczają nam listę wymagań wobec potencjalnego klienta. Jeśli chodzi o sprzedaż królestwa Landover, pan te warunki spełnia.

Ben powoli przytaknął głową.

– Czy to znaczy, że zostałem zaakceptowany?

Starzec rozparł się wygodniej w fotelu.

– A pańskie pytania, panie Holiday? Może to właśnie od nich powinniśmy zacząć?

Ben wzruszył ramionami.

– Tak, mam kilka pytań. Chciałbym się dowiedzieć kilku rzeczy. Dlaczego nie zaczęliśmy od umowy – od umowy, której forma uchroni mnie przed popełnieniem czegoś, co większość ludzi uznałaby za... nierozsądny wydatek.

– Pan to nie większość ludzi, panie Holiday. – Pomarszczona twarz pochyliła się, kryjąc się w cieniu. Układ zmarszczek i bruzd zmienił się na niej, niczym na poskręcanej gumowej masce. – Umowa brzmi następująco: będzie miał pan dziesięć dni na zapoznanie się ze swym nabytkiem bez żadnych zobowiązań. Jeśli w tym czasie stwierdzi pan, że jego faktyczny stan nie odpowiada treści reklamy lub że nie zadowala pana z innych powodów, może pan tutaj powrócić i odebrać wpłaconą kwotę, pomniejszoną o pięć procent opłaty manipulacyjnej. Sądzę, iż zgodzi się pan, że to rozsądna wysokość opłaty.

– Czy to wszystko? Czy to cały kontrakt? Czy wszystko, co zawiera, to możliwość wycofania się z zakupu?

– Tak, to wszystko. – Meeks uśmiechnął się. – Oczywiście, decyzja musi być podjęta w ciągu pierwszych dziesięciu dni.

Ben wpatrywał się w Meeksa.

– I będzie tam wszystko, o czym mowa była w katalogu?

Wszystko?! Smoki i rycerze, czarownice i magowie, i inne zaczarowane stworzenia?

– A pan będzie królem, panie Holiday. Pan będzie człowiekiem, któremu wszyscy oni będą podlegali. Wielka władza, lecz i wielka odpowiedzialność. Czy sądzi pan, że sprostą pan temu wyzwaniu?

W pokoju panowała cisza. Ben siedział naprzeciwko Meeksa i myślał o kolejach swego życia, które w końcu doprowadziły go w to miejsce. W swej podróży nie stracił zbyt wiele prócz Annie. Wykorzystywał nadarżające się okazje, jeśli tylko było to możliwe. Szansa, którą teraz miał przed sobą, przewyższała wszystko, co napotkał do tej pory. Korzystając z niej, tak niewiele miał tutaj do stracenia. Wraz ze śmiercią Annie, wszystko, co miało kiedyś znaczenie, odeszło na dalszy plan.

Niemniej jednak, zawahał się.

– Czy mogę zobaczyć ten kontrakt?

Starzec sięgnął do środkowej szuflady swego biurka i wyjął stamtąd trzykrotnie powielony jednostronicowy dokument. Podał go Benowi. Ben wziął dokument do ręki i uważnie przeczytał. Umowa wyglądała dokładnie tak, jak powiedział Meeks.

Korona Landover miała być sprzedana za milion dolarów.

Treść oferty katalogowej była tutaj powtórzona i opatrzona odpowiednimi gwarancjami. W ostatnim akapicie zapewniano zwrot pełnej kwoty zakupu, pomniejszonej o opłatę manipulacyjną, w wypadku odstąpienia przez nabywcę od zakupu w ciągu dziesięciu dni. Sposób wycofania się z umowy przedstawiony zostanie w chwili zakupu.

Ben zatrzymał się na ostatnich liniach umowy. Nabywca zgadza się na przepadek całej wpłaconej kwoty, jeśli powróci z Landover po upływie dziesięciu dni lub jeżeli z jakichkolwiek przyczyn opuści Landover w czasie pierwszego roku panowania.

– Co ma na celu ostatni akapit umowy? – zapytał, znowu wpatrując się w Meeksa. – Dlaczego nie mogę pozwolić sobie na wizytę w domu?

Meeks nieudolnie próbował się uśmiechnąć.

– Memu zleceniodawcy zależy, by nabywca wziął pełną odpowiedzialność za królestwo. Człowiek, który nie potrafi wytrzymać tam nawet roku, nie jest właściwym kandydatem na władcę. To sformułowanie zapewnia, że nie porzuci pan swych obowiązków... przynajmniej nie przed upływem roku.

Ben zmarszczył brwi.

– Chyba rozumiem troskę pańskiego zleceniodawcy. – Odłożył kontrakt na biurko, kładąc na nim delikatnie dłoń. Pozostaje jednak sceptyczny co do ogólniejszych aspektów tej transakcji. Muszę otwarcie przyznać, że wszystko to wydaje mi się zbyt proste. Zaczarowane królestwo z bajkowymi stworzeniami, o którym nikt nigdzie nie słyszał, na którego ślad nikt nigdy nie natrafił? I wszystko, co muszę zrobić, to zapłacić za to milion dolarów?

Meeks milczał. Jego stara, pomarszczona twarz nie wyrażała niczego.

– Czy Landover leży w Ameryce Północnej? – naciskał Ben.

Meeks nie odpowiedział.

– Czy potrzebny mi będzie paszport? Albo szczepienia przeciw jakimś chorobom?

Meeks wolno pokręcił głową.

– Nie jest potrzebny ani paszport, ani szczepienia. Potrzeba panu tylko odwagi, panie Holiday.

Ben lekko się zaczerwienił.

– Myślę, że trochę zdrowego rozsądku też nie zaszkodzi.

– Ten rodzaj zakupu wymaga chyba najmniej zdrowego rozsądku. Jeśli byłby on podstawą tej sprzedaży, nasza rozmowa w ogóle nie doszłaby do skutku. – Uśmiech starca był lodowaty. – Bądźmy więc szczerzy. Jest pan człowiekiem, który poszukuje czegoś, czego nie ma w znanym mu świecie.

Jest pan człowiekiem zmęczonym życiem i jego pułapkami.

Jeśli nie byłoby to prawdą, nie pojawiłby się pan tutaj. Jestem agentem, który się specjalizuje w sprzedaży szczególnie egzotycznych towarów – towarów niekiedy dziwacznym, przeznaczonych na mały rynek. Wyjątkowo trudno się nimi handluje. Nie mogę narazić swej reputacji poprzez sprzedaż czegoś, co nie spełniałoby wymagań klienta. Gdyby tak było, nie utrzymałbym się w branży. Traktuję pana poważnie, i czuję, że również pan uważa mnie za człowieka poważnego.

Niemniej jednak są pewne rzeczy, które obaj musimy przyjąć na wiarę. Ja muszę zaakceptować pana jako potencjalnego władcę Landover, wiedząc o panu zaledwie tyle, ile zdołałem wywnioskować z naszej krótkiej rozmowy. I pan musi przyjąć za prawdę to, co powiedziałem panu o Landover, ponieważ nie ma rozsądnego sposobu, by to panu pokazać. Musi pan sam tego doświadczyć. Musi pan tam pójść i zobaczyć to samemu.

– Przez dziesięć dni?

– Proszę uwierzyć, że to dosyć czasu. Jeśli się pan rozmyśli, proszę po prostu wrócić.

Nastąpiła długa cisza.

– Czy oznacza to, że proponuje mi pan kupno? – spytał Ben.

Meeks pokiwał głową.

– Tak. Sądzę, że jest pan wyjątkowo odpowiednim nabywcą. Co pan na to, panie Holiday?

Ben spojrział na kontrakt.

– Muszę to jeszcze przemyśleć.

Meeks zaśmiał się sucho.

– Prawnicza ostrożność – i bardzo dobrze. Mogę dać panu dwadzieścia cztery godziny do namysłu, nim towar ponownie zostanie zaoferowany do sprzedaży. Następne spotkanie w tej sprawie mam jutro o godzinie pierwszej. Jeśli pan zechce, może pan, rzecz jasna, zastanawiać się dłużej. Jednak po upływie jednego dnia niczego nie mogę panu gwarantować.

– Dwadzieścia cztery godziny w zupełności mi wystarczą – odrzekł Ben. Sięgnął po kontrakt, lecz Meeks szybkim ruchem przyciągnął go ku sobie.

– Zasada moją i tej firmy jest udostępnianie umowy sprzedaży dopiero po jej podpisaniu. Może pan, oczywiście, przeanalizować ją jeszcze jutro, o ile zdecyduje się pan na kupno.

Ben podniósł się z krzesła, a wraz z nim powstał Meeks, wysoki i przygarbiony.

– Powinien pan to kupić, panie Holiday – szepnął starzec zachęcająco. – Sądzę, że jest pan odpowiedni do tej roli.

Ben przygryzł usta.

– Być może.

– Jeśli zdecyduje się pan na kupno, kontrakt będzie czekał na pana w recepcji. Na załatwienie formalności finansowych ma pan od chwili podpisania trzydzieści dni. Gdy wpłaci pan pełną kwotę, przekażę panu instrukcje, jak dostać się do Landover i objąć tron.

Ben skierował się ku drzwiom.

– Niech pan zrobi coś dla siebie. Niech pan kupi to królestwo, panie Holiday. To naprawdę coś dla pana.

Drzwi zamknęły się i Ben stał teraz sam na korytarzu.

Przeciskając się przez tłum na ulicach, Ben wrócił do hotelu Waldorf. Było południe. Zjadł lekki lunch i zaszył w przylegającym do lobby drink-barze. Siadł, wyciągnął żółty notes i długopis, i zaczął robić notatki na temat spotkania z Meeksem.

Wiele rzeczy go niepokoiło. Jedną z nich był sam Meeks.

W tym starcu było coś dziwnego. Coś poza jego surowym wyglądem. Benowi podpowiadał to instynkt doświadczonego prawnika. Meeks był uprzejmy, lecz pod tą delikatniejszą powłoką wyczuć można było dwucalowy pancerz. Strzępy rozmowy, które Ben miał okazję usłyszeć w recepcji i wyraz twarzy recepcjonistek sugerowały, że z Meeksem nie pracuje się łatwo.

Ale było coś jeszcze. Coś, czego Ben nie był w stanie nawet wyrazić.

Niepokoilo go również to, że nie dowiedział się właściwie niczego nowego o Landover. Ani zdjęć, ani ulotek, ani broszur – nic! Meeks powiedział, że opisać Landover jest zbyt trudno. Ben musi sam to zobaczyć, godząc się na kupno w ciemno. Wykrzywił twarz. Gdyby zamienili się rolami i Meeks stałby się klientem, to by się z pewnością nie zadowolił taką odpowiedzią.

W czasie rozmowy nie zdołał się dowiedzieć niemal niczego, co go interesowało. Nadal nie miał pojęcia, gdzie leży i jak wygląda królestwo Landover. Nie wiedział nic, prócz tego, co napisano w broszurze.

Ucieknij do krainy swych marzeń...

Być może.

A być może będzie to ucieczka do krainy koszmarów sennych?

Wszystko, na czym mógł polegać, to klauzula kontraktu, umożliwiająca mu wycofanie się z zakupu w ciągu dziesięciu dni. W zasadzie to wystarczająca gwarancja. Nawet więcej, niż wystarczająca. Straciłby tylko pięćdziesiąt tysięcy dolarów opłaty manipulacyjnej. Drogo, ale do zniesienia. Mógł więc się udać w podróż do owego zaczarowanego królestwa, pełnego bajkowych stworzeń, smoków, dziewic i czego tylko dusza zapragnie, a jeśli by stwierdził, że sprawa jest naciągana, mógł powrócić i odzyskać pieniądze.

Gwarantował to kontrakt.

Przez chwilę w pośpiechu notował, potem wzniosł wzrok i rozejrzał się po opustoszałym barze.

Zdawał sobie sprawę z tego, że tak na prawdę to, co go w tej sprawie niepokoi, nie ma większego wpływu na decyzje. Był zdecydowany przyjąć kontrakt nawet na tych warunkach.

I na tym właśnie polegał problem. Tego obawiał się najbardziej. Gotów był wydać milion dolarów, by spełnić swe rżenia, gdyż doszedł w życiu do punktu, w którym wszystko czym był i co posiadał przestało mieć dla niego znaczenie. Każdy krok ku zmianie tej sytuacji wydawał się pożądanym. Nawet krok taki, jaki właśnie rozważał: zakup baśniowej krainy, która być może jest tylko jakimś hollywoodzkim mirażem – Miles z pewnością stwierdziłby, że stan Bena jest bardzo poważny i że koniecznie musi się on zwrócić do psychiatry, jeśli choć tylko rozważy taki zakup. I miałby, niestety, rację!

Dlaczego więc było to Benowi niemal całkiem obojętne?

Dlaczego był już prawie pewny, że mimo wszystko kupi Landover?

Wyciągnął się w miękkim fotelu. Bo... – usiłował odpowiedzieć sam sobie. Bo chcę spróbować czegoś, o czym inni ludzie mogą tylko śnić. Bo chcę się przekonać, czy dam sobie radę. Bo jest to pierwsze takie wyzwanie od czasu, gdy utraciłem Annie. Bez czegoś takiego, bez wyzwania, które wyrwie mnie z marazmu mojej dzisiejszej egzystencji...

Wziął głęboki oddech, pozostawiając myśl niedokończoną. Życie jest ciągiem stojących przed człowiekiem wyzwań pomyślał. Im trudniej takiemu wyzwaniu sprostać, tym większa później satysfakcja z wygranej.

I tym razem się mu uda. Wiedział, że mu się uda.

Podarł swoje notatki, pogniótł je i wyrzucił.

Starał się jeszcze przeanalizować całą sprawę, lecz faktycznie decyzja była już podjęta. Następnego dnia o dziesiątej stał już w recepcji ukrytego gdzieś na końcu labiryntu korytarzy biura Meeksa. Recepcjonistka nie wyglądała na zdziwioną jego widokiem. Wręczyła mu umowę wraz z trzema kopiami i dokumentem dotyczącym trzydziestodniowego terminu płatności. Ben jeszcze raz przeczytał kontrakt. Stwierdziwszy, że nie ma w nim żadnych zmian, podpisał. Z kopią w kieszeni marynarki opuścił budynek i złapał taksówkę na LaGuardia.

W południe był już w drodze do Chicago. Pierwszy raz od dłuższego czasu poczuł się wyraźnie lepiej.

LANDOYER

Dobre samopoczucie opuściło go dopiero następnego dnia rano, gdy odkrył, że nikt poza nim nie jest szczególnie przekonany co do kierunku zmian, jakich postanowił dokonać w swoim życiu.

Po pierwsze zadzwonił do swego księgowego. Eda Samuelsona znał ponad dziesięć lat. Choć nie byli bliskimi przyjaciółmi, to jednak ściśle współpracowali ze sobą i respektowali wzajemnie swe zawodowe umiejętności. Ben służył stale jako adwokat w sprawach firmy księgowej Haines, Samuelson & Roper. Ed Samuelson był księgowym Bena od początków jego kariery. Był prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który w pełni znał stan jego majątku. Pomagał mu w

sprawach spadkowych, gdy zmarli jego rodzice. Podsunał mu większość pomysłów na inwestycje finansowe. Uważał Bena za wnikliwego i bystrego biznesmena.

Kiedy Ben zadzwonił do niego i kazał mu – nie prosił, lecz kazał – sprzedać obligacje i papiery wartościowe warte milion dolarów, dla Eda stało się jasne, że jego kolega zwariował. Wybuchnął przez słuchawkę.

– Taka sprzedaż to szczeniackie szaleństwo! Obligacje i papiery można zlikwidować jedynie ze stratą, gdyż kara za przedwczesny wykup jest wysoka! Akcje muszą zostać sprzedane po cenie rynkowej, a na giełdzie panuje bessą! Stracisz mnóstwo pieniędzy. Nawet odpisy podatkowe nie skompensują poniesionych przez taki pośpiech strat! Dlaczego, na Boga, musisz robić to właśnie teraz? Dlaczego tak nagle potrzebujesz miliona dolarów gotówką?

Spokojnie, lecz nieco wykrętnie, Ben wyjaśnił, że zamierza dokonać zakupu, który wymaga szybkiej zapłaty gotówką. Z tonu jego głosu można było wynieść, że nie zamierza się ^ zdradzić, co takiego jest przedmiotem transakcji. Ed zawahał się. Może Ben popadł w jakieś kłopoty? Ben przekonał go jednak, że wszystko jest w porządku. Zapewnił, że decyzję podjął dłuższym zastanowieniu, i że cieszyłby się, gdyby Ed mógł mu pomóc w zebraniu odpowiedniej sumy pieniędzy.

Nie było więc o czym mówić. Choć z oporami, Ed zgodził się spełnić życzenie Bena.

Jeszcze gorzej było w jego własnym biurze. Zaczął od rozmowy z Milesem. Gdy jego przyjaciel rozsiadł się wygodnie z filiżanką kawy w rękę, Ben poinformował go, że zamierza czasowo się wycofać z firmy. Miles omal upuścił filiżankę.

– Czasowo wycofać? O czym, do licha, mówisz, Doktorku? Ta firma to całe twoje życie! Praktyka prawnicza to całe twoje życie – przynajmniej od czasu śmierci Annie!

– I być może właśnie na tym polega mój problem. Może powinienem dać sobie na pewien czas z tym wszystkim spokój. – Ben wzruszył ramionami. – Przecież sam mówiłeś mi, że muszę się zająć czymś, prócz pracy, zacząć bywać w towarzystwie, zobaczyć coś poza ścianami swego mieszkania.

– Tak, jasne, ale nie rozumiem... Chwilę, co właściwie zamierzasz zrobić? Jak długo ciebie nie będzie? Kilka tygodni, miesiąc?

– Rok.

Miles patrzył z niedowierzaniem.

– Przynajmniej rok. Może dłużej.

– Rok?! Cały cholerny rok?! Przynajmniej?! – Miles wybuchnął gniewem. – To nie jest czasowe wycofanie się z biznesu, to emerytura! Co będzie z naszą praktyką, gdy odejdziesz? Co z twoimi klientami? Nie będą czekali przez rok na twój powrót! Spakują manatki i poszukają kogoś innego! A co z procesami? Co ze sprawami, których nie dokończyłeś? Na litość boską! Nie możesz tak po prostu...

– Spokojnie, spokojnie! – przerwał szybko Ben. – Nie uciekam stąd jak szczur z tonącego okrętu. Wszystko gruntownie przemyślałem. Wszystkich swoich klientów powiadomię osobiście. Oddam lub rozwiążę prowadzone przez siebie sprawy. Jeśli ktoś będzie niezadowolony, polecę mu inną firmę.

Ale myślę, że większość przyjdzie po prostu do ciebie.

Miles oparł się o biurko swoją potężną klatką.

– W porządku, Doktoru, bądźmy szczerzy. Może i to, co mówisz, jest prawdą – przynajmniej w pewnym stopniu. Być może ci się uda jakoś ułagodzić klientów. Może się pogodzą z twoim czasowym odejściem z firmy. Ale nie na rok! Odejdą od nas, doktoru. A co z procesem, nad którym pracujesz? Z tym nikt inny sobie nie poradzi. Na pewno stracimy klientów.

– Myślę, że możemy sobie pozwolić na utratę kilku, jeśli nie ma innego wyjścia.

– Ależ właśnie o to chodzi! Czy nie ma innego wyjścia?

– A co byłoby, gdybym na przykład umarł? Ot, tak sobie, dzisiaj wieczorem. Co zrobiłbyś wtedy? W zasadzie to taka sama sytuacja. Jak byś sobie z tym poradził?

– To nie to samo, do licha, i dobrze o tym wiesz! Twoje porównanie jest do kitu! – Miles wstał na równe nogi i pochylił się ku Benowi, wspierając się na biurku. – Nie rozumiem, co się z tobą dzieje! Zawsze byłeś tak cholernie godny zaufania!

W salach sądowych... hm... wychodziłeś nieco poza konwenanse, ale zawsze utrzymywałeś klasę, zawsze trzymałeś się na wodzy. Wspaniały okaz prawnika! Niech to licho! Och, gdybym miał choć połowę twojego talentu...

– Dasz mi coś powiedzieć?

Olbrzym w odpowiedzi pokręcił jedynie głową.

– Zamierzasz się gdzieś włóczyć przez cały pieprzony rok?! Tak po prostu? Najpierw lecisz bez słowa do Nowego Jorku, goniąc Bóg jeden wie za czym. Wyjeżdżasz bez zastanowienia, ledwie zdążyłeś o tym pomyśleć. Za mną nie zamieniłeś na ten temat nawet słówka, od kiedy rozmawialiśmy o tym zwariowanym ogłoszeniu w katalogu Rose'a, Rosenberga, czy jak się tam to zwało. A teraz tak po prostu...

Nagle zamilkł, a słowa ugrzęzły mu w gardle. Na jego twarzy pojawił się wyraz olśnienia.

– O mój Boże! – wyszeptał cicho, kręcąc powoli głową. O mój Boże, to ten katalog. Czy tak?

Ben nie odzywał się przez chwilę, nie mając pewności, czy powinien odpowiedzieć. Zamierzał utrzymać to w tajemnicy.

Nie chciał, by ktokolwiek o tym wiedział.

– Siadaj, Miles, siadaj – rzekł w końcu.

– Mam siąść? Jak, na Boga, mam siedzieć, kiedy...

– Do licha, po prostu siąść, Miles! – Ben przerwał przyjacielowi w pół zdania.

Miles zamilkł. Stał jeszcze przez moment, po czym znowu powoli zapadł się w fotelu. Na jego zarumienionej twarzy malował się wyraz przerażenia.

Teraz do przodu pochylił się Ben. Jego twarz była napięta.

– Jesteśmy razem od wielu lat – jako przyjaciele i współpracownicy. Wiemy o sobie wiele. Większość tego, czego się nauczyliśmy, pochodzi z naszych wspólnych doświadczeń.

Ale nie wiemy o sobie wszystkiego, bo to po prostu niemożliwe. Nawet w najbardziej sprzyjających warunkach dwie istoty ludzkie nie mogą dowiedzieć się o sobie wszystkiego. Dlatego pewne rzeczy, które robimy, zawsze pozostaną dla innych niezrozumiałe.

Pokręcił głową.

– Pamiętasz, jak zawsze mi radziłeś, bym zrezygnował z zajmowania się sprawą, jeśli czułem, że coś jest nie w porządku? Pamiętasz? Rzuć to! – mówiłeś. To przegrana sprawa. Rzuć ją. Czasami rzucałem. Zgadzałem się i rzucałem sprawę. Ale czasami mimo wszystko ciągnąłem ją dalej. Decydowałem się na coś takiego, bo to po prostu mi odpowiadało. A ty się zgadzałeś z moją decyzją, chociaż nie do końca ją rozumiałeś. Ufałeś mi jednak. Prawda? – przerwał. – O to właśnie proszę cię i teraz. Nie zrozumiesz tego i nie będziesz w stanie się z tym pogodzić. Po prostu przyjmij to do wiadomości i zaufaj mi.

Spojrzenie Milesa błądziło po biurku.

– Doktorku, tu przecież mowa o milionie dolarów!

– Nie. – Ben wolno pokręcił głową. – Mowa o ratowaniu siebie. Mowa o czymś, czego nie da się wycenić.

– Ależ to... szaleństwo! – Miles ścisnął dłońmi brzeg biurka, aż zbieleły mu palce. – To nieodpowiedzialne! To po prostu cholernie głupie!

– Ja widzę to trochę inaczej.

– Inaczej? A jak inaczej można to nazwać, jak nie łamaniem zawodowej wiarygodności, burzeniem dorobku wielu lat pracy? Odejść po to, by zamieszkać w zamku i walczyć ze smokami, zakładając, że nie jest to tylko mistyfikacja. Ani telewizji, ani meczów Bearsów, ani Wrigley Field, ani chłodnego piwka! Nawet pieprzonej elektryczności, prysznic z ciepłą wodą, o ubikacji nie wspominając. Pozostawić swój dom, przyjaciół i... O mój Boże!

– Postaraj się spojrzeć na to jak na dłuższy wyjazd pod namiot – taki, na który wyjeżdżasz, kiedy chcesz na jakiś czas uciec od wszystkiego.

– Wspaniale! Wycieczka pod namiot za milion!

– Już się na to zdecydowałem, Miles.

– Wyjechać gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc!

– Już się zdecydowałem!

Jego głos zabrzmiał tak ostro, że obydwaj oniemieli. Wpatrywali się w siebie nawzajem, czując, że odległość między nimi rośnie, jak gdyby stali na krawędziach otwierającej się w ziemi szczeliny. W końcu Ben wstał i szybko obszedł biurko. Miles również powstał. Ben położył rękę na jego ramieniu.

– Miles! Jeśli czegoś ze sobą nie zrobię, to się wykończę. wyszeptał. – Być może dałbym jeszcze radę tak żyć przez parę miesięcy, czy nawet rok, ale w końcu przyjdzie chwila, w której okaże się to ponad moje siły. Nie mogę na to pozwolić.

Przyjaciół spojrział na niego bez słowa, westchnął i pokiwał głową.

– To twoje życie, Doktorku. Nie mogę mówić ci, jak masz je przeżyć. Nie potrafiłbym. – Rozłożył ręce. – Czy mógłbyś jednak jeszcze raz gruntownie to przemyśleć? Chyba nie proszę o zbyt wiele?

Ben uśmiechnął się blade.

– Przemyślałem to na sto sposobów. Wystarczy. Koniec z myśleniem.

Miles potrząsnął głową.

– Przyznaj, że zachowujesz się jak uparty osioł.

– Zamierzam teraz powiedzieć o tym innym. Mam nadzieję, że to, co wiesz, zatrzymasz dla siebie.

– W porządku. Czemu nie. Czemu niby miałbym komukolwiek wspominać o tym, że najjaśniejsza gwiazda naszej firmy właśnie zwariowała. – Po raz ostatni spojrzął na Bena, wzruszył ramionami i zwrócił się w kierunku drzwi. – Zwariowałeś, Doktorku.

Ben odprowadził go do wyjścia.

– Tak, mi też będzie ciebie brakowało.

Zwołał pracowników i zakomunikował o swym zamiarze czasowego wycofania się z firmy. Mówił o potrzebie oderwania się od życia, jakie teraz wiecie, od wielkiego miasta, praktyki prawniczej, wszystkiego, co tutaj zna. Poinformował ich również, że wyjeżdża w ciągu najbliższych kilku tygodni i może go nie być nawet ponad rok. Gdy skończył, zapanowała uderzająca cisza, a po chwili posypał się na niego grad pytań. Starał się cierpliwie odpowiadać. Po spotkaniu pojechał do domu.

O Landover nikomu nie wspomniał ani słowem. Miles również trzymał język za zębami.

Prawie trzy tygodnie zajęło mu porządkowanie swoich spraw. Większość czasu spędził, starając się załatwić sprawy zawodowe. Rozmawiał z klientami, odwoływał spotkania, przekazywał sprawy, którymi zajmował się w sądach. Było to trudne zadanie. Pracownicy przyjęli jego decyzję ze stoickim spokojem, lecz w ich spojrzeniach można było dostrzec wyraźne niezadowolenie. Czuli, że ich porzucą, że wymiguje się. Prawdę mówiąc, sam miał co do tego mieszane uczucia.

Z jednej strony rozluźnienie więzów z firmą i zawodem dało mu całkiem nowe poczucie swobody i ulgi. Czuł się, jakby wyrwał się z jakiejś pułapki, jak gdyby zaczynał wszystko od nowa, i miał przy tym możliwość wykorzystania tych wszystkich szans, które ongiś zaprzepaścił. Z drugiej strony – męczyła go niepewność i żal. Porzuczał wszak to, czemu poświęcił większość swego dotychczasowego życia. Było to uczucie porzucania przyjaznych i znajomych kątów dla obcego świata, które zawsze towarzyszy podróżom w nieznane.

Przecież mogę wrócić, kiedy tylko zechcę – uspokajał się.

Nie jest to przecież nic nieodwołalnego.

Załatwiał więc, co miał do załatwienia, i starał się zapomnieć o rozterkach. Ale im bardziej starał się o nich nie myśleć, tym więcej myślał. W końcu pogodził się z tym faktem, przyjmując to za rzecz nie do uniknięcia. Pozwalał uczuciom się ścierać i walczyć w swoim wnętrzu, pozwalał rosnać wątpliwościom, aż odkrył, że daje mu to pewien rodzaj równowagi, gdyż czuje się na tyle mocny, by stawić im opór. Decyzja była podjęta, ale dopiero teraz poczuł, że może już z nią żyć.

Pod koniec trzeciego tygodnia uporządkował wszystkie sprawy w firmie. Był więc wolny od zobowiązań zawodowych i swobodnie mógł podążyć ścieżkami, które wybrał. Jedna z nich prowadziła do baśniowego królestwa Landover.

Prawdę o jego wyprawie znał tylko Miles. Znał i trzymał język za zębami. Nie rozmawiał nawet z Benem. Był zaciętrzewiony i przekonany, że Ben zwariował.

– Przyjdzie taka chwila, Dok tor ku, chwila w niezbyt odległej przyszłości – chyba że się mylę – gdy w tej twojej lepetynie coś wreszcie zaskoczy, oświeci cię, i pojmiesz swój błąd.

Gdy chwila ta nastąpi, przypełniesz tutaj, czując się głupio i lżej o milion dolarów, a ja z największą przyjemnością powtórzę przynajmniej z tuzin razy „A nie mówiłem?”. Ale niechaj ten objaw twojej jawnej głupoty pozostanie między nami.

Po co robić zaraz zamieszanie w całej firmie!

Był to ostami komentarz Milesa na temat zakupu Bena.

Powiedział to dzień po tym, gdy Ben oznajmił swoją decyzję współpracownikom i personelowi. Od tej chwili w rozmowach z Benem ograniczał się do spraw ściśle służbowych. Przez trzy tygodnie nie powiedział nic więcej. Zadowalał się wyłącznie znaczącymi spojrzeniami i zachowaniem, które było zapewne obliczone na wywarcie jakiegoś zbawionego wpływu na umysł szaleńca.

Ben próbował to ignorować, lecz jego cierpliwość miała się ku końcowi. Mijały dni i oczekiwanie zaczynało go już męczyć. Ed Samuelson poinformował go telefonicznie, że sprzedał już odpowiednią liczbę akcji i obligacji. Pieniądze są gotowe – o ile Ben jest nadal przekonany o słuszności swojej inwestycji. Ben zapewnił go, iż jest tego pewny i przelał pieniądze na nowojorskie konto Rosen's. Poprosił Eda o prowadzenie swych spraw finansowych przez czas nieokreślony i przygotował odpowiednie pełnomocnictwa. Księgowy przyjął je obrzucając Bena podejrzliwym spojrzeniem, podobnym do tego, którym ostatnio obdarzał go Miles. Cierpliwość Bena skurczyła się jeszcze drobinę. Zapłacił w Towers za mieszkanie za dwanaście miesięcy z góry, włączywszy w to opłaty za sprzątanie i ochronę. George'a poprosił, by miał oko na jego apartament. Ten szczerze życzył mu miłej podróży i pobytu, dokądkolwiek by się udawał. Była to chyba jedyna osoba, która przyjęła jego decyzję bez zastrzeżeń.

Ben dokonał poprawek w swym testamencie, odwołał prenumeraty czasopism, poinformował klub sportowy, że przez jakiś czas nie będzie się tam pojawiał, prosząc jednak, by nie usunęli sprzętu do treningu bokserskiego. Na poczcie poinformował, że od początku przyszłego miesiąca nie będzie przyjmował przesyłek, i oddał klucz od swej skrytki bankowej Edowi Samuelsonowi.

Pozostało tylko czekać.

Oczekiwanie zakończyło się pod koniec czwartego tygodnia, trzy dni przed końcem miesiąca. Śnieg padał i wirował w szarzejącym świetle popołudnia. W weekend po Święcie Dziękczynienia, przed Gwiazdką, ulice miasta zapełniły się tłumem ludzi, chcących uczcie urodziny Zbawiciela zamianą gotówki na towar. Uczucie świątecznego podniecenia było Benowi całkiem obce. Obojętność ta rodziła w nim niemiły cynizm. Obserwował właśnie gorączkę zakupów z okien swej twierdzy na szczycie wysokościorowca, gdy George zaanonsował przybycie doręczyciela ze specjalną przesyłką z Nowego Jorku.

Przesyłka była od Meeksa. Koperta zawierała list, bilet lotniczy, mapę samochodową stanu Virginia i dziwnie wyglądające pokwitowanie. List brzmiał następująco:

Szanowny Panie Holiday, Potwierdzam fakt dokonania przez pana zakupu towaru z oferty specjalnej, określonego w naszym najnowszym katalogu gwiazdkowym jako Landoyer. Pańskie pieniądze w pełnej kwocie ceny towaru wpłynęły już na konto i zostały podjęte przez firmę.

W kopercie załączam bilet lotniczy, który pozwoli Panu dotrzeć z Chicago do Charlottesville w stanie Wirginia. Jest to bilet na okaziciela, ważny u wymienionego przewoźnika przez najbliższe siedem dni.

Po przybyciu na lotnisko Allegheny w Charlottesville proszę okazać w biurze informacji zaleczony rachunek. Na pana nazwisko zamówiony został samochód, który pozostaje do pana dyspozycji od chwili przybycia. Będą na Pana oczekiwały dalsze instrukcje oraz paczka. Proszę o dokładne przeczytanie instrukcji i ostrożne obejście się z zawartością paczki.

Na mapie samochodowej stanu dokładnie oznaczono, w jaki sposób przebyć ostatni etap podróży do Landover. U jego końca będą Pana oczekiwać.

W imieniu Rosen's, Ltd., życzę Panu miłej podróży.

Meeks Ben kilka razy przeczytał list, spojrzął na bilet i pokwitowanie, po czym prześledził mapę. Czerwona, narysowana pisakiem linia wiodła na zachód od Charlottesville do małego znaczka „x” gdzieś w Blue Ridge Mountains, nieco na południe od Waynesboro. Na marginesach mapy w ponumerowanych punktach były zapisane instrukcje. Przeczytał je, po czym jeszcze raz przejrzał list. Później włożył wszystko z powrotem do koperty.

Przez jakiś czas siedział na sofie, wpatrując się w szarość dnia wymieszaną z białą śnieżnych płatków i wsłuchując się w odległe odgłosy przedświątęcnego ruchu. Wreszcie poszedł do łazienki, spakował trochę kosmetyków i zadzwonił do George'a, by wezwał mu taksówkę.

Przed piątą był na lotnisku O'Hare.

Śnieg padał coraz mocniej.

W Wirginii nie było śniegu. Trzymał jednak mróz, a czyste niebo wypełniały promienie słoneczne, w których blasku można było dostrzec zalesione szczyty gór, lśniące rosą i poranną mgłą. Ben skierował stalowobłękitnego new yorkera* na prawy pas międzystanowej autostrady 64. Jechał teraz na zachód, w kierunku Waynesboro.

Było przedpołudnie kolejnego dnia podróży. Tę noc Ben spędził w Marriocie w pobliżu lotniska. O siódmej rano złapał lot linii Allegheny do Charlottesville. Gdy w biurze przedstawił owo dziwaczne pokwitowanie, wydano mu kluczyki do samochodu i niewielkie pudełko, zapakowane w zwykły, brązowy papier. W pudełku znalazł krótki list od Meeksa oraz medalion. List brzmiał następująco:

Medalion jest kluczem pozwalającym wejść do Landover i stamtąd wyjść. Nosząc go, zostanie Pan uznany za prawowitego następcę tronu. Jeśli go Pan zdejmie, powróci Pan do miejsca oznaczonego na mapie krzyżykiem. Tylko Pan może go zdjąć, by powrócić. Tracąc go, może się Pan wpakować w tarapaty.

Meeks Stary medalion wykonany był z jakiegoś metalu. Widniał na nim wizerunek zakutego w zbroję rycerza na rumaku, wynurzającego się z promieni słońca, które wschodziło nad leżącym na wyspie na jeziorze zamkiem. Był do niego przymocowany podwójny łańcuszek. Stan pięknie wykonanego medalionu pozostawiał wiele do życzenia. Matowy nalot nie dawał się łatwo usunąć. Ben założył medalion na szyję, odnalazł zamówiony samochód i wyruszył na południe autostradą między stanową numer 64.

* Model chryslera - bardzo duża limuzyna

Póki co, wszystko w porządku – pomyślał, jadąc na zachód, w kierunku Blue Ridge. Wszystko odbywało się zgodnie z planem.

Dostarczona przez Meeksa mapa leżała na siedzeniu obok.

Ben przypomniał sobie wypisane na niej zalecenia. Drogą międzystanową miał dotrzeć prawie do Waynesboro, a następnie zjechać ze Skyline Drive i skierować się na południe, do Lynchburga. Dwadzieścia mil dalej musiał odnaleźć przydrożny parking i punkt widokowy, oznaczony niewielkim zielonym znakiem z czarnym numerem 13. Powinna się tam znajdować również budka telefoniczna i schronik dla turystów.

Przy nim miał pozostawić samochód z kluczykami w środku, potem przejść na drugą stronę drogi i wejść na górską ścieżkę. Około dwóch mil dalej ktoś będzie na niego czekać. Ani list, ani wskazówki na mapie nie mówiły jednak, kto to będzie.

Na samej mapie było napisane, że ktoś przybędzie później, by odprowadzić samochód. Auto na przejazd z powrotem można zamówić przez telefon. Odpowiedni numer zanotowany był na mapie.

Bena przeszył nagły impuls wątpliwości. Nie wiadomo, dokąd zabrnął. O tym, gdzie jest teraz, wie jedynie Meeks.

Gdyby po prostu zniknął, Meeks stałby się w prosty sposób bogatszy o milion dolarów – zakładając, że to wszystko jest tylko wyszukaną machinacją. I za mniejsze pieniądze działa się z ludźmi dziwne rzeczy.

Pomyślał o tym przez chwilę, lecz otrząsnął się. To bez sensu. Meeks był agentem domu Rosen's. Firmy dokładnie sprawdzają ludzi na takich stanowiskach. Poza tym, było zbyt wiele tropów, po których można by dojść do Meeksa. Miles wiedział o kontaktach Bena z domem towarowym i o ich celu.

Można również było prześledzić drogę pieniędzy, które wpłacił na konto Rosen's. Kopie listów Meeksa spoczywały w jego sejfie. Anons o sprzedaży Landover był publiczny.

Ben starał się odepchnąć od siebie wątpliwości i skoncentrować na prowadzeniu wozu. Od kilku tygodni czekał na to, co miało nastąpić. Był tak podniecony, że ledwie mógł nad sobą zapanować. Ostatniej nocy spał marnie i zbudził się przed świtem. Był podatny na wszelkie niedopieczone myśli, jakie tylko zakiełkowały w jego głowie.

Dotarł do wjazdu na Skyline Drive w trochę ponad pół godziny i ruszył nią na południe. Dwupasmowa droga szybkiego ruchu wiała się spokojnymi zakrętami wzwyż gór Blue Ridge. Biegając poprzez lasy, pośród skał, wzbijała się ku blaskowi późnolistopadowego słońca. Po obydwu jej stronach rozciągały się piękne, zapierające dech w piersiach widoki.

Ruch był niewielki. Ben minął zaledwie trzy samochody jadące z przeciwka: rodziny ze sprzętem kempingowym, w tym jedna w samochodzie z przyczepą. Nie spotkał nikogo jadącego na południe.

Dwadzieścia minut później dostrzegł przydrożny parking zielonym znakiem z czarną liczbą 13. Spuszczając nogę z gazu skierował samochód na wyboiste pobocze i zatrzymał go przed szalasek dla turystów oraz budką telefoniczną. Wygramolił się z auta i rozejrzał wokół. Po jego prawej stronie odnoga drogi ciągnęła się jeszcze przez kilkadziesiąt metrów ku solidnej poręczy, ogradzającej punkt widokowy.

Po lewej, za opustoszałą drogą, w porannym świetle wzbijały się ku niebu szczyty Blue Ridge. Wpatrywał się w nie przez chwilę, obserwując wirujące i kłębiące się, niczym długie wstęgi na wietrze, mgły. Dzień był cichy i spokojny. Nawet powiewy wiatru wydawały się bezgłośnie.

Odwrócił się, wydobył z samochodu swoją torbę. Przypominała worek marynarski; była wypełniona kilkoma przedmiotami, o których zabranii akurat pomyślał: butelka ulubionego glenlivet (na specjalną okazję), papier i długopisy, kilka książek, rękawice bokserskie, ostatnie numery magazynów, które prenumerował, plaster, woda utleniona, stary dres i buty do biegania. Nie przejmował się specjalnie kwestią ubioru. Przypuszczał, że i tak to, co zabrał, będzie lepsze od tego, co noszą w Landover.

Zamknął samochód, pozostawiając w środku kluczyki.

Wcisnął swój portfel do torby, jeszcze raz się rozejrzył i przeszedł na drugą stronę drogi. Ubrany był w lekki, granatowy dres w drobne, białe i czerwone paseczki. Na nogach miał adidas. Wziął tylko je i buty do biegania. Nie bardzo wiedział, w co najlepiej się zaopatrzyć na tego rodzaju wyprawę, a poza tym nie przypuszczał, by na miejscu udało mu się zdobyć tak wygodne obuwie. Pomyślał, że to dziwne, iż Meeks nie zatroszczył się o podanie mu dokładniejszych wskazówek co do ubioru i rzeczy, które powinien zabrać.

Stał teraz na poboczu drogi i omiatał wzrokiem rozciągające się przed nim zbocze. Spływał z niego niewielki, błyskający w przyćmionym świetle dnia swymi bystrzami strumień.

Ścieżka przecinała go i znikła gdzieś pomiędzy drzewami.

Ben zarzucił torbę na ramię i ruszył przed siebie.

Wiodąca wzdłuż strumienia ścieżka wiła się po zboczu, co pewien czas wydobywając się na niewielkie polanki, na których ustawione były drewniane ławki dla utrudzonych turystów. Odgłosy uderzeń wód potoku o brzegi i chlupot jego skalistych wodospadów były jedynymi dźwiękami rozbrzmiewającymi w lesie w to listopadowe przedpołudnie. Droga i samochód zniknęły gdzieś za plecami Bena. Teraz widział tylko otaczający go las. Zbocze stało się nieco mniej strome, lecz las gęstniał i Ben z coraz większą trudnością odnajdywał swoją ścieżkę. W końcu strumień urwał się, ginąc gdzieś w wysokim zboczu stromej skały, a ścieżka biegła dalej samotnie.

Powoli zaczęły go otaczać mgły.

Zatrzymał się i rozejrzył. Niczego jednak nie dostrzegł.

Zaczął nasłuchiwać. Ale niczego nie usłyszał. Niemniej jednak miał nieprzyjemne uczucie, że jest śledzony. Znowu pojawiła się wątpliwość. A może to wszystko to jego jedna wielka pomyłka? Otrząsnął się jednak z tej myśli i dalej podążał ścieżką. Decyzję podjął wszak już kilka tygodni temu. Teraz chciał zobaczyć, co z tego wyniknie.

W miarę wchodzenia w głąb lasu, mgły gęstniały. Drzewa o wysychających liściach i wiecznie zielonych od mchu pniach otoczyły go mrocznym kręgiem, niczym szkielety strażników lasu. U ich stóp przycupnęły gęste zarośla i kępy wysokiej trawy, a z ich pni i gałęzi zwisały długie pnącza. Musiał się teraz przedzierać pomiędzy sosnami i świerkami. Mgły gdzieś leniwie ustępowały miejsca słabemu światłu poranka. Pod nogami trzaskały igły, suche liście i gałęzie. Gdzieś na granicy zasięgu jego wzroku, w poszyciu poruszały się jakieś niewielkie zwierzęta.

Pomyślał, że przynajmniej nie jest całkiem sam.

Zaczynało męczyć go pragnienie. Nie pomyślał o zabraniu ze sobą wody. Mógł zawrócić i napić się wody ze strumienia, ale wolał nie tracić czasu. Żeby oprzeć się natrętnemu pragnieniu, zaczął rozmyślać o Milesie. Starał się wyobrazić go sobie tutaj, podążającego razem z nim pośród drzew i mgły, sapiącego i postępującego. Uśmiechnął się. Miles nienawidził wszelkich ćwiczeń fizycznych, które nie miałyby nic wspólnego z piwem i nakrytym stołem. Bena, trenującego boks wiele lat po zakończeniu kariery zawodniczej, uważał za szaleńca.

Sportowców postrzegał jako chłopców, którym nigdy nie było dane dorosnąć.

Ben pokręcił głową. W wielu sprawach poglądy Milesa zdały mu się dosyć dziwaczne.

Zwolnił, gdy ścieżka przed nim zniknęła gdzieś w wysokiej trawie. Drogę zagroziła mu gęsta kępa sosen. Zaczął się pomiędzy nimi przedzierać, lecz po chwili się zatrzymał.

– Oho! – wyszeptał.

Przed nim wznosiła się pogrążona w cieniu ściana olbrzymich dębów. W jej środku był wydrążony, jak gdyby rękami olbrzyma, spory tunel. Ciemny i pusty – czarna dziura bez końca, jama wypełniona oparami mgły, którymi poruszały niewidzialne dłonie. Z mroku dobiegały jakieś odległe, nierozpoznawalne dźwięki.

Ben stał u wejścia tunelu i wpatrywał się we mgły i ciemność. Tunel miał jakieś sześć metrów szerokości i dwa razy tyle wysokości. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Wiedział, że nie mogła tego stworzyć żadna siła z tego świata.

Wiedział też, dokąd ów tunel prowadzi. A jednak zawahał się. Poza tym, że tunel nie wydawał się tworem naturalnym, było tam jeszcze coś, co spowodowało, że czuł się nieswojo coś niepokojącego.

Ben ostrożnie się rozejrzał. Nie dostrzegł jednak niczego godnego uwagi. Gdyby nie dobiegające go jakieś odgłosy z oddali, mógłby pomyśleć, że jest jedynym żywym stworzeniem w całym tym lesie. Lecz...

Nagle poczuł przemożną chęć, by się odwrócić na pięcie i pomaszerować w drogę powrotną, do domu. Pragnienie to było tak silne, że mimo woli zrobił krok w tył, nim zdążył zapanować nad własnymi nogami. Powietrze z tunelu zdawało się dotykać go delikatnie, głaszcząc skórę kosmykami mgły. Ben zacisnął dłoń na torbie i wyprostował się, walcząc z narastającym napięciem. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Pójdzie dalej, czy się zatrzyma? Cóż mógłby wybrać odważny i żądny przygód podróżnik, doktor Holiday?

– Hm... – mruknął cicho.

Ruszył przed siebie. Tunel zdawał się otwierać przed nim, a ciemność rozstępować dokładnie w tempie, w którym podążał naprzód. Mgła otoczyła go, pieszcząc jego skórę, niczym ramiona czulej kochanki. Szedł wolno, lecz zdecydowanie, rozglądając się to na lewo, to na prawo. Nie widział nic. Nadal dochodziły go płynące gdzieś z oddali dziwne dźwięki. Poszycie pod jego nogami było miękkie i wilgotne.

Miał uczucie, że stąpa po uginającej się pod jego stopami gąbce. Pnie i gałęzie wyrastały gdzieś z ciemności, tworząc ściany i sklepienie, przypominające pajęczynę, przepuszczającą jedynie drobinę mdłego światła.

Ben zaryzykował krótkie spojrzenie za siebie. Las, z którego tutaj wszedł, zniknął. Zniknęło wejście do tunelu. Za sobą widział teraz dokładnie to samo, co i przed sobą.

– Niezłe efekty specjalne. – Zmusił się do krótkiego uśmiechu, myśląc o Milesie, myśląc o tym, jak śmiesznie jest czuć to, co czuje teraz, i że to wszystko coraz mniej mu się podoba...

Wtedy usłyszał ryk.

Doszedł go gdzieś z oparów mgły i mroku za jego plecami. Nie zatrzymując się, jeszcze raz obejrzał się za siebie.

W tunelu coś się poruszało. Zza drzew wyłamały się jakieś postacie, z wyglądu ludzkie, lecz tak wiotkie i gibkie, że niemal eteryczne. Dostrzegł twarze – szczupłe i kościste, o oczach przenikliwie spoglądających spod długich, krzaczastych brwi i zwiewnych, przypominających mech włosów.

Ryk rozległ się ponownie. Ben zamrugał oczami. W oparach mgły pojawił się jakiś olbrzymi stwór o tułowiu pokrytym łuskami, skrzydłach opiętych skórą, z olbrzymimi pazurami i kolcami. Ryczał właśnie on.

Ben zatrzymał się i wybałuszył oczy. Efekty specjalne zyskiwały na sile! Potwór wyglądał jak żywy. Ben upuścił torbę, zakrył usta dłońmi i obserwował, jak gigantyczne cielsko wynurza się z mgieł, nabierając trzeciego wymiaru. Było to potworne, ohydne stworzenie o rozmiarach domu, przerażające, jak najgorszy ze snów. Ben jednak był jeszcze przekonany, że może odróżnić rzeczywistość od ułudy. Meeks musi się postarać o coś jeszcze lepszego, jeśli chce, żeby...

Nie zdołał dokończyć tej myśli. Stwór posuwał się wprost na niego i coraz mniej przypominał zjawę. Stawał się zdecydowanie coraz bardziej realny. Ben chwycił torbę i zaczął się wycofywać. Olbrzym ryknął. Teraz nawet jego głos brzmiał całkiem realnie.

Ben z trudnością przelikał ślinę. Zapewne dlatego, że owo stworzenie w istocie było prawdziwe.

W tej sytuacji Ben porzucił chwilowo racjonalizm i rzucił się do ucieczki. Ryczący potwór podążał za nim, niczym senna mara, z której nie sposób się otrząsnąć. Opadł na ziemię i złożony skrzydła, ruszył na czterech nogach. Jego ciało było napięte i parowało, niczym kocioł pełen wrzącej, ogrzewanej przez jakiś wewnętrzny ogień, wody. Ktoś siedział na jego grzbiecie. Była to postać równie mroczna, jak sam potwór, zakuta w czarną zbroję, uzbrojonymi w pazury dłońmi dzierżyła lejce, kierując bestią.

Ben biegł coraz szybciej, dysząc ze zmęczenia i przerażenia.

Był wprawdzie w niezłej kondycji, ale strach szybko pozbawiał go sił. Czuł, że nie umknie ścigającemu go stworzeniu.

Wokół siebie dostrzegał jedynie owe dziwne, to znikające, to pojawiające się twarze. Jakieś bezcielesne postacie poruszały się pomiędzy drzewami i nikły we mgle. Milczący świadkowie pogoni w tunelu. Przez chwilę pomyślał, czy nie zboczyć ze ścieżki i nie wdrzeć się do lasu, pomiędzy drzewa, pośród których krążyły te dziwne postacie. Może ów potwór nie byłby w stanie tam za nim się dostać. Był tak ogromny, że nawet jeśli by skręcił między drzewa, to one przynajmniej spowolniłyby jego bieg. Lecz wtedy Ben mógłby się zgubić we mgle i nigdy nie odnaleźć drogi powrotnej. Nie zboczył.

Goniące go stworzenie znowu zaryczało. Czuł, jak ziemia w tunelu drży, wstrząsana krokami potwora.

– Niech cię lichy, Meeks! – jęknął zrozpaczony.

Czuł, jak medalion ociera się mu o pierś pod dressem. Instynktownie chwycił go dłonią. Przecież dostał ten talizman, by chronił go w czasie podróży do Landover i ewentualnego powrotu. Może medalion będzie w stanie odstraszyć owo stworzenie?

W tym momencie przed Benem wyłonił się z mroku postrzępiony, nieregularny cień. Jeździec. Był zakuty w szczękającą i zgrzytającą zbroję, a w dłoniach dzierżył opuszczoną, gotową do ataku lancę, której czubek niemal dotykał ziemi. I jeździec, i koń byli umorusani i pokryci warstwą kurzu.

Wyglądali równie nieprzyjaźnie, jak owo nadciągające z tyłu z dudnieniem stworzenie. Zbliżający się jeździec uniósł głowę i podniósł lancę. Za nim błysnął nagle jasny promień światła.

Ben biegł coraz szybciej. Tunel się kończył. Musiał się z niego wydostać, musiał uciec.

Ścigające go monstrum wydało ryk, który przeszedł w przerażające syczenie.

– Trzymaj się ode mnie z dala, do cholery! – wrzasnął przerażony Ben.

Wtedy jeździec i koń wynurzyli się niespodziewanie tuż przed nim, oboje gigantycznych rozmiarów i przedziwnie majestatyczni, mimo pokrywającej ich warstwy brudu. Z ust Bena wyrwał się okrzyk zdziwienia. Widział już kiedyś tego rycerza. To przecież on widnieje na medalionie, który wisi teraz na szyi!

Ben poczuł na plecach pałący, cuchnący oddech bestii. Ogarnęło go przerażenie, a w piersiach poczuł niehumaniczny chłód. Na tle błyskającej plamy światła, znaczącej koniec tunelu, rycerz spał konia ostrogami, a twarze istot kryjących się w lesie zawirowały, niczym bezcielesne duchy. Ben krzyknął. Czarne stworzenie i rycerz pędzili naprzeciw siebie z obu jego stron tak, jak gdyby on sam w ogóle przestał się w tym pojedynku liczyć.

Rycerz dotarł do niego jako pierwszy, mijając go w pełnym galopie.

Bena ogarnęła ciemność i wszystko wokół niego zawirowało. Odebrało mu dech i nie był w stanie ponownie go złapać. Leżał twarzą do ziemi, czując na twarzy chłodny dotyk wilgotnej trawy i liści. Powieki miał zaciśnięte i oczekiwał, aż zawrót głowy ustąpi.

Gdy w końcu to się stało, powoli otworzył oczy. Leżał na polanie. Wokół niego wznosił się, pogrążony w oparach mgły, mroczny las. Dochodziły do niego słabe promienie słońca.

Wstał na równe nogi.

I wtedy właśnie dostrzegł smoka.

Zamarł z wyrazem niedowierzania na twarzy. Smok spał o kilkadziesiąt metrów od niego, zwinięty w kłębek, wsparty grzbietem o rząd pni. Był gigantyczny. Pokryty łuską tułów usiany był wzdłuż grzbietu kolcami. Łapy uzbrojone były w pazury. Złożone skrzydła spoczywały wzdłuż tułowia, a pysk leżał pomiędzy przednimi łapami. Z nozdrzy, niczym z gejzerów, buchała para, gdy zwierzę z zadowoleniem prychało przez sen. Wokół rozrzucone były białe kości – prawdopodobnie pozostałość po ostatnim posiłku.

Ben powoli wciągnął powietrze. W pierwszej chwili był pewny, że to właśnie to stworzenie ścigało go w tunelu. Choć...

Nie, ta bestia wyglądała zdecydowanie inaczej.

Przestał się zastanawiać nad szczegółami, jakimi różniły się owe dwa stworzenia, i zaczął martwić tym, jak się stąd szybko wydostać. Pragnął się przekonać, czy to wszystko nie jest tylko jakaś mistyfikacja, lecz nie było czasu, by to teraz analizować.

Ostrożnie zaczął przekradać się pomiędzy drzewami.

Omijając śpiącego smoka, zmierzał w kierunku, z którego dochodziło światło. Torbę miał cały czas na ramieniu. Kurczowo przyciskał ją do boku. Zdawało się, że smok śpi głęboko. Ben wstrzymał oddech i ruszył dalej, starając się jak najostrożniej stawiać stopy. Już niemal zdołał wyjść poza zasięg wzroku zwierzęcia, gdy to niespodzianie otworzyło jedno oko.

Ben znieruchomiał. Smok przyglądał mu się z wyraźną niechęcią. Ben jeszcze przez chwilę stał, po czym zaczął się powoli wycofywać.

Usiana rogami głowa smoka uniosła się, obróciła i opadła na ziemię. Ben cofał się coraz szybciej, dojrzawszy, że las za nim staje się rzadszy, i widząc dochodzące stamtąd jaśniejsze światło. Smok z lekceważeniem napiął wargi, odsłaniając rzędy poczerniałych zębów.

Nagle stworzenie dmuchnęło tak, jak śpiący człowiek mógłby dmuchnąć na natrętą muchę. Cuchnący oddech poderwał i uniósł Bena niczym szmacianą lalką, ciskając nim pomiędzy drzewa. Ben zwinął się w kłębek i zacisnął powieki – Opadłszy na ziemię, przeokołkował kilka razy, potoczył się i zatrzymał.

Gdy otworzył oczy, stwierdził, że leży sam na pokrytej koniczyną łące.

QUESTOR THEWS Promienie słońca sączyły się poprzez niewielkie szczeliny pomiędzy pokrywającymi niebo chmurami, pokrywając łąkę plamkami swego ciepła. Oślepiiony Ben zmarszczył twarz i zamrugał oczami. Pełen oparów las wraz z zaludnionym cieniem tunelem zniknął. Zbrojny rycerz, potwór z jeźdźcem na grzbiecie, a nawet smok, również gdzieś zniknęli.

Ben wyprostował się. Co właściwie, u licha, się stało? Otarł z czoła pot. Czy to wszystko działo się naprawdę?

Oddychał ciężko. Nie, to przecież jasne, że smok i rycerz nie byli prawdziwi! To musiała być jakaś halucynacja!

Rozejrzał się szybko dookoła. Łąka, na której teraz stał, rozciągała się przed nim dywanem stłumionej zieleni, błękitu i różu – mieszanką kolorów, jakiej nigdy w życiu w takim miejscu nie widział.

Białe kwiaty koniczyny nakrapiane były purpurowymi plamkami. Łąka opadała powoli ku rozłożystej dolinie, która wiele mil dalej przechodziła w sięgającą obłoków ścianę gór.

Za jego plecami ział ciemnościami gęsty, pokrywający zbocze las. Ponad wszystkim wisiały kłęby mgły.

Nagle pomyślał, że smok i rycerz, których spotkał w tunelu, kryją się teraz gdzieś w lesie. Gdzież indziej mogliby zniknąć?

A gdzie jest on sam?

Minęła dobra chwila, nim udało mu się zebrać myśli. Nad .

był roztrzęsiony po przygodach, jakie spotkały go w tunelu i zaskoczony tym, że nagle się znalazł na tej dziwnej łące. Wziął kilka głębszych oddechów, by się uspokoić. Cokolwiek stało się

tam, w tunelu, przeżył to cały i zdrow. Był znowu w Blue Ridge, w Wirginii, o jakieś dwadzieścia mil od Waynesboro, a o kilka mil od drogi wiodącej przez Park Narodowy im.

George'a Washingtona.

Może mogłoby tak być, gdyby nie...

Rozejrzał się jeszcze raz dookoła, tym razem uważniej. Coś jednak nie było w porządku. Po pierwsze – pogoda. Było stanowczo zbyt ciepło, jak na listopad w górach stanu Wirginia, pocił się w swym lekkim dresie, co nie powinno się dziać nawet wtedy, gdy przeżywał chwile grozy w tunelu. Było tu o co najmniej trzydzieści stopni cieplej niż w lesie, z którego wszedł do tunelu.

Z koniczyną też było coś nie tak. W końcu nie powinna kwitnąć pod koniec listopada. Szczególnie taka, jak ta -biała, z purpurowymi plamkami. Zwrócił spojrzenie w kierunku lasu. Skąd na drzewach wzięły się te świeżo wyglądające liście? Jeśli w ogóle były jeszcze na drzewach, powinny przynajmniej mieć jesienne barwy. Jedynie sosny i świerki mogły być o tej porze roku zielone.

W pośpiechu poderwał się na jedno kolano. Przeszył go dreszcz paniki i podniecenia. Słońce było nad jego głową dokładnie tam, gdzie być powinno. Lecz dalej na niebie dostrzegł jeszcze dwie jasne tarcze, wiszące tuż nad horyzontem. Jedna z nich była bladobrzoskwiniowa, druga – o kolorze fiołkóworóżowym. Wytrzeszczył oczy. Księżycy? Dwa? Nie, to muszą być planety. Ale od kiedy to planety Układu Słonecznego widoczne są tak wyraźnie gołym okiem?!

Co tu, do diabła, się dzieje?

Powoli usiadł, z trudem zachowując spokój. Wszystko da się logicznie wyjaśnić – myślał podniecony i przerażony zarazem. – Da się wyjaśnić w prosty sposób. Mianowicie jest to dokładnie to, co opisywał anons w katalogu. Jest to Landover! Rozejrzał się po zielonej, usianej koniczyną łące, wiosennie wyglądającym lesie, spojrzawszy raz jeszcze na dwie dziwne tarcze na nieboskłonie i z mądrą miną pokiwał wolno głową.

Nie ma czym się przejmować. To po prostu kolejne efekty specjalne zrealizowane w ukrytej gdzieś w górach Blue Ridge dolinie. Nie miał wprawdzie pojęcia, jak można było tego wszystkiego dokonać – szczególnie w samym środku parku narodowego, lecz natura tych zjawisk nie budziła żadnych jego wątpliwości. Musiał przyznać, że robiło to wrażenie. Temperatura panująca w dolinie była raczej miłym zaskoczeniem.

Dziwne kwiaty, sfery na nieboskłonie – owe planety lub księżycy, a przede wszystkim postacie, które spotkał w tunelu, to było już coś innego. Coś, czego stworzenie wymagało z pewnością dużej wiedzy i wysiłku.

Powstał, powoli odzyskując pewność siebie. Leśne przeżycia nadwyrężyły mocno jego nerwy. Czarne stworzenie i rycerz wyglądali niemal jak prawdziwi. Koń, na którym rycerz galopował, wydał mu się szczególnie realny. Wszak przegalopowując obok niego, zepchnął go ze ścieżki gdzieś w ciemności. W nozdrzach czuł ciągle jeszcze oddech smoka.

Niewiele brakowało, a uwierzyłby...

Znieruchomiał. Jego błędzące po dnie doliny spojrzenie na czymś się zatrzymało.

Był to zamek.

Ben wyteżył wzrok. Znaczną część doliny wypełniała zieleń: połacie pastwisk i pól, porozcinane zakolami rzek. Zamek stał niemal na końcu tej barwnej szachownicy. Początkowo dostrzeżenie czegokolwiek utrudniały mu dziwne, unoszące się nad całą doliną opary. Teraz zaczynał jednak wyławiać z nich coraz to nowe szczegóły. Widział coraz wyraźniej.

Jednym z owych szczegółów był właśnie zamek.

Bena dzieliło od niego co najmniej parę mil. Pograżona w tumanach mgły i cieni budowla mieściła się na wyspie na środku jeziora, przed którym rozciągały się gęste lasy. Była to mroczna i zapewne trudna do zdobycia warownia. Pośród unoszących się wokół niej oparów wyglądała niczym zamek-widmo.

Zmrużył oczy, starając się przyjrzeć budowli dokładnie].

– O, do licha! – wymamrotał.

Czyżby znowu tylko atrapa -jeden z efektów specjalnych?

Myśli Bena zaczęły drażnić niejasne podejrzenia. Znowu poczuł falę mieszającego się podniecenia i przerażenia. A jeśli to wszystko jest prawdziwe?!

W tym momencie za jego plecami zabrzmiał głos. Ben podskoczył.

– Ach, więc tutaj jesteś! Spacerujesz sobie po łące. A powinieneś znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Czy zbczyłeś z drogi? Pozwolę sobie zauważyć, że wyglądasz na nieco zmęczonego. Czy wszystko w porządku?

Ben odwrócił się. Wyglądający jak karykatura piosenkarza pop właściciel głosu stał jakieś trzy metry za nim. Był to wysoki, mierzący z pewnością sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, chudy jak tyczka mężczyzna. Długie, siwe włosy opadały po dużych uszach na ramiona, mieszając się z brodą i brwiami identycznej barwy. Szare, wyglądały jak strój stracha na wróble, szaty przybrane były niezwykle boeato ozdobnymi pasami, kieszeniami i biżuterią. Wyglądało to wszystko niczym kawałki drobno posiekanej tęczy przypięte do chmurnego, burzowego nieba. Za duże buty z miękkiej skóry miały nieco zadarte do góry nosy. Sowa twarz obcego odznaczała się wydatnym, orlim nosem. Zbliżając się do Bena, pomagał sobie sękatą laską.

– Jesteś Ben Holiday? – spytał nieznajomy z nagłym błyskiem podejrzliwości w oczach. Na łańcuchu na jego szyi wisiał ciężki kryształ. Osobnik wcisnął go odruchowo między fałdy szat. – Czy masz medalion?

– Kim jesteś? – spytał Ben, nie bacząc na wygląd nieznajomego, i próbując zepchnąć go do defensywy.

– Ja zapytałem pierwszy. – Uśmiechnął się przyjaźnie. Grzeczność dyktuje, byś ty odpowiedział pierwszy.

– W porządku, jestem Ben Holiday – w głosie Bena pobrzmiwała niecierpliwość. – A kim jesteś ty?

– Muszę zobaczyć medalion. – Uśmiech nieznajomego nieco się poszerzył. – Możesz być przecież kimkolwiek. Nie wystarczy, byś po prostu powiedział, że nim jesteś.

– Ty też możesz być przecież kimkolwiek, prawda? – zapytał Ben w odpowiedzi. – Co daje ci prawo pytania o moją tożsamość?

– Tak się składa, że to mnie wysłano na twoje spotkanie.

Zakładając, rzecz jasna, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

Czy mogę zobaczyć medalion?

Ben zawahał się, po czym wyciągnął medalion spod ubrania i, nie zdejmując go z szyi, pokazał obcemu. Wysoka postać pochyliła się do przodu, spojrzała na medalion i pokiwała głową.

– Tak, jesteś tym, za kogo się podajesz. Przepraszam, że cię tak wypytywałem, ale w tych sprawach zawsze zalecana jest ostrożność. Pozwól, że się przedstawię. – Ukłonił się głęboko. – Questor Thews, nadworny mag, główny doradca tronu Landover, twój posłuszny sługa.

– Mag...-Benpo raz kolejny szybko rozejrzał się wokół. A więc jednak to jest Landover!

– W istocie, panie. Witaj, władco Landover.

– A więc tak...- mrucał Ben, a jego myśli galopowały niczym rumaki. Spojrzał na rozmówcę.

– Ale właściwie gdzie teraz jesteśmy?

Questor wyglądał na zaskoczonego.

– W Landover, panie.

– Ale gdzie leży Landover? Hm... Chciałem zapytać, czy Landover leży w Blue Ridge? Musi być niedaleko od Waynesboro, prawda?

Mag uśmiechnął się.

– Ależ nie! Nie jesteś już w swoim świecie. Myślałem, że już to zrozumiałeś. Landover łączy wiele światów. Można powiedzieć, że to rodzaj bramy. Opary zaczarowanych mgieł odgrywają tę krainę od innych światów. Niektóre z nich leżą dalej, inne bliżej, a inne nie są nawet oddzielone od Landover zasłoną mgły. Już wkrótce dowiesz się tego wszystkiego, panie.

Ben wytrzeszczył oczy.

– Nie jestem w moim świecie? To nie jest Wirginia?!

Questor Thews przecząco pokręcił głową.

– Nie jesteśmy w Stanach Zjednoczonych? Nie jesteśmy na Ziemi?

– Nie, panie. Czy sądziłeś, że baśniowe królestwo, które nabyłeś, będzie leżało w twoim świecie?

Ben nie słuchał. Nie mógł i nie chciał w to uwierzyć.

Questor obrócił się.

– To nie planety, lecz księżycy. Landover ma ich osiem, ale tylko dwa są widoczne za dnia. Pozostałych sześć widać po zmroku przez większą część roku.

Spojrzenie Bena zamarło. Wolno kręcił głową.

– Nie wierzę. Nie wierzę w ani jedno słowo.

– Dlaczego, panie? – Questor Thews spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Bo takie miejsce nie może, do licha, istnieć!

Ależ, panie! Sam wszak zdecydowałeś się tutaj przybyć. Czyż nie? Dlaczego miałbyś się w ogóle wybierać do Landover, nie wierząc w jego istnienie?

Ben nie miał pojęcia. Nie był już wcale pewien, jak to się stało, że tutaj trafił. Pewien był tylko jednego. Tego mianowicie, że nie może pogodzić się z tym, co mówi ów nieznajomy.

Na samą myśl, że Landover leży gdzieś indziej, niż na Ziemi, ogarniała go panika. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że może być gdziekolwiek indziej. Oznaczałoby to, że wszystkie więzy, które łączyły go z jego światem zostały faktycznie zerwane, że wszystko, co znał, rzeczywiście zniknęło.

Znaczyło to, że znalazł się sam w obcym świecie...

– Panie, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, byśmy rozmawiali dalej, idąc? – Mag przerwał jego rozmyślania. – Mamy do pokonania znaczną odległość, a chciałbym byśmy zdążyli przed zmrokiem.

– Tak? Ale dokąd idziemy?

– Do twojego zamku, panie.

– Chwileczkę! Do mojego zamku? Czy masz na myśli zamek, który dostrzegłem tuż przed twoim pojawieniem się.

Ten na wyspie na jeziorze?

– Tak, panie, dokładnie ten. Czy możemy wyruszyć?

Ben z niedowierzaniem i niechęcią kręcił głową.

– Nie, ani kroku. Nie ruszę się stąd, póki nie wyjaśnisz mi dokładnie, co się tutaj dzieje. Co działo się ze mną w lesie?

Czy chcesz mi powiedzieć, że to wszystko wokół istnieje naprawdę? Czy chcesz powiedzieć, że tam, pomiędzy drzewami śpi sobie prawdziwy smok?!

Questor nonszalancko wzruszył ramionami.

– To możliwe. W dolinie żyje smok. Często sypia w oparach mgieł. Mgły były ongiś jego domem.

Ben zmarszczył brwi.

– Jego domem? Hm... A co z tym czarnym, uskrzydłym potworem i dosiadającym go jeźdźcem? To przypominało zjawę z sennego koszmaru!

Mag wznosił lekko swe krzaczaste brwi.

– Czarny, skrzydlaty potwór, mówisz? Coś przypominającego zjawę senną?

– Tak – tak właśnie wyglądał. – Ben przytaknął gorliwie.

– To był Żelazny Mark. – Nieznajomy wydał usta. – Mark jest władcą demonów. Jestem zaskoczony, że ścigał cię tam, we mgle. Sądziłbym raczej... – Przerwał, uśmiechnął się krótko i wzruszył ramionami. – Od czasu do czasu do Landover wdzierają się demony. Miałeś szczęście natknąć się na najgorszego z nich.

– Miałem szczęście się natknąć! – gorączkował się Ben. Przecież on mnie ścigał! Ścigał mnie w tunelu i z pewnością by mnie dopadł, gdyby nie ten rycerz!

– Rycerz? – Tym razem mag wznosił brwi znacznie wyżej. – Jaki rycerz? – zapytał szybko.

– Rycerz z medalionu!

– Widziałeś rycerza z medalionu, Benie Holiday?

Ben zawahał się, zaskoczony zainteresowaniem Questora.

– Dostrzegłem go w lesie po tym, jak ruszyła na mnie ta bestia. Pojawił się przede mną, galopując wprost na potwora.

Znalazłem się pomiędzy nimi. Jego koń zmiotł mnie ze ścieżki. Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że znalazłem się na jakiejś łące.

Questor Thews w zamyśleniu zmarszczył brwi.

– Hm... No, tak. Więc to koń, który zmiotł cię ze ścieżki sprawił, że pojawiłeś się tutaj, a nie tam, gdzie pojawić się miałeś – skończył cichnym głosem. Potem wolno podszedł do Bena i pochylił się, patrząc mu intensywnie w oczy. – Może tylko wyobraziłeś sobie tego rycerza, panie? Może jedynie myślałeś, że go widzisz? Kiedy przemyślisz to jeszcze raz, być może dojdiesz do wniosku, że widziałeś coś zupełnie innego.

Ben zacietrzewił się.

– Gdy przemyśle to jeszcze raz, dojdę do wniosku, że widziałem dokładnie to, co widziałem. – Spokojnie znosił badawcze spojrzenie Questora. – Widziałem rycerza z medalionu.

Nastąpiła dłuższa cisza. Questor odsunął się o krok i zastanawiał się nad czymś, pocierając ucho.

Hm.– -rzekł w końcu.-Hm...-Wyglądał na zdziwionego Co więcej, wyglądał na zadowolonego. Znowu wydał usta i potrząsał ramionami, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę _ Hm... – mruknął po raz trzeci.

Wyraz zdziwienia z jego twarzy zniknął równie szybko, jak się tam pojawił.

– Panie, naprawdę musimy już ruszać – powiedział szybko. – Czas biegnie, a dobrze byłoby, gdybyśmy zdążyli dotrzeć przed zmrokiem. Chodźmy, proszę. Mamy do przejścia znaczną odległość.

Zaczął dosyć pokracznie schodzić w dół: wysoki, nieco przygarbiony i przypominający stracha na wróble. Oniemiały Ben przez chwilę patrzył na niego, a potem, rozejrzawszy się z niepokojem dookoła, niechętnie ruszył za nim.

Z wysoko leżącej łąki zaczęli powoli schodzić w kierunku odległego dna doliny. Rozciągająca się przed nimi dolina przypominała barwny koc sporządzony z łąk, lasów, rzek i jezior, plam bagien i pustkowi. Otaczał ją ścisły łańcuch zalesionych, mrocznych gór, skąpanych w morzach mgły, która spływała w dół doliny, rozciągając nad nią swe cienie.

Myśli w głowie Bena Holidaya biegły gorączkowo. Usiłował jakoś dopasować to, co widział, do swego wyobrażenia o wyglądzie tej części Blue Ridge. Nic z tego! Jego wzrok błądził po zboczach, którymi posuwali się w dół. Rozpoznawał wiele gatunków roślin -jabłonie, wiśnie, brzoskwinie, czy śliwy. Równie liczne były jednak gatunki zupełnie mu nie znane. Trawa przyjmowała tutaj nie tylko odcienie zieleni, ale i purpury, kolorów liliowych i turkusów. Pośród całej tej zbieraniny dziwacznych roślin rozsiane były tu i ówdzie kępy drzew, które nieco przypominałyby wpeł wyrosnięte iglaste dęby. Przypominałyby, gdyby nie to, że od pnia po liście były intensywnie niebieskie.

W ogóle nic tutaj nie przypominało Blue Ridge w Wirginii, ani żadnych innych gór w Stanach, o których słyszał.

Nawet światło dnia było jakieś dziwne. Unosząca się wszędzie mgła sprawiała, że cała dolina była szara i dosyć mroczna. Barwy samej ziemi potęgowały to wrażenie. Wszystko Wyglądało jakoś chłodnawo, choć powietrze było ciepłe, jak w samym środku lata. Promienie słoneczne przebijały się przez płynące po niebie obłoki.

Ben ostrożnie smakował te nowe dla niego widoki, zapachy i wrażenia. Niemal uwierzył, iż to, co mówił o Landover Questor Thews jest prawdą. Niemal wierzył, że Landover to całkiem inny świat.

W cichości ducha przeżuwał tę myśl podczas marszu. Nie musiał czynić żadnych dodatkowych założeń, ani o niczym się przekonywać, bowiem i tak wszystkie połączone siły zdrowego rozsądku i logiki, jakie zmobilizował w swym prawniczym umyśle, mówiły mu, że musi to być jakaś sztuczka.

Zaczarowane krainy istniały wszak tylko w wyobraźni baśniopisarzy. Zdawało mu się, że to, co widzi, jest kawałkiem średniowiecznej Anglii przeniesionym jakimś cudem w góry Blue Ridge, łącznie z zamkami i zakutymi w zbroje rycerzami. Logika i zdrowy rozsądek mówiły, iż istnienie takiego świata leżącego gdzieś poza światem ludzi, ale jakoś z nim połączonego, jest tak mało prawdopodobne, że w zasadzie niemożliwe. I tylko dlatego „w zasadzie”, że teoretycznie możliwe jest przecież wszystko.

Ale przecież był tutaj i widział to wszystko na własne oczy.

Cóż mogło wyjaśniać to wszystko lepiej, niż słowa Questora?

Landover było rzeczywistością dającą się odczuć każdym ze zmysłów. Wyglądało realnie, choć jednocześnie tak różnie od jego świata! Wykraczało to poza wszystko o czym dotychczas słyszał, z legendami o królu Arturze włącznie. To była fantastyczna kraina: mieszanina form, barw i istot, które zadziwiały i zaskakiwały go na każdym kroku. Zadziwiały, ale i przerażały.

Sceptycyzm Bena Holidaya zaczął powoli ustępować. Cóż, jeśli Landover jest rzeczywiście innym światem? Co, jeśli jest dokładnie tym, o czym mówił Meeks?

Ta myśl podniecała go i oszałamiała.

Ukradkiem spojrzął na Questora. Wysoka, siwowłosa i przygarbiona postać maszerowała oficjalnie przy jego boku, dostojnie ciągnąc za sobą po trawie szare, upstrzone barwnymi wstęgami i sakwami szaty. Questor najwyraźniej czuł się tutaj jak w domu.

Spojrzenie Bena wędrowało po zboczach doliny. Świadomie starał się otworzyć kilkoro solidnie dotychczas zamkniętych bram, wiodących do jakichś zapomnianych zakamarków umysłu. Być może logika i zdrowy rozsądek powinny ustąpić na chwilę miejsca instynktowi? W każdym razie parę dyskretnych pytań nie zaszkodzi – zdecydował w końcu.

– Jak to się stało, że mówimy tym samym językiem? zapytał nagle swego przewodnika. – Gdzie nauczyłeś się mówić po angielsku?

– Słucham? – Myślam, mag był najwidoczniej daleko stąd.

– Jeżeli Landover to inny świat, to jak to się stało, że tak dobrze mówisz po angielsku?

Questor pokręcił głową.

– Nie mówię po angielsku. Mówię językiem mojej krainy – a w zasadzie językiem, którego w tej krainie używają ludzie.

Ben zmarszczył brwi.

– Ale teraz, do licha, mówisz po angielsku! Jak inaczej mógłbym cię rozumieć?

– Ach, teraz pojmuję, o co chodzi. – Questor uśmiechnął się. – To nie ja mówię twoim językiem, lecz ty moim, panie.

– Twoim?

– Tak. Pozwala ci na to magiczna moc medalionu, który umożliwił ci wejście do Landover. Dzięki niemu możesz porozumiewać się z wszystkimi mieszkańcami tej krainy w mowie i w piśmie. – Sięgnął dłonią do jednej z przytroczonych do stroju sakw i szybko wyciągnął starą mapę. – Proszę, przeczytaj.

Ben wziął mapę i zaczął dokładnie się jej przyglądać. Nazwy miast, rzek, pasm górskich i jezior zapisane były po angielsku.

– Przecież to angielski! – rzekł, oddając mapę.

Questor pokręcił głową.

– Nie, panie. Mapa opisana jest w języku Landover, języku tej krainy. Jedynie tobie wydaje się, że po angielsku. I teraz mówię do ciebie w języku Landover, lecz wydaje ci się, że to twój język. To wszystko możliwe jest dzięki mocy medalionu.

Ben przez chwilę zastanawiał się, o co teraz powinien jeszcze zapytać w kwestii języka i komunikacji, lecz doszedł do wniosku, że właściwie nie ma już o co. Postanowił zmienić temat.

– Nigdy nie widziałem takich drzew – rzekł do swego przewodnika, wskazując na dziwne, niebieskie dęby.

– To bonnie blues. – Questor zwolnił i zatrzymał się. – O ile wiem, rosną tylko w Landover. Tysiące lat temu zostały stworzone i podarowane mieszkańcom doliny przez czarodziejskie istoty. Powstrzymują mgły i dają życie ziemi.

Ben z wyrazem powątpiewania na twarzy zmarszczył brwi.

– Myślałem, że czynią to deszcze i słońce.

– Deszcze i słońce? Nie, one tylko wspomagają ten proces. Lecz źródłem życia Landover jest moc magiczna, a bonnie blues mają jej w sobie bardzo wiele.

– Moc magiczna? Czy to ta sama moc, która pozwala nam się porozumiewać?

– Ta sama, panie. Czarodziejskie istoty tworząc tę krainę, wypełniły ją magiczną mocą. Teraz żyją tam, we mgłach.

– We mgłach?

– Tak – odparł Questor, wskazując palcem na poruszające się po zalesionych stokach otaczających dolinę tumany mgły. – Tam właśnie żyją czarodziejskie istoty – jeszcze raz spojrzął na Bena. – Czy przechodząc przez las, w drodze z twojego świata widziałeś jakieś twarze we mgle? – Ben przytaknął. – To twarze czarodziejskich istot. Jedynie ścieżka, którą podążałeś, należy zarazem do obydwu naszych światów. Dlatego właśnie się obawiałem, że mogłeś zejść z niej zbyt daleko.

Nastąpiła chwila ciszy.

– A gdyby tak się stało? – spytał w końcu Ben.

Przygarbiona postać otrzepała swe szaty z pouczepianych do nich suchych gałązek.

– Gdybyś zapuścił się zbyt daleko w głąb czarodziejskiego świata, mógłbyś zaginąć na zawsze. – Mag zamilkł na chwilę. – Czy jesteś głodny, panie?

– Słucham? – Pytanie najwyraźniej spłoszyło Bena. Stale myślał o tym, co by się stało, gdyby musiał do końca swoich dni błąkać się po zaczarowanym świecie. Świat, w którym teraz przebywał, wydał mu się nagle całkiem bezpieczny.

_ Jedzenie i picie; zdaje mi się, że już od dłuższego czasu nie jadłeś ani nie piłeś, panie.

Ben zawahał się.

– Rzeczywiście. Nie jadłem nic od rana.

_ Dobrze. Chodźmy więc tędy.

Questor ruszył w dół stoku ku niewielkiej kępie drzew bonnie blues na skraju dębowego zagajnika. Zatrzymał się, czekając na Bena, po czym sięgnął w górę i pociągnął za jedną z gałęzi drzewa. Gałąź złamała się łatwo i bezgłośnie. Mag usiadł, jedną dłonią chwycił za koniec gałęzi, a drugą zerwał z niej liście, które opadły na poły jego szaty.

– Proszę, spróbuj – rzekł, podając Benowi jeden z nich. Ugryź kawałek, panie.

Ben wziął liść, przyjrzał mu się uważnie, ostrożnie odgryzł kawałek i zaczął powoli żuć. Jego twarz zajaśniała zdziwieniem.

– Smakuje jak... jak melon!

Mag z uśmiechem skinął głową.

– Teraz kłacza. Trzyma się w ten sposób – rzekł, trzymając ułamanym końcem ku górze. – Trzeba ssać w miejscu złamania – zademonstrował.

Ben postąpił według wskazówek.

– A niech to! – wyszeptał. – Przecież to smakuje jak mleko!

– To podstawa bytu mieszkańców doliny – wyjaśnił Questor, przeżuwając. – Jeśli nie ma się nic innego, może przetrwać, żywiąc się tylko bonnie blues i wodą. A niektórzy są na to skazani. Kiedyś było inaczej, lecz czasy się zmieniły...

Zamilkł, poruszony. Spojrzał na Bena.

– Bonnie blues rosną dziko w całej dolinie. Ich żywotność jest zadziwiająca -nawet w tych czasach. Popatrz, co się dzieje.

Wskazał na miejsce, w którym przed chwilą odłamał kłacze. Miejsce to już zaczęło się goić.

– Przed świtem będzie tu już rosła nowa gałąź. W ciągu tygodnia powróci do stanu, w jakim ją zastaliśmy. A przynajmniej powinna...

Ben pokiwał w milczeniu głową. Jego uwagę zwróciły dyskretne komentarze Questora: „Czasy się zmieniły... Ich żywotność jest zadziwiająca – nawet w tych czasach... W ciągu tygodnia powróci do stanu, w jakim ją zastaliśmy. A przynajmniej powinna...” Przyjrzał się pozostałym

drzewom bonnie blues. Wyglądały nieco gorzej. Ich liście nie były tak jędrne, a gałęzie traciły gibkość. Coś im przeszkadzało. Coś je niepokoiło.

Jego rozmyślania przerwał Questor.

– Skoro już spróbowaliśmy bonnie blues, to chyba czas na coś konkretniejszego. – Energicznie zatarł dłonie. – Co powiesz, panie, na szynkę i jaja, świeży chleb i kufel piwa?

Ben zwrócił się ku magowi.

– Czy w jednej z tych sakw trzymasz koszyk piknikowy?

– Jaki... ? Ach nie, panie. Po prostu chcę wyczarować dla nas posiłek.

– Wyczarować? – Ben zmarszczył brwi. – Mówisz o użyciu magii?

– Właśnie. W końcu jestem magiem. Pozwól, że spróbuję.

Na sowej twarzy pojawił się wyraz koncentracji i napięcia, krzaczaste brwi zwały się. Ben pochylił się, by lepiej widzieć. Nie jadł nic od śniadania, lecz teraz ciekawość brała górę nad głodem. Czy ten dziwnie wyglądający facet rzeczywiście potrafi czarować?

– Chwila koncentracji... odpowiednie ułożenie palców...

szybki ruch dłoni i... hu!

Nastąpił jasny błysk światła, uniósł się obłok dymu, a na ziemi przed magiem pojawiło się kilka bogato zdobionych poduszek. Ben patrzył z niedowierzaniem.

– Hm, myślę, że powinniśmy mieć na czym siedzieć w czasie jedzenia. – Mag najwyraźniej chciał umniejszyć znaczenie tego, co przed chwilą się stało. – Chyba obróciłem palce zbyt mocno wprawo... Pozwól, że spróbuję jeszcze raz.

Koncentracja, palce, szybki ruch dłoni...

Znowu błysnęło światło, buchnął dym, a na ziemi przed nimi pojawił się kosz jajek i cały upieczony, przybrany wspaniale prosiak z jabłkiem w pysku.

Questor pospiesznie spojrzał na Bena.

– Magia niekiedy płata figle. Trzeba po prostu częściej ćwiczyć. – Wyciągnął przed siebie patykowate ramiona. Teraz patrz uważnie. Koncentracja, palce, ruch i...

Tym razem światło błysnęło jaśniej, znowu uniósł się obłoczek dymu i znikąd pojawił się przed nimi ciężki stół, obładowany żywnością, której wystarczyłoby dla całej armii. Ben podskoczył ze zdziwienia. Faktycznie, Questor Thews potrafił, jak sam stwierdził, czarować, lecz jego kontrola nad magicznymi mocami była chyba nieco ograniczona...

– Niech to lichy! Nie to zamierzałem... to znaczy...

Questor był do głębi wzburzony. Patrzył na stół pełen jedzenia. – Jestem chyba po prostu zmęczony. Spróbuję jeszcze raz...

– Nie kłopot się – przerwał mu szybko Ben. Miał już dosyć czarów, jak na jedno posiedzenie. Mag rozglądał się, zawiedziony. – W zasadzie nie jestem aż tak głodny. Może po prostu ruszamy?

Questor zawahał się, po czym skłonił uprzejmie.

– Jeśli taka jest twoja wola, panie. – Wykonał szybki ruch dłonią, a poduszki, kosz z jajami, świnia i cały stół z nakryciem rozplynęły się w jednej chwili w powietrzu. – Jak widzisz, panie, gdy tylko chcę, panuję nad mocami magii – oznajmił sztywno.

– O, tak.

– Musisz zrozumieć, panie, że magia, którą władam, jest najważniejsza – mówił z naciskiem. – Jeśli masz zamiar zostać królem, będziesz jej potrzebował. Królowie Landover zawsze mieli swych magów.

– Rozumiem.

Questor spojrział na Bena, a ten odwzajemnił jego spojrzenie. Rozumiał przede wszystkim to, że ów niedopieczony czarownik jest w tej chwili jedynym jego towarzyszem w tym obcym świecie, i że za żadne skarby nie chciałby się z nim w tej sytuacji rozstać.

– No dobrze. – Questor zdawał się powoli uspokajać.

Wyglądał na nieco zakłopotanego. – Myślę, że porozmawiamy o tym jeszcze w zamku.

Ben skinął głową.

– Oczywiście.

Szli dalej w milczeniu.

Popołudnie dobiegało końca. Mgły zdawały się gęstnieć.

Światło dnia przygasało i kraina pogrążała się w mroku. Barwy pól i łąk, lasów, oraz porzrzucanych pośród nich jezior i rzek traciły już swą intensywność. W powietrzu było coś, co zdawało się zapowiadać burzę, choć przecież wcale się na nią nie zanosilo. Słońce świeciło nadal, a liści na drzewach nie poruszał nawet najmniejszy podmuch wiatru. Na niebie, wyłoniwszy się z mgieł ponad linię horyzontu, pojawił się kolejny księżyc.

Ben zastanawiał się, w co też się wpakował.

Powoli stawało się jasne, że Landover to nie jest mistyfikacja, której oczekiwał Miles. Postacie nie pochodziły z agencji castingowej, ani z zoo w San Diego. Magia, którą uprawiał Questor nie miała nic wspólnego ze starymi sztuczkami z królikiem w kapeluszu. Była czymś, o czym przeczytać można w popularnych pismach fantastycznych. Na Milesie na pewno zrobiłaby wrażenie ta sztuczka ze stołem zastawionym dwudziestodaniowym obiadem! Czy coś takiego byłoby możliwe w świecie, w którym nie rządziłyby prawdziwe siły magii?

Taka była druga strona medalu. Rzeczywiście, Landover nie leżało w Wirginii, w Stanach Zjednoczonych, czy gdziekolwiek indziej na ziemi. Landover stanowiło całkiem inny, odrębny świat, do którego jakimś sposobem dostał się Ben Holiday.

Do licha! Było to fascynujące i przerażające zarazem.

W końcu przecież tego właśnie chciał. Dokonał zakupu ze świadomością tego, że przeniesie się do świata fantazji, że nabywa tron zaczarowanego królestwa. Nigdy jednak nie wyobrażał sobie, że może się to okazać rzeczywistością. Nie myślał nawet, że wszystko będzie się zgadzało tak dosłownie z tym, co napisano w katalogu i tym, co mówił stary Meeks.

Nagle pomyślał o Annie i zapragnął, by była tutaj z nim.

Z pewnością pomogłaby mu się pogodzić z tą zaskakującą sytuacją. Lecz Annie nie było, a przecież przede wszystkim jej utrata sprawiła, że wybrał się w tę podróż. Uciekał od swoich wspomnień.

Ostrzegawczo pokręcił głową. Musi pamiętać, że przybył tutaj, by zacząć żyć nowym życiem, by pozostawić za sobą to, co przytłaczało go w starym. Przybył, żeby odnaleźć inną, niż znana mu, egzystencję. Sam pragnął zerwania wszystkich dawnych więzów. Chciał zacząć od nowa. Jeśli faktycznie znalazł się w Landover, to uskarżanie się na to, że dostał dokładnie to, czego chciał, nie miało żadnego sensu.

Poza tym, sytuacja, w jakiej się znalazł, przerastała wszystkie wyzwania, którym dane mu było kiedykolwiek stawić czoła.

Przeżuwał te myśli w milczeniu, pozwalając prowadzić się Questorowi. Mag od czasu lunchu nie przejawiał chęci do samorzutnego udzielania mu jakichkolwiek dalszych informacji. Benowi zdało się, że zadawanie dalszych pytań nie jest na razie wskazane. Skoncentrował się więc na tym, co widział. Najpierw obserwował wszystko, co widoczne było ze zbocza doliny, potem to, co dało się dostrzec z jej dna. Stwierdził, że – o ile drogę słońca po niebie uznać można tu za wiarygodny kompas – posuwają się na wschód. Dolinę otaczały góry, a wszystko zalewały kłęby mgły. Kraina jezior i rzek stanowiła południową granicę doliny, nieużytki i pustkowia wschodnią, wzgórze – północną, a wielkie lasy – zachodnią.

Na równinach tu i ówdzie rozsiane były zamki – we mgle zdołał dostrzec ich wieże. Znajdujące się na północy i zachodzie mroczne i bardzo nieprzyjemne zapadliska zdawały się gromadzić w sobie mgły i opary, które burzyły się tam, niczym kipiąca w kotle zupa. Wszystko to zdażył dostrzec, podczas gdy schodzili w dół łąką, na której odnalazł go Questor.

Kiedy dotarli na dno doliny, spotkał pierwszych ludzi. Nie wyglądali zbyt imponująco: po prostu ubodzy rolnicy z rodzinami, myśliwi, drwale, wędrowni handlarze z towarem.

Jedynie jeździec z proporcem heraldycznym prezentował się na ich tle nieco lepiej. Stroje tamtych były ubogie i zniszczone, ich narzędzia i powozy – zużyte i zaniedbane. Domy rolników powstały chyba w lepszych czasach, lecz teraz niewiele pozostało z ich dawnego wyglądu. Wszyscy wyglądali na zmęczonych.

Ben obserwował to wszystko – również ludzi – z pewnej odległości, więc nie był do końca pewien swych spostrzeżeń.

Niemniej jednak nie sądził, by mógł się mylić.

Questor Thews nie rzekł ani słowa.

Było popołudnie, gdy nagle skręcili na północ. Przed nimi rozciągały się por śnięte lasem wzgórze, nad którymi, niczym dym fabrycznych kominów, wisały kłęby mgły. Cicho posuwali się naprzód, szukając drogi wśród gęstwiny gałęzi i listowia. Znajdowali się teraz na północ od krainy jezior i rzek, którą Ben oglądał wcześniej. Jednak pośród drzew zamigotały przed nimi ukryte tam stawy. W wodzie jaśniejszymi plamami odbijało się stłumione światło słoneczne. Nad drzewami przelewały się tumany mgły. Ben rozejrzył się niespokojnie. Dostrzegał pewne podobieństwa pomiędzy tym miejscem i czarodziejskim światem, przez który wiodła ścieżka do Landover.

Wspięli się aż do górnej granicy lasu. Tam Questor zatrzymał Bena.

– Patrz, panie – rzekł i wskazał.

W odległości kilku mil, otoczona wieńcem drzew i mgieł leżała lśniąca słonecznym blaskiem i mieniąca się barwami tęczy polana. Zdawało się, że stoją na niej powiewające na nie docierającym tutaj wietrze chorągwie.

Questor znowu wyciągnął ramię.

– To Serce, panie. Tam zostaniesz ukoronowany kilka dni po rozesłaniu proklamacji głoszącej twe przybycie. Tam koronowani byli wszyscy królowie Landover – wszyscy, od czasu powstania tej krainy.

Stali tak przez chwilę, wpatrując się w tę niewielką jasną plamkę pośród mieszaniny mgieł i cieni. Milczeli.

W końcu Questor odwrócił się do Bena.

– Chodź, panie, zamek jest wprost przed nami.

Ben gorliwie podążył za nim.

STERLING SILVER

Questor Thews i Ben, otoczeni drzewami i oparami mgły, znowu przedzierali się przez las. Cienie na nowo okryły ścieżkę. Dziwne uczucie, które towarzyszyło im, gdy zbliżali się do Serca, zniknęło. Ben wytrwale torował sobie drogę w gęstwinie, dotrzymując kroku kołyszącemu się na długich nogach Questorowi. Nie było to łatwe, gdyż ten, mimo swojego dziwnego sposobu poruszania się, szedł bardzo szybko.

Ben przekładał torbę z ramienia na ramię, czując, jak powoli sztywnieją mu mięśnie. Wolną ręką ocierał z czoła pot i podciągał w górę rękawy dresu. Pot ciekł mu strużką po plecach.

Można by pomyśleć, że po nowego króla przyślą powóz z eskortą, i nie będą go zmuszali do wędrowania piechotą gderał w duchu. Choć przecież możliwe, że w Landover nie używają powozów. Może poruszają się na uskrzydłonych koniach! Może Questor powinien wyczarować dla nich parkę takich rumaków!

Wspominając wysiłki Questora, próbującego wyczarować dla nich posiłek, w zamyśleniu przygryzał dolną wargę. Może jednak lepiej iść pieszo.

Weszli do zagajnika, w którym błękitne świerki rosły tak gęsto, że ich igły tworzyły na ziemi dywan. Pochylali głowy, by chronić się przed drapiącymi i chłostającymi ich po twarzach gałęziami. Po chwili las zaczął rzednąć i przeszedł w łąkę. Przed nimi stał zamek.

Ben Holiday wytrzeszczył oczy. Tak, był to ten sam zamek, który zdołał dostrzec wcześniej. Jednak dopiero teraz mógł przyjrzeć mu się dokładnie. Stał o kilkaset metrów od nich na wyspie na jeziorze. Wody jeziora były stalowoszare, a wyspa – z wyjątkiem niewielkich zarośli – naga. Zbudowany z kamienia, drewna i stali istny labirynt sięgających ku niebu, niczym palce dłoni wież, krużganków, balkonów, pomostów i mostów zwodzonych pozbawiony był jakichkolwiek żywych barw. Nie było proporców, flag, ani sztandarów. Nad wyspą i wodami jeziora kotłował się bezgłośnie tuman mgły.

Drewno i kamień budowli miały ziemisty wygląd, a metal także zdawał się być jakimś sposobem odbarwiony. Choć utrzymany w dobrym stanie, zamek zdawał się być pusta, pozbawioną życia skorupa.

Wszystko to kojarzyło się Benowi z zamkiem Drakuli.

– A więc to jest zamek królów Landover? – zapytał Ben z niedowierzaniem.

– Hm? – Questor znowu zatopiony był w rozmyślaniach Ach, tak, to Sterling Silver.

– Sterling Silver? – Zrzucana z ulgą z ramienia torba Bena głucho uderzyła o ziemię.

– Tak się nazywa.

– Nazwa sugeruje, że powinien lśnić... * Questor wznosił brwi.

– Niegdyś tak było, panie.

– Niegdyś... Kiedyś... Dawno, dawno temu – czy tak? zaczęło w nim rosnać rozczarowanie. – Teraz wygląda raczej na jakieś mroczne lochy.

– To za przyczyną zmatowienia. – Mag założył ramiona na piersi i patrzył przed siebie. – Wygląda tak od dwudziestu lat, panie. Ale to wcale nie tak długo. To przez zmatowienie.

Wcześniej lśnił tak, jak sugeruje jego nazwa. Kamienie były białe, drewno czyste, a metal błyszczący. Nie było przyćmiewających światło słoneczne mgieł. Wyspę zdobiły różnobarwne kwiaty, a woda była błękitna jak kryształ. To było najpiękniejsze miejsce na ziemi.

– Ale co spowodowało te zmiany? – Ben podążył wzrokiem za spojrzeniem maga.

– Zmatowienie. Gdy dwadzieścia lat temu zmarł ostatni król Landover, a na tron nie wstąpił jego następcą, kraina zaczęła tracić barwy. Początkowo działo się to powoli, lecz z czasem przybrało na sile. Ze Sterling Silver zaczęło uchodzić życie. Zmatowienie znaczyło jego upadek. Nic nie pomoże czyszczenie, czy polerowanie kamieni. Zamek umiera, panie. Podąża za swym panem do grobu.

– Mówisz o nim, jak gdyby był żywym stworzeniem.

Questor przytaknął głową.

– Bo jest, panie. Tak samo, jak ty, czy ja.

– I umiera?

– Powoli i w mękach.

– I chcesz, żebym ja tu zamieszkał – w umierającym zamku?

Questor uśmiechnął się.

– Musisz, panie. Tylko ty możesz go uzdrowić. – Chwyił Bena za ramię i popchnął lekko do przodu. – Chodźmy, panie. Jego wnętrza na pewno wydadzą ci się przyjemniejsze.

Tam bije jego serce i da się wyczuć puls jego życia. Nie jest jeszcze tak źle, jak mogłoby się zdawać. Chodźmy. Poczujesz się tam prawie jak w domu. Chodźmy już.

Idąc łąką, dotarli do miejsca, w którym wody jeziora delikatnie uderzały o porośnięty mchami i trawą brzeg. Tam, gdzie wody rozmyły brzeg, tworząc nieruchome zatoczki, gromadziły się

* Sterling Silver - dosł. „pełnowartościowe, czyste srebro" przyp. tłum.

bujne, gęste wodorosty. Kumkały żaby i słyhać było brzęczenie owadów. Jezioro pachniało trochę rybą.

Przy brzegu stała długa łódź o wygiętym ku górze dziobie z wyrzeźbioną głową rycerza i niskich burtach. Nie miała steru. Questor pierwszy wszedł na pokład, sadowiąc się na rufie. Ben zajął miejsce z przodu. Ledwie zasiedli, łódź drgnęła, oderwała się od brzegu i wypłynęła na wody jeziora. Ben rozglądał się zaskoczony. Nie był w stanie ustalić, co sprawia, że łódź się porusza.

– Steruje się nią dotykiem dłoni – rzekł nagle Questor.

– Moich dłoni? – Ben spojrzał na swe ręce.

– Łódź jest żywa, podobnie jak zamek. To nasz prom.

Reaguje na dotyk tych, którym służy. Jesteś teraz najważniejszym z nich. Powiezie cię, dokąd zechcesz.

– Ale dokąd mam chcieć, by mnie zawiozła?

Questor zaśmiał się cicho.

– No, do głównej bramy, panie.

Ben, ściskając dłońmi burty, przekazywał im w milczeniu swe myśli. Łódź przyspieszyła i mknęła teraz lekko po ciemnych wodach jeziora, pozostawiając za sobą spienioną falę.

– Powoli, panie, powoli – hamował go Questor. – Przekazujesz swe myśli zbyt gwałtownie.

Ben rozluźnił uchwyt dłoni na burtach i odprężył się. Łódź zwolniła. Jakże podniecające było wykorzystywanie tych magicznych mocy! Delikatnie powiódł palcami po gładkim drewnie okrężnic. Było ciepłe i pulsowało. Miał wrażenie, że dotyka żywej istoty.

– Questorze – zwrócił się do maga. Uczucie życia tętniącego w łodzi poruszyło go, lecz nie oderwał od niej dłoni. Co miałeś na myśli, mówiąc, że uzdrowię zamek?

Questor wznosił dłoń, by potrząsnąć nią swą sowa twarz.

– Sterling Silver, tak jak całe Landover, potrzebuje króla.

Bez niego zamek podupada. Sama twoja obecność w zamku odnowi jego siły. Gdy uczynisz z niego swój dom, zatętni pełnią życia.

Ben jeszcze raz spojrzał w kierunku zamku-widma z jego mrocznymi wieżami i umocnieniami, pozbawionymi kolorytu kamiennymi murami.

– A co, jeśli nie zechcę tego zrobić?

– Och, myślę, że zechcesz – odrzekł enigmatycznie mag.

Myśl sobie, co chcesz, chciał odpowiedzieć Ben. Nie odezwał się jednak. Jego spojrzenie utkwione było w zbliżającym się zamku, w otaczających go oparach i ciemnościach. Oczekiwał, że w każdej chwili w oknie najwyższej wieży pojawić się może jakiś wampir, a nad nią – krążące czujnie stadko nietoperzy.

Jednak nic takiego się nie pojawiło.

Łódź delikatnie przybiła do brzegu wyspy. Ben i Questor wysiedli. Przed nimi widniała zwieńczona łukiem główna brama z podniesioną kratą: paszcza zapraszająca do swego wnętrza ofiary. Ben z wahaniem przekładał torbę z ręki do ręki. Z bliska zamek wyglądał jeszcze bardziej przerażająco.

– Quesorze, nie jestem pewien...

– Chodź, panie – przerwał mu mag, popychając go delikatnie do przodu. – Stąd nie ujrzysz nic godnego uwagi. Poza tym, czekają na nas.

Ben ciężkim krokiem ruszył naprzód, nerwowo wodząc oczami po umocnieniach i wieżach zamczyska. Kamienne mury były wilgotne, w narożnikach i występach usiane pajęczynami.

– Czekają? Któż taki na nas czeka?

– Ci, którzy pozostali, by służyć tronowi. Twoja służba, panie. Nie wszyscy jeszcze odeszli.

– Nie wszyscy?

Questor nie dosłyszał go lub po prostu zignorował, spiesząc ku bramie. Ben znowu musiał wyczerpać wszystkie siły, by dotrzymać mu kroku. Minęli bramę, po czym przeszli przez wąski dziedziniec, równie mroczny i ponury, jak cała reszta zamku. Jeszcze jedna, tym razem mniejsza brama – i dotarli do niewielkiej komnaty i foyer. Sączące się przez wysokie, gotyckie okna przyćmione światło mieszało się na zewnątrz zmrokiem i oparami. Ben rozejrzał się wokół. Drewniane wsporniki i kolumny były oczyszczone i wypolerowane, kamień oskrobany. Ściany i podłogi pokrywały gobeliny, które zachowały jeszcze nieco ze swych pierwotnych barw. Stało tam nawet trochę wiekowych, ciężko wyglądających mebli.

Gdyby nie pokrywająca wszystko szarzyzna, byłoby to piękne miejsce.

– Widzisz, panie. W środku wszystko wygląda lepiej przekonywał Questor.

Ben pokiwał głową bez entuzjazmu.

– Tak, ładnie.

Przez kolejne drzwi wkroczyli do obszernej komnaty jadalnej z ogromnym stołem i obitymi szkarłatnym jedwabiem krzesłami o wysokich oparciach. Z sufitu zwisały zaśniedziałe srebrne świeczniki. Mimo letniej pogody, w kominku po przeciwnej stronie sali płonął ogień. Ben wkroczył do jej wnętrza za Questorem i zatrzymał się.

Po prawej stronie stołu w równym rzędzie stały trzy postacie. Ich spojrzenia spotkały się.

– Twoja służba, panie – oznajmił Questor.

Służba składała się z psa oraz dwóch małp, a w każdym razie jakichś wielkouchych stworzeń bardzo do małp podobnych. Pies stał wyprostowany na swych tylnych łapach. Miał na sobie bryczesy na szelkach, tunikę ozdobioną znakami heraldycznymi, a na nosie – okulary. Jego szata była złotego koloru. Specjalne klapki, mające zapewne zakrywać uszy, wyglądały na doszyte później. Nastroszona na wszystkie strony sierść sprawiała, że przypominał nieco jeżozwierza. Małpopodobne stwory miały na sobie krótkie spodnie i skórzane, zawieszane na ramionach i krzyżujące się na piersiach pasy.

Jeden z nich był wyższy i miał dłuższe nogi. Drugi był cięższej budowy, a na głowie nosił kucharską czapkę. Obydwa miały uszy słonia Dumbo i chwytny palce u nóg.

Questor zbliżył się do Bena i razem podeszli do psa.

– To Abernathy, nadworny skryba i twój osobisty służący.

Pies skłonił się lekko i spojrzał na Bena sponad okularów.

– Witaj, panie – rzekł.

Zaskoczony Ben cofnął się o krok.

– Questorze, on mówi!

– Równie dobrze, jak ty, panie – sucho odpowiedział pies.

– Abernathy jest miękko włosym wheaten terrierem. Z tej rasy pochodzi wielu myśliwskich championów. – Przerwał Questor. – Jednak nie zawsze był psem. Przedtem był człowiekiem. Psem stał się na skutek nieszczęśliwego wypadku.

– Stałem się psem na skutek twojej głupoty. – Głos Abernathy'ego zaczął przypominać psie warczenie. – I przez twoją głupotę nim zostałem!

Questor wzruszył ramionami.

– Cóż, racja, w pewnym stopniu to moja wina – westchnął, spoglądając na Bena. – Usiłowałem go ukryć i zamieniłem w psa. Niestety, dotąd nie udało mi się znaleźć sposobu, by przywrócić mu dawną postać. Lecz jako pies radzi sobie całkiem nieźle. Prawda, Abernathy?

– Lepiej radziłem sobie jako człowiek.

Questor zmarszczył brwi.

– Hm... to kwestia dyskusyjna.

– Szukasz po prostu jakiegoś usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłeś, Questorze Thews. Gdyby nie to, że zachowałem inteligencję, która, na szczęście, znacznie przewyższa twoją, trafiłbym niechybnie do jakiejś psiej sfery i został na zawsze zapomniany!

– Jesteś taki niemily. – Brwi Questora zmarszczyły się jeszcze bardziej. – Może wolałbyś, żebym zmienił cię w kota!

Abernathy warknął w odpowiedzi, a Questor poczerwieniał ze złości.

– Rozumiem to wszystko, Abernathy, i nie cieszę się z twojego nieszczęścia. Ale nie zapominaj, gdzie jesteś. Stoisz przed królem!

Włochata twarz Abernathy'ego zwróciła się w kierunku Bena.

– Tym gorzej dla niego.

Questor rzucił ku niemu przeszywające spojrzenie i przesunął się do stojących obok stworzeń.

– To koboldy – oznajmił Benowi, który ciągle usiłował pogodzić się z myślą, że jego osobisty sługa jest psem. – Mówią własnym językiem, zupełnie różnym od naszego, ale rozumieją nas wystarczająco dobrze. Miały imiona w swoim języku, lecz dla nas byłyby one niezrozumiałe. Nadałem więc im nowe, a one je przyjęły. Ten wyższy to Bunion, królewski goniec. Grubszy to Parsnip, nadworny kucharz*. – Zbliżył się do małpopodobnych stworzeń. – Powitajcie króla!

Koboldy skłoniły się. Kiedy się wyprostowały, rozdziawiły paszcze w przerażających uśmiechach, błyskając rzędami ostrych zębów. Cicho zasyczały.

– Parsnip to prawdziwy kobołd – rzekł Questor. – Jest czarodziejskim stworzeniem, które wybrało służbę u ludzi, rezygnując z życia łowcy. Jego plemię było jednym z tych, które przywędrowały tutaj z czarodziejskiego świata i pozostały.

* Bumon oznacza bolesny guz na wielkim palcu u nogi, parsnip to pasternak

Bunion jest leśnym stworzeniem. Pochodzi od koboldów, lecz nosi też cechy innych czarodziejskich stworzeń. Podobnie jak one, może poruszać się w zaczarowanych mgłach, lecz nie może w nich zbyt długo pozostać. Potrafi równie szybko jak one dotrzeć do każdego zakątka Landover. Podobnie przywiązany jest do Sterling Silver tak, jak Parsnip, i zawsze tutaj powraca.

– Z przyczyn, o których ludzie i psy mają tylko mętne pojęcie — wtrącił Abernathy.

Bunion uśmiechnął się do niego i zasyczał.

Ben pociągnął Questora na bok. Z widocznym wysiłkiem skrywał swą irytację.

– Co tu się właściwie dzieje?

– Hm? – Questor spojrzał mu w oczy.

– O ile zdołałem wszystko właściwie pojąć, to władca Landover zamieszkuje w mrocznych lochach, a służy mu jakaś dziwaczna menażeria. Czy czekają mnie kolejne tego rodzaju niespodzianki? Jak wygląda moja armia? Czy to może stado krów?

Mag wyglądał na nieco zakłopotanego.

– W zasadzie, panie... nie posiadasz żadnej armii.

– Żadnej armii? A to dlaczego?

– Rozpadła się. Sądzę, że dobre dwanaście lat temu.

– Rozpadła się? W porządku. A co ze służbą zamkową, robotnikami, rzemieślnikami? Kto tu się wszystkim zajmuje?

– My, nasza czwórka. – Questor wykonał niedbały gest w kierunku Abernathy'ego i koboldów.

Ben oniemiał.

– Nic dziwnego, że zamek umiera. Dlaczego, na litość boską, nie weźmiecie nikogo do pomocy?

– Nie mamy pieniędzy, by płacie".

– Co znaczy: nie mamy pieniędzy? Nie macie tutaj królewskiego skarbcza, czy czegoś w tym rodzaju?

– Skarbiec jest pusty. Nie ma w nim złamanego szeląga.

– Czy nie ściągacie żadnych podatków dla tronu? – głos Bena stał się głośniejszy. – Skąd brali pieniądze poprzedni królowie?

– Ściągali podatki. — Questor rzucił wściekle spojrzenie na kiwającego z rozbawieniem głową Abernathy'ego. – Niestety, system podatkowy jakiś czas temu się załamał. Do skarbcza przestały napływać pieniądze.

Ben upuścił torbę i oparł dłonie na biodrach.

– Nie owijajmy w bawełnę. Kupiłem królestwo, któremu brak armii i skarbu, oraz zamek, w którym nie ma – z wyjątkiem czterech osób – służby. Zapłaciłem za to milion dolarów.

– Nie masz chyba racji, oceniając to w ten sposób, Benie Holiday.

– Powiedziałbym, że zależy to od punktu widzenia.

– Musisz być cierpliwy. Nie obejrzałeś jeszcze wszystkiego, co jest do zobaczenia w Landover i nie dowiedziałeś się wszystkiego, o czym wiedzieć powinieneś. Problem służby, podatków i armii

można rozwiązać, jeśli poświęci się temu nieco uwagi. Musisz pamiętać, że od ponad dwudziestu lat panuje tu bezkrólewie. Powinieneś więc oczekiwać, że nie wszystko wyglądać będzie, jak należy.

Ben zaśmiał się posępnie.

– Może będziesz musiał doliczyć jeszcze ten jeden rok. Ale wróćmy do sedna sprawy. Co jeszcze powinienem wiedzieć – Landover? Jakimi jeszcze złymi wieściami zamierzasz mnie uraczyć?

– Myślę, że najgorsze już wiesz, panie. -Questor uśmiechnął się rozbijając. – Będziemy jeszcze mieli czas, by o tym porozmawiać. Ale najpierw winniśmy chyba pomyśleć o kolacji. To była długa podróż, i wiem, że jesteś głodny i zmęczony.

– Nie jestem ani aż tak głodny, ani aż tak zmęczony} uciał Ben. -Chcę wiedzieć, co jeszcze...

– Wszystko w swoim czasie. Musisz, panie, zadbać o swe zdrowie – zaczął Questor, nie bacząc na żądania i protesty Bena. – Parsnip przygotowuje dla nas posiłek – dzięki magii zamku, spiżarnia jest ciągle dobrze zaopatrzona. W tym czasie Abernathy odprowadzi cię do twych komnat, byś mógł się umyć, przebrać i odpocząć. Abernathy, proszę odprowadź jego wysokość do sypialni i zadbaj o to, czego mu będzie potrzeba. Za chwilę wrócę.

Odwrócił się i opuścił komnatę, nim Ben zdążył jakkolwiek zaprotestować. Po chwili zniknęli również Parsnip i Bunion. Ben pozostał sam na sam z Abernathym.

– Panie. – Pies wskazał na spiralne schody, wijące się w górę i znikające gdzieś w ciemnościach.

Ben bez słowa pokiwał głową. Nie zanosilo się na to, by dowiedział się teraz czegokolwiek więcej.

– No, dalej, McDuff*! – westchnął.

Razem zaczęli się wspinać po schodach.

Wkrótce okazało się, że była to nie lada wyprawa. Pokonali dziesiątki stopni nie kończących się schodów i przemierzyli z pół tuzina mrocznych sal, nim dotarli do przeznaczonych dla Bena komnat. Przez większą część tego czasu Ben rozmyślał nad słowami Questora. W istocie, było to niemiłe zaskoczenie. Stał się wprawdzie królem, lecz królem pozbawionym wszelkich dóbr prócz owego mrocznego zamku Drakuli. Gdy dotarli na miejsce, stwierdził, że powinien jednak zwrócić baczniejszą uwagę na to, którędy tu doszedł. Choćby po to, by móc wrócić tą drogą bez pomocy. W jego pamięci majaczyły tylko niejasne obrazy kamiennych podłóg, drewnianych stropów, dębowych drzwi ze stalowymi okuciami, gobelinów i zawieszonych na nich broni, stłumionych barw, dotkniętych owym tajemniczym zmatowieniem. Nie był w stanie odtworzyć drogi, którą przebyli.

– Oto twoja łazienka, panie – oznajmił Abernathy, zatrzymując się przed ciężkimi, rzeźbionymi drewnianymi drzwiami.

* Prawdopodobnie chodzi o George'a McDuffie, amerykańskiego polityka (1790-1851) znanego z walki o silniejszy system podatkowy i władzę państwową.

Ben zajął do środka. Stała tam żeliwna wanna o wyposażonych w pazury łapach i ozdobnych brzegach. Wypełniała ją parująca woda. Była też taca z mydłem, stosik lnianych ręczników, ubranie na zmianę, oraz para ustawionych na stołku butów.

Kąpiel wyglądała zachęcająco.

– Jak to się stało, że woda przez ten cały czas pozostawała ciepła? – zapytał, zastanowiwszy się nad unoszącą się parą.

– Zamek, panie, nadal posiada część swej magicznej mocy – Gorąca woda i żywność to wszystko, na co go teraz stać. – Urwał Abernathy i zaczął się wycofywać.

– Poczekaj! – zawołał nagle Ben. Pies stanął. – Eee... Chciałbym cię przeprosić za to, jak się wobec ciebie zachowałem.

Zaskoczyło mnie to, że mówisz. Nie chciałem być niegrzeczny.

– Przywykłem do tego, panie – odrzekł Abernathy, a Ben nie bardzo wiedział, czy ma on na myśli zaskoczenie, czy też nieuprzejmość. Pies spojrzał na niego spod oparówek. W każdym razie, choć znany jestem w całym Landover jako szczególne kuriozum, nie sądzę, bym był najdziwniejszą rzeczą, na jaką się tutaj natkniesz.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że musisz się wiele nauczyć, a będą to z pewnością lekcje zaskakujące.

Uklonił się służbiście i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Ben zmarszczył czoło. Pomyślał, że ostatnie słowa Abernathy'ego zabrzmiały niemal jak ostrzeżenie. Zabrzmiały tak, jak gdyby Abernathy uważał, że najgorsze ma dopiero nastąpić.

Otrząsnął się z tych nieprzyjemnych przeczuć, zrzucił ubrania i z rozkoszą zanurzył się w ciepłej wodzie. Stwierdził ze zdziwieniem, że teraz jego myśli zaczynały krążyć wokół problemów całkiem innych, niż zaraz po przybyciu do Landover. Wtedy usiłował przede wszystkim stwierdzić, czy to, co widzi i czuje, jest prawdziwe, czy też jest po prostu serią zmyślnie zrealizowanych efektów specjalnych. Teraz zastanawiał się nad tym, czy w ogóle powinien się tutaj znaleźć. Rewelacje Questora dotyczące stanu królestwa były co najmniej rozczarowujące. Zapłacił milion dolarów za tron królestwa pozbawionego armii, najemników, służby, skarbu, systemu podatkowego. Doszedł do wniosku, że łatwiej mu było przyjąć do wiadomości, że Landover jest odmiennym, obcym światem, światem w którym rzeczywiście działają magiczne moce, niż pogodzić się z tym, że nabył tron, którego objęcie nie daje mu praktycznie żadnej władzy.

Spróbuj ocenić sytuację bardziej bezstronnie – skarcił się.

Zapłaciłeś za tron, ale i za krainę. A ta wyglądała dokładnie tak, jak przedstawiał to katalog Rosen's. Co więcej, trudno było nie domyśleć się, że po dwudziestu latach bezkrólewia monarchia nie podupadnie. Czy w takiej sytuacji mogłeś oczekiwać funkcjonującego systemu podatkowego, sprawnej armii, służby i pełnego skarbcza? Jasne, że to wszystko musiało szybko wymknąć się spod kontroli. I równie logiczne było to, że doprowadzenie tego wszystkiego do normalnego stanu będzie wymagało pewnego nakładu pracy.

A więc czym właściwie się martwił? Gdy zastanowił się nad tym, czego początkowo oczekiwał, Landover okazywało się przerastać jego wszelkie wyobrażenia!

Lecz zawołane ostrzeżenie Abernathy'ego i jego własne wątpliwości dręczyły go mimo wszystko. Nie potrafił przestać o tym rozmyślać. Umył się, wyszedł z wanny i wytarł do sucha. Woda miała przez cały czas kąpiel jednakową temperaturę. Łazienka wyglądała całkiem przyjemnie. Ciepła była nawet kamienna posadzka pod jego bosymi stopami. W powietrzu dało się wyczuć jakąś dziwną wibrację – jak gdyby zamek oddychał...

Przerwał swe posępne rozmyślenia, niechętny na wyciąganie jakichkolwiek dalszych wniosków, i zaczął się ubierać. Założył rajstopy, swobodną, zapinaną na kołeczki bieliznę, parę zielonych bryczesów z zapięciami i paskiem, oraz luźną kremową tunikę, zapinaną na metalowe haczyki. Cały ten strój wydał mu się dosyć dziwny. Nie było tu guzików, zamków błyskawicznych, rzepów i elastycznych ściągaczy, do których tak przywykł. Jednak wszystko było we właściwym rozmiarze, a przede wszystkim wygodne.

Zastanawiając się nad tym, co się stało z Abernathy'm, kończył ubieranie wysokich, wykonanych z miękkiej skóry butów, gdy drzwi rozwarły się i ukazał się w nich Questor.

– Wyglądasz znacznie lepiej, panie. Zdażyłeś wypocząć? Mag uśmiechnął się, zdaniem Bena, zbyt szeroko. – Czy kąpiel była przyjemna?

– Tak, dosyć. – Ben odwzajemnił uśmiech – Questorze, dlaczego nie skończymy z tym motaniem i nie...

– Z tym...?

– Motaniem – zawahał się Ben, szukając lepszych słów. Zasłoną dymną.

– Zasłoną dymną?

– Całym tym cholernym dworskim rytuałem! Chcę po prostu wiedzieć, w co się wplątałem.

Questor rzucił ku niemu przenikliwe spojrzenie.

– Ach, rozumiem. A co będzie, jeśli pokażę ci to z wszelkimi szczegółami?

Ben natychmiast potakująco pokiwał głową.

– Byłoby wręcz wspaniałe.

– W porządku. – Mag zwrócił się ku drzwiom. — Chodźmy, panie.

Opuścili łazienkę i powrócili na korytarze. Questor zawiódł Bena daleko w głąb zamku, aż do ciężkich, ozdobnych drzwi, za którymi kryły się kręcone schody. Bez słowa weszli na górę.

Tam stanęli przed kolejnymi drzwiami. Questor położył dłoń Bena na wyrzeźbionych potężnych, dębowych, okutych żelazem drzwiach, wizerunku rycerza i zamku, identycznym, jak na medalionie. Drzwi otworzyły się bezgłośnie.

Znaleźli się w niewielkim, okrągłym pomieszczeniu, tylko częściowo otoczonym murem. Z jednej strony było ono otwarte od podłogi aż po strop. Widać było kłębiące się wokół zamku w ciemnościach nocy mgły. W miejscu, gdzie nie było muru, na wysokości bioder zainstalowano srebrną poręcz, a na jej środku umieszczono srebrny pulpit. Ben obrzucił to wszystko jednym spojrzeniem, po czym się odwrócił do Questora. Komnata wyglądała niczym mównica przygotowana do publicznych wystąpień króla. Tylko do kogóż przemówienia owe miałyby być kierowane tu, wśród obłoków?

– To krainogład – rzekł Questor. – Stań, proszę, przy poręczy.

Ben postąpił według wskazówki. Poręcz i podstawka były również dotknięte zmatowieniem, lecz pod warstwą patyny Ben dostrzegł tysiące małych znaczków, które musiał wyryć jakiś nieprawdopodobnie cierpliwy rzemieślnik. Questor zaczął przeszukiwać swe wyjątkowo liczne kieszenie i sakwy.

W końcu wydobył z jednej z nich tę sarną, sfatygowaną mapę, którą pokazywał już Benowi w czasie ich wspólnej wędrówki, wyjaśniając mu, dlaczego mówi w języku Landover.

Ostrożnie rozwinął mapę rozwinął mapę i z namaszczeniem umieścił ją na pulpicie.

– Chwyć dłońmi za poręcz, panie – powiedział.

Ben chwycił. Questor również położył swe ręce na poręczu. Stali tak przez chwilę, wpatrując się w otaczające ich mgły.

Niemal już zmierchało.

Nagle metal zaczął wibrować drżeniem podobnym do tego, jakiego Ben doświadczył w czasie kąpieli. Po obręczy rozlała się fala ciepła.

– Trzymaj się mocno poręczu, panie! – ostrzegł nagle Questor. – Spójrz na mapę i wybierz miejsce, które chciałbyś zobaczyć. Krainogład ci je ukaże.

Ben spojrzał na niego z powątpiewaniem, po czym skierował wzrok na mapę. Na pergaminie odmalowana była barwnym atramentem cała dolina: lasy, rzeki, jeziora, góry, równiny, doliny, pustynie, miasta, wydzielone terytoria i zamki wszystko bardzo szczegółowo opisane. Barwy były jednak wyblakłe, a pergamin wytarty. Ben zmrużył oczy. Jego wzrok spoczął najpierw na Sterling Silver, a potem przeniósł się w kierunku mrocznych i nieprzyjemnych zapadlisk, które widział, gdy byli w górach. Nazwa owych zapadlisk była zamazana i nieczytelna.

– Tutaj – wskazał, pochylając głowę. – Te zapadliska na północy. Pokaż mi je.

– Wielka Otchłań – rzekł cicho Questor. – W porządku.

Mocno trzymaj się poręczu, panie. Weź głęboki oddech i skoncentruj się na mapie.

Ben zacisnął dłonie na poręczu. Utkwił spojrzenie w miejscu, w którym na mapie widniały owe mroczne zapadliska. Otaczające Sterling Silver mgły przepływały w posępnych smugach. Nadchodząca noc okrywała krainę płaszczem ciemności. Czas zdawał się stać w miejscu. Ben ciekawie spojrzał na Questora.

– Skoncentruj się na mapie, panie.

Ben znowu skupił wzrok na mapie.

Nagle odniósł wrażenie, że cały zamek ginie gdzieś pod nim, że jego wieże, mury i umocnienia rozplywają się w powietrzu. Mgły rozwiały się i Ben dojrzał wreszcie czyste niebo. Unosił się w przestworzach, mając za jedyne oparcie srebrną poręcz. Przerażony, szeroko otworzył oczy i spojrzał w dół – Mknął ponad doliną, poprzez mrok i światło księżyca.

– Questorze! – wrzasnął z trwogą, kurczowo trzymając się poręczu.

– Nie lękaj się panie – rzekł. Jego głos był spokojny. Brzmiał tak normalnie, jak gdyby nadal stali razem w wieży. – To tylko magia – ciągnął. – Nic ci się nie stanie, jeśli mocno się trzymasz poręczu.

Ben trzymał się tak mocno, że zbieleły mu palce. Choć czuł, że się porusza, nie słyszał szumu wiatru. Wiatr nie poruszał też pergaminową mapą. Wstrzymując oddech, obserwował przesuwający się paręset metrów pod nim krajobraz: mroczne lasy, wznoszące się i opadające góry i błyszczące tafle jezior.

Na niebie widoczne były teraz wszystkie księżycy Landover:

brzoskwiniowy, ciemnopurpurowy, zielonkawy, w kolorze akwamaryny, morskozielony, fiołkoworóżowy, turkusowy, i największy z nich wszystkich lśnił biało. Przedstawiało to sobą najniezwyklejszy widok, jaki kiedykolwiek dane było Benowi obserwować – coś w rodzaju zatrzymanego nagle w czasie widowiska w rodzaju tych, jakie odbywają się z okazji rocznicy podpisania Deklaracji Niepodległości.

Wreszcie zdołał nieco się rozluźnić i z większym spokojem obserwował to, co się działo z nim i wokół niego. Przypominało mu to lot balonem napędzanym gorącym powietrzem.

Łagodnym łukiem wyminął góry, przelatując nad mgłami czarodziejskiego świata.

– To właśnie tutaj rodzi się magiczna moc Landover, panie – powiedział nagle Questor. – To czarodziejski świat, miejsce leżące poza czasem i przestrzenią, jest źródłem tej mocy.

Graniczy on z wszystkimi światami i z wszystkimi ma połączenia. Przez niego przebiegają ścieżki, łączące ze sobą wszystkie światy. Zwane są przesmykami czasu. Jedną z tych ścieżek przybyłeś do Landover.

– Chcesz powiedzieć, że zaczarowany świat leży pomiędzy moim światem i Landover? – spytał Ben, zaskoczony tym, że krzyczy, by Questor go dosłyszał. Było to przecież całkiem zbędne.

w — Niezupełnie. – Questor pokręcił głową. – Zaczarowany świat jest efemerycznym miejscem niebytu, panie. Jest, a jednocześnie go nie ma. Jest wszędzie i nie ma go nigdzie.

Gdyby był określony i ograniczony, nie mógłby być źródłem wszechrzeczy. Rozumiesz?

– Ani słowa. – Uśmiechnął się Ben.

— W takim razie wyobraź to sobie następująco: Landover leży najbliżej zaczarowanego świata. Jest w pewnym sensie jego dzieckiem chrzestnym.

Obserwując umykające wstęgi mgły, Ben pomyślał, że to dziwne porównanie. Zbliżając się do Wielkiej Czułości, zaczęli powoli zniżać lot. Zapadlisko znajdowało się teraz wprost przed nimi. Otaczały je zdziczałe knieje, które porastały zbocza gór, tworzących północno-zachodnią granicę doliny. Ponurego i niedostępnego lasu nie było w stanie spenetrować nawet światło słońca. Wszystko spowijał mrok, a otaczające zapadlisko czarodziejskie mgły zdawały się do niego powoli spływać.

– Tam mieszka wiedźma imieniem Nocny Cień – odezwał się znów Questor. – Mówią, że przybyła tu z zaczarowanego świata w czasach tak odległych, że pamięta je tylko ona sama.

Mówi się też, że przybyła do świata istot śmiertelnych, by znaleźć sobie kochankę, i że zrobiwszy to, nie mogła już nigdy powrócić.

Ben spojrział w otwierającą się pod nimi czeluść. Wyglądała jak dziura wiodącą wprost do piekła.

Jeszcze raz poszybowali ponad doliną. Ben szukał na niebie nowych miejsc i nazw. Pędzili od horyzontu po horyzont.

Odnalazł krainę rządzoną przez Władcę Rzek, jeszcze jedną istotę przybyłą z czarodziejskiej krainy, która przybrała ludzką powierzchowność. Jego domem stały się rzeki i jeziora, którymi gęsto poprzecinana była południowa część doliny. Rządził zamieszkującym te okolice ludem wodników i nimf. Ben zbadał również górzyste okolice leżące na północ od Wielkiej Czeluści, w których roiło się od wszelkiej maści plemion gnomów, troli i koboldów. Zajmowały się one górnictwem, uprawą roli, łowami. Niektóre parały się handlem, inne tworzyły watahy złodziei i rzeźmieszków. Były więc wśród nich stworzenia pracowite i uczciwe, ale także zwodnicze i leniwe, niektóre przyjazne, inne nastawione do obcych zdecydowanie wrogo. Questor starał się wszystko objaśniać. Lordowie Greensward zawładnęli całą centralną częścią doliny. Ich majątki obejmowały olbrzymie połacie ziemi i wielkie stada zwierząt.

Wszystko to pozostawało w rękach kilku rodzin feudalnych baronów. Pracowali na nich poddani im pańszczyźniani chłopci.

– Niewolnicy? – przerwał ostro oburzony Ben.

– Poddani – rzekł Questor z naciskiem. – Ludzie wolnej woli, którzy jednak posiadają tylko to, co dadzą im władcy tej ziemi.

A więc niewolnicy – pomyślał Ben. – Cóż za różnica, jeśli nazwiemy to inaczej...

Głos Questora brzmiał nadal, lecz Ben stracił wątek dalszej części opowieści, pochłonięty czymś, co właśnie dostrzegł.

W pierwszej chwili sądził, że to tylko jakaś dziwna ciemna plamka na tle tarczy jednego z księżyków Landover. Potem zauważył jednak, że plamka ta się porusza.

Posuwała się z południa prosto w ich kierunku.

Olbrzymi, uskrzydłony cień znajdował się gdzieś na linii horyzontu. Początkowo bezkształtny, w miarę przybliżania się nabierał wyraźnych zarysów. Pokryte skórą skrzydła falowały, prostowały i zginały, niczym łamiąca się konstrukcja wielkiego latawca, a obłe, podłużne, pokryte łuskami i kolcami ciało falowało w rytmie ich ruchów. Olbrzymie, uzbrojone w pazury, łapy były podkurczone, a węzowa szyja wyciągnięta do przodu. Przedstawiało to sobą widok tak niesamowity, że Ben mimo woli cofnął się nieco.

Był to smok.

– Questorze! – wyksztusił Ben z niedowierzaniem.

Mag odwrócił się i wzniosł oczy ku potężnej bestii.

– Strabo – wyszeptał w odpowiedzi głosem, w którym pobrzmiwała nuta podziwu, a może szacunku.

Zatrzymali się i zawiśli w powietrzu. Smok przeleciał tak blisko, iż zdawało się, że zaraz się o nich otrze. Byli niewidzialni, więc nie mogli ich dojrzeć. Benowi zdało się jednak, że potwór wyczuł ich obecność. Gdy przelatywał obok, zwrócił ku nim głowę. Rozglądając się swymi przekrwionymi ślepiami, zatrzymał na nich spojrzenie i otworzył szeroko wielką, uzbrojoną w rzędy zębów, paszczę. Ciszę nocy rozdarł przerażający, wolno wybrzmiewający syk.

Smok nie zwolnił ani nie zmienił kursu. Oddalał się na północny wschód, póki znowu nie zaczął przypominać czarnej plamki. Patrzyli za nim, aż całkiem zniknął im z oczu.

– Mój Boże! – zdołał w końcu wydusić szeptem Ben. Jego apetyt na przygody został tym razem zaspokojony z nadmiarem. Patrzył wystraszonego wzrokiem w dół, wisząc cały czas nieruchomo w powietrzu. – Mam już dość, Questorze. Zabierz mnie stąd, do licha!

– Mapa, panie – spokojnie powiedział mag. – Skup swe spojrzenie na mapie i odszukaj Sterling Silver.

Ben uczynił to w jednej chwili, niemal szaleńczo pragnąc znowu postawić swe stopy na solidnej, kamiennej posadzce.

Odnalazł symbol oznaczający Sterling Silver i skupił na nim myśli. Momentalnie znaleźli się z powrotem w wieży. Stali przed otworem w ścianie i wpatrywali się we mgły.

Ben puścił poręcz, jak gdyby paliła go żywym ogniem, i szybko się cofnął o krok.

– Ta bestia... to był smok, na którego się natknąłem w lesie! – wysapał.

– Tak, panie – zgodził się Questor, również odstępując od poręczy. Swoją twarz była zamysłona. – Ma na imię Strabo.

Żyje na wschodzie, na pustkowiach, wśród pustyń, moczarów i skarłowaciałej roślinności. Żyje sam. Jest ostatnim przedstawicielem swego gatunku.

Ben założył ręce na piersi, odczuwając nagle falę chłodu.

– Był od nas na wyciągnięcie ręki.

– Tylko tak wyglądało – rzekł Questor z sardonicznym uśmiechem. – To za przyczyną czarów. W rzeczywistości ani na chwilę nie opuściliśmy tej wieży.

– Ani na chwilę?

– Możesz spróbować tego sam. Krainogład jest do twojej dyspozycji, panie. Sam przekonasz się, jak działa.

– Dziękuję, na razie sobie chyba podaruję.

– A więc dowiedziałeś się o Landover dosyć, jak na jeden wieczór? Może teraz zjedlibyśmy kolację?

Bert powoli odzyskiwał rezon.

– Czemu nie, kolacja to niezły pomysł. – Odetchnął głęboko. – Czy czekają mnie dalsze niespodzianki? Jeśli tak, to chcę wiedzieć o tym teraz, a nie po fakcie.

Mag ruszył ku drzwiom wyjściowym.

– Nie, panie. W czasie kolacji nie powinno być żadnych niespodzianek. Myślę, że będzie miło. Chodźmy.

Zaczęli wędrówkę, która znowu wiodła schodami, poprzez długie korytarze i obszerne sale. W końcu dotarli do jadalni.

W głowie Bena ciągle kłębiły się nowe pytania. Był jednak głodny i zmęczony, a z poznaniem odpowiedzi mógł jeszcze poczekać. Pozwolił odprowadzić się do swego krzesła i usiadł.

Żołądek powoli się uspokajał, uczucie chłodu ustępowało.

Wyszedł przecież z tego cało. Jeśli więc to miało być najgorszym, co może go tutaj spotkać...

– Może trochę wina, panie? – z zamyślenia wyrwał go głos Questora. Zapadała noc i w zamku robiło się coraz ciemniej.

Mag wzniosł rękę i wykonał nią jakiś gest. Lampiony w całej sali zapłonęły żywym, złotawym światłem. Nie był to jednak płomień, lecz rodzaj poświaty. Źródło jej mocy pozostawało dla Bena zagadką. – Jeszcze odrobina magii.

Ben uśmiechnął się.

– Chciałeś wina, panie? – spytał jeszcze raz Questor.

– Tak, i zostaw mi butelkę.

Questor wykonał odpowiedni ruch i w jego dłoniach ukazała się butelka. Podeszedł do stołu i zasiadł po prawicy Bena.

Pojawili się też Abernathy i Bunion, którzy zasiedli po lewej stronie. Parsnip z pewnością dołączy do nich, gdy tylko zakończy przygotowywanie posiłku. Wyglądali teraz jak jedna, wielka, szczęśliwa rodzinka.

Ben spojrzał w oczy maga.

– Powtarzam jeszcze raz: żadnych niespodzianek, Questorze. Chcę wiedzieć wszystko. Chcę wiedzieć, kim jest Meeks. Chcę wiedzieć kto i dlaczego sprzedał Landover. Chcę wiedzieć o tym wszystko.

Abernathy położył łapy na stole i spojrzał na Bena sponad oprawek.

– Na twoim miejscu, panie, napiłbym się najpierw wina.

Włochata twarz porozumiewawczo zwróciła się ku siedzącemu obok Bunionowi. Kobold zasyczał, pokazując w uśmiechu wszystkie zęby.

Ben sięgnął po kielich.

Nim pojawił się Parsnip z obiadem, Ben zdążył opróżnić już większą część butelki. Kobold wniósł potrawę przyrządzoną z wołowiny i warzyw, świeżo upieczony chleb, sery i paszteciki. Jeśli nawet nie wszystko jest, jak należy, to z pewnością nie przymierają tutaj głodem – pomyślał.

Zjadł misę owej potrawy, zagryzając kawałkami chleba i sera, i popijając kilkoma kielichami wina. Myślał o Annie, Milesie i o wszystkim, co pozostawił w starym świecie. Questor i Abernathy sprzeczali się o wszystko, poczynawszy od kwestii dietetycznych, a skończywszy na roli magii w utrzymywaniu dobrego zdrowia. Koboldy szczerzyły zęby i pochłaniały wszystko, co znalazło się w zasięgu ich wzroku. Gdy przyszedł czas na drugie danie, Questor stwierdził, że jest już zbyt chłodne i zasugerował, by je podgrzano. Parsnip zasyczał, więc Abernathy stwierdził, że lepsze będzie na zimno.

Questor, rzecz jasna, z tym się nie zgodził. Sprzeczka znalazła swój kres, gdy Questor zdecydował się użyć magii, by podgrzać jedzenie. Gdy to uczynił, garnek, w którym się znajdowało, eksplodował, rozsiewając po całym stole płomień ognia. Biesiadnicy, krzycząc, sycząc i szczekając jeden przez drugiego, odskoczyli od stołu. Wtedy Questor znów użył czarów. Tym razem skutkiem był padający w komnacie przez cały kwadrans deszcz.

Tego było już zbyt wiele dla Bena. Przemokniętego, osmalonego, na chwiejnych nogach i z butelką w rękę, Abernathy odprowadził go do królewskich sypialni. Jutro – pomyślał, układając się w łóżu – będzie lepszy dzień.

KORONACJA

Następny dzień mógł być w istocie lepszy, lecz Benowi Holiday nigdy nie było dane się o tym przekonać.

Spał i śnił sny, w których rzeczywistość mieszała się z fantazją. Śnił o Annie. O tym, że odnalazł ją znowu żywą. Na radości wywołanej jej bliskością kładła się jednak ponurym cieniem świadomość, że nie potrafiłby jeszcze raz znieść jej utraty. Śnił o cynicznym i rubasznym Milesie, który w czasie podróży przez Chicago (gdzie na każdym rogu ulicy rosły bonnie blues) powtarzał mu ciągle swoje „a nie mówiłem”.

Śnili mu się prawnicy i sale sądowe, z posykanymi koboldami na ławach przysięgłych i z przypominającymi psy sędziami. Śnił o drapaczach chmur i betonowych autostradach, nad którymi przelatywał ryczący, czarny jak noc smok. Śnił o demonach i rycerzach, o twarzach widzianych przez niego we mgle, o zamkach lśniących niczym słońce.

Śnił, coraz bardziej oddalając się od rzeczywistego świata.

Gdy się zbudził, świtało. Komnata sypialna była ogromnym pomieszczeniem, wyłożonym wypolerowanym dębowym drewnem i zastawionym kamiennymi rzeźbami. Ściany pokrywały arras i jedwabne kotary. Leżał w wielkim, przypominającym sarkofag i zaopatrzonym w baldachim łóżu, które z pewnością dobrze mogłoby służyć jako prom. Porę dnia zdołał ustalić dzięki promieniom światła, wpadającym przez wysokie, zwieńczone łukami okna, choć światło to było szarawe i rozproszone, niczym pozbawiona mlecznej barwy mgła. W komnacie sypialnej i sąsiadujących z nią pomieszczeniach panowała cisza. Zamek zdawał się być muszlą z kamienia.

Było tu jednak ciepło. Sterling Silver nie wyglądało ani przytulnie, ani imponująco. Brakowało mu owej powierzchniowej atrakcyjności, którą mogły się pochwalić nawet najbardziej spartańskie budynki w Chicago – awangardowe wysokościowce z chromu i stali. Jednak Ben czuł się tu jak w domu.

Podłogi, po których stapał bosy, i ściany, po których wodził dłońmi, były ciepłe. Mimo mgieł i pokrywającej wszystko szarości, ciepłe było i powietrze. Cyrkułowalo korytarzami, niczym płynąca w żyłach krew. Questor Thews miał rację. Zamek był żywą istotą.

Dobrze było obudzić się w jego wnętrzu. Dawało ono poczucie bezpieczeństwa i wygody – coś, co człowiek powinien odczuwać, budząc się we własnym domu.

Ben przeciągnął się i spojrział na nocny stolik, na którym postawił swą torbę. Zaskoczony stwierdził, że na krześle z wysokim oparciem siedzi i wpatruje się w niego Questor Thews.

– Witaj, Benie Holiday – pozdrowił go mag.

– Dzień dobry – odrzekł Ben. Dobrze samopoczucie zniknęło w momencie, w którym przypomniał sobie ponure wieści, jakimi uraczył go Questor wczorajszego wieczora: był królem pozbawionym służby, armii i skarbcza.

– Mam nadzieję, że dobrze wypocząłeś? – spytał Questor.

– Nieźle, dziękuję – odrzekł Ben.

– To wspaniale. Przed tobą ciężki dzień.

– Czyżby?

– Tak, panie. – Questor promieniał. – Dzisiaj twoja koronata. Będziesz ukoronowany na króla Landover.

Ben zamrugnął oczami.

– Dzisiaj? – Zamrugnął znowu. Poczł nagle skurcz żołądka. – Chwileczkę. Co to ma znaczyć? Mówisz, że dzisiaj jest koronacja? Czyż to nie wczoraj mówiłeś mi, że na koronację muszę poczekać parę dni, gdyż należy o niej powiadomić odpowiednie osoby?

– Taaak...Rzeczywiście...Przyznaję, powiedziałem. –Mag skrzywił twarz niczym przyłapano na gorącym uczynku dziecko. – Kłopot w tym, że nie było to wczoraj.

– Nie było to wczoro...?

– Bo dzisiaj nie jest jutro.

Ben poczerwieniał i poderwał się gwałtownie na łóżku.

_ O czym ty, u licha, mówisz?

_ Panie, spałeś cały tydzień – rzekł z uśmiechem Questor.

Patrzyli na siebie w milczeniu. W komnacie zapanowała taka cisza, że Ben mógł słuchać rytmu swego serca.

– Jak to możliwe? – spytał w końcu.

Questor skrył twarz w dłoniach.

– Pamiętasz wino, które piłeś podczas kolacji – to, które ja ci podałem? – Ben przytaknął. – Cóż, chciałem dodać do niego trochę środka nasennego, by mieć pewność, że w nocy dobrze wypoczniesz. – Wzniósł ręce. – Użyłem w tym celu magii– Połączenia słów i gestów. – Pokazał. – Problem w tym, iż przesadziłem. Drobiną stała się garścią. W ten sposób przespałeś tydzień.

– A więc chcesz powiedzieć, że to mały błąd w sztuce magicznej?! – Ben zapłonął gniewem.

– Obawiam się, że tak. – Questor kręcił się niespokojnie.

– Obawiam się, że nie. Czy masz mnie za takiego głupca?

Zrobiłeś to celowo, czyż nie? Sprawileś, że zasnąłem, by mnie tutaj zatrzymać! – Benem trzęsła złość. – Myślisz, że zapomniałem o dziesięciodniowym terminie wycofania się z umowy?

W ciągu dziesięciu dni mam prawo zrezygnować z kupna i dostać z powrotem swoją gotówkę, pomniejszoną o opłatę manipulacyjną. Nie mów, iż o tym nie wiedziałeś! Osiem z tych dziesięciu dni już minęło! Bardzo ci to na rękę, prawda?!

– Chwileczkę! – Questor zeszytniał z oburzenia. – Jeśli rzeczywiście moim zamiarem było zatrzymanie cię w Landover, to dlaczego w ogóle miałbym ci mówić o środku nasennym i o tych straconych dniach? Po prostu utrzymałbym cię w stanie nieświadomości, przekonanego, że dzień dzisiejszy jest twym drugim dniem w Landover. Zanim byś się zorientował, dziesięć dni dawno by minęło.

Ben przez chwilę uważnie mu się przyglądał, po czym usiadł.

– Tak, masz chyba rękę – potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Sądzę, że należą ci się przeprosiny, ale szczerze mówiąc, jestem zbyt wściekły, żeby teraz kogokolwiek przepraszać. Straciłem przez ciebie cały cholerny tydzień. Podczas gdy ja spałem, wy realizowaliście spokojnie wasz plan uczynienia mnie królem – wysyłałście zaproszenia i w ogóle...

Wspaniale, że się obudziłem na czas, a nie w trakcie koronacji!

– Och, wiedziałem, że się na czas obudzisz, gdy tylko stwierdziłem, o co chodzi – pospieszył Questor z wyjaśnieniem.

– Chcesz powiedzieć, iż miałeś nadzieję, że wiesz – przerwał Abernathy, który pojawił się właśnie w drzwiach, dzierżąc w łapach lace. – Śniadanie, panie? – Wniósł tacę i postawił ją na stoliku. – Piękny dzień na koronację. – rzekł. Spoglądał na Bena sponad oprawek okularów. – Przygotowałem twoje uroczyste szaty. Zostały dopasowane do twych wymiarów. Przerwał. – Miałem mnóstwo czasu na mierzenie, gdy spałeś.

– Z pewnością. – Ben z wściekłością żuł kawałek chleba. Cały tydzień dobrze wykorzystanego czasu, jak się okazuje.

Abernathy wzruszył ramionami.

– Niezupełnie. My też piliśmy to wino, panie.

– To naprawdę tylko pomyłka. Działalem w dobrej wierze – przekonywał Questor.

– Popelniasz mnóstwo pomyłek – parsknął Abernathy.

– Pewno byłbyś najbardziej zadowolony, gdybym w ogóle przestał w czymkolwiek pomagać!

– Nic nie uradowałoby mnie bardziej!

Ben błagalnie wznosił ręce.

– Dosyć! Skończcie już! – patrzył to na jednego, to na drugiego. – Nie chcę kolejnej kłótni. Jestem prawnikiem i miałem ich w życiu pod dostatkiem. Chcę się dowiedzieć kilku rzeczy. Wczorajszego wieczora powiedziałem, że chcę poznać całą historię o tym, jak doszło do sprzedaży królestwa...

W zasadzie nie było to wczorajszego wieczora, ale w każdym razie podczas naszej poprzedniej rozmowy. Może teraz się tego dowiem?

Mag powstał, rzucając mroczne spojrzenie na Abernathy'ego. Potem znowu spojrzał na Bena.

– Dowiesz się, panie, wszystkiego, lecz proszę, bądź cierpliwy. Opowiem ci o tym w drodze do Serca. Ceremonia musi się odbyć w samo południe, więc powinniśmy wyruszyć natychmiast, by zdążyć tam dotrzeć na czas.

Abernathy zmierzał już ku drzwiom.

– Widzę, że on wprost nie posiada się z radości – skomentował skryba minę Bena, zwracając się do Questora. – Za chwile powrócę z twymi szatami, panie – dodał głośniejszym głosem. – Tymczasem postaraj się jeszcze coś zjeść. Magiczna moc zamku słabnie i możliwe, że wkrótce będziemy musieli go opuścić, by zdobywać żywność.

Wyszedł. Questor odprowadził go spojrzeniem, po czym szybko podszedł do Bena.

– Chcę tylko powiedzieć, że dwa dni, które ci pozostały, to czas wystarczający, byś mógł z użyciem medalionu powrócić do swego świata – o ile będziesz tego rzeczywiście pragnął.

Wahał się przez chwilę, a potem wyszedł za Abernathym.

Ben obserwował, jak odchodzą.

– Cały tydzień! – wymamrotał, odstawił tacę z jedzeniem i wyczołgał się z łóżka.

Po godzinie Ben, Questor, Abernathy i dwa koboldy byli już w drodze. Opuścili nagą wyspę, na której wznosił się zamek. Zaczarowana łódź powoli sunęła po mętnych wodach ku rozciągającej się na brzegu łące. Stamtąd udali się w kierunku lasu, gdzie już po chwili otoczyły ich mgły.

– Najlepiej będzie, jeśli zacznę od samego początku – rzekł Questor, gdy weszli pomiędzy drzewa. Ben i przygarbiony, pochylony i kołyszący się majestatycznie Questor szli obok siebie o krok przed pozostałymi. – Problemy z tronem Landover rozpoczęły się dwadzieścia lat temu, po śmierci starego króla. Królestwo wyglądało wtedy inaczej. Stary król szanował wszystkich mieszkańców Landover. Pięć pokoleń jego rodziny kolejno obejmowało tron Landover i dobrze władało krajem. Nikt nie usiłował zakwestionować władzy starego króla – ani Nocny Cień, ani nawet Mark. Istniała armia, najemna służba, a wszystko działo się zgodnie z prawem. Skarbiec był pełen, a tron chroniła magiczna moc. Sterling Silver nie znaczyło zmatowienie. Zamek lśnił i błyszczał jak nowy.

Wyspa, na której leży, pełna wówczas barwnych kwiatów, stanowiła najpiękniejsze miejsce krainy. Świeciło słońce i nie było śladu mgieł, czy tych ponurych chmur.

Ben rozejrzał się. Ubrany był w czerwoną, jedwabną tunikę, rajstopy, sięgające do kolan buty oraz srebrny pancerz.

Abernathy niósł jego koronacyjne szaty, koronę oraz łańcuch.

– Wolałbym, żeby tak nie było, ale to wszystko brzmi jak początek jakiejś złej baśni.

– Jest jeszcze gorzej, panie. Stary król umarł, pozostawiając po sobie tylko jednego syna, zbyt jeszcze młodego na objęcie tronu. Jego wychowawcą był czarownik o wielkiej mocy, lecz wątpliwym morale. To raczej on, niż król, był ojcem tego dziecka. Po śmierci królowej zajmował się nim w czasie częstych podróży króla. Chłopiec był znudzony Landover i niechętny przejęciu obowiązków związanych ze swoją pozycją. Mag wykorzystywał tę jego słabość. Sam od pewnego czasu usiłował znaleźć sposób, by uciec z ograniczającego jego możliwości, jak sądził, Landover. Był wtedy nadwornym magiem – pełnił więc funkcję, którą ja sprawuję teraz – lecz uważał, że jest przeznaczony do ambitniejszych celów.

Nadworny mag jest jednak związany z tronem magicznymi więzami ogromnej mocy. Nie może wyjechać, jeśli nie otrzyma na to pozwolenia. Wykorzystał więc swą wielką moc przekonywania i przekonał chłopca, że obaj powinni opuścić Landover.

Przerwał, zwracając swą sówią twarz w kierunku Bena.

– Ten mag to mój przyrodni brat, panie. Znasz go pod imieniem Meeks.

– No tak. – Ben wolno pokręcił głową. – Zaczynam dostrzegać światło na końcu tunelu...

– Hm?

– Takie powiedzenie. Czy mógłbyś wreszcie skończyć z tym „hm”? Moja babcia też tak robiła, gdy cokolwiek do niej powiedziałem. Doprowadzało mnie do szału!

– Przepraszam. Wracając do historii, problem w tym, że opuszczając Landover, nie można niczego zabrać ze sobą.

Magia na to nie pozwala. Ani mój brat, ani syn starego króla nie mogli się z tym pogodzić. Uknuli więc plan sprzedaży tronu komuś spoza ich świata. Jeśli ktoś spoza Landover nabędzie tron, mój przyrodni brat i królewicz będą mogli obejść prawa tej krainy i zacząć wygodnie żyć, gdziekolwiek im się żywnie spodoba.

_ Dlaczego wybrali właśnie mój świat?

– Zbadali to. – Uśmiechnął się Questor. – To właśnie mieszkańcy twojego świata okazali się tymi, których najłatwiej skusić perspektywą życia w Landover. Landover jest światem ich fantazji, światem z ich snów.

– Gdyby nie to, że właściwie nie jest...

– No cóż... – chrząknął mag. – Mój przyrodni brat podporządkowywał sobie młodego księcia, a ten jest już dorosłym mężczyzną. Wspólnie przemyślali nad planem zerwania więzów z królestwem. Synowi w ogóle nie zależało na tronie.

Tak czy inaczej chciał tylko stąd uciec, nie bacząc na to, jakie postawiono mu warunki. Mój przyrodni brat miał się osobiście zatroszczyć o organizację tej ucieczki. Różnorakie manewry i analizy zajęły mu sporo czasu. W tym czasie królestwo zaczęło podupadać. Magiczne moce są czułe na zaangażowanie, a tego ze strony księcia i maga było brak. Skarb pustoszał. Ludność zaczęła tracić poczucie jedności i zamykać się w warownych obozach. Ustał handel. Sterling Silver nie miało swego władcy, nie miało najmniejszej służby, która by o nie zadbała. Zaczęło stopniowo ulegać zmatowieniu. Uległ mu w końcu cały kraj, marniejąc i obumierając. Mój przyrodni brat i młody książę wpadli na pomysł sprzedaży tego... – jak to nazwałeś, panie? Ach, tak – tego kota w worku jakiemuś nie podejrzewającemu niczego klientowi.

Ben błagalnie wpatrywał się w wierzchołki drzew.

– Zaiste masz dar zniewalania człowieka słowami, Questorze.

– Po prostu cały czas próbuję ci powiedzieć, że wszystko w Landover da się jeszcze zmienić. Król rozumny, o silnym charakterze, potrafiłby je uratować. Prawa mogą zostać wprowadzone w życie na nowo – szczególnie przez kogoś takiego, jak ty, kogoś rozumiejącego ich naturę. Skarbiec można znowu zapełnić, armię odtworzyć, a zmatowienie zwalczyć. Oto dlaczego przejąłem obowiązki mojego przyrodniego brata, gdy opuścił dwór. Dlatego zgodziłem się pomóc mu szukać nabywcy tronu. To ja ułożyłem słowa ogłoszenia o sprzedaży.

– A więc ty napisałeś ten stek kłamstw? – zapytał Ben z niedowierzaniem.

– Napisałem to tak, by zachęciło właściwą osobę. Kogoś, kto ma wyobraźnię i odwagę! – Kościstym palcem wskazał na Bena. – Nie jest to stek kłamstw. – Palec opadł, a pociągła twarz znieruchomiała. – Uczyniłem, co uczynić musiałem, panie. Landover musi się odrodzić. Kraina ucierpiała wraz z rozkładem władzy królewskiej, a wraz z całkowitym odejściem mocy magicznych dokona swego żywota.

– Słyszeliśmy to już nie raz, Questorze – wymamrotał kroczący za nim Abernathy. – Daj temu spokój.

Mag obrzucił go zirytowanym spojrzeniem.

– Mówię tylko to, co należy powiedzieć. Jeśli cię to męczy, zatkaj sobie uszy.

– Chwileczkę, Questorze. Nie pojmuję tego wszystkiego Ben sprowadził rozmowę znowu na poprzednie tory. – Jeśli tak bardzo zależy ci na ratowaniu Landover, to dlaczego nie postarałeś się przede wszystkim o to, by sprowadzić tu z powrotem królewicza i maga? Co robiłeś przez te wszystkie lata po śmierci tamtego króla? Gdzie byłeś, kiedy przez całe lata tron Landover świecił pustkami?

Questor błagalnie wznosił dłonie.

– Nie wszystko na raz, panie! – Nerwowo pocierał dłonią bokobrody. – Zrozum, że nie byłem wtedy nadwornym magiem. Był nim mój przyrodni brat. I muszę – choć niechętnie przyznać, że jako czarownik nie mogę się z nim równać.

– Gdzie moje pióro i pergamin?! – wykrzyknął Abernathy – Trzeba to zapisać!

– Jednak od czasu, gdy zostałem nadwornym magiem, intensywnie pracuję nad sobą – kontynuował Questor, nie zwracając uwagi na uszczypliwość Abernathy'ego. – Gdy mój przyrodni brat był na dworze, dla mnie nie było tam miejsca.

Byłem już zbyt stary, by traktowano mnie, jak nowicjusza, a nie mogłem znaleźć żadnej innej posady przy tronie. Trochę podróżowałem, próbując się uczyć panowania nad mocami magii od czarodziejskich istot i szukając sobie jakiegoś zajęcia. Parę lat później stary król umarł i przyrodni brat wezwał mnie znowu na dwór, bym pomógł w zarządzaniu. Powiedział mi o swym zamiarze opuszczenia królestwa na zawsze i o tym, że królewski syn zdecydował się sprzedać tron i jechać razem z nim. Wyznaczył mnie na nadwornego maga i doradcę nowego króla. – Zatrzymał się, zwróciwszy ku Benowi. – Myślał, że nie będę sprawiał mu żadnych kłopotów, bo marny ze mnie czarownik, a na dodatek nieudacznik.

Przypuszczał, że gdy obdarzy mnie tym stanowiskiem, będę tak szczęśliwy, że zgodzę się na wszelkie warunki, które mi postawi. Pozwoliłem mu w to wierzyć, panie. Udawałem, że jestem jego współnikiem, gdyż był to jedyny sposób, by pomóc tej krainie. Jeśli cokolwiek miało tu być doprowadzone do porządku, potrzebny był nowy król. Byłem zdeterminowany, by go znaleźć. Zdołałem nawet przekonać przyrodniego brata, by pozwolił mi napisać słowa ogłoszenia o sprzedaży Landover.

– I tak oto się tutaj znalazłem – dokończył Ben.

– Właśnie tak – zgodził się Questor.

– Lżejszy o milion dolarów.

– I bogatszy o królestwo.

– Ale moje pieniądze przepadły, prawda? Umowa, którą podpisałem, od samego początku była oszustwem? Meeks i syn króla zgarnęli moje pieniądze, a ja jestem tutaj uwięziony na resztę życia?

Questor przypatrywał się mu przez dłuższy czas, po czym pokręcił głową.

– Nie, panie. Nie musisz tu być ani chwili dłużej, niż sam zechcesz. Umowa jest ważna, z klauzulą o wycofaniu się z niej w ciągu dziesięciu dni włącznie. Jeśli to uczynisz, dostaniesz swe pieniądze z powrotem.

Teraz Ben wpatrywał się w twarz czarownika.

– Niech mnie diabli! – wyszeptał. Przez chwilę milczał, nie spuszczając wzroku z twarzy Questora. – Przecież nie musiałeś mi tego mówić. Mogłeś pozwolić, bym uwierzył, że moje pieniądze przypadły, i że nie mogę powrócić.

Mag posmutniał.

– Nie, nie mogłem tego zrobić, panie – rzekł.

– Ależ mógł! – wtrącił Abernathy. – I zrobiłby to, gdyby wiedział, że ujdzie mu to na sucho. – Przycupnął i podrapał się w grzbiet tylną nogą. – Sądysz, że w tych lasach są pchły? zapytał. – Nienawidzę pcheł.

Dalej szli w milczeniu. Ben rozmyślał o słowach Questora.

Stary Meeks i młody królewicz knuli razem, jak sprzedać tron Landover i urządzić się wygodnie w jakimś innym świecie.

Tak, to było – jak sądził – logiczne wyjaśnienie. Miał jednak niejasne wrażenie, że w tej całej układance jakiejś części nadal brakuje. Niestety, nie mógł dojść jakiej. Mimo to, że zaprzęgił do analizy tej sprawy całe swe prawnicze doświadczenie i umiejętności, nie doszedł do żadnych konkretnych wniosków.

W końcu zrezygnował z dalszych poszukiwań. Prędzej czy później i tak się natknie na rozwiązanie, a teraz ma przecież inny problem. Osiem z dziesięciu zapisanych w kontrakcie dni ma już za sobą. Na podjęcie decyzji, czy wracać do domu, czy zostać tutaj, pozostaje więc tylko dzisiaj i jutro. Jeśli Questor mówił prawdę, powrót do starego świata cały czas jest możliwy. Ben wierzył Questorowi. Pytanie brzmiało więc nie czy może, ale czy chce wrócić. Landover okazało się czymś całkiem innym, niż mógł oczekiwać na podstawie treści ogłoszenia. W najogólniejszych zarysach wszystko się właściwie zgadzało. Były smoki, dziewice, magiczne moce, i cała reszta, a on panował nad tym wszystkim jako król. Jego wyobrażenia o szczegółach tego, co tu napotka, były jednak całkiem inne. Cena, którą zapłacił za Landover, zdawała mu się stanowczo wygórowana.

Ale niechaj oskarżenie da dojść do głosu obronie! W Landover tkwiło coś, co go niewątpliwie pociągało. Najprawdopodobniej było to wyzwanie, jakie przedstawiała sobą ta kraina. Niechętnie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą. A jeśli miał zachować wobec siebie samego uczciwość, musiał uznać ten fakt. Po prostu nie lubił rezygnować. Nie lubił przegrywać. Świadomość tego, że popełnił błąd, kupując za milion dolarów tę fantastyczną krainę, która wcale nie była aż tak „fantastyczna”, irytowała go. Był prawnikiem i kierowały nim prawnicze instynkty i upór. Nie cofał się przed żadną walką. A z pewnością walka taka czekała go tutaj, w Landover. Tron utracił suwerenność, a odzyskanie władzy nad całą krainą wymagało z pewnością piekielnego wysiłku.

Czyż nie był w stanie tego dokonać? Czy to, co potrafi, wystarczy, by zmierzyć się z każdym z przyszłych poddanych?

Miles powiedziałby z pewnością, że to gra nie warta świeczki. Machnąłby na to ręką i powrócił do swego świata do stadionów sportowych, taksówek i wind. Inni koledzy po fachu zapewne postąpiliby identycznie.

Lecz nie Annie. Annie powiedziała mu, żeby się za to wziął, i pozostałaby tutaj z nim. Annie jednak nie żyła.

Zacisnął zęby i zmarszczył brwi. Jeśli o to chodzi, to gdyby teraz zrezygnował i powrócił do Chicago, stałby się równie martwy jak ona. I przede wszystkim dlatego decydował się podjąć to wyzwanie. Podejmował je, by dać sobie nowe życie. Ciągle wierzył, że właśnie tutaj zdoła tego dokonać.

Miał nadzieję, że Landover może się stać jego nowym domem. Poza tym, pieniądze to w końcu tylko pieniądze...

A co z milionem dolarów?! – słyszał okrzyk niedowierzania Milesa. Oczami wyobraźni widział, jak jego wspólnik z oburzeniem potrząsa rękami. Ze zdziwieniem stwierdził, że na myśl o tym sam się do siebie uśmiecha.

Było dokładnie południe, gdy całkiem nieoczekiwanie mgły i drzewa rozstały się i przed ich oczami ukazała się zalana słonecznym blaskiem polana, porośnięta soczystą trawą w barwach zieleni, złota i purpury. Otaczały ją stojące w równych odstępach dorodne drzewa bonnie blues. Tylko te z nich, które rosły nieco głębiej w lesie, nosiły lekkie znamiona degeneracji, które Ben miał okazję zaobserwować jakiś czas wcześniej, w trakcie podróży do zamku. Stojący na polanie podest oraz ustawiony na nim tron zbudowane były z lśniących, gładkich, białych dębowych desek. Do rogów podestu przymocowane były wypolerowane, srebrne stojaki, na których zatknięto wielkie świece. Za podwyższeniem powiewały liczne proporce i barwne flagi. Podest otaczały rozsiane po całej polanie białe, aksamitne klęczniki i oparcia.

Questor zatoczył krąg ramieniem.

– To Serce, panie – rzekł cicho. – Tu będziesz koronowany na władcę Landover.

Ben wpatrywał się w lśniący dąb, srebro tronu i podestu, flagi i świece, przyciętą równo trawę i drzewa bonnie blues.

– Nie widać ani śladu zmatowienia. To miejsce wygląda jak... nowe.

– Zmatowienie nie dosięgnęło jeszcze Serca, panie. Tutaj magia zachowała woja pierwotną moc. Chodźmy.

W milczeniu przeszli pomiędzy rzędami klęczników i oparcz ku podestowi znajdującemu się na środku polany.

W ciepłym, południowym powietrzu unosił się przyjemny zapach, a barwy traw i drzew zdawały się w nim skrzyć i mieszać. Ben czuł unoszącą się nad tym miejscem aurę spokoju i wzniosłości. Przypominało mu to nieco atmosferę niedzielного poranka w kościele, do którego prowadzano go jako małego chłopca. Zdziwił się, że jeszcze to pamięta.

Doszli do podestu i się zatrzymali. Ben powoli rozejrzał się dookoła. Serce było niemal puste. Paru wynędzniałych pasterzy i rolników z dziećmi i żonami stało na obrzeżach polany. Szeptali coś między sobą i niepewnie spoglądali na Bena. Kilku myśliwych zbiło się w gromadkę w cieniu drzew, przez które nie przebijały się promienie słońca. Pod niszczącym dębem siedział ze skrzyżowanymi nogami żebrak w obdartej skórzanej tunice i zniszczonych spodniach.

Poza tą garstką ludzi nie było nikogo.

Ben zmarszczył brwi. W ich spojrzeniach było coś niepokojącego – oczekiwanie, desperacja, czy może nawet rozpacz.

– Co to za ludzie? – cicho spytał Questora.

Questor popatrzał po zgromadzeniu oberwańców i znowu zwrócił się ku Benowi.

– Widzowie.

– Widzowie?

– A gdzie wszyscy inni?

– Zapewne spóźnieni. Dla fasonu – wyjąkał głucho Abernathy. Stojące za nim koboldy zaszczały i pokazały okazałe zęby.

Ben położył dłoń na ramieniu Questora.

– Co się tutaj dzieje? Gdzie są pozostali?

Mag nerwowo pocierał policzek.

– Możliwe, że ci, którzy zamierzają przybyć, nieco się spóźnią, powstrzymani przez jakieś nieprzewidziane okoliczności...

– Chwileczkę, chwileczkę – przerwał mu Ben. – Zaczniemy jeszcze raz od początku. Czy powiedziałaś: „ci, którzy zamierzają przybyć”? Czy znaczy to, że niektórzy nie zamierzają tu się pojawić?

– Och, po prostu tak się wyraziłem, panie. Z pewnością wszyscy, którzy będą mogli, przybędą.

Ben skrzyżował ręce na piersiach i popatrzał po innych.

– A ja jestem święty turecki. Questorze, żyję na tym świecie wystarczająco długo, by odróżnić lisa od jego nory. A więc mówcie, co się tu dzieje!

Mag zaczął niezgrabnie przestępować z nogi na nogę.

– No cóż... W istocie, niewielu ma tu przybyć...

– Jak to niewielu?

– Przypuszczam, że tylko kilku.

– On ma na myśli naszą czwórkę, panie – wtrącił się Abernathy. – No i tych biedaków, którzy stoją na skraju polany.

– Tylko waszą czwórkę? – Ben patrzył z niedowierzaniem. – Czwórkę? I to wszyscy? Nikt się nie pojawi na pierwszej od dwudziestu lat koronacji w Landover?

– Nie jesteś pierwszy, panie – rzekł cicho Questor – ...i nikt prócz was czterech?

– Nie jesteś pierwszy – powtórzył mag.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Co powiedziałaś?

– Byli przed tobą inni, panie. Inni królowie Landover po śmierci starego króla. Jesteś po prostu kolejnym, który ma przejąć ten tron. Przykro mi, że dowiadujesz się o tym teraz.

Wolałbym, żeby to się stało później, kiedy...

– Kolejnym? Którym z kolei? – zapłonął gniewem Ben.

– ...ceremonia się skończy i... Słucham?

– Ilu królów, do licha! Ilu ich przede mną było?!

Questor Thews skrzywił twarz.

– Myślę, że parę tuzinów. Szczerze mówiąc, straciłem już rachubę.

Spomiędzy drzew i mgieł doszedł ich odległy dźwięk przetaczającego się grzmotu. Abernathy czujnie nastawił uszu.

– Parę tuzinów? – słowa maga najwyraźniej nie dotarły jeszcze do Bena. Jego ręce opadły/ a sięgną szyi się napięły. Rozumiem, dlaczego straciłeś rachubę! Rozumiem, dlaczego nikt nie ma ochoty tutaj przychodzić!

– Na początku oczywiście przychodzili – ciągnął dalej Questor, denerwująco spokojnym głosem, nie spuszczać wzroku z Bena. – Przychodzili, bo wierzyli. Nawet, gdy przestali wierzyć, przychodzili z czystej ciekawości. Lecz w końcu wyczerpała się nawet ciekawość. Mieliśmy zbyt wielu królów, panie, którzy nie byli prawdziwymi królami. – Wskazał krótkim ruchem ręki na postacie zgromadzone na skraju lasu. Ci, którzy przychodzą teraz, to desperaci.

Grzmot zabrzmiał znowu. Tym razem głośniejszy i bliższy:

głęboki, dudniący dźwięk, niosący się echem po lasach i wstrząsający ziemią. Koboldy spuściły uszy po sobie i zasyczały. Ben niespokojnie rozejrzał się wokół. Abernathy powarkiwiał.

Questor chwycił Bena za ramię.

– Wejdź na podest, panie. Szybko! – Ben zawahał się i zmarszczył brwi. – Idź! – przynaglał mag. – Nadciągają demony!

Dla Bena był to wystarczający powód. Koboldy ruszyły już przodem, więc Ben podążył za nimi. Grzmot brzmiał z coraz większą mocą, niosąc się po całej okolicy. Wstrząsał drzewami i ziemią.

– Wygląda na to, że jednak będziesz miał publiczność na swej koronacji, panie – rzekł Abernathy, gdy dotarli do stopni podestu. W pośpiechu omal nie pogubili ceremonialnych szat.

Ben, co chwila oglądając się za siebie, wspiał się po schodach. Serce opustoszało. Na polanie zostało teraz tylko ich pięciu. Rolnicy, pasterze i ich rodziny, myśliwi i żebrak skryli się w mroku lasu. Mgły i ciemności zdawały się coraz ciałniej otaczać oświetloną blaskiem słońca polanę. Napierały z coraz większą mocą.

– Pomóż królowi przywdziać szaty i łańcuch – polecił Questor Abernathy'emu, w pośpiechu wdrapując się na podest. – Szybko!

Abernathy wznosił tylną łapę i zaczął ubierać Bena w uroczysty strój.

– Chwileczkę, Questorze! – zaprotestował Ben, patrząc z przerażeniem w kierunku czarnego tunelu, który otworzył się i ział swym wylotem wprost w ich kierunku. – Nie jestem pewien, czy w ogóle mam na to ochotę.

– Za późno, panie! Musisz! – Sowa twarz Questora była twarda i zdecydowana. – Zaufaj mi, a nic ci się nie stanie.

Ben pomyślał, że ma mocne podstawy, by wątpić w prawdziwość tej implikacji, lecz Abernathy spinał już strój klamrami i zakładał łańcuch. Jak na psa, skryba był wyjątkowo zręczny. Ben, mimo całej grozy sytuacji, przestał się rozglądać i spojrzał na łapy psa. Oniemiał. Miały normalne, zaopatrzone w stawy palce.

– Nawet to nie do końca mu się udało – wymamrotał skryba, widząc zaskoczenie na twarzy Bena. – Miejmy nadzieję, że z tobą będzie szło mu lepiej.

Cienie i mgły, niczym zmieszany z wodą atrament, zakotłowały się na przeciwnym końcu polany. Nieruchomym dotąd powietrzem nadciągnął powiew wyjącego wiatru.

Grzmot zwiastujący zbliżające się demony narastał i przeszedł w potrzęsający ziemią łomot. Wicher zaczął łopotać szatami Bena z taką siłą, że niewiele brakowało, by je z niego zerwał.

Abernathy cofnął się o krok ze skowytem zamarym gdzieś w krtani, a koboldy, sycząc niczym węże, szczyrzyły zęby w kierunku ciemności.

Wtedy z ciemności i mgieł wyłoniły się demony. Materializowały się, jak gdyby wylatując z jakiejś zawieszanej w powietrzu bramy: armia zbrojnych, smukłych i mrocznych jak noc istot. Oręż i zbroje szczykały, a kopyta gigantycznych, wężopodobnych wierzchowców dudniły o skały i ziemię.

Potwory zwolniły i w końcu zatrzymały się na skraju polany.

Ogłuszający hałas ustał. Z mgły wyzierały teraz przekrwione °czy, rzędy ostrych, białych zębów, pazury i kolce. Wszystko to zlewało się w jedną, przerażającą masę. Armia stała teraz w nierównym szeregu, zwrócona twarzą ku podestowi. Odgłos ich ciężkich oddechów wypełniał zapadłą po ustaniu łomotu ciszę. Wiatr zawył jeszcze raz i zamilkł.

– Questorze...? – wykrztusił z wysiłkiem Ben, nie mogąc z przerażenia ruszyć się z miejsca.

– Stój, panie – szepnął mag.

W stadzie demonów coś się zakotłowało. Wszystkie jednocześnie wzniosły oręż, a z ich gardel wydobył się potężny ryk. Abernathy cofał się, kłapiąc zębami. Koboldy zdawały się tracić panowanie nad sobą. Syczały i powarkiwały w furii, przycupnięte po obu stronach Bena.

– Questorze...? – spróbował znowu Ben, tym razem nieco głośniej.

Wtedy pojawił się Mark. Demony rozstały się, a on wyłonił się zza ich szeregów. Dosiadał uskrzydłonego potwora będącego w połowie wężem, w połowie wilkiem – stworzenie, które mogłoby się przyśnić tylko w najgorszym z koszmarów. Mark odziany był w czarną, poobijaną i znoszoną zbroję. Błyskał orężem. Na jego helmie widniała czaszka. Miał opuszczoną przyłbicę.

Ben Holiday zaprzagnął się teraz znaleźć w jakimkolwiek innym miejscu – byle nie tutaj.

Questor Thews zbliżył się do niego.

– Klękniij, panie – szepnął z naciskiem.

– Co takiego?

– Klękniij! Masz zostać koronowany! Demony przybyły, by zobaczyć twą koronację, więc nie każmy im czekać. – Mag patrzył na Bena ponaglająco. – Klękniij, by złożyć przysięgę!

Ben klęknął z oczami utkwionymi w gromadzie demonów.

– Połóż dłonie na medalionie – nakazał Questor. Ben wydobył medalion spod tuniki. – Teraz powtórz za mną te słowa: „Stanę się jednym z tą ziemią i jej ludem. Wierny będę wszystkim, a niewierności się wyrzeknę. Wierny prawom tronu i magii, oddany krainie, do której przybyłem, zostaje niniejszym jej królem”. Powtórz to.

Ben zawahał się.

– Questorze, ale ja nie...

– Powtórz to, jeśli rzeczywiście masz być takim królem, jakim pragniesz się stać!

Questor wyrzekł te słowa z takim naciskiem i mocą, jak gdyby wydobywały się one z ust kogoś całkiem innego. Ben spojrzał mu w oczy. Wyczuwał niespokojne ruchy w szeregach demonów.

Wzniósł medalion tak, by wszyscy mogli go dobrze widzieć– Nie spuszczał oczu z Questora.

– Stanę się jednym z tą ziemią i jej ludem. Wierny będę wszystkim, a niewierności się wyrzeknę. Wierny prawom tronu i magii, oddany krainie, do której przybyłem, zostaje niniejszym jej królem!

Wypowiedział te słowa wyraźnie i dobitnie. Był nieco zdziwiony, że udało mu się tak łatwo zapamiętać. Zupełnie jakby znał je od dawna. Na polanie panowała cisza. Ben opuścił medalion, który znowu spoczął na jego piersi.

Questor Thews skinął głową i machnął ręką tuż przed twarzą Bena.

– Ben Holiday, król Landover, pan, władca i suzeren.

Ben powstał, a sklepienie mgieł ponad nim rozstało się, wpuszczając strumień słonecznego światła. Questor wolno się pochylił i przyklęki na jedno kolano. Klęknął również Abernathy, a z nim – koboldy.

Demony jednak nie drgnęły. Mark siedział nieruchomo na swym potwornym rumaku.

– Pokaż im jeszcze raz medalion! – szepnął Questor.

Ben odwrócił się i jeszcze raz pokazał medalion, wyczuwając palcami dłoni wyrzeźbioną na nim sylwetkę rycerza, jezioro, zamek i wschodzące słońce. Demony cicho zawyły.

Niektóre z nich padły na kolana. Lecz Mark nie drgnął, cały czas dzierżąc swój oręż. Ruchem ręki nakazał wszystkim, by nie ruszali się z miejsc i powstali. Czarna czaszka zwróciła się w stronę Bena.

– Questorze, to nie działa! – Ben ciężko dyszał z przerażenia.

Nagle w szeregach demonów coś drgnęło. Mark na swym olbrzymim wierzchowcu ruszył poprzez zasłone mgły i cieni ku środkowi polany. Dowodzone przez niego demony postąpiły za nim.

– Questorze! – Bena przeszedł lodowaty dreszcz.

Lecz wtedy na polanie błysnęło światło, jak gdyby jakiś jasny przedmiot odbił promienie słońca. Wydobyło się ono z pomiędzy drzew na skraju lasu. Demony zwolniły i zwróciły wzrok w tamtym kierunku. Ben i jego towarzysze również tam spojrzeli.

Z mgieł wyłonił się jeździec.

Ben Holiday oniemiał. Był to ten sam rycerz, którego spotkał na ścieżce prowadzącej z jego świata do Landover – rycerz z medalionu. Na swym dyszącym koniu wyglądaj niczym pokryta kurzem i błotem żelazna statua. Opartą na siodle lancę trzymał nieruchomo wzniesioną ku górze. Mogłoby się zdawać, że jest tylko kamienną rzeźbą.

– Paladyn! – wyszeptał z niedowierzaniem Questor. Powrócił!

Mark podniósł się w strzemionach, zwracając się ku rycerzowi. Demony zaczęły pierzchać i zniknąć we mgle. Rycerz trwał w bezruchu.

– Questorze, co się dzieje? – pytał Ben, lecz mag ciągle kręcił tylko głową.

Jeszcze przez chwilę demony i rycerz stali naprzeciw siebie po obu stronach zalanej słonecznym blaskiem polany, niczym czające się do łowów zwierzęta. Potem Mark wznosił zaciśniętą w pięść dłoń i – chyba – lekko odwrócił głowę w kierunku Bena. Zawrócił swego wierzchowca i zniknął we mgle. Ciszę przeszły wrzaski i piski, wiatr zawył, a kopyta jeszcze raz zadudniły o ziemię. Demony rozplynęły się w powietrzu tak samo, jak przedtem się z niego wyłoniły.

Opary i mrok ustąpiły znowu miejsca słonecznemu światłu. Ben z niedowierzaniem mrugał oczami. Gdy odwrócił się w kierunku miejsca, w którym stał rycerz, jego już tam nie było. Polana opustoszała. Pozostała na niej tylko ich piątka.

W mroku lasu znowu coś zaczęło się poruszać. Kilku rolników i pasterzy z rodzinami, łowcy i samotny żebrak znowu się pojawili na skraju polany. Z wahaniem wychodzili spomiędzy drzew. W ich oczach widać było strach i zdziwienie. Nie podeszli bliżej, lecz jeden po drugim uklękli.

Serce Bena waliło jak oszalałe. Był zlany potem. Wziął głęboki oddech i zbliżył się do Questora.

_ Chcę wiedzieć, co tu się dzieje! Chcę to wiedzieć teraz!

Questor Thews wyglądał na prawdziwie zagubionego. Po raz pierwszy od czasu ich spotkania brakło mu słów! Zaczynał coś mówić, przerywał, znowu próbował zacząć, lecz tylko kiwał głową. Ben spojrzał na pozostałych. Abernathy dyszał, jak gdyby dopiero co zakończył jakiś dłuższy bieg. Koboldy zbliżyły się ze spuszczoneymi uszami i zmrużonymi oczami.

Ben chwycił Questora za ramię.

– Odpowiedz, do cholery!

– Panie, ja nie... nie potrafię wyjaśnić... – Sowa twarz wykrzywiła się jak w uścisku imadła. – Sam nigdy bym nie uwierzył – Ben uniósł dłoń, by mu przerwać.

– Do licha, Questorze, pozbieraj się!

– Tak, panie – odpowiedział mag, prostując się.

– I odpowiedz na moje pytanie!

– Panie, ja... – zaczął i znowu się zaciął.

Abernathy wyciągnął do przodu swą kudłatą szyję.

– To dopiero będzie interesujące – orzekł. Najwidoczniej zdołał szybciej od maga odzyskać panowanie nad sobą.

Questor rzucił ku niemu mroczne spojrzenie.

– Powiniennem być zamienić cię w kota!

– Questorze! – nalegał niecierpliwie Ben.

Mag obrócił się, wziął głęboki oddech, potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

– Panie, doprawdy nie wiem, jak ci to wyjaśnić. – Uśmiechnął się słabo. – Ten rycerz z medalionu – ten, który stanął na przeciw Marka – nie istnieje. – Uśmiech zniknął. – Widzieliśmy po prostu ducha!

PALADYN

Miles zwykł był mawiać, że są „prawnicy” i prawnicy.

Problem polega na tym, że tych pierwszych jest zbyt wielu, a tych drugich – zbyt mało. Mawiał tak, gdy niekompetencja kolegów po fachu doprowadzała go na skraj cierpliwości.

Benowi Holidayowi zdanie to, w nieco zmienionej okolicznościami formie, dudniło w głowie przez całą drogę z Serca do Sterling Silver: istnieją „duchy” i duchy. Istnieją wytwory wyobraźni i duchy prawdziwe, fantomy zrodzone w umyśle i żywe na swój sposób twory, które straszą nas po nocach.

I w tym wypadku można stwierdzić, iż zbyt wiele jest tych pierwszych, a zbyt mało drugich, choć być może taka sytuacja właśnie ludziom odpowiada.

W każdym razie rycerz wygrawerowany na noszonym przez Bena medalionie – ten, który stanął pomiędzy nim i Żelaznym Markiem, pojawił się, a potem zdematerializował z pewnością należał do tych ostatnich i nie był wynikiem halucynacji, powstałej pod wpływem spożywania owoców tej obcej ziemi. Ben wiedział o tym doskonale – równie dobrze, jak to, że Questor krył przed nim jeszcze jakieś okoliczności dotyczące sprzedaży tronu Landover. Wiedział i zamierzał poznać prawdę o jednym i drugim.

Lecz, póki co, nie dane mu było dowiedzieć się niczego.

Questor, orzekłszy, iż rycerz był duchem, odmówił wszelkich dalszych wyjaśnień, póki nie powrócą bezpiecznie do Sterling Silver. Ben protestował, Abernathy zaczął poburkiwać coś o marznących nogach, a koboldy syczały i szczerzyły zęby w kierunku miejsca, gdzie zniknęły demony. Czarownik pozostał jednak niewzruszony. Ben, choć miał święte prawo wiedzieć o wszystkim, co stało za pojawieniem się owego ducha, którego Questor nazwał Paladynem, chcąc nie chcąc, musiał jednak zaczekać, póki znowu znajdą się w murach zamku.

Sowia twarz maga w końcu się uspokoiła. Pochylony Questor odwrócił się i, nie oglądając się, ruszył w kierunku lasu. Ben nie miał najmniejszej ochoty pozostawać dłużej na polanie, po tym, co się na niej przed chwilą wydarzyło. Pomaszerował więc za nim, niczym posłuszne kurczę za matką-kwoką.

Najwyższy czas, byś zaczął zachowywać się jak król – pomyślał. Lecz kogóż oszukiwał? Władcą Landover był w tym samym stopniu, co prezydent Stanów Zjednoczonych.

Chociaż ukoronowany (przez maga-nieudacznika, psa i dwie posykujące małpy) i chociaż za wszystko to zapłacił okrągły milion dolarów, pozostawał ciągle tylko outsiderem. Był w tym kraju po prostu obcym. Nie pojmował jego zwyczajów i ledwie zaczął rozumieć jego język.

Przyrzekł sobie jednak, że to się zmieni. Albo poradzi sobie z tym, albo przynajmniej się dowie, dlaczego nie może sobie poradzić.

Powrót do zamku zajął im większą część popołudnia. Gdy dotarli do Sterling Silver, zmierzchało, a na brzegu i ponad wodą unosiły się gęstniejące mgły. Widok mrocznej i opustoszałej twierdzy nie poprawił, rzecz jasna, i tak już podłego nastroju Bena Holidaya. Znowu myślał o dziesięciu dniach, które kontrakt dawał na powrót i wycofanie się z kupna. Po raz pierwszy pomyślał, że byłoby to najrozsądniejsze wyjście.

Gdy znaleźli się w zamku, Questor polecił Parsnipowi, by ten przygotował posiłek, a Buniona posłał po ubrania dla Bena.

Potem, zabrawszy ze sobą Bena i Abernathy'ego, podążył z nimi daleko w głąb zamku. Przechodzili niezliczone korytarze i sale. Wszystko było dotknięte zmatowieniem, lecz mimo to oświetlone przez owe bezdymne lampki i ogrzane ciepłem żyjącego organizmu magicznej budowli. Barwy słabo migotały w szarości, a gdzieniegdzie połyskiwało wypolerowane drewno i kamień. Czuło się, że wraz z pojawieniem się zmatowienia odchodzi stąd coś wspaniałego, dostojnego i wzniosłego. Poruszyło to Bena, choć usiłował się przekonywać, że to nie jego sprawa. Spał w końcu w tych murach tylko jeden jedyny raz, więc zamek nie powinien mieć dla niego większego znaczenia. Pewnie by tak było, gdyby Questor nie powiedział, że to żywa istota...

Otrząsnął się z tych myśli, gdy dotarli do ciężkich, dębowych, okutych żelazem drzwi. Przez nie wyszli na niewielkie podwórze, na którym stała mała kapliczka. Kapliczka była poszarzała, jak cała reszta zamku, lecz otaczające wszystko opary zdawały się być tutaj rzadsze, a na kamienne posadzki, ściany i wysokie, zaplamione, zwieńczone łukami okna, padały promienie słońca. Przemaszerowali przez podwórze i wspięli się po schodach do zdobionych, nabijanych i okutych żelazem drzwi kapliczki i weszli do środka.

Ben usiłował dojrzeć coś w blednym świetle. Podłogi, stropy i ściany pokrywała biel i purpura. Barwy wnętrza były wyblakłe, szare i przyćmione. Nie było ani ołtarza, ani ławek.

Na ścianach wisiał oręż i zbroje. Jedyne klęcznik zwrócony był ku znajdującemu się na samym środku pomieszczenia podestowi. Na nim stała jedyna figura: postać rycerza z medalionu.

Ben oniemiał. Przez moment mu się zdawało, że rycerz jest żywy i ich obserwuje. Po chwili zdał sobie jednak sprawę, że na podeście stoi tylko pusta zbroja.

Questor pierwszy wkroczył do kaplicy.

– Chodź, panie.

Ben podążył za nim, nie odrywając spojrzenia od sylwetki na podeście. Zbroja była pogięta i zniszczona, jak gdyby jej właściciel przeszedł w niej liczne bitwy. Ani śladu połysku.

Metal, na skutek zmatowienia, był niemal czarny. Do jednego jej boku na skórzanym pasie przytwierdzony był olbrzymi miecz, do drugiego – ciężka maczuga. Wielka, okuta żelazem lanca spoczywała w metalowej dłoni. Całe to uzbrojenie zdawało się być pozbawione wigoru i energii. Na napierśniku oraz tarczy widniały emblematy przedstawiające wschodzące nad Sterling Silver słońce.

Ben wziął głęboki oddech. Był teraz pewien, że to, przed czym stoi, jest tylko zbroją – pustą skorupą. Był również jednak przekonany, że tę samą zbroję miał na sobie rycerz, który już dwukroć ocalił go przed Żelaznym Markiem.

– Nazywano go Paladynem – rzekł Questor. – Był królewskim czempionem.

– Był? I co się z nim stało?

– Po śmierci starego króla zniknął i od tamtego czasu nikt go nie widział. – Spojrzał w oczy Bena. – To znaczy, do tej chwili – Wygląda na to, że przestałeś podejrzewać, iż to, co widziałem w tunelu, było tylko dziełem mojej wyobraźni.

– Nigdy tak nie myślałem, panie. Obawiałem się jedynie, że mogłeś zostać zwiedziony.

– Zwiedziony? Przez kogo?

W milczeniu patrzyli sobie w oczy. Abernathy drapał się w ucho.

– Ta znacząca pauza w twym opowiadaniu ma zapewne zwiastować kolejną wielką i potworną tajemnicę, która ma zostać przede mną odsłonięta? – rzekł w końcu Ben. – Czy poznam w końcu całą resztę tej historii?

– Tak. – Pokiwał głową Questor.

Ben skrzyżował ręce na piersiach.

– Wspaniale. Ale tym razem wszystko, a nie kolejny kawałek tej układanki. Żadnych niespodzianek na później, dobrze?

Questor znowu skinął głową.

– Koniec z niespodziankami, panie. W zasadzie to przez twój brak zaufania do mnie zabrałem z nami Abernathy'ego.

Abernathy jest nie tylko nadwornym pisarzem, ale i historykiem. Ręczę, że z największą przyjemnością będzie poprawiał moje błędy – westchnął. – Być może do jego słów będziesz miał większe zaufanie.

Ben czekał. Questor Thews przez chwilę zatrzymał spojrzenie na zbroi, a potem rozejrzał się po ścianach pustej kaplicy. Zatopił się w rozmyśleniu. Mijały sekundy, a cisza stawała się coraz głębsza i ciemność powoli zajmowała miejsce wąskiego światła zmierzchu.

– Możesz zacząć, gdy tylko będziesz gotów – burknął niecierpliwie Abernathy. – My tu stoimy, a obiad stygnie na stole.

– Nie wiem, od czego zacząć – rzekł Questor. Jeszcze raz zwrócił się do Bena. – Wiesz, panie, w tamtych czasach, dwadzieścia lat temu, wszystko wyglądało inaczej. Panował stary król, a Paladyn był jego czempionem. Od zarania był czempionem wszystkich królów Landover. Stworzony został mocą magii przez czarodziejskie istoty, podobnie, jak cała ta kraina. Wynurzył się z mgieł, by się stać częścią tego świata. Nikt nie widział nigdy jego twarzy. Zawsze pojawiał się w zbroi, którą widziałeś, zakuty w żelazo od stóp do głów, i z opuszczoną przyłbicą. Dla wszystkich pozostawał zagadką. Nawet dla mego przyrodniego brata okazał się łamigłówką nie do rozgryzienia. – Przerwał. – Landover to coś więcej, niż tylko jeden ze światów, które graniczą z czarodziejską krainą.

Landover jest jego bramą. Powstało właśnie dlatego, by nią być. Lecz, podczas gdy czarodziejski świat jest ponadczasowy i nieograniczony przestrzenią, Landover jest określonym

miejszem w określonym czasie. Tu zbiegają się przesmyki czasu biegnące do wszystkich światów. Niektóre z nich leżą bliżej, inne dalej. Niektóre leżą o krok za zasłoną mgły, podczas gdy inne – tak jak twój – łączy z Landover długi korytarz. W światach bliższych Landover magia zawsze odgrywała większą rolę, miała większą moc. Ich mieszkańcy to często potomkowie istot z czarodziejskiej krainy, które z różnych powodów ją opuściły. Wyszędłszy z zaczarowanego świata, nie mogą już nigdy do niego powrócić. Tylko niektóre z nich znalazły w tej sytuacji szczęście. Większość próbowała odnaleźć drogę powrotu. Kluczem do niej zawsze było i jest Landover.

– Mam nadzieję, że to, co mówisz, zmierza do jakiegoś celu – przerwał Ben.

– To zależy, jaki cel masz na myśli – odrzekł Abernathy.

Questor podkurczył ramiona, kryjąc je w swych obszernych szatach.

– Paladyn był obrońcą króla, który z kolei stał na straży całej krainy. Zawsze istnieli tacy, i w Landover, i poza nim, którzy – jeśliby tylko król i jego rycerz upadli – zamierzali posłużyć się królestwem do własnych celów. Lecz magia strzegąca królestwo była zbyt potężna. Nikt nie potrafił stawić czoła Paladynowi.

Ben zmarszczył nagle brwi, pełen najgorszych podejrzeń.

– Questorze, chyba nie zamierzasz mi powiedzieć, że...

– Powiem ci, panie, wszystko, o czym chcesz wiedzieć przerwał szybko mag. – Chciałeś poznać całą tę historię i właśnie ją poznajesz, lecz muszę cię do tego przygotować.

Otóż gdy stary król zmarł, a jego syn nie wstąpił na tron i zamierzał opuścić kraj, ci, którzy od dawna czekali na nadarzącą się okazję, podpełzli pod bramy Landover. Paladyn zniknął razem z odejściem starego króla i nikt nie potrafił go z powrotem sprowadzić. Mijały miesiące i lata, podczas gdy królewicz i czarownik knuli plany ucieczki z królestwa. Nie było króla – nie było Paladyna. Mój przyrodni brat użył znacznych mocy magicznych, by odnaleźć zaginionego błędnego rycerza. Lecz nawet wielkie moce, które miał we władaniu, okazały się niewystarczające. Paladyn zniknął i nic nie wskazywało na to, by kiedyś miał powrócić.

To, oczywiście, tylko zachęciło tych, którzy czaili się u granic krainy. Jeśli Paladyn rzeczywiście odszedł, znaczyło to, że magiczna moc Landover podupadła i można je teraz podbić. Pamiętaj, panie, że brama zaczarowanego świata jest czymś, za co niektórzy oddaliby wszystko. Mój przyrodni brat dostrzegł to. Wiedział, że musi działać szybko, bo Landover wymknie mu się spod kontroli. – Sowiec twarz napięła się. Obmyślił więc następujący plan. Tron Landover należy sprzedać komuś z możliwie odległego świata. Da to krainie nowego władcę, a maga i królewicza uwolni od zatrzymujących ich tutaj magicznych więzów. Lecz tron sprzedawać się będzie tylko na określony, ograniczony czas, powiedzmy na pół roku czy rok. W ten sposób tron powróci w ich ręce i będą go mogli sprzedać ponownie. Tak to królewski syn powiększać może swój majątek, żyjąc wygodnie poza Landover, a mój przyrodni brat może zdobywać władzę nad kolejnymi światami.

Trudność polegała jedynie na znalezieniu nabywców.

– Więc dlatego Meeks podpisał kontrakt z Rosen's? – przerwał Ben.

– Nie od razu. Początkowo sprzedawał samodzielnie. Jego klienci pochodzili zazwyczaj z najgorszych możliwych środowisk. Byli bogaci, lecz o równie wątpliwym, jak mój przyrodni brat, morale. Częstokroć byli to ludzie, którzy musieli na pewien czas uciec ze swojego świata.

Landover stanowiło dla nich wspaniałe schronienie. Mogli bawić się tutaj, żyć komfortowo w Sterling Silver, a potem, gdy grożące tam im niebezpieczeństwo mijało, powrócić do swego świata.

– Przestępcy! – wyszeptał Ben. – Przysyłał ci kryminalistów! – Pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym spojrzał poruszony na maga. – A co z tymi, którzy nie chcieli wracać?

Czy w ogóle się to kiedyś zdarzyło?

– Owszem, zdarzało się od czasu do czasu – oznajmił Questor. – Lecz to ja czuwałem nad tym, by na czas opuścili Landover, czy tego chcieli, czy nie. Moje magiczne moce w zupełności do tego wystarczały. – Zmarszczył czoło. – Często zastanawiałem się jednak, jak mój przyrodni brat odzyskiwał medalion od tych, którzy powracali. Jego moc pozwalała mu dowiadywać się o ich przybyciu. Lecz w jaki sposób mógł odbierać im medalion?

Zamyślił się, a po chwili wzruszył ramionami.

– Mniejsza o to. Faktem jest, w każdym razie, że od pewnego czasu sprzedawał panowanie nad Landover i zarabiał na tym znaczne sumy. Jednak klienci byli nieobliczalni, więc w Landover działo się coraz gorzej. Pieniądze płynęły do kieszeni królewicza coraz wolniej. Wtedy mój przyrodni brat zrezygnował z ograniczania swej klienteli do wyjętych spod prawa i zdecydował się na sprzedaż na dostępnym dla wszystkich, otwartym rynku. Podpisał kontrakt z Rosen's Ltd. Powiedział im, że specjalizuje się w sprzedaży rzadkich precjozów i nietypowych usług. Przekonał ich o swej renomie, wyczarowując kilka skarbów i kuriozów, które uważano za zaginione. Przyjęty więc został jako oficjalne źródło tego typu towarów. Wtedy zaoferował sprzedaż Landover. Przypuszczam, że początkowo nie mogli w to uwierzyć. Znalazł w końcu jednak sposób, by ich przekonać. Przesłał tutaj jednego z nich na rekonesans.

Questor uśmiechnął się i zmrużył oczy.

– Lecz ci z Rosen's nie znali, rzecz jasna, prawdziwych intencji swego nowego agenta. Mój przyrodni brat i syn starego króla nie zamierzali na zawsze pozbywać rzeczy tak cennej, jaką jest Landover. Umowa z Rosen's zapewniała im pełne prawo do selekcji kandydatów na nabywców. W ten sposób mogli sprzedawać tron ludziom zbyt słabym, by go utrzymać – Odzyskiwali go więc i sprzedawali na nowo. Mogli nawet – za odpowiednie łapówki – przesuwać wybranych przez siebie klientów w górę wyimaginowanej listy oczekujących.

Były to oszustwa nie do wykrycia. Trudność polegała teraz nie na znalezieniu zainteresowanych, lecz na znalezieniu takich, którzy dysponowali dużymi pieniędzmi, a jednocześnie mieli odpowiednio słaby charakter, prędzej czy później skłaniający ich do opuszczenia Landover.

– Rozumiem, że takich jak ja? – Ben poczerwieniał.

Mag wzruszył ramionami.

– Pytałeś |wcześniej, ilu królów miało Landover po śmierci ostatniego prawdziwego władcy. Było ich ponad trzydziestu.

– Dokładnie trzydziestu dwóch – wtrącił Abernathy. W tym roku już dwóch. Ty jesteś trzeci.

– Mój boże! Aż tylu! – Ben drgnął.

Questor tylko pokiwał głową.

– Plan mojego przyrodniego brata funkcjonował wspaniale, przynajmniej do tej chwili. – Przerwał. – Mam nadzieję, że w twoim wypadku jednak się omylił.

– Na twoim miejscu wstrzymałbym się jeszcze z oceną i komentarzem, panie – dodał szybko Abemathy. – Wszystko to jest bardziej zagmatwane, niż przypuszczasz. Mów dalej, magu.

Sowia twarz Questora ściągnęła się.

– Spróbuję, jeśli dasz mi w ogóle szansę. – Spojrzał na Bena. – Ten ostatni plan był niezły, lecz miał dwa słabe punkty. Po pierwsze, dla mojego przyrodniego brata było jasne, że nie każdemu kandydatowi zabraknie hartu ducha, by zmagać się z trudnościami władania Landover. Choć z każdym z nich rozmawiał osobiście, mógł się pomylić i wybrać kogoś, kto jednak będzie potrafił stawić czoła wyzwaniom, jakie staną przed nim w Landover. W takiej sytuacji mój przyrodni brat utraciłby królestwo i nie mógłby już go więcej wystawić na sprzedaż. Drugi problem był poważniejszy. Im dłużej w Landover brakowało silnego króla, a miast niego panowały tu kolejno dziesiątki nieudaczników, tym gorzej działo się w całej krainie. Przed każdym nowym królem stawało coraz to trudniejsze zadanie. Początkowo mój przyrodni brat był zadowolony z takiego obrotu spraw. Lecz im bardziej królestwo podupadało, tym większe stawały się szanse uzurpatorów, którzy od dawna czyhali na jego granicach, by przejąć tron. Tego z kolei mój przyrodni brat się obawiał. – Questor przerwał. – Lecz i na to znalazł sposób. Angażując Żelaznego Marka w walkę o tron, upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Uhm. – Ben zaczynał pojmować, do czego może zmierzać całe to opowiadanie.

– Mark włada Abaddonem, krainą leżącą pod Landover.

Abaddon to świat demonów, czarna otchłań wygnania, od zarania dziejów przeznaczona dla najgorszych z tych, którzy opuścili czarodziejski świat. Zamieszkujące tam demony z pewnością niczego tak nie pragną, jak powrotu do czarodziejskiego świata. A jedyna droga powrotu wiedzie przez Landover. Kiedy mój przyrodni brat włączył Marka do walki o tron, a ten przekonał się, że nie zagraża mu już Paladyn broniący tej krainy, wyszedł z Abaddonu i sam się ogłosił królem.

Brwi maga ściągnęły się ponad jego bystrymi, choć starymi oczami.

– Ale była to tylko maskarada i mój przyrodni brat o tym wiedział. Mark nie może zostać prawdziwym królem Landover, podczas gdy rządzi tu w majestacie prawa ktoś, kto nosi chroniący go medalion. Może jedynie pretendować do tronu i o niego walczyć. Tak więc każdej zimy, gdy drzewa bonnie blues stają się białe, Mark wychodzi z Abaddonu i wyzywa na pojedynek króla Landover. Jak dotąd, nikt nie przyjął tego wyzwania.

– Nic dziwnego – westchnął Ben. – Niech tylko się upewnij, że dobrze cię zrozumiałem. Jak wygląda taki pojedynek Mag wzniósł brwi.

– To walka wręcz, panie.

– Masz na myśli walkę na włócznie, czy coś takiego?

Abernathy dotknął jego ramienia.

– Ma na myśli śmiertelną walkę dowolnie wybraną bronią – walkę na śmierć i życie.

Zapanowała nieskończenie długa cisza. Ben głęboko westchnął.

– A więc to właśnie mnie czeka... Walka na śmierć i życie z demonem. – Z niedowierzaniem kręcił głową. – Nic dziwnego, że nikt nie pozostał tu na dłużej. Nawet jeśli moi poprzednicy

chcieli uporządkować sprawy Landover, to prędzej czy później musieli stawić czoła Markowi. Czy warto w ogóle tego próbować? – Znowu narastał w nim gniew. Czego ode mnie oczekujesz? – zwrócił się do Questora. – Sądziś, że stanę do pojedynku, do którego nikt inny stanąć się nie ośmielił? Musiałbym być szaleńcem!

Przygarbiony Questor przestępował z nogi na nogę.

– Może. Lecz możliwe, że w twoim wypadku będzie inaczej. Nikt z poprzedników nie mógł liczyć na pomoc Paladyna. A on, po dwudziestu latach nieobecności, powrócił właśnie do ciebie.

Ben natychmiast odwrócił się do Abernathy'ego.

– Czy to prawda? Czy Paladyn nie przybył wcześniej nikomu na pomoc?

Abernathy z przekonaniem pokręcił głową.

– Nigdy, panie. – Chrząknął. – Przyznaję to z niechęcią, lecz mag zdaje się mieć rzeczywiście rację. W twoim wypadku może być inaczej.

– Ależ ja nie mam nic wspólnego z pojawieniem się Paladyna – zaprotestował Ben. – Nie mam pojęcia, czy przybędzie właśnie wtedy, gdy będę go potrzebował. On po prostu tam był. Poza tym sam stwierdziłeś, że to duch. Jeśli nawet nie był duchem, to z pewnością nie prezentował najlepszej kondycji. Mark przewyższał go w każdym calu. A już z pewnością nie wyglądał na wystraszonego pojawieniem się tego, pożałuj Boże, królewskiego czempiona. Szczerze mówiąc, nie chce mi się w to wszystko wierzyć. Nadal nie jestem pewien, czy właściwie to zrozumiałem. Pozwól, że spróbuję to podsumować. Meeks, czyli twój przyrodni brat, sprzedaje za wielkie pieniądze tron Landover cudzoziemcom, takim jak ja. Wybiera przy tym takich klientów, którzy nie wytrzymają tutaj zbyt długo. Jeśli nawet omyłkowo wybierze człowieka silniejszego charakteru, to ma w zanadrzu Marka, który w razie potrzeby rozwiąże ten problem. Mark jednak nie może zostać królem, jeśli ktoś inny dzierży medalion – czy tak?

A więc co z tego w ogóle ma? Przecież Meeks miesiąc po miesiącu, rok po roku przysyła tutaj nowych kandydatów.

Questor przytaknął.

– Owszem. Jednak Mark jest demonem, panie, a demony żyją bardzo długo. Jeśli można pozwolić sobie na oczekiwanie, czas ma mniejsze znaczenie. Mark może czekać bardzo, bardzo długo. W końcu mój przyrodni brat i królewicz zmęczą się tą grą. Zgromadziwszy dosyć bogactwa, przestaną interesować się tronem Landover. Pozostawią królestwo swemu losowi.

– Ach tak... – pojął wreszcie Ben. – A kiedy to się wydarzy, Mark siłą rzeczy przejmie Landover.

– To jedna z możliwości. Druga jest następująca: Demon zdoła w jakiś sposób zyskać kontrolę nad medalionem. Nie może sam go zdjąć z szyi noszącej go osoby, lecz prędzej czy później królowie przestaną się zbytnio troszczyć o medalion i utracą go. Możliwe też, że któryś z nich przyjmie wyzwanie Marka i...

Ben błyskawicznie wznosił ręce w górę.

– Nie, nie kończ – zawahał się. – A co z innymi chętnymi do przejęcia tej krainy – z tymi, którzy czają się na jej granicach? Co wtedy zrobią?

Mag wzruszył ramionami.

– Nie są wystarczająco silni, by stawić czoło Markowi i jego armii demonów. Być może kiedyś zyskają przewagę. Do tej pory jedynie Paladyn miał tak wielką moc.

Ben zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem, dlaczego Paladyn zniknął tak po prostu po śmierci starego króla. Jeśli rzeczywiście był obrońcą tronu i krainy, dlaczego miałby zniknąć z powodu zmiany króla? A co z czarodziejskimi istotami? Czyż nie powiedziałeś, że stworzyły Landover jako bramę do swego świata? Dlaczego więc jej nie strzegą?

Questor pokiwał głową, lecz nic nie powiedział. Abernathy również milczał. Ben przyglądał się im przez chwilę, po czym zwrócił się ku ustawionej na podeście zbroi. Była zmatowiała, zniszczona i zardzewiała. Przypominała wyrzucony na złomowisko wrak samochodu. Oto co pozostało z obrońcy tronu Landover! Podszedł do klęcznika i w milczeniu wpatrywał się w metalową skorupę. Oto co widział we mgłach przesmyku czasu i w tych wypełniających las otaczający polanę zwaną Sercem. Może była to po prostu jakaś część owych mgieł? Nie uważał tak, choć niczego nie mógł być pewien. Był to wszak świat magii, a nie nauk ścisłych. Sny i wizje stawały się tutaj rzeczywistością.

– Questorze, stwierdziłeś, że Paladyn to duch – rzekł w końcu, nie odwracając się. – W jaki sposób mógłby mi pomóc, będąc jedynie duchem?

Nastąpiła długa cisza.

– Nie zawsze był duchem. Być może nie musi pozostać nim na zawsze.

– Masz na myśli życie po śmierci?

– Paladyn był istotą stworzoną mocą magii – cicho odrzekł Questor. – Możliwe, że nie zna rozgraniczenia pomiędzy życiem i śmiercią.

– Czy wiesz, w jaki sposób moglibyśmy się tego dowiedzieć?

– Nie.

– A może wiesz, jak moglibyśmy go tutaj z powrotem sprowadzić?

– Nie.

– Tak przypuszczałem. Możemy jedynie mieć nadzieję, że pokaże się tutaj, nim Mark wyzwie mnie na pojedynek, i dołączę do listy byłych królów Landover.

– Istnieje inny sposób. Możesz wykorzystać medalion.

Dzięki niemu powrócisz do swego świata, kiedy tylko zechcesz. Nawet Mark cię nie powstrzyma. Wystarczy tylko, że sobie tego zażyczysz.

Ben skrzywił się. Wspaniale! Stuknij tylko trzykrotnie czerwonymi trzewikami i powtórz „Nie ma to jak w domu”, a w jednej chwili powrócisz do Kansas**. Po prostu pysznie. Jeśli by chciał odzyskać pieniądze, musiałby to zrobić w ciągu najbliższej doby. Obojętnie, czy zdecyduje się na to teraz, czy też dopiero, gdy przybędzie Mark, by go zgładzić, będzie to po prostu ucieczka. Porażka kolejnego władcy tej krainy.

Zacisnął zęby. Nie lubił przecież przegrywać. Nie lubił się poddawać. Z drugiej strony nie zachwycała go szczególnie perspektywa śmierci w pojedynku z Żelaznym Markiem.

* Aluzja do Doroty w Krainie Oz.

– Jak, do licha, się w to wszystko wplątałem? – mruzczał pod nosem.

– Czy coś mówileś, panie? – spytał Questor.

Ben odwrócił się od zbroi i w wypełnionym długimi wieczornymi cieniami wnętrzu odszukał wzrokiem pochylone sylwetki maga oraz Abernathy'ego.

– Nie – westchnął. – Mruczałem.

Abernathy i Questor pokiwali tylko głowami.

– Rozmyślałem.

Dwaj towarzysze znowu pokiwali głowami.

– Ja tylko... – zaczął załamującym się głosem i zamilkł. Cała trójka patrzyła teraz po sobie w ciszy i nikt z nich nic więcej już nie powiedział.

Gdy opuszczali kaplicę, panowały już niemal całkowite ciemności. Skierowali się ku schodom i ruszyli w drogę powrotną nie kończącymi się korytarzami zamczyska. W mroku rozsiewały swój blask bezdymne lampki. Podłoga i ściany promieniowały pulsującym ciepłem.

– Co z tego wszystkiego macie? – spytał w którymś momencie Ben.

– Hm? – pochylona sylwetka odwróciła się ku niemu.

– Czy dostajecie część zysków ze sprzedaży tronu?

– Ależ panie!

– Sam powiedziałaś, że pomagałaś sformułować treść ogłoszenia, czyż nie?

Mag poczerwieniał z oburzenia.

– Nie otrzymałem za to żadnych pieniędzy.

Ben wzruszył ramionami i zwrócił się do Abernathy'ego.

Ten – o dziwo – po raz pierwszy chyba wstrzymał się od komentarza.

– Przepraszam – rzekł Ben. – Zastanawiałem się po prostu, dlaczego się w to angażujecie.

Nie odpowiedzieli. Ben nie próbował naciskać. Rozmyślając o tym, doszedł do wniosku, że Questor zyskał dzięki temu to na czym zawsze tak bardzo mu zależało, czyli tytuł i stanowisko nadwornego maga. Póki stanowisko to zajmował jego przyrodni brat, Questor wiódł życie pozbawione prawdziwego celu. Teraz cel ten odnalazł. Uczyniło go to widać wystarczająco szczęśliwym, by w zamian pomagać przyrodniemu bratu w jego ciemnych interesach.

Ale czyż i ja nie działałam z podobnych pobudek? Czy moja sytuacja nie jest podobna? – zastanowił się nagle.

Myśl ta uderzyła go. Dlaczego w ogóle nabył tron Landover? Nie kupił go przecież z myślą, że będzie to kraj, w którym będzie żył niczym w Sun City, grając w golfa i medytując o celach egzystencji. Przybył tu, by uciec od świata i życia, które zaczęło tracić sens, nie stawiając przed nim nowych wyzwań. Był wędrownikiem tak jak ongiś Questor. Tron Landover mógł dać cel jego życiu. Mógł rzucić mu wyzwanie, którego przecież Ben tak szukał.

Czym więc się tu gryźć?

Spokojnie, myślał. Gryzł się, bowiem wyzwanie to mogło go zabić – i to w sensie jak najbardziej dosłownym. Nie siedział teraz na wypełnionej prawnikami sali sądowej, w której

dyskutuje się nad zastosowaniem przepisów prawa. Stał na polu bitwy, gdzie walczy się w zbroi i z orężem w ręku. Walczy się o przetrwanie, a wygrywa najsilniejszy. Był królem pozbawionym armii, dworu i skarbu. Poddani nie chcieli go uznać i podporządkować się jego władzy. Był królem na zamku, który powoli się rozpadał w pył. Czwórka jego jedynych towarzyszy była stworzeniami rodem z baśni braci Grimm, a rycerz, który miał go chronić, okazał się w dziewięciu dziesiątych duchem. Nie oczekiwał chyba, że trafi do jakiejś rajskiej krainy, lecz z pewnością nie przypuszczał, że spotka go cokolwiek podobnego.

A może jednak liczył na zbyt wiele?

Rozmyślając, ruszył na kolację.

Jadł w wielkiej sali, a Questor, Abernathy i koboldy dotrzymywali mu towarzystwa. Gdyby nie jego naciski, by jadalі razem z nim, jadałby zapewne sam. Questor twierdził, że są poddanymi władcy Landover, a poddani nie jedzą z królem, o ile ten ich sam nie zaprosi. Ben oznajmił więc, że od tej chwili, mają nieustające zaproszenie aż do czasu, gdy zażyczy sobie inaczej.

Kolacja była zdecydowanie mniej bogata w wydarzenia od poprzedniej. Na stole stały świece i elegancka zastawa z porcelany. Jedzenie było wyśmienite i nikomu nie było spieszo, by przykładać ręce do jego udoskonalania. Konwersację ograniczyli do minimum. Parsnip i Bunion jedli milczeniu, a Questor i Abernathy rzadko wymieniali uszczypliwe uwagi na temat kulinarnych zwyczajów ludzi i psów. Ben, wygłodzony bardziej, niż mogłoby się zdawać, próbował po odrobinie wszystkiego, co było na stole, trzymając się jednak z dala od wina. Swoje myśli zatrzymał dla siebie. Nikt ani słowem nie wspomniał o koronacji, Marku czy Paladynie.

Wszystko odbywało się ściśle zgodnie z wymogami kurtuazji i dobrego wychowania, a rytuał ten zdawał się nie mieć końca.

W końcu Ben odesłał współbiesiadników i pozostał przy stole jedynie w towarzystwie płonących świec. Jego myśli krążyły wokół Landover. Powinien w nim pozostać, czy też je opuścić? Jak gruba okaże się ściana nierozwiązywalnych problemów, o którą wali teraz głową? Jaki jest sens próbować dalej? Jak wiele diabłów zmieści się na czubku szpilki?

Pytania te pochłoneły go całkowicie. Idąc spać, nadal o nich rozmyślał.

Następnego ranka obudził się o świcie, umył w stojącej obok łoża miednicy, ubrał się w dres i adidas, i cicho przemknął salami i korytarzami zamku. Poruszał się prawie bezgłośnie, lecz słuch Abernathy'ego okazał się niezawodny i skryba oczekiwał go przy bramie.

– Śniadanie, panie? – zapytał, spoglądając na Bena sponad swych wiecznie zsuwających się okularów.

– Nie, jeszcze nie teraz. Chcę pobiegać. – Ben potrząsnął głową.

– Pobiegać?

– Tak, właśnie. Robiłem to zawsze przed przybyciem do Landover, a teraz mi tego brakuje. Tęsknię za treningami w klubie sportowym Northside. Brak mi sparingów, treningu szybkościowego i z ciężkim workiem. Nazywamy to boksem, przypuszczam, że nic ci to nie mówi.

– Tak, to prawda. Psy nie boksują – odparł Abernathy. Jednakże psy biegają. Gdzie zamierzasz biegać dzisiaj rana, panie?

Ben zawahał się.

– Jeszcze nie wiem. Chyba po graniach -wzgórz otaczających dolinę. Tam jest najbardziej słonecznie.

Abernathy przytaknął.

– Przyślę kogoś, by ci towarzyszył.

– Nie, dziękuję, poradzę sobie sam. – Ben potrząsnął głową.

– Na twoim miejscu nie byłbym tego aż tak pewien, panie – rzekł i zniknął w głębi korytarza.

Ben przez chwilę go obserwował, po czym ruszył przez bramę w kierunku miejsca, gdzie cumowała łódź. Wszedł na pokład. Kierowana myślą, sunęła poprzez szare wody jeziora w stronę brzegu. Pomyślał, że nie potrzebuje nikogo, kto musiałby się nim opiekować. Nie jest przecież małym dzieckiem.

Dopłynąwszy do brzegu, wyskoczył z promu i ruszył biegiem przed siebie. Powoli wspinał się po zboczach doliny, aż dotarł do grani. Tam zawrócił w prawo i znowu zaczął biec wzdłuż skraju lasu. W dole rozciągała się zalana półmrokiem dolina. Nad nim, skąpane w porannych mgłach, blade światłem żarzyło się słońce.

Biegł lekko, pozwalając również myślom biec w rytmie swych kroków po wilgotnej ziemi. Czuł się rzeński, sprawny i silny. Od czasu przybycia do Landover nie czuł się jeszcze tak dobrze. Mijane drzewa szybko migały i znikły za jego plecami. Pytania minionej nocy stale kołatały się w jego głowie. Był to ostatni z dziesięciu dni, jakie umowa zawarta z Meeksem dawała na zmianę decyzji i wycofanie się bez utraty wszystkich pieniędzy. Jeśli nie odejdzie stąd teraz, straci milion dolarów, które zapłacił za objęcie tronu. A co gorsza, może też stracić życie, choć Questor zapewniał go, że medalion przeniesie go do jego świata w jednej chwili, gdy tylko o tym pomyśli. W każdym razie sytuacja była jasna. Mógł pozostać i podjąć się rozwiązania niezliczonych problemów tej krainy jako jej król. Musiałby wtedy zaryzykować spotkanie z Markiem i utratę miliona dolarów. Ale mógł przecież odejść, przyznając, że Miles słusznie ostrzegł go przed tą transakcją, i odzyskać prawie całą sumę, którą na ten cel wydał. Żadna z owych perspektyw nie była jednak zbyt pociągająca. W zasadzie obydwa wyjścia były nie do przyjęcia.

Oddychał teraz szybciej, czując, jak zmęczenie osiada w jego mięśniach. Przyspieszył, starając się utrzymać lekki krok i przewyciężyć opór ciała. Kątem oka dojrzał w lesie jakiś przemieszczający się, ciemny kształt. Rozejrzał się wokół uważnie. Kształt zniknął. Widocznie musiał mu się coś przewidzieć. Biegł dalej.

Znowu myślał o Paladynie, błędnym rycerzu tej krainy.

Przeczuwał, że to Paladyn musi być kluczem do rozwiązania problemów trapiących Landover. Zbiegnięcie się w czasie śmierci starego władcy i zniknięcia Paladyna nie było na pewno dziełem przypadku. Od tamtej chwili w królestwie zaczęło się dziać coraz gorzej. Pomiedzy królem i Paladynem istniała jakaś więź, którą musiał koniecznie zrozumieć. Być może jemu właśnie powinno się to udać, skoro – o ile Questor mówił prawdę – ponowne, dwukrotne pojawienie się Paladyna miało związek z przybyciem Bena do Landover. Może w jakiś sposób zdoła sprowadzić Paladyna po raz trzeci i wtedy sprawdzi, czy jest on faktycznie tylko duchem.

Ben biegł, a słońce powoli wznosiło się na niebie. Gdy zawrócił, kierując się w dół, ku przystani łodzi-promu, poranek był już w pełni. Jeszcze dwukrotnie dostrzegł jakieś cienie

poruszające się wśród drzew lasu, lecz za każdym razem, po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdzał, że niczego tam nie ma. Przypomniawszy sobie ostrzeżenia Abernathy'ego, ale w końcu machnął na nie ręką. Ludzie zawsze mówią ci, żebyś nie chodził po ulicach Chicago, lecz przecież nie możesz spędzić życia zamknięty w mieszkaniu.

Rozmyślał o tym wszystkim, płynąc z powrotem na wyspę. Człowiek musi czasami ryzykować swym życiem. Gdyby tego nie czynił, to jakież by ono w ogóle miało sens? Rozsądna ocena ryzyka jest bardzo ważna, lecz doświadczanie go – równie istotne, jeśli chce się żyć pełnią życia. To właśnie do tego zawsze próbował przekonać Milesa. Czasami robisz różne rzeczy tylko dlatego, że inni uważają je za stosowne.

Czasami jednak robisz coś, bo...

Nagle przypomniał sobie twarze owych rolników i pasterzy z rodzinami, owych myśliwych i żebraka, którzy przybyli do Serca na jego koronację. Wyrażały one jakąś rozpaczliwą nadzieję, jak gdyby ludzie ci chcieli wierzyć, że Ben zdoła stać się ich prawdziwym królem. Było to wprawdzie tylko kilka osób, wobec których nie czuł się w zasadzie odpowiedzialny, lecz...

Łódź dobiła do brzegu wyspy na wprost głównego wejścia zamku. Pograżony w myślach Ben podniósł się wolno.

Niewiele brakowało, a nie zauważyłby ukrytego w cieniu bramy Abernathy'ego.

– Śniadanie, panie?

– Co?! – wzdrygnął się Ben. – Ach, tak. Oczywiście, z przyjemnością coś bym zjadł. – Wygramolił się z łodzi i ruszył szybko do zamku. – I przyślij do mnie Questora.

– Tak, panie. – Pies podązał za nim, stukając pazurami o kamienną posadzkę. – Czy przyjemnie się biegało?

– Tak, bardzo. Przepraszam, że nie czekałem. Pomyślałem, że nie warto nikogo trudzić tylko po to...

Nastąpiła chwila ciszy. Ben poczuł spojrzenie psa na plecach i się odwrócił.

– Sądzę, że powinienem ci jednak powiedzieć, panie, że Bunion nie odstępował cię na krok. Wysłałem go, by mieć pewność, że jesteś odpowiednio chroniony.

Ben uśmiechnął się.

– Tak, zdawało mi się, że kogoś widziałem. Czy rzeczywiście musiał za mną biec?

Abernathy wzruszył ramionami.

– To zależy od tego, czy potrafiłbyś poradzić sobie z szarym wilkiem, jaskinnikiem i chwyćcem bagiennym, które Bunion unieszkodliwił, gdy się czaiły, by upolować cię na śniadanie. – Odwrócił się i skrzywił w boczny korytarz. – A co do śniadania, to twoje czeka w komnacie jadalnej, panie. Pójdę po maga.

Ben odprowadził Abernathy'ego wzrokiem. Chwyćciec bagienny? Jaskinnik? Na jego czole pojawiły się nagle krople potu. Na litość boską! Przecież niczego takiego tam nie widział! Czyżby to był jakiś makabryczny dowcip Abernathy'ego?!

Zawahał się, po czym pospieszył do komnaty. Nie, Abernathy nie żartowałby sobie z takich rzeczy. Rzeczywiście musiało mu zagrażać niebezpieczeństwo, o którym nie miał nawet pojęcia.

Samotnie zjadł śniadanie. Parsnip przyniósł mu je i odszedł.

Abernathy się nie pojawił. Gdzieś w połowie posiłku dostrzegł cień Buniona stojącego przed wejściem po przeciwnej stronie komnaty. Kobold błysnął w mroku rzędami ostrych, białych zębów i zniknął. Ben nie odwzajemnił uśmiechu.

Niemal już kończył, gdy w końcu w drzwiach pojawił się Questor. Ben odstawił talerz i kazał magowi siąść obok siebie.

– Questorze! Chcę wiedzieć dokładnie o wszystkim, co zmieniło się po śmierci starego króla. Chcę wiedzieć, jak było w tamtych czasach. Muszę dojść do tego, co należy zrobić, by przywrócić tamten stan rzeczy.

Questor Thews wolno pokiwał głową. Brwi nad jego bystrzymi oczami się zmarszczyły. Położył dłonie na stole.

– Spróbuję, panie, choć niektóre sprawy mogły umknąć mej pamięci. O niektórych już wiesz. Istniała królewska armia – teraz jej nie ma. Istniał dwór z najemną służbą. Z niego pozostaliśmy tylko my: Abernathy, Bunion, Parsnip i ja. Był skarbiec. Teraz świeci pustkami. Istniał system podatków i corocznych danin. Załamał się. Mieliśmy program robót publicznych, reform społecznych i ochrony dóbr natury.

Upadł. Obowiązywały prawa, których przestrzegano. Teraz wszyscy je ignorują. Funkcjonowały traktaty i niepisane umowy między mieszkańcami tej krainy. Zapomniano o nich. Niektórzy otwarcie je łamią.

– Poczekaj! – Ben potarł policzek. – Czy pomiędzy poddanymi istnieją w tej chwili jakies umowy?

– Nie, wszyscy idą swoimi drogami. Ludzie, istoty półludzkie i czarodziejskie – nikt nie ufa już nikomu.

Ben zmarszczył czoło.

– I osoba króla dla nikogo nie ma wielkiego znaczenia?

Nie, nie odpowiadaj. Sam potrafię sobie odpowiedzieć na to pytanie. – Przerwał. – Czy wśród nich jest ktoś tak silny, by stawie czoło Markowi?

Mag zawahał się.

– Może Nocny Cień. Ma wielką moc magiczną. Ale i dla niej pojedynki z Markiem byłyby wielkim ryzykiem. Tylko Paladyn był wystarczająco silny, by pokonać demona.

– A jeżeli wszyscy by się przeciw niemu sprzymierzyli?

Tym razem wahanie Questora trwało trochę dłużej.

– Owszem, wtedy można by pokonać Marka i jego armię.

– Ale najpierw trzeba by było znaleźć kogoś, kto ich zjednoczy.

– Tak, trzeba by było...

– I kimś takim mógłby być król Landover.

– Tak, mógłby...

– Ale na razie król Landover nie może zgromadzić tłumów nawet na swej koronacji.

Questor milczał. Wpatrywali się w siebie ponad stołem.

– Questorze, co to jest chwyciec bagienny? – spytał w końcu Ben.

Mag zmarszczył brwi.

– Chwyciec bagienny, panie?

Ben skinął głową.

– Chwyciec bagienny to rodzaj stworzenia leśnego, które gnieździ się na moczarach i paraliżuje swe ofiary językiem.

– Czy poluje rankiem?

– Owszem.

– Czy poluje na ludzi?

– Owszem, na ludzi również. Panie...

– A Bunion... czy on potrafiłby sobie poradzić z takim chwyccem?

Questor zamknął usta, rezygnując z tego, co zapewne chciał powiedzieć. Zmarszczył brwi.

– Kobold potrafi stawić czoło niemal wszystkiemu, co żyje.

Koboldy są w walce bardzo zaciekle.

– Dlaczego Parsnip i Bunion pozostali w zamku, podczas gdy opuściła go cała służba?

Teraz twarz Questora stanowiła jedną wielką zmarszczkę.

– Są tu, ponieważ przysięgli wierną służbę tronowi i władcy. Koboldy nie rzucają słów na wiatr. Nigdy nie łamią złożonych obietnic. Bunion i Prsnip pozostaną tu tak długo, jak długo istnieje król Landover.

– Czy podobnie jest z Abernathym?

– Tak. Sam wybrał tę służbę.

Pauza trwała dłuższą chwilę.

– Ja również, panie.

Ben rozparł się w krześle. Milczał przez moment, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, wpatrując się w Questora.

W ciszy słuchał szeptu myśli maga i snuł swe własne.

W końcu słabo się uśmiechnął.

– Zdecydowałem się pozostać.

Questor odwzajemnił jego uśmiech.

– Rozumiem. -Wyglądał na niezmiernie zadowolonego. Tak przypuszczałem.

– Tak? – roześmiał się Ben. – Wiedziałeś w takim razie więcej ode mnie, bo decyzję podjąłem właśnie teraz.

– Jeśli mogę zapytać: co cię skłoniło, by tutaj pozostać?

Uśmiech zniknął z twarzy Bena. Wahał się przez chwilę, myśląc znowu o tych kilku, którzy przyszli na koronację.

W istocie nie różnili się aż tak znacznie od jego klientów z czasów praktyki prawniczej, a jego rola tutaj nie różniła się wiele od roli ich adwokata. Być może coś im jednak zawdzięczał.

Nie podzielił się jednak tą myślą z Questorem. Wzruszył tylko ramionami.

– Sądzę, że to wynik zwykłej kalkulacji. Pozostanie tu ta] kosztować mnie będzie milion dolarów. O ile w ogóle zachowam życie. Powrót zaś kosztował mnie będzie utratę szacunku dla siebie. Chciałbym wierzyć, że mój szacunek do siebie jest wart tego miliona.

– Zapewne jest – przytaknął mag.

– Poza tym nie lubię rezygnować z czegoś, co już zacząłem– Drażni mnie myśl, że Meeks wybrał mnie, bo sądził, że należę do tych, którzy łatwo się poddają. Bardzo chciałbym zawieść jego oczekiwania. Im dłużej tutaj zostanę, tym większa szansa, że znajdę sposób, by sobie z tym poradzić. To gra warta ryzyka.

– Niebezpieczeństwa są jednak poważne.

– Wiem. I myślę, że nikt poza mną nie zastanawiałby się dwa razy, czy warto się z nimi mierzyć.

Questor myślał przez chwilę.

– Możliwe. Ale nikt nie znajduje się w takiej sytuacji.

– Taaak – westchnął Ben. – W każdym razie sprawa jest jasna. Zostaję tutaj i kropka. – Powoli powstał. – Teraz pragnę się skoncentrować na problemach Landover, nim one same zdołają się na mnie zwalić.

Questor pokiwał głową.

– A pierwszym z tych problemów jest skłonienie ludzi do uznania mnie za prawdziwego króla, a siebie za mych poddanych. Muszą przyrzec wierność tronowi. Gdyby mieli choć trochę dobrej woli, przysliby na koronację. Ponieważ jednak nie przyszli, my pójdziemy do nich, gdziekolwiek się kryją.

Questor zmarszczył brwi.

– Nie jestem przekonany do takich planów, panie. To może się okazać bardzo niebezpieczne.

Ben wzruszył ramionami.

– Możliwe. Lecz nie sądzę, byśmy mieli jakikolwiek wybór. – Wyprostował się. – Czy mógłbyś się zastanowić, od czego powinniśmy zacząć?

Mag westchnął i również powstał.

– Myślę, że powinniśmy zacząć od początku.

WŁADCY GREENSWARD

Wielu było takich, którzy przysięgali wierność królowi Landover. Niektóre rodziny od pokoleń stawały w armii władców tej krainy i pomagały im się utrzymać na tronie. Liczni mogli się pochwalić całym szeregiem zasług świadczących o lojalnej służbie. Nikt jednak, ani pod względem dowodów wierności, ani okresu, przez jaki był związany z królem, nie mógł się równać z władcami Greensward. To właśnie do nich doradzono Benowi udać się na początek.

– Wywodzą się z rodów o tradycji sięgającej tysięcy lat.

Niektóre z nich pamiętają czasy powstania Landover – wyjaśnił Questor. – Zawsze stali po stronie króla. Tworzyli szkielet jego armii, stanowili elitę jego doradców i dworu. Niektórzy z nich sami zasiadali na tronie Landover, choć ostatnio zdarzyło się to kilkaset lat temu. Zawsze jako pierwsi ofiarowywali swoją służbę. Gdy stary król zmarł, odeszli z dworu jako ostatni. Jeśli w ogóle gdziekolwiek zyskasz wsparcie, panie, to z pewnością u nich.

Ben przyjął radę maga, choć w zasadzie zabrzmiała niczym ostrzeżenie. Następnego dnia o poranku wyruszył w kierunku rozległych posiadłości baronów. Towarzyszyli mu wszyscy:

Questor Thews, Abernathy i dwa koboldy. Ben, mag i skryba jechali konno, gdyż droga do Greensward była daleka. Koboldy również mogły jechać wierzchem, jeśli tylko zechciały.

Lecz stworzenia te z reguły nie używają koni, gdyż potrafią poruszać się szybciej od najszybszego rumaka, i niemal zawsze podróżują piechotą. Poza tym konie stają się bardzo niespokojne, gdy dosiąść chce je kobold. Ben całkowicie to rozumiał. W końcu i on w towarzystwie kogoś, kto z taką łatwością radzi sobie z szarym wilkiem, jaskinnikiem i chwyćcem bagiennym, odczuwał lekki niepokój.

Byli szczególnie wyglądającą grupką podróżnych. Questor jechał na przedzie. Jego wysoka, szczupła i pochylona sylwetka była okryta jasną szatą, kryjącą od lat zapewne czekający naprawy szary strój maga. Za nim, na narowistym i parsającym gniadoszu imieniem Wishbone, nazwanym tak z racji białej plamy o dziwnym kształcie, podążał Ben. W drodze rumak ten zdażył dwukrotnie ponieść. Po drugim incydencie Questor uderzył konia mocno w nozdrza, a na jego język rzucił jakiś czar. To, jak się zdaje, przywiodło zwierzę do zdrowych zmysłów. Za Benem, na grzbiecie gniadego wałacha o białym łbie, jechał Abernathy. Wiózł królewskie insygnia władzy, wraz z dopiero co poznanymi przez Bena królewskimi godłami, wyhaftowanymi szkarłatem na białym tle. Widniał na nich Paladyn wyjeżdżający o wschodzie słońca z zamku Sterling Silver. Zaiste niezwykłym przeżyciem jest widok miękkowłosego wheaten terriera w okularach i tunice, na dodatek jadącego konno i dzierżącego w łapie herbowy proporzec. Ben powstrzymywał się jednak od uśmiechu, gdyż sam Abernathy nie widział w tym z pewnością nic zabawnego. Za nim szedł Parsnip, na długiej linii prowadzący kilka osłów obciążonych żywnością, strojami i sprzętem obozowym.

Wysłany przez Questora Bunion poszedł przodem, by uprzedzić władców Greensward, iż król pragnie się z nimi spotkać.

– Nie mają wyboru. Muszą cię przyjąć – orzekł Questor. Kurtuazja nie pozwoliłaby im odmówić spotkania z panem, którego status jest równy lub wyższy niż ich. Oczywiście, musieliby przyjąć cię również, gdybyś był prostym wędrowcem, poszukującym schronienia i stawy. Lecz to przecież niegodne króla.

– W tej sytuacji bardzo niewiele rzeczy jest poniżej mojej godności – odrzekł Ben.

Jechali przez mgły i półmrok wczesnego poranka, oddalając się od wybrzeży jeziora. Później skęcili na wschód i zbliżyli się powoli do obrzeża doliny. Kilkakroć Ben oglądał się za siebie, obserwując tonącą we mgle sylwetkę Sterling Silver, widoczną na tle porannego nieba. Jego mury, umocnienia Wishbone – wróżebna „kość życzeń”, czyli ptasi obojczyk.

i wieże zdawała się trawie jakaś bezimienna choroba. Ze zdziwieniem stwierdził, że trudno mu stamtąd odchodzić. Może faktycznie na pierwszy rzut oka zamek przypominał mroczną kryjówkę Drakuli. Być może rzeczywiście wyglądał przygnębiająco, lecz Ben zdołał już poznać jego ciepło i pulsujące w jego wnętrzu życie. Czuł się w nim jak w domu. Pragnął coś dla niego zrobić.

Uspokajał się myślą, że któregoś dnia będzie w stanie pomóc umierającemu zamczysku.

Po jakimś czasie zamek, mgły i dolina zniknęły za ich plecami. Niewielka grupka podróżnych podążała teraz poprzez lasy i wzgórza na wschód, w kierunku samego serca Landover. Jechali przez większą część dnia, zatrzymując się jedynie na posiłek w południe i parę razy na krótkie odpoczynki. Tuż przed zmierzchem dotarli do rejonu wielkich równin, pastwisk i pól uprawnych. Byli w Greensward.

Obozowisko na tę noc rozbili pośród kępy jodeł, na pagórku, z którego rozpościerał się widok na pastwiska. Chodziły po nim krowy i kozy. Kilka mil dalej stało parę niewielkich szałasów i drewnianych chat. Gdy tylko Questor dał znak, że tu się zatrzymają, Ben z rozkoszą zsunął się z grzbietu konia.

Minęło już trochę czasu od chwili, kiedy ostatnio jeździł wierzchem. Prawdę mówiąc, musiało to być jakieś dwadzieścia lat temu, jeszcze w college'u. Umówił się wtedy na randkę. Teraz, odległy od tamtego wydarzenia o cały świat i całe dorosłe życie, przypominał sobie objawy, jakie wywołuje długa podróż takim środkiem lokomocji. Całe ciało zeszywniało, a gdy próbował zrobić kilka kroków, miał wrażenie, że ziemia rusza mu się pod nogami. Ciągle czuł się, jak gdyby nadal siedział na koniu i ścisnął go kolanami. Wiedział, że jutro będą go bolały wszystkie mięśnie od ramion w dół.

– Czy zechciałbyś się ze mną przespacerować, panie? zaproponował Questor i skinął na Bena. Ten już zamierzał zbesztać maga za sam pomysł proponowania czegoś takiego człowiekowi w jego stanie, lecz stłumił rozdrażnienie i podążył za nim.

Przeszli zaledwie kawałek i zatrzymali się na skraju zbocza pagórka. Stojąc ramię w ramię, wpatrywali się w rozciągające się przed nimi rozległe równiny.

Questor wskazał ręką linię horyzontu.

– To Greensward, panie. Siedziba i posiadłości najstarszych rodów Landover. Ich tereny to prawie połowa królestwa. Zamieszkiwało tutaj, według ostatnich obliczeń, dwadzieścia rodzin, które rządziły całą tą ziemią i żyjącymi na niej poddanymi. Byli to, oczywiście, poddani króla.

– Oczywiście. – Ben wodził oczami po obrzeżach doliny. Powiedziałaś o dwudziestu rodzinach „według ostatnich obliczeń”. Co masz na myśli?

Mag wzruszył ramionami.

– Rodziny łączą się przez małżeństwa. Rodziny przyjmują opiekę silniejszych rodzin. Rodziny wymierają. A w tym czasami ktoś im trochę pomaga.

Ben spojrział na niego kątem oka.

– Czarujące. A więc jednak nie żyją ze sobą w takiej zgodzie?

– Zjednoczeni pod rządami starego króla byli mniej skłonni do walki o dominację. Teraz, gdy brak monarchy, stali się bardziej podejrzliwi, częściej knują przeciwko sobie.

– Te okoliczności mógłbym chyba wykorzystać, prawda?

– Tak, jest to możliwe. – Sowa twarz zwróciła się ku Benowi. Ten pokiwał głową.

– Lecz równie możliwe jest, że podejrzliwość skłoni ich do tego, by jak najprędzej się mnie pozbyć.

Questor cmoknął.

– Będę przy tobie, panie. Poza tym nie sędzę, żeby fatygowali się, by pozbyć się króla, którego i tak uważają za nic nie wartego. W końcu odmówili nawet przybycia na twoją koronację.

– Jesteś prawdziwym źródłem inspiracji, Questorze – sucho skomentował Ben. – Cóż uczyniłbym bez twego wsparcia?

– Och, to przecież tylko mój obowiązek. – Questor albo nie dostrzegł złośliwości, albo całkowicie ją zignorował.

– O czym jeszcze powinienem wiedzieć?

– Właściwie to wszystko. – Stali teraz twarzą w twarz. W lepszych czasach ziemie te były żyzne, bydło tłuste. Żyli tu licznie poddani, z których można by utworzyć tuzin królewskich armii. Jak zobaczysz jutro, wiele się zmieniło na gorsze.

Lecz wszystko to da się naprawić, jeśli znajdziesz sposób, by skłonić władców Greensward do przyrzeczenia ci wierności.

Jeszcze raz spojrzął na równinę i ruszył w stronę obozowiska. Ben pokiwał głową z niedowierzaniem.

– Popracuję nad tym – wymamrotał.

Przygotowanie obozowiska zajęło im znacznie więcej czasu, niż przewidywali. Trzeba było rozstawić namioty, a Questor zaofiarował się, że pomoże przy tym mocą magii. Moc magii nadeła namioty niczym balony i sprawiła, że uniosły się w powietrze. Parsnip musiał wykazać się nie lada zręcznością, by zdjąć je potem z wierzchołków najwyższych drzew.

Uniesiony gniewem Abernathy mimowolnie zawarczał na widok jakiegoś zbląkanego kota i spłoszone konie uciekły z prowizorycznej zagrody. Schwywanie ich zajęło im kolejną godzinę. Kiedy wreszcie tego dokonali, zaczęli rozładowywać królewskie insygnia, sztandary, zapasy jedzenia i wody.

Przygotowali posłania. Na szczęście obyło się przy tym bez kolejnych incydentów.

Katastrofa nastąpiła dopiero przy kolacji. Parsnip przygotował wołowinę z warzywami w sosie. Potrawa wspaniale pachniała w czasie gotowania, lecz straciła nieco na atrakcyjności, gdy Questor czarami zwiększył siłę płonącego pod kociołkiem ognia. Niewielkie palenisko zamieniło się nagle w miniaturę wulkanu, w wyniku czego poczerniał i kociołek, i jego zawartość. Owoce bonnie blues były może i smaczne, lecz Ben wolałby zjeść choć talerz czegoś konkretniejszego.

Questor i Abernathy sprzeczekali się na temat zachowania ludzi i psów, a Parsnip posykiwał to na jednego, to na drugiego. Ben zaczął się zastanawiać, czy nie zdrowiej byłoby jeść w samotności.

Był już czas, by kłaść się spać, gdy Bunion powrócił z Greensward i oznajmił, że baronowie będą oczekiwać nowego króla Landover w Rhyndweir. Ben nie wiedział i nie zamierzał się teraz

dowiadując, co to za miejsce i gdzie ono leży– Był już na to zbyt zmęczony, więc po prostu poszedł spać.

Do Rhyndweir dotarli wczesnym popołudniem następnego dnia i Ben mógł się wtedy na własne oczy przekonać, jak wygląda. Rhyndweir było monstrualnie wielkim zamkiem, twierdzą wznoszącą się na płaskowyżu u zbiegu dwóch rzek.

Wieże i krużganki zdawały się sięgać porannego, zamglonego nieba, a same mury musiały mieć ponad trzydzieści metrów wysokości. Od świtu cały czas posuwali się na wschód, podążając labiryntem dróg wiodących przez Greensward.

Drogi wiły się na równinie pomiędzy polami, wioskami, osadami i grupkami pasterskich szałasów. Raz czy dwa widzieli w oddali mury jakichś zamków. Z ogromnej odległości, jaka ich od nich dzieliła, wyglądały niczym miraże. Żaden z nich jednak nie był tak olbrzymi ani majestatyczny, jak Rhyndweir.

Ben pokiwał głową. W porównaniu z Rhyndweir, Sterling Silver wyglądało tak marnie, że nie chciał nawet o tym myśleć.

Osady i wioski zamieszkiwane przez prosty lud Greensward nie wyglądały jednak najlepiej. Pola robiły wrażenie zaniedbanych, a rośliny uprawne wydawały się dotknięte jakimiś wyniszczającymi je chorobami. Chaty i szałas rolników i pasterzy podupadały i z pewnością nie mogły już stanowić chluby swych właścicieli. Warsztaty i stragany we wioskach były obskurne i zaniedbane. Wszystko zdawało się walić. Ben spojrzął na Questora, a ten tylko pokiwał porozumiewawczo głową. Władcy Greenward zbyt wiele czasu trwonili na waśnie i spiski.

Ben skupił teraz uwagę na Rhyndweir. Gdy skierowali się na drogę równoległą do wysuniętej najdalej na północ rzeki, w milczeniu obserwował zbliżający się zamek. U zbiegu rzek, pod skrzydłami zamku, powstało skupisko domów i warsztatów, które należało przebyć, chcąc dotrzeć do bram fortecy.

Poddani z zaciekawieniem obserwowali przejeżdżającą przez drewniany most grupkę podróżnych. Opuścili dzierżące różne narzędzia ręce i wzniesli głowy w niemym skupieniu. Duża część z nich wyrazem twarzy przypominała ludzi, którzy przybyli na koronację Bena. Byli zmęczeni oczekiwaniem, lecz tliła się w nich jeszcze nadzieja.

– Nie widzieli króla Landover jadącego do zamku ich panów od ponad dwudziestu lat– rzekł Questor. – Ty jesteś pierwszy, panie.

– Nikt przede mną nie próbował? – spytał Ben.

– Nikt – potwierdził Questor.

Kopyta ich koni stuknęły o deski mostu i dudniły po wyschniętej ziemi. Droga przed nimi wznosiła się i wiodła w kierunku otwartych bram zamku. Rozmieszczone na zwieńczeniach murów jedwabne proporce trzepotały i mieniły się na wietrze. Na zatkniętych przy bramie drzewcach wisiały sztandary. Konni rycerze uformowali szereg, przygotowując się do honorowego powitania, i wzniesli w pozdrowieniu lance. Wystąpili heroldowie i w ciszy popołudnia zabrzmiał dźwięk trąbek.

– To chyba zbyt wiele, jeśli wziąć pod uwagę stosunek ich wszystkich do mojej koronacji – wymamrotał Ben. Poczul, że ściska go w żołądku dokładnie tak, jak przed ważniejszymi wystąpieniami w salach sądowych.

Twarz Questora zmarszczyła się do granic możliwości.

– Tak, chyba nieco przesadzili.

– W moim świecie, spotykając się z taką przesadzoną gościnnością, można oczekiwać ciosu w plecy.

– Nie obawiaj się, panie. Nic ci tutaj nie grozi – odrzekł szybko mag.

Ben uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Korytarzem uformowanym z oddających honory rycerzy dotarli do bram.

W dolinie pobrzmiwał jeszcze dźwięk trąbek. Ben rozejrzał się i oszacował liczbę konnych. Musiało być ich ponad stu.

Zbroje i oręż jasno lśniły. Głowy w hełmach ze spuszczoneymi przyłbicami skierowane były na wprost. Rycerze zdawali się być nieruchomymi, żelaznymi posągami. Ben sztywno siedział na swym rumaku. Od wczorajszej jazdy bolały go wszystkie mięśnie, lecz starał się nie dać tego po sobie poznać. To, co oglądał, nie było po prostu honorowym przyjęciem. Było też demonstracją siły: kto zrobi na kim większe wrażenie. Spojrzał za siebie na swą nieliczną świtę, złożoną z Questora, Abernathy'ego i dwóch koboldów i pomyślał, że przydało by się mu więcej ludzi, z którymi mógłby pracować.

Wjechali w cień ozdobionej wielkimi, tkanymi sztandarami bramy. Na dziedzińcu oczekiwała ich delegacja odzianych w bogate szaty i klejnoty mężczyzn.

– To lordowie Greensward – rzekł cicho Questor. – Ten wysoki, który stoi z przodu, to Kallendbor, pan na Rhyndweir.

Jest wśród nich najpotężniejszy. Ma największe posiadłości.

Jeśli coś tu się będzie działo, to on będzie wiódł w tym prym.

Ben tylko skinął głową. Zapomniał o obolałym ciele, a jego żołądek powoli się uspokoił. Zastanawiał się teraz, co ma powiedzieć. I to było zupełnie podobne do przygotowań przed wystąpieniem w sądzie. W końcu to, co miał zrobić, też przypominało nieco zadanie sądowego adwokata. Zapowiadało się bardzo interesująco.

Questor zatrzymał całą grupkę o jakieś dziesięć metrów przed oczekującymi ich na dziedzińcu możliwymi Greensward i spojrzął na Bena. Razem zsiadli z koni. Natychmiast podeszli do nich paziowie, by odebrać lejce. Abernathy, ze zwisającym luźno na drzewcu królewskim sztandarem, pozostał w siodle. Po obu jego stronach stali rozglądający się wyczekująco Parsnip i Bunion. Nie czuli się tu chyba zbyt bezpiecznie.

Kallendbor odłączył się od witającej ich grupki i ruszył ku nim. Ignorując Bena, zwrócił się do Questora.

– Miło cię znowu widzieć, Questorze Thews – pozdrowił go krótko. – Widzę, że przyprowadziłeś do nas z wizytą nowego króla.

Ben natychmiast wystąpił przed maga.

– To ja zdecydowałem, że tutaj przyjedziemy, lordzie Kallendbor. Pomyślałem, że szybciej dotrę tu sam, niż doczekam się twojej wizyty.

Przez chwilę stali twarzą w twarz w milczeniu. Oczy Kallendbora zwięzły się nieco, lecz twarz nie wyrażała niczego konkretnego. Był o kilkanaście centymetrów wyższy od Bena, cięższy o

dobrych parę kilogramów, rudowłosa, rudobrody i mocno zbudowany. Stał wyprostowany, starając się spotęgować wrażenie, że na Bena spoglądać musi z góry.

– Koronacje w Landover są ostatnio tak częste, że trudno być na wszystkich – rzekł w końcu.

– Myślę, że ta liczba gwałtownie się zmniejszy – odpowiedział Ben. – Na pewien czas moja pozostanie ostatnią.

– Tak sądzisz? – Lord uśmiechnął się sardonicznie. – Twe oczekiwania mogą się okazać trudne do spełnienia.

– Może. Niemniej jednak zamierzam zrobić wszystko, by tak właśnie się stało. Proszę, zrozum, że nie należę do tych, którzy przybyli do Landover, by opuścić je, gdy tylko się zaczną kłopoty. Przybyłem tu, by zostać królem, i będę nim.

– Nabycie królewskich insygniów nie zawsze czyni człowieka królem – mruknął ktoś ze stojących za plecami Kallendbora.

– Tak jak narodzenie się w odpowiedniej rodzinie nie czyni człowieka lordem – odparował Ben. – Ani nabycie posiadłości, ani wżenienie się w królewski ród, ani kradzież czy oszustwo, ani zbrojny podbój, ani żaden inny z setek, używanych od zarania sposobów. Żaden nie czyni człowieka królem czy lordem. Jeśli w świecie ma panować porządek, muszą to czynić prawa. Królem i lordem staje się tylko mocą prawa. Wasze prawa, władcy Greensward, uczyniły mnie królem Landover.

– Prawa starsze od nas i nie przez nas stworzone – mruknął Kallendbor.

– Prawa, którym – mimo wszystko – podlegacie – odparł Ben.

Wśród grupy witających zapanowało nagle poruszenie.

Uniósł się pomruk niezadowolonych głosów i błysnęły wrogie spojrzenia. Kallendbor patrzył na Bena w milczeniu. Nie zmieniając wyrazu twarzy, skłonił się.

– Okazałeś chęć odwiedzenia nas, witaj więc. Nie ma sensu stać dłużej na dziedzińcu. Chodźmy do sal na wspólny posiłek. Jeśli sobie życzysz, gotowa jest i kąpiel. Odpocznij trochę, bowiem wygłasz na zmęczonego. Przygotowano dla ciebie komnaty. Porozmawiać możemy później.

Ben pokiwał w odpowiedzi głową i skinął na resztę swojej niewielkiej kompanii. Razem z władcami Greensward ruszyli poprzez dziedziniec i po chwili weszli do olbrzymiej sali.

Korytarze zalewało światło z wielkich, ozdobionych witrażami okien. Dodawało ono wnętrzem lekkości i przestrzenności.

Ben pochylił się nad uchem maga.

– Jak, twoim zdaniem, sobie radzimy?

– Zgodzili się nas przyjąć – szepnął ten drugi. – To więcej, niż oczekiwałem.

– Czyżby? Wcześniej mówiłeś co innego!

– Wiem. Nie dostrzegąłem jednak powodów, by tym ciebie martwić.

Ben patrzył na niego przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać, Questorze.

– Hm?

– Nieważne. Jak dalece możemy tym ludziom ufać?

Mag pochylił się do przodu, uśmiechając się.

– Mniej więcej tak, jak stadku prosiaków. Na twoim miejscu w czasie obiadu miałbym się na baczności.

Później nastąpiły miłe chwile odpoczynku i odprężenia w gościnnych komnatach zamku, przygotowanych dla króla i jego świty. Wszyscy mieli sypialnie, gotowa była gorąca kąpiel, mydło i ręczniki, a nawet butelki wina. Ben skorzystał ze wszystkiego poza tym ostatnim. Jego dotychczasowe doświadczenia z tym trunkiem w Landover nie należały do obiecujących. Poza tym nie miał do Kallendbora i jego ludzi większego zaufania, niż to, którym darzył ich Questor. Chciał więc być w pełni sił ciała i umysłu, gotowy na wszelkie okoliczności. Pozostawiwszy zakorkowaną butelkę wina na tacy, zauważył, że pozostali uczynili tak samo.

O zachodzie słońca wezwano ich na kolację. Była to wyjątkowo bogata uczta. Stojące w największej sali zamku długie stoły uginały się pod ciężarem potraw i dziesiątek butelek wina. Ben i tym razem powstrzymał się od skosztowania trunków. Czuł, że zaczyna się to przeradzać w nim w jakąś paranoję, lecz nic nie mógł na to poradzić. Miejsce dla niego przygotowane było pośrodku stołu. Po jego prawej stronie siadł Kallendbor, a po lewej lord imieniem Strehan. Questora posadzono na końcu stołu, a Abernathy i dwa koboldy zasiedli przy osobnym, mniejszym stole. Ben od razu zrozumiał, że odizolowano go celowo. Przez chwilę myślał, by zaprotestować, lecz zrezygnował. Wcześniej czy później będą usiłowali go przetestować, więc niechaj zacznie się to teraz. Ważne było, by przekonać lordów Greensward, że potrafi radzić sobie sam.

Konwersacja przebiegła bez zgrzytów, choć przez pierwszą część posiłku nie była zbyt ożywiona. Dopiero gdy z talerzy prawie zniknęło główne danie – pieczeń wieprzowa i młody bażant – powrócił temat tronu i królestwa. Ben zastanawiał się, czy władcy Greensward zawsze tak dobrze jadają, czy też uczta jest jedynie kolejną próbą zrobienia na nim wrażenia, gdy odezwał się Kallendbor.

– Wyglądasz na człowieka dosyć zdeterminowanego, panie – powiedział i wznosił kielich wina w toaście.

Ben w odpowiedzi skinął głową, pozostawiając swój kielich na stole. Kallendbor wypił do dna i postawił ostrożnie kielich przed sobą na stole.

– Gdybyśmy nawet chcieli śmierci króla Landover, to nie musielibyśmy go truć. Poczekalibyśmy, aż zajmie się nim Mark.

– Czyżby tak wyglądały wasze plany wobec mnie?

Na ogorzałej twarzy pojawił się wyraz rozbawienia. Ciemna cera usiana była bliznami.

– Nie mamy wobec ciebie złych planów. W ogóle nie mamy wobec ciebie planów. Przybyliśmy tutaj, by posłuchać, jakie są twoje plany wobec nas, panie.

– Jesteśmy wiernymi poddanymi i zawsze stawaliśmy po stronie króla – dodał siedzący po drugiej stronie Bena Strehan. – Ale ostatnio problemem było to, że zbyt późno dowiadywaliśmy się, kto właściwie tym królem jest.

– Służylibyśmy wiernie, gdybyśmy mogli przekonać się, że król, którego poddanymi mamy się stać, jest królem prawdziwym, a nie goniącą jedynie za własnymi sprawami marionetką – ciągnął

Kallendbor. – Od czasu śmierci starego władcy i odejścia jego syna byliśmy poddawani władzy całej zgrai fałszywych królów, których panowania trwały po kilka miesięcy, tygodni czy zaledwie dni. Odchodzili, nim zdążyliśmy poznać ich imiona. Przyrzekanie lojalności wobec takich władców nie służy dobrze niczym interesom.

– Przyrzekanie wierności takim władcom to zdrada królów, którzy chronili tę ziemię od zarania czasu – rzeki Strehan. – Jaki sens ma przyrzekanie wierności królowi, który nic nie jest w stanie dla nas zrobić’?

Ben spojrzał na niego bez słowa. A więc w tym tkwi problem!

– I ty możesz okazać się kolejnym z tych królów-marionetek – dodał Strehan.

Ben uśmiechnął się. Strehan był człowiekiem o drobnej twarzy, kanciastej sylwetce. Wzrostem jednak przewyższał nawet Kallendbora.

– Ale się nie okażę.

– W takim razie musisz wyjaśnić, jakie masz wobec nas plany, panie – naciskał Kallendbor. – Musisz wyjaśnić, jakie osiągniemy korzyści, o ile zdecydujemy się przysiąc tobie wierność.

Ho-ho! – pomyślał Ben.

– Sądzę, że korzyści powinny być dla was oczywiste odrzekł. – Król to osoba skupiająca w swych rękach władzę nad całym królestwem. To on daje i sprawiedliwie egzekwuje prawa. Chroni przed niesprawiedliwością i bezprawiem, które w innym razie mogłoby swobodnie rozkwitać.

– W Greensward nie ma bezprawia – oburzył się Strehan.

– Czyżby? – Ben potrząsnął głową z niedowierzaniem. Mówiono mi, że nawet pomiędzy równymi sobie dochodzi do niesnasek, które wobec braku władzy królewskiej mogą przybrać na gwałtowności.

– Sądzisz, że jesteśmy skłóceni? – Kallendbor zmarszczył brwi.

– Myślę, że jeśli nadarzy się okazja, to może ona skusić do takiego postępowania. – Pozwolił, by wyraz niedowierzania i zaskoczenia okrzepł na ich twarzach. Pochylił się do przodu. – A więc przejdźmy do sedna sprawy. W Landover potrzebny jest król. Król zawsze tutaj był i zawsze być powinien. Ta forma władzy uznawana jest przez ludzi i wspierana przez prawo. Jeśli pozwolicie, by tron świecił pustkami, albo odmówicie uznania tego, kto prawowicie na nim zasiada, zaryzykujecie wszystkim, co posiadacie. Landover to kraina wielu ludów z różnymi problemami. Problemy te trzeba roz wiązać, a nie możecie zrobić tego sami. Ponieważ od czasu śmierci starego króla nie żyjecie ze sobą w zgodzie, więc potrzeba wam kogoś, kto by go zastąpił. A tym kimś jestem właśnie ja i zaraz wyjaśnię dlaczego.

Gdy rozmowa pomiędzy Benem i dwoma lordami rozgorzała na dobre, reszta biesiadników zamilkła, by przysłuchiwać się sporowi. Ben powoli wstał.

– Przybyłem tutaj, gdyż władcy Greensward byli zawsze pierwszymi, którzy przyrzekali wierność tronowi Landover.

Powiedział mi o tym Questor. To on powiedział, że tutaj powinienem zacząć, jeśli chcę uchwycić na nowo poplątane nici królewskiej władzy. To przecież wasza władza! Tron i jego prawa są waszym tronem i waszymi prawami, oraz wszystkich innych ludów zamieszkujących dolinę. Utraciliście je, lecz macie szansę, by je odzyskać, nim Landover podupadnie tak, że nikt

nie będzie w stanie go uratować. Zapewnić wam to może moja osoba. Potrafię tego dokonać właśnie dlatego, że przybywam spoza Landover. Pochodzę z całkiem innego świata. Me mam żadnych uprzedzeń ani zobowiązań. Me mam faworytów. Mogę być więc uczciwy i sprawiedliwy.

Żeby tu przybyć, poświęciłem wszystko, co mam, możecie więc być przekonani o moim dobrych intencjach. Znam dobrze prawa rządzące w mym kraju, dlatego nie będę miał trudności z poznaniem waszych.

Utrzymywanie tych praw w mocy jest wam bardzo potrzebne. To one zapewnić mogą stabilizację, która wykracza poza porządek zaprowadzany przez silniejszego. Przymierza rodzą się ze wzajemnego zaufania, nie ze strachu i gróźb.

Zdaję sobie sprawę, że nie wszystko dzieje się tutaj tak, jak powinno. Wiem, że nie jest tak również pomiędzy innymi ludami Landover. I nigdy nie będzie, póki nie zgodzicie się jeszcze raz stanąć po stronie króla. Tego żąda od was prawo i historia.

– Radziliśmy sobie dotąd wystarczająco dobrze bez władzy królewskiej – przerwał jeden ze zirytowanych lordów.

– Czyżby? – Ben potrzęsnał głową. – Nie sędzę. Zmatowienie, które niszczy życie Sterling Silver, dotarło również do Greensward. Widziałem stan waszych płonów i niezadowolenie na twarzach zbierających je poddanych. Cała dolina podupada. Potrzebny jest król! Spójrzcie na siebie! Nie macie do siebie zaufania. Nie czujecie się dobrze wśród swych ziomków! Czuję to, choć jestem tutaj obcy. Jesteście nękani przez demony i inne stworzenia, które pragną zagarnąć waszą ziemię! Podzieleni, nie będziecie jej w stanie zbyt długo utrzymać.

Kolejny lord zerwał się na równe nogi.

– Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, to dlaczego mielibyśmy właśnie ciebie uznać za króla? Niby dlaczego jesteś przekonany, że poradzisz sobie lepiej, niż twoi poprzednicy?

– Bo potrafię to zrobić! – Ben wziął głęboki oddech i odszukał wzrokiem Questora. – Bo jestem od nich silniejszy.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego – warknął kolejny lord z przeciwnego krańca stołu. – Przysięga złożona tobie naraża nas na konfrontację z Markiem i jego demonami!

– I tak już teraz to ryzykujesz – stwierdził Ben. – Jeśli żaden król nie sprzeciwi się Markowi, to któregoś dnia przybędzie on i zagarnie te ziemie. Jeśli połączymy siły, to zdołamy temu zapobiec.

– Zdołamy temu zapobiec? My?! – Strehan również powstał i patrzył teraz z góry na Bena. – Czy walczyłeś kiedyś w bitwie przeciw komuś takiemu jak Mark? Gdzie twe blizny?

Ben poczerwieniał.

– Jeśli się zjednoczymy...

– Jeśli się zjednoczymy, rezultat będzie taki sam, jak gdybyśmy my walczyli z nim sami – przerwał Strehan. – W czymże możesz pomóc, nie mając wojennych szlifów?! Prosisz jedynie władców Greensward, by oddali za ciebie życie.

Odezwały się zgodne głosy. Ben czuł, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli.

– Nie proszę nikogo, by narażał swe życie dla mnie – rzekł szybko. – Proszę o zjednoczenie z tronem, o przymierze, które łączyło was ze starym królem. Będę o to prosił wszystkich mieszkańców Landover. Lecz was proszę pierwszych.

– Odważnie powiedziane, panie! Co się jednak stanie, kiedy zechcemy zawrzeć przymierze z tobą?

Słowa te wypowiedział Kallendbor. Powoli uniósł się nad stołem, twardo patrząc na Bena. Strehan siadł na swym krześle. Zapadła głucha cisza.

Ben spojrzał na Questora, licząc na jego pomoc. Dostrzegł jednak na jego twarzy tylko wyraz konsternacji. Zwrócił się więc znowu do Kallendbora.

– Co masz na myśli?

– Małżeństwo – rzekł cicho Kallendbor.

– Małżeństwo?

– Tak, twoje małżeństwo, panie. Małżeństwo z panną z rodziny, którą sam wybierzesz. Weź za żonę córkę jednego z nas, a zwiążesz się z nami więzami krwi.– Władca Rhyndweir uśmiechnął się słabo. – Wtedy przysięgniemy ci wierność.

Wtedy uznamy cię za króla Landover!

Nastąpiła ciągnąca się w nieskończoność cisza. Ben był tak oszołomiony, że przez moment nie pojmował, o co właściwie go proszą. Gdy wreszcie zrozumiał, o co chodzi Kallendborowi, domyślił się też, co skłania go do takiej prośby. Proszono go, by dał władcom Greensward prawowitego następcę tronu, wywodzącego się z ich rodu – kogoś, kto przejmie tron bezpośrednio po nim. Pomyślał, że ów następca, ledwie spłodzony, nie musiałby długo czekać, aż jego krewni ułatwią mu przejęcie władzy.

– Nie mogę przyjąć tego warunku – rzekł w końcu. Oczami pamięci widział wyraźnie młodą twarz Annie, a jej wspomnienie przeszło go bólem. – Nie mogę, gdyż niedawno straciłem swą żonę i nie mogę tak prędko poślubić nowej. Nie mogę tego zrobić.

Od razu zauważył, że nikt z nich nie rozumie, o czym mówi. Twarze lordów błyskały cały czas wrogimi spojrzeniami. Może w Landover, tak jak w czasach średniowiecznych, małżeństwa w szlacheckich rodzinach były tylko kwestią konwenansów. Tego jednak nie wiedział, a było już zbyt późno na dowiadywanie się czegokolwiek. W oczach władców Greensward była to z pewnością zła decyzja.

– Nie jesteś więc nawet prawdziwym mężczyzną – syknął nagle Kallendbor. Zabrzmiały zewsząd głosy aprobaty.

Ben nie ustępował.

– Jestem królem według prawa tej krainy.

– Jesteś, jak cała ta reszta, królem-marionetką. Jesteś uzurpatorem!

– Lordzie Kallendbor! On nosi medalion! – krzyknął z końca stołu Questor, podnosząc się, by podejść do dyskutujących.

– Może i go nosi, ale w niczym mu on nie pomoże! – Rudobrody lord nie spuszczał oczu z Bena. Zewsząd brzmiały okrzyki. Kallendbor wykorzystywał sytuację. – Nie potrafi wezwać

Paladyna? Nie ma swego rycerza, który mógłby stanąć do walki z ludźmi i demonami!? Nie ma nikogo, prócz ciebie, Questorze Thews! Lepiej weź go i zabierz stąd!

– Nie potrzebuję nikogo, by mnie bronił! – Ben stanął pomiędzy Kallendborem i zbliżającym się magiem. – Sam potrafię walczyć!

Już w chwili, gdy to mówił, zdał sobie sprawę, że popełnia błąd. W sali zapanowała cisza. Dojrzał uśmiech na twarzy Kallendbora i błysk w jego oczach.

– Czyżbyś chciał, panie, zmierzyć się ze mną? – zapytał cicho lord.

Ben poczuł strugi potu ciekące mu po plecach. Wiedział, że wpada w zastawioną na siebie pułapkę. Nie miał jednak żadnej drogi odwrotu.

– Próba sił rzadko może dowieść czyjejś racji, lordzie Kallendbor – odrzekł, patrząc mu w oczy.

Uśmiech Kallendbora stał się nieprzyjemny.

– Można było tych słów oczekiwać od człowieka, który na swoją obronę ma jedynie prawa.

W Benie wzbrał gniew.

– W porządku. W jaki sposób chcesz się ze mną zmierzyć?

– Panie, nie możesz... – zaczął Questor.

Kallendbor wolno potarł dłonią swą zarośniętą twarz.

– Cóż, istnieją różne możliwości, a wszystkie...

Przerwało mu krótkie szczeknięcie, które dobiegło z końca stołu. Był to Abernathy, który – zapewne pod wpływem wielkiego podniecenia – przerzucił się mimowolnie na język swej rasy.

– Proszę wybaczyć – rzekł szybko, gdy zabrzmiały śmiechy. – Zdaje się, lordzie Kallendbor, żeś zapomniał o zasadach obowiązującej w takiej sytuacji etykiety. To ty zażądałeś od króla stanięcia z tobą do pojedynku, więc prawem twego oponenta jest wybór rodzaju broni.

Kallendbor zmarszczył brwi.

– Przypuszczałem, że pochodząc z innego świata nie zna się na tych sprawach i...

– Wystarczy, że pozna możliwe rodzaje walk – odrzekł Abernathy, spoglądając na wszystkich sponad oprawek. Wybaczcie, zaraz wrócę.

Odszedł od stołu wyprostowany, z wysoko uniesioną głową. Gdy opuszczał salę, wśród zebranych zabrzmiały stłumione chichoty. Ben spojrzał na Questora, lecz ten tylko wzruszył ramionami i pokiwał głową. I on nie miał pojęcia, co zamierza skryba.

Kilka chwil później Abernathy był z powrotem. Niósł w łapach dwie pary ośmiuncjowych bokerskich rękawic tych, które Ben zabrał do Landover, by móc trenować.

– Rękoczyzny, lordzie Kallendbor – oznajmił wheaten terier.

Kallendbor roześmiał się, odchylając głowę do tyłu.

– Rękoczyzny? Tym czymś? Wolę walczyć gołymi pięściami niż tymi wypchanymi skórzanymi skarpetami!

Abernathy podszedł do stołu, przy którym stali Ben i Kallendbor.

– Panie! – pokłonił się głęboko, patrząc w oczy Bena. Chyba najlepiej będzie, jeśli wybaczysz lordowi Kallendborowi jego zapalczywość. Nie chcielibyśmy, by odniósł rany przez samą tylko nieznaną broni, którą zaproponowałeś.

– Nie, nie wycofam się z pojedynku! – oznajmił Kallendbor. Wyrwał skrybie jedną z par rękawic i zaczął je naciągać.

Strehan pospieszył mu z pomocą.

Abernathy podał drugą parę rękawic Benowi.

– On jest bardzo silny! Uważaj na siebie, panie – rzekł.

– Myślałem, że nie wiesz nic o boksie – szepnął Ben, wkładając rękawicę. Przy jego boku pojawił się Questor i zaczął pomagać mu w ściąganiu sznurowadeł.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Gdy przybyłeś do Landover, do mych obowiązków należało rozpakowanie twoich bagaży – odrzekł Abernathy/ a jego wyraz pyska nieodparcie przypominał uśmiech. – Były tam rękawice i pismo, w którym pokazano zasady tego sportu. Obejrzałem obrazki i szkice. Mamy u nas całkiem podobny sport, zwany rękoczynami.

– Niech mnie diabli! – westchnął Ben.

Kallendbor zdążył już założyć swe rękawice i rozebrać się do pasa. Ben patrzył na niego ponad uwijającym się przy jego rękawicach Questorem. Pod pociętą wojennymi bliznami skóra lorda grały potężne mięśnie. Wyglądał niczym gladiator z obsady filmowej wersji Spartakusa.

Środek sali opróżniono, przygotowując miejsce do walki.

Arenę dwukrotnie większą od zwykłego ringu bokserskiego otoczyli lordowie i zamkowa służba.

– Czy obowiązują nas jakieś reguły walki? – spytał Ben, dla uspokojenia głęboko oddychając.

Questor kiwnął głową.

– Tylko jedna. Wygrywa ten, który po skończonej walce będzie stał na własnych nogach.

Ben uderzył o siebie rękawicami, by sprawdzić, czy są dobrze zasznurowane i zrzucił szatę.

– No tak. Chyba nie będę miał kłopotów z przypomnieniem sobie, jak to się robi...

Obszedł stół i stanął w zaaranżowanym naprędce ringu. Kallendbor już na niego czekał. Ben zatrzymał się na chwilę. Questor, Abernathy i obydwie koboldy przepychały się tuż za nim.

– I w tym miejscu kończy się przydatność prawniczego doświadczenia – westchnął.

– Będę cię wspierał, panie – szepnął pospiesznie Questor.

Ben odwrócił się.

– Tylko bez magii...

– Ależ panie! Nie możesz...

– Bez magii. Koniec.

Mag zrobił skwaszoną minę i niechętnie przytaknął.

– Tak czy inaczej, będzie cię chronił medalion – wymamrotał, lecz nie zabrzmiało to chyba tak przekonywująco, jak sam by sobie życzył.

Ben myślał już zresztą o czymś całkiem innym. Gdy tylko stanął gotów do walki, Kallendbor doskoczył do niego z rozłożonymi ramionami, tak jakby chciał go nimi chwycić i zmiażdżyć. Ben uderzył go lewą rękawicą i odskoczył w bok.

Wielkolud obrócił się, pomrukując, a Ben uderzył go jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze... Ciosy były szybkie i krótkie. Za każdym razem głowa Kallendbora odskakiwała do tyłu. Ben cofnął się nieco. Jego ruchy były płynne. Czuł napływającą do krwi adrenalinę. Kallendbor ryknął wściekle i rzucił się na niego z wyciągniętymi ramionami. Ben uchylił się i przekoziolkował w bok, po czym obsypał ciało przeciwnika serią szybkich ciosów i znowu odskoczył, na koniec zadając potężnego prawego sierpowego w szczękę Kallendbora.

Kallendbor runął półprzytomny na posadzkę, a na jego twarzy malował się wyraz dezorientacji. Ben znowu odskoczył. Słyszał dodający mu odwagi głos Questora. Słyszał wrzaski i przekleństwa lordów Greensward. Krew tętniła w jego głowie z taką mocą, że zdawał się słyszeć bicie własnego serca.

Kallendbor wstał powoli, spoglądając na Bena zaślepionymi wściekłością oczami. W istocie był tak silny, jak mówił Abernathy. Nie zanosił się na łatwą wygraną.

Jeszcze raz, tym razem ostrożnie, z zasłoniętą pięściami twarzą, zbliżył się do Bena. Krażyli teraz, szukając okazji do uderzenia i zadając suche ciosy na postrach. Zarośnięta twarz Kallendbora była czerwona ze wściekłości. Usiłował rozepchnąć rękawice Bena, by utorować sobie drogę do zadania ciosu.

Nagle rzucił się naprzód. Był szybki i zdażył wytrącić Ben z równowagi, spuszczając na niego grad przebijających | przez gardę i trafiających w twarz uderzeń. Ben odskoczył, odpychając się rękawicami. Lecz Kallendbor nie zwalniał.

Rzucił się na Bena niczym nawałnica, przewracając go r podłogę. Ten starał się poderwać, lecz dwa wściekle cioty Kallendbora w głowę powaliły go znowu.

Okrzyki władców Greensward stały się w uszach Bena jednym rykiem, a przed oczami zatańczyły mu kolorowe światła. Kallendbor stał nad nim, uderzając go oburącz. W powietrzu czuć było zapach jego potu. Ben wytoczył się spod niego, wpadając na stojących nieopodal w rzędzie widzów. Odepchnęli go. Spadły na niego kopniaki Kallendbora, a jego ciało przeszył ból. Zwinął się w kulę, kryjąc twarz w rękawicach i przyciskając ramiona do piersi.

Poczuł przyciśnięty do piersi medalion.

Ból stawał się nie do zniesienia. Wiedział, że jeśli natychmiast nie wyrwie się z tej matni, to straci przytomność. Przetoczył się na kolana. Gdy Kallendbor znowu zaatakował, złapał się desperacko jego nóg, zwalając lorda na posadzkę.

Ben, otrząsając się, stał już znowu na własnych nogach.

Stał również i Kallendbor, a jego oddech syczał pomiędzy zębami. Za plecami jego i widzów pojawiło się dziwne światło. Ben jeszcze raz potrząsnął głową, starając się skoncentrować na zbliżającym się Kallendborze. Lecz teraz i inni dostrzegli owo światło. Głowy zaczęły kolejno odwracać się w jego kierunku. W poświacie pojawiła się sylwetka odzianego w zniszczoną zbroję rycerza. Przyłbica jego hełmu była opuszczona.

Tłum wydał głośnie westchnienie.

Rycerzem tym był Paladyn.

Zebrani wlepili wzrok w lśniącą w świetle sylwetkę rycerza-widma. Niektórzy padli na kolana, wyjąc podobnie do demonów przybyłych na koronację Bena. Kallendbor stał niepewnie, z opuszczonymi rękami w środku kręgu. Spojrzenie zwrócił ku zjawie.

Paladyn zamigotał jeszcze przez chwilę w świetle i rozplynał się w powietrzu. Otaczająca go poświata również zniknęła.

Kallendbor natychmiast odwrócił się do Bena.

– Co to za sztuczki, królu-marionetko?! Dlaczego sprowadziłeś do Rhyndweir tego ducha?

Ben gniewnie potrząsnął głową.

– Nie sprowadzałem nikogo prócz...

Przerwał mu Questor.

– Lordzie Kallendbor, mylisz się w ocenie tego, co się tutaj wydarzyło. Paladyn pojawił się już dwukrotnie, gdy bezpieczeństwo jego wysokości było zagrożone. To ostrzeżenie, które powinno cię przekonać, że jest on prawdziwym władcą Landover.

– Ten duch miałby nas przed czymś ostrzegać?! – roześmiał się Kallendbor, wysysając krew z rozbitych warg. – To ty użyłeś swej magii, by nas wystraszyć, Questorze Thews.

Ale nie udało ci się! – Spojrzał na Bena z pogardą. – Pojedynek skończony. Mam dosyć ciebie i twego wędrownego cyrku! Nie jesteś dla mnie żadnym królem!

Popierające go okrzyki rozległy się niczym echo w całej sali.

– Czy sobie tego życzysz, czy nie, jestem królem Landover! – rzucił Ben. – Możesz mnie ignorować, tak jak ignorujesz inne prawdy, lecz fakt pozostanie faktem. Myślisz, że wolno ci lekceważyć prawa, które czynią mnie królem, lecz nie uda ci się w ten sposób zejść zbyt daleko. Znajdę sposób, by ci tego dowieść!

– Nie musisz szukać daleko, królu-marionetko! – Kallendbor kompletnie stracił panowanie nad sobą. Zdjął rękawice i cisnął nimi w Bena. – Uważasz się za króla Landover?! Twierdzisz, że służy tobie Paladyn? W porządku! Pomóż więc nam pozbyć się jednej z tych plag, z którymi sami poradzić sobie nie możemy! Uwolnij nas od Strabo! Pozbądź się smoka!

Z każdym słowem podchodził bliżej Bena, a teraz stał tuż przy nim i spoglądał na niego z góry.

– Od dwudziestu lat smok pożera nasze zwierzęta i niszczy nasz dobytek. Polowaliśmy na niego, ścigaliśmy go z jednego końca Landover na drugi, lecz posiada on magiczną moc starego świata, więc nie możemy go zabić. Jeśli jesteś królem, to i ty przejmujesz spuściznę mocy magicznych starego świata! Uwolnij nas więc od smoka, a wtedy pokłonię się przed tobą i przysięgnę dożywoćni wierność!

Z gardeł zebranych wydarł się ryk poparcia.

– Uwolnij nas od smoka! – krzyčeli jednym głosem. Ben nie spuszczał oczu z Kallendbora.

– Póki tego nie zrobisz, będę cię traktował niczym mrówkę pod moimi stopami! – Kallendbor wyszeptał Benowi prosto w twarz.

Obrócił się i opuścił krąg. Komnata powoli opustoszała.

Pozostał jedynie Ben i jego towarzysze. Cała ich czwórka ruszyła ku niemu, by pomóc mu ściągnąć rękawice, otrzeć pot i krew.

– I co z tym smokiem? – spytał Ben, nie zwlekając.

– Później, panie, później – odrzekł Questor, rozcierając siniaka, który właśnie zaczął rosnąć pod okiem Bena.– Najpierw kąpiel i odpoczynek.

Ben potrząsnął głową.

– Ale nie tutaj! Nie pozostałbym tu ani chwili dłużej, gdybym nawet miał się znaleźć na pustyni. Pakujemy się. Wyjeżdżamy stąd natychmiast. O smoku porozmawiamy w drodze.

– Ależ, panie...

– Teraz, Questorze!

Nikt nie próbował dalej przekonywać Bena. Godzinę później całe towarzystwo było znowu w drodze. Jechali na zachód.

WILLOW

Decyzja o tak pospiesznym opuszczeniu Rhyndweir okazała się niezbyt trafna. Ledwie zdążyli minąć ciągnące się wzdłuż drogi otaczające twierdzę chaty, zaczęło padać. Deszcz, początkowo delikatnie tylko rosząc ich twarze, przerodził się powoli w ulewę, a ulewa w istne oberwanie chmury. Księżycy i gwiazdy zniknęły, a wkoło zrobiło się ciemno choć oko wykol. Wiatr hulał i wyl na równinach Greensward, uderzając w grupkę podróżnych niczym oddech olbrzyma. Już po paru chwilach tej nawałnicy wszyscy zdążyli przemoknąć do ostatniej suchej nitki i byli zgodni co do tego, że trzeba natychmiast znaleźć jakieś schronienie.

Noc spędzili w opuszczonej szopie, w której niegdyś chroniło się bydło. Deszcz przedostawał się jednak do środka przez otwory w suficie i trudno było znaleźć suche miejsce. Powietrze stało się chłodne, a przesiąknięte wodą ubrania pogłębiły wrażenie zimna. Ben i jego towarzysze skupili się w ciemnościach sporej zagrody przeznaczonej zapewne dla konia.

Było tam stosunkowo sucho i leżało trochę siana, z którego przygotowali posłania. O ogniu nie było nawet co marzyć, więc wszyscy tylko przebrali się w suche ubrania i schowali pod kocami. Questor zaoferował wprawdzie, iżby ogrzać pomieszczenie użyje magicznego, pozbawionego płomienia ognia, który kiedyś z powodzeniem wyczarowywał. Ben jednak nie pozwolił mu na to. Magia Questora wykazywała nieprzyjemną własność zawodzenia w najbardziej niepożądanych okolicznościach, a szopa była jedynym ich schronieniem.

Poza tym Ben przekornie uważał, że ulewa jest odpowiednią karą za to, jak zaprzepaścił swe szanse w Rhyndweir.

– Spaprąłem to, Questorze – rzekł, gdy inni przysłuchiwali się uderzeniom kropli deszczu o dach szopy.

– Hm? – Questor był skupiony na oczyszczaniu licznych ran, które Ben odniósł w czasie walki z lordem Kallendborem– Schrzanilem. Źle się do tego zabrałem. Pozwoliłem Kallendborowi wciągnąć się w ten idiotyczny pojedynek. Straciłem twarz! Pozwoliłem, by sprawy wymknęły mi

się z rąk! westchnął i oparł się plecami o ścianę zagrody. – Powiniennem był znaleźć lepszy sposób, by przekonać ich o swej racji. Sposób prawniczy. A może raczej królewski.

– Myślę, że poradziłeś sobie całkiem nieźle, panie.

Ben spojrział sceptycznie.

– Tak sądzisz?

– Można było przewidzieć, że nie skłonisz ich do przyrzeczenia ci wierności, jeśli nie spełnisz ich warunków. Gdybyś zgodził się na poślubienie córki jednego z nich, złożyliby ci przysięgę. Miałbyś wtedy żonę i tuziny utrudniających życie i władanie krainą krewnych. A twe królowanie potrwałoby zapewne krócej, niż sam byś sobie tego życzył. – Mag wzruszył ramionami. – Ale z pewnością równie dobrze jak ja domyślasz się ich intencji.

– Owszem.

– Miałeś więc rację, odmawiając. Sądzę, iż w tych warunkach wykazałeś się wielkim hartem ducha. Przypuszczam, że gdyby walka potoczyła się dalej, miałbyś szansę pokonać Kallendbora.

Ben zaśmiał się.

– Dziękuję za twe wotum zaufania. Chciałbym jednak zauważyć, że nie pozostawiłeś niczego przypadkowi.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że zignorowałeś mój rozkaz, by nie używać magii, i wyczarowałeś Paladyna, kiedy leżałem liczony na ziemi.

Mag przyjrzał mu się uważnie. Jego sowa twarz była w ciemnościach jedynie bladym zarysem. Odłożył na bok zakrwawione ubrania.

– Niczego takiego nie zrobiłem, panie. To był Paladyn.

Nastąpiła długa cisza.

– W takim razie ukazał się po raz trzeci – rzekł w końcu najwyraźniej zaskoczony Ben. – Przybył, kiedy w przesmyku czasu ścigał mnie Mark, potem gdy demony przybyły na mą koronację, a teraz pojawił się w Greensward. Ale wygląda dokładnie tak, jak go określiłeś: jak duch! Wygląda, jakby był jedynie obrazem utkanym ze światła. Czym jest naprawdę?

Mag wzruszył ramionami.

– Może tylko tym, na co wygląda. A może czymś więcej...

Ben przyciągnął nogi do tułowia i objął ramionami, usiłując utrzymać ciepło.

– Myślę, że on gdzieś tam jest i że próbuje powrócić – spojrział na Questora w poszukiwaniu potwierdzenia.

– Nie wiem, panie. Być może... – potrząsnął głową.

– Co sprawiało, że pojawiał się w przeszłości? Musisz przecież wiedzieć, jak działo się za czasów starego króla.

– Pojawiał się na wezwanie – odrzekł mag. – Na wezwanie tego, kto nosił medalion. Medalion jest częścią magii tej krainy, panie. Pomiędzy nim, królami Landover i Paladynem istnieje magiczna więź. Lecz nawet królowie nie byli nigdy w stanie jej w pełni pojąć.

Ben wyciągnął medalion spod tuniki i uważnie się mu przyjrzał.

– Może wystarczy go potrząść, przemówić do niego albo tylko ścisnąć w dłoni – może to sprowadza Paladyna. Co o tym sądzisz?

Questor wzruszył ramionami. Ben spróbował wszystkich trzech sposobów, lecz nic się nie wydarzyło. Potem spróbował wezwać Paladyna myślami, trzymając medalion w zaciśniętych dłoniach tak mocno, że czuł wyryty na nim wizerunek. Znowu nic się nie wydarzyło.

– No tak. Powinienem być się domyśleć, że nie pójdzie z tym tak łatwo – westchnął i włożył medalion pod tunikę, czując na szyi, jak opada na łańcuchu. Spojrzał przez dziurę w dachu. Na dworze szalał wiatr.– Opowiedz mi o smoku i władcach Greensward.

Mag pochylił się jeszcze bardziej nad Benem.

– Usłyszałeś już o nim co nieco od samego Kallendbora.

Władcy Greensward są w stanie wojny ze smokiem. Strabo to ich nemesis. Usiłują go upolować od ponad dwudziestu lat, od czasu śmierci starego króla. Pali ich plony i zabudowania, pożera zwierzęta, a czasami nawet poddanych. Poluje na ich ziemi, kiedy tylko zechce, a oni nie potrafią go w żaden sposób powstrzymać.

– Ponieważ smok jest częścią mocy magicznych tej krainy, tak?

– Tak, panie. Strabo jest ostatnim przedstawicielem swego gatunku. Był mieszkańcem zaczarowanego świata, lecz odszedł stamtąd wiele tysięcy lat temu. Nie można go zranić bronią włożoną w ręce śmiertelnika, a tylko mocą magii, która go stworzyła. To dlatego Kallendbor bez obawy zaproponował ci złożenie hołdu, jeśli pozbędziesz się smoka. Uważa, że jesteś uzurpatorem i oszustem. Prawdziwy król panowałby nad mocą medalionu i byłby w stanie wezwać na swoje usługi Paladyna.

Ben pokiwał głową.

– A więc znowu wracamy do Paladyna. Tu zbiegają się wszystkie nici. Powiedz mi, Questorze, dlaczego smok poluje akurat w Greensward?

– Jest smokiem – mag się uśmiechnął.

– Tak, wiem. Ale przecież nie zawsze robił to, co robi teraz – a przynajmniej nie za życia starego króla.

– To prawda. W tamtych czasach trzymał się własnej ziemi. Być może lękał się króla? Może, póki stary król żył, smoka trzymała tam moc Paladyna? Równie dobrze sam możesz wymyśleć inne uzasadnienia.

Ben mruknął poirytowany i rozłożył się na stercie siana.

Bolało go całe ciało.

– Dlaczego, do licha, nie możesz odpowiedzieć na żadne z moich pytań? Masz być wszak nadwornym magiem i moim osobistym doradcą, a wygląda na to, że nie wiesz zbyt wiele.

Questor odwrócił się i spojrzał przed siebie.

– Staram się najbardziej, jak potrafię, panie.

Ben natychmiast pożałował swych słów. Dotknął ramienia Questora.

– Wiem. Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć.

– Za życia starego króla byłem odsunięty od dworu, a z moim przyrodnim bratem nigdy nie utrzymywałem bliższych stosunków. Być może, gdyby było inaczej, potrafiłbym udzielić odpowiedzi na przynajmniej niektóre z twych pytań.

– Mniejsza o to. Przepraszam cię raz jeszcze.

– Wiesz, to nie było dla mnie łatwe.

– Wiem, wiem.

– Musiałem sam uczyć się sztuki magii. Nie miałem opiekuna ani mistrza, który mógłby mną pokierować. Musiałem walczyć o utrzymanie tronu Landover, jednocześnie zajmując się stadem bojących się własnego cienia królów, których jedynym pragnieniem było oglądanie walk na lance – podniósł głos. – Oddałem wszystko, by monarchia mogła przetrwać, prześladowany przez nieszczęścia, które złamałyby zwykłego...

Przerwało mu burknięcie Abernathy'ego.

– Oszczędź nas, magu! Mamy już dosyć słuchania twoich żalów. Jesteśmy do dna znużeni ciągłym wspomnianiem niekończącej się listy twych cierpień.

Questor zamknął usta ze słyszalnym kłapnięciem zębami.

Ben mimo woli uśmiechnął się. Twarz miał tak nabrzmiałą, że uśmiech sprawiał mu ból.

– Mam nadzieję, Questorze, że nie wciągnąłeś mnie na tę listę niefortunnych władców Landover? – rzekł.

Oburzone spojrzenie maga ciągle utkwione było w Abernathym.

– Raczej nie.

– To dobrze. Powiedz mi więc jeszcze, czy możemy polegać na słowie danym przez Kallendbora.

– Co do smoka, tak. Przecież publicznie to przysiągł.

Ben skinął głową.

– A więc musimy najpierw znaleźć sposób, by pozbyć się smoka. – Nastąpiła nieskończenie długa chwila ciszy. Ben wyczuwał, jak wszyscy spoglądają po sobie w ciemności. Czy ktoś ma pomysł, jak to zrobić?

Questor pokręcił głową.

– Nikt tego dotąd nie zdołał uczynić.

– Zawsze musi nastąpić ten pierwszy raz – odparł Ben, zastanawiając się, kogo właściwie usiłuje o tym przekonać. powiedziałaś, że będzie do tego potrzebna magiczna moc. Kto może pomóc nam ją zdobyć?

Questor zamyślił się.

– Nocny Cień, rzecz jasna. Jest najpotężniejsza spośród tych, którzy przybyli tutaj z zaczarowanego świata, lecz równie niebezpieczna jak smok. Myślę, że lepiej zacząć od Władcy Rzek. On przynajmniej dowiódł w przeszłości swej lojalności wobec władców Landover.

– Czy on też jest stworzeniem z zaczarowanego świata?

– Kiedyś tam żył. Odszedł stamtąd setki lat temu. Jednak posiada wiedzę o starożytnych czasach i magii. Z pewnością mógłby nam pomóc. Myślałem, że to właśnie do niego pójdziemy w następnej kolejności, nawet jeśli władcy Greensward złożyliby tobie przysięgę.

– A więc ustalone – rzekł Ben. – Jutro wyruszymy do krainy Władcy Rzek. – Wyprężył się, a potem skulił w swym kocu.

Przez chwilę zawahał się. – Wiem, że to niewiele znaczy, ale chcę wam wszystkim podziękować za to, że ze mną pozostajecie.

W mroku odezwały się pomruki aprobaty i wszyscy zagrzebywali się w swych legowiskach. Po jakimś czasie odezwał się Abernathy.

– Panie, czy nie pragnę zbyt wiele, prosząc, byśmy następnych noclegów nie spędzali w szopach? Obawiam się, iż w sianie są pchły.

Ben szeroko się uśmiechnął i zamknął oczy.

Świt przyniósł koniec ulewy. Przez zasłone mgieł i chmur przedarły się w końcu pierwsze promienie słonecznego światła. Niewielka gromadka znowu ruszyła w swą podróż po dolinie Landover, tym razem zmierzając na południe, w kierunku krainy Władcy Rzek. Wędrowali przez cały dzień:

Ben, Questor i Abernathy wierzchem, koboldy na własnych nogach. Ponownie Bunion ruszył przodem, by oznajmić ich przybycie. Ziemię lordów Greensward opuścili około południa, zostawiając za sobą otwarte równiny, rozległe pola, pastwiska i łąki. Przed zmierzchem znaleźli się już w pagórkowatej krainie Władcy Rzek.

Ben zauważył, że wszystko ma tu nieco inną barwę. Wszystko zdawało się tu wyraźniejsze, prawdziwsze – jak gdyby skutki osłabienia sił magicznych królestwa do tego miejsca jeszcze nie dotarły. Była to kraina rzek i jezior, rozlewających swe wody w dolinach pośród łagodnych, porośniętych bujnymi lasami wzgórz, łąk i zarośli szumiących i kołyszących się na wietrze, niczym fale oceanu. Mgły były tutaj gęstsze.

Gromadziły się w zagłębieniach niczym schwywane w pułapkę obłoki, przetaczały z kotlin w doliny i z powrotem. Zieleń drzew i traw oraz błękit wód były jaśniejsze niż w Greensward, a plamy różu, purpury i fioletu nie nosiły tego znamiennego dla roślinności równin piętna wyblakłości. Nawet bonnie blues nie wyglądały tutaj na tak osłabione, choć ich bajeczną urodę kalają już pojawiające się gdzieś tam ciemniejsze plamy.

Ben spytał Questora, dlaczego tak się dzieje.

– Władca Rzek i jego lud żyją w większej niż wielu innych zgodzie ze starymi prawami. Stale władają pewnymi częściami dawnej magii. Wykorzystując przede wszystkim po to, by utrzymać ziemię i wody tej krainy w czystości. Questor rozejrzał się wokół krytycznie. – Moc magiczna Władcy Rzek chroni tę krainę jedynie w pewnym stopniu. Oznaki podupadania jej żywotnych sił są już wyraźnie widoczne.

W końcu i tutaj wszystko zwiędnie i zniszczeje tak, jak dzieje się to w innych częściach Landover.

– I wszystko przez to, że w Landover nie ma króla? – Ben ciągle nie mógł pogodzić się z istnieniem tego związku.

– Nie miało, panie. Nie miało go przez dwadzieścia lat.

– Rozumiem, że te trzydzieści trzy niefortunne panowania na niewiele się zdały?

– Przeciw upadkowi magicznej mocy, którego skutki obserwujemy teraz? Niestety, nie zdały się na nic. Ty jesteś pierwszym, który będzie się w tym liczył.

Może tak, może nie – pomyślał Ben, na nowo wzburzony wspomnieniem niepowodzenia wizyty u władców Greensward.

– Naprawdę tego nie pojmuję. Czy nikt nie dostrzega tego, co się tu dzieje? Kraina chyli się ku upadkowi, a wszystko przez to, że nie chce im się dogadać i wybrać króla!

– Myślę, że inni widzą te sprawy nieco inaczej, panie rzeki cicho Abernathy, zrównując się z Benem na swym koniu.

Ben obejrzał się za siebie.

– Co masz na myśli?

– Abernathy ma na myśli to, że związek pomiędzy utratą władcy i upadkiem sił magicznych w kramie to jedynie mój wymysł. – Questor przerwał, najwyraźniej zirytowany uwagą skryby. – Uważa, że nikt inny poza mną nie postrzega tego w ten sposób.

– A co, jeśli to oni mają rację?

Questor skrzywił twarz jak po łyku soku z cytryny.

– W takim wypadku wszystko, co próbujemy teraz robić, jest jedynie wielką stratą czasu. Ale akurat tak się składa, że to ja mam rację, a oni się mylą. – Questor rzucił krótkie spojrzenie ku Abernathy'emu, po czym spojrzał przed siebie. Miałem dwadzieścia lat, by dogłębnie przemyśleć ten problem, panie. Obserwowałem i badałem. By sprawdzić, czy się nie mylę, użyłem całej mocy magicznej, jaką dysponuję. Mogę więc z całą pewnością powiedzieć ci, że jeśli Landover ma trwać, musi mieć króla!

Questor był w swej obronie tak twardy i nieprzejednany, że Ben nie odezwał się już ani słowem. Ciszę przerwał jednak Abernathy.

– Jeśli chwilowo przerwałes wysiłki zmierzające ku podniesieniu twej samooceny, to może pozwolisz mi łaskawie wtrącić słowo, i wyjaśnić, że miałem na myśli, iż inni nie postrzegają tego problemu tak jak my. – Spojrzał na Questora sponad oprawek swych okularów. Ten zeszytniał w swym siodle, lecz nie odwrócił się w stronę skryby. – Miałem na myśli to, że inni inaczej widzą nie sam problem, lecz sposób jego rozwiązania. Większość dostrzega wyraźnie upadek mocy magicznych i jego zbiegnięcie się w czasie ze śmiercią starego króla. Lecz nikt nie uważa, że to właśnie koronacja nowego władcy rozwiąże tę kwestię. Niektórzy sądzą, iż rozwiązanie takie wymaga spełnienia jeszcze innych, dodatkowych warunków. Niektórzy uważają, że należy szukać całkowicie innego rozwiązania, a inni, że nie powinno się tego w ogóle robić.

– W ogóle? I któż tak uważa?! – zapytał Ben z niedowierzaniem.

– Nocny Cień. – Questor zbliżył się do nich, zapominając na chwilę o Abernathym. – Obchodzi ją tylko Wielka Czeluść, a do utrzymania jej w odpowiadającym jej stanie wystarczy jej własna magia. Gdy magiczna moc krainy upadnie, moc więdźmy stanie się tutaj najpotężniejsza.

– Władcy Greensward uznaliby króla tylko wtedy, gdyby był jednym z nich – wyjaśnił Abernathy. – Szukają więc rozwiązania, lecz stawiają pewne warunki.

– A Władca Rzek sam szuka innego rozwiązania. Jego metoda to samouzdrawianie – dokończył Questor.

– To właśnie miałem na myśli – podsumował i mruknął Abernathy.

Mag wzruszył ramionami.

– Więc powinienes od razu to powiedzieć.

W krainie jezior gwałtownie zaczął zapadać zmrok.

Podróżni skierowali swe konie ku niewielkiemu topolowemu zagajnikowi, by tam rozbić obozowisko na noc. Linia skraju lasu ciągnęła się w kierunku południa. Na południe od ich obozowiska leżało jezioro – wielka tafla szarej, połyskującej wody, nad którą unosiły się gęste tumany mgły. Otaczające je drzewa i zarośla kryły setki niewielkich zatok i zatoczek. Ponad wodą leniwie zataczały szerokie kręgi zamieszkujące tu ptaki.

– Nazywają je Irrylyn – rzekł Ojuestor, gdy zsiadłszy z koni, przekazali uzdy Parsnipowi. – Mówią, że w gorące letnie noce duszki wodne i nimfy – lud Władcy Rzek – kąpią się tu, by utrzymać wieczną młodość.

– To musi być ekscytujące. – Ben ziewnął i przeciągnął się, nie pragnąc w tej chwili niczego bardziej ekscytującego niż sen.

– Niektórzy uważają, iż wody te mają zdolność hamowania starzenia się – zamyślił się Questor. – Inni, że wody te mogą nawet przywrócić młodość starcowi.

– Niektórzy wierzą we wszystko, co się im powie – burknął Abernathy, otrząsając się z kurzu, który pokrył matową warstwą jego długą sierść. – Kapałem się tutaj kilkakroć i nie zyskałem nic, prócz przyjemniejszego zapachu.

– Może i teraz byś o tym pomyślał – rzekł Questor, krzywiąc nos z niesmakiem.

Abernathy warknął w odpowiedzi i zniknął w ciemności.

Ben odprowadził go wzrokiem, po czym zwrócił się do Questora:

– Myślę, że i mi by się to przydało. Czuję się jak zdeptana wycieraczka. Czy jest jakaś przyczyna, dla której nie miałbym się wykąpać w Irrylyn?

– Ależ nie, panie. – Questor odwracał się właśnie, szukając wzrokiem Parsnipa. – Ja tymczasem zajmę się obiadem.

Ben ruszył w kierunku jeziora, lecz po chwili zatrzymał się i jeszcze raz odwrócił.

– Czy grozi mi tam jakieś niebezpieczeństwo, o którym powinienem wiedzieć? – zawołał, wspominając nagle chwyćca bagiennego, jaskinnika i całą resztę tego rodzaju stworzeń, których na szczęście nie miał okazji poznać bliżej w czasie porannej przebieżki w okolicach Sterling Silver. Lecz Questor stał już zbyt daleko, by go dosłyszeć. Jego pochylona sylwetka była ledwie dostrzegalnym cieniem pośród mgieł. Ben zawahał się, spojrzął w jego kierunku, wzruszył ramionami i znowu ruszył w kierunku Irrylyn. Skoro nawet nimfy i duszki wodne mogą się tam kąpać, to z pewnością nie kryje się tam żadne niebezpieczeństwo. Poza tym, był już tam Abernathy.

W ciemnościach przedzierał się przez las. W końcu dotarł do brzegu. Przed nim rozciągała się połyskująca srebrem tafla jeziora, w której się odbijały unoszące się nad nią smugi mgły i kolorowe tarcze księżyców Landover. Wierzby, topole i cedry chyliły się nad nim, niczym mroczne

sylwetki gigantów. Słysząc było przenikliwe krzyki żegnających dzień ptaków. Ben zrzucił swe ubrania i buty, rozglądając się w poszukiwaniu Abernathy'ego. Psa nie było widać ani słysząc.

Nagi, wszedł powoli do wody. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Woda była ciepła! Poczul się, jakby wchodził do wanny. Delikatne, przyjemne ciepło rozgrzewało i koło ból mięśni. Dotknął powierzchni wody dłonią, sądząc, że różnica pomiędzy temperaturą jej i powietrza wywołała to dziwne wrażenie. Lecz nie – woda była faktycznie ciepła, jak gdyby zbiornik ten zasilały gorące źródła.

Pokiwał głową i ostrożnie zaczął kroczyć przed siebie.

Zatrzymał się znowu, zanurzywszy się po kolana. Jego długi cień kładł się na spokojnej powierzchni jeziora. Ze zdziwieniem stwierdził, że ma uczucie, jakby szedł po piasku. Pochylił się i sięgnął dłonią dna. To b y ł piasek! Sprawdził to dokładnie w świetle księżyców. Przecież dno takiego otoczonego lasami i górami jeziora winno być błotniste i grząskie, albo w najlepszym wypadku – skaliste!

Posunął się jeszcze dalej naprzód. Zastanawiał się, czy jezioro to rzeczywiście nie ma jakiejś magicznej mocy. Jeszcze raz rozejrzał się wokół, wypatrując Abernathy'ego. Psa nigdzie nie było. Powoli zanurzył się po szyję, czując przenikające go miłe ciepło. Oddał się kontemplacji tego przyjemnego uczucia. Stał teraz o kilkanaście metrów od brzegu. Dno opadało jednostajnie i łagodnie o jakieś kilkanaście centymetrów co każde trzy, cztery metry. Popłynął w ciemność, wyprężając ciało i oddychając rytmicznie. Zanurzył się pod wodę, a gdy wynurzył się, by zaczerpnąć powietrza, dojrzał drugą zatoczkę, leżącą nieopodal tej, z której wypłynął. Była mała – liczyć mogła najwyżej trzydzieści metrów szerokości. Przepłynął obok niej i dotarł do trzeciej. Zmienił styl z kraula na bezgłośną żabkę i płynął teraz ze wzniesioną ponad wodę głową.

Księżycowe światło zalało tafle jeziora setką barw, a mgły wiły się ponad nią szarymi pasmami. Ben przymknął oczy.

Trzecia zatoczka była jeszcze mniejsza, szeroka na zaledwie kilkanaście metrów. Linie brzegu porastało sitowie, cedry i pochylone nad wodą, rzucające na nią długie cienie wierzby. Ben się zanurzył pod wodę i bezgłośnie posuwał się w ich kierunku.

Wynurzył się o dziesięć metrów od brzegu. Dokładnie na wprost przed nim stała, zanurzona po kolana w wodzie naga jak on kobieta. Dzieliło go od niej nie więcej niż trzy metry.

Nie próbowała nawet odwracać się czy kryć. Była wystraszona niczym oślepienie światłem zwierzę, zamarła w chwilowym oczekiwaniu.

Ben Holiday stał, widząc oczyma wyobraźni coś, co uważał za na zawsze utracone. Zamrugał powiekami, po których spływała teraz woda.

– Annie? – wyszeptał z niedowierzaniem.

Wtedy przysłaniające ją mgły nieco się rozwiały i Ben stwierdził, że nie jest to Annie. Był to ktoś inny.

I prawdopodobnie „bardziej inny”, niż mu się to początkowo wydawało.

Jej skóra była bladozielona, gładka i bez skazy. Niemal srebrzyła się w blasku odbijanym przez wody Irrylyn. Jej włosy miały również zieloną barwę, lecz zieleń ta była głęboka, niczym zieleń ciemnego lasu. Ozdobione wstążkami i kwiatami, opadały po ramionach, sięgając aż do

talii. Rosły również wąskimi pasmami na tyłach jej przedramion i łydek. Ich delikatne, jedwabiste pasma poruszały się przy każdym tchnieniu wiatru.

– Kim jesteś? – spytała cicho.

Nie mógł wydusić z siebie odpowiedzi. Teraz widział ją wyraźnie i był przekonany, że nigdy nawet nie wyobrażał sobie czegoś równie pięknego. Była, niczym żywcem wyjęta z doskonałego obrazu, zaczarowaną księżniczką bez skazy.

Podeszła ku niemu o krok. Jej twarz wyglądała tak młodo, że zdawała się należeć jeszcze do dziecka. Ale ciało...

– Kim jesteś? – powtórzyła pytanie.

– Ben – ledwie zdobył się na to jedno słowo i nie pomyślał nawet, by powiedzieć co innego.

– Jestem Willow – rzekła. – Teraz należę do ciebie.

Ben doznał kolejnego szoku. Dziewczyna, kołysząc się lekko, podeszła ku niemu, i teraz to on stał się spłoszonym, gotowym do ucieczki zwierzęciem.

– Ben... – jej głos nabrał słodkiej i śpiewnej barwy. – Jestem sylfidą, córką wodnika, który stał się człowiekiem, i dzikiej nimfy wodnej. Zostałam poczęta w nocy dzielącej rok na dwoje, w ciepłe pełni ośmiu księżyców, a wróżbę mojego losu utkały kwiaty i powoje ogrodu, który był łóżem moich rodziców. Mówi ona, że dwa razy w roku pod osłoną ciemności mam się przekraść nad Irrylyn i kąpać się w jego wodach. Należała będę do człowieka, który mnie wtedy ujrzy, i do nikogo innego...

Ben kręcił głową i poruszał ustami, usiłując coś powiedzieć.

– Ależ to szaleń... to nie tak! Przecież nawet cię nie znam!

A ty nie znasz mnie!

Zwolniła tuż przed nim, zatrzymując się na wyciągnięcie ręki. Chciał, żeby to zrobiła. Potrzeba tego dotyku zapłonęła w nim żarem. Walczył z tym wszystkimi sposobami, lecz nie mógł okiełznać rc zbudzonych w nim emocji.

– Ben! -szepnęła raz jeszcze, a dźwięk jej słów zdawał się wokół niego owijać. -Należę do ciebie. Czuję, że tak jest. Czuję, że przepowiednie się spełniły. Jak sylfidy w najdawniejszych czasach zostałam oddana człowiekowi, który mnie ujrzał. Wzniosła twarz, a jej piękne, idealnie regularne rysy mieniły się tęczowymi barwami księżyców odbijających się w tafli jeziora. – Musisz mnie wziąć.

Nie mógł oderwać od niej oczu.

– Willow! – Użył jej imienia, rozpaczliwie usiłując stłumić wezbrane emocje. – Nie mogę... nie mogę wziąć czegoś, co do mnie nie należy. Nie jestem nawet z tego świata. Nie wiem...

– Ben! – szepnęła nagle, przerywając mu w pół zdania. Nic, prócz tego, co się tutaj wydarzyło, nie ma znaczenia.

Należę do ciebie. – Podeszła o krok bliżej. – Dotknij mnie.

Ben wznosił rękę. Myśli o Annie zajaśniały w jego głowie niczym błyskawica, lecz ręka nadal wznosiła się w górę. Ciepło wód Irrylyn i zdającego się otaczać go ciasnym płaszczem powietrza zaczęły go dusić. Poczul, że dotknęła jego palców.

– Odejdź razem ze mną, Ben – szepnęła.

Ogień gorący jak rozżarzone do białości żelazo trawił jego zmysły. Pragnął jej zawsze, choć nigdy o tym nie wiedział.

Nie mógł jej odmówić. Nie widział teraz nic, prócz niej. Cały świat wokół nich gdzieś się zapadł. Jego dłonie zacisnęły się na jej ramionach. Czuł, że są połączeni.

– Odejdź ze mną! Teraz! – Zbliżyła się jeszcze bardziej.

Ben przyciągnął ją ku sobie, obejmując ją ramionami, zaskoczony delikatnością jej ciała.

– Panie!

Wszystko zawirowało mu przed oczami. Doszły go odgłosy łamanych krzaków, szeleszczących zarośli i czyichś kro. Otaczająca ich cisza została nagle przerwana. Willow wyslizgnęła się z jego ramion.

– Panie!

Abernathy przedzierał się przez zarośla do brzegu jeziora, niemal dysząc z wyczerpania, z okularami przekrzywionymi na włochatym nosie. Ben patrzył na niego w milczeniu, po czym gwałtownie rozejrzał się wokół. Stał nagi, sam w małej zatoczce. Drżał z zimna. Willow zniknęła.

– Panie, nie odchodź już tak więcej bez któregoś z nas! zawołał Abernathy, a w jego głosie mieszały się rozdrażnienie i ulga. – Myślałem, że to, czego uniknąłeś, kiedyśmy byli w Sterling Silver, będzie dla ciebie wystarczającą lekcją!

Ben ledwie go słyszał. W poszukiwaniu Willow wodził teraz wzrokiem po zatoczkach i linii brzegu. Potrzeba jej bliskości nadal płonęła w nim niczym ogień. Nie mógł myśleć o niczym innym. Lecz Willow zniknęła na dobre.

Abernathy przycupnął po psiemu, mruczając pod nosem.

– Cóż, sądzę, że nie była to jednak moja wina. To przede wszystkim wina Questora Thews. Powiedziałeś mi, że chcesz się wykapać w jeziorze. Powinien był wiedzieć, że należy wysłać z tobą Parsnipa. Mag niezdolny jest pojąć, jakim zagrożeniem mogą być dla ciebie te wody. – Przerwał. – Panie, czy wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedział natychmiast Ben. Czy Willow była tylko rodzajem dziwnego przewidzenia? Halucynacją?

Wyglądała przecież tak realnie...

– Zdajesz się nieco strapiiony? – rzekł Abernathy.

– Nie, nie, wszystko ze mną w porządku... – zamilkł. Myślałem tylko, że widziałem... coś.

Odwrócił się i ruszył w kierunku brzegu, wychodząc z wód Irrylyn na suchy ląd. Abernathy miał ze sobą koc, którym natychmiast go okrył. Ben mocno się nim otulił.

– Kolacja czeka, panie – oznajmił Abernathy zachęcająco, przyglądając się Benowi badawczo sponad oprawek okularów. Potem wyprostował się z godnością. – Trochę cieplej zupy z pewnością cię rozgrzeje.

Ben nieobecnie skinął głową.

– Z pewnością. – Wahał się przez chwilę. – Abernathy, czy wiesz, co to sylfida?

Pies przyjrzał mu się jeszcze uważniej.

– Tak, panie. To rodzaj leśnej, czarodziejskiej istoty; żeńskie potomstwo duchów wodnych i nimf. Sam nigdy czegoś takiego nie widziałem, lecz mówią, że to przepiękne stworzenia. – Postawił uszy. – Piękne w rozumieniu ludzi. W kategoriach psów może być inaczej.

Ben wpatrywał się w ciemność.

– Tak...– Wziął głęboki oddech.– Zupa, powiadasz?

Z przyjemnością.

– Obozowisko rozbiliśmy tam, panie – wskazał Abernathy, ruszając jednocześnie w tym kierunku. – Zupa powinna być dosyć smaczna, jeśli tylko Questor Thews zdołał się powstrzymać od jej ulepszenia przy użyciu swej żalosalnej magii.

Ben rzucił krótkie spojrzenie za siebie, na zatoczkę. Spokojne wody jeziora połyskiwały w świetle księżyców, a brzeg był pusty. Otrząsnął się i pospieszył za Abernathym.

Zupa w istocie była smaczna. Rozgrzewała wewnątrz Bena, łagodząc dreszcze zimna, które poczuł, gdy stwierdził, że stoi sam w zatoczce. Questor westchnął z ulgą, widząc go całego i zdrowego. W ciągu posiłku sprzeczał się z Abernathym, kto był winny pozostawieniu króla bez opieki. Ben nie słuchał.

Pozwalał im się sprzeczać, pozwalał mówić do siebie, lecz myślał o czymś innym. Dwie miski ciepłej zupy i parę kielichów wina sprowadziły uczucie przyjemnej senności. Co dziwne, tym razem nie strzegł się przed ich wypiciem.

Krótko potem poszedł spać. Zakopał się w swe koce i odwrócił od ognia, patrząc w kierunku srebrnych wód jeziora, nad którymi, pod nocnym niebem, unosiły się i kłębiły białe tumany mgły.

Wsluchiwał się w ciszę, która szybko ogarnęła całą krainę jezior.

W ciemności szukał wzrokiem cienia Willow.

Tej nocy spał dobrze. Nie śniła mu się jednak Annie ani Miles. Nie śnił o życiu, które pozostawił za sobą, przybywając do Landover, ani o tysiącach problemów, z którymi musi tutaj się zmierzyć.

Śnił o Willow.

WŁADCA RZEK

Bunion powrócił o świcie. Poranek był chłodny i wilgotny.

Mgły i cienie osiadły w lesie niczym szary, wełniany koc, okrywający śpiące dziecko. Cała reszta ich małej grupki jadła właśnie śniadanie, gdy kobold wyłonił się spośród drzew, niczym zjawa zbiegła ze snów wczorajszej nocy. Skierował się prosto do Questora i przemówił do niego niezrozumiałą mieszanką pomruków i syknięć. Skłonił się pozostałym i usiadł, by dokończyć to, co zostało jeszcze ze śniadania.

Questor przekazał Benowi, że Władca Rzek zgodził się go przyjąć. Ben bez słowa pokiwał głową. Jego myśli błądziły teraz gdzie indziej. Wyobrażenie Willow stale kołatało się w jego umyśle, a był to obraz tak wyraźny, że aż dziw, że nie był czymś więcej, niż tylko tworem

wyobraźni. Budząc się, próbował go powstrzymać, opanować, czując, że w pewien sposób zdradza Annie. Był on jednak zbyt silny, a sam Ben, mimo poczucia winy, dziwnie troszczył się, by go nie zagubić. Dlaczego śnię o Willow? – zastanawiał się. – Dlaczego sny są tak intensywne? Dokończył śniadanie, pograżony we własnych myślach, nie zwracając uwagi na rzucane ku niemu przez Abernathy'ego i Questora spojrzenia.

Krótko potem opuścili obozowisko. Przemykali się w półmroku poranka cicho niczym cienie. Podążali gęsiego wąską ścieżką wzdłuż wybrzeża Irrylyn. Była to podróż przez krainę fantazji. Z owioniętej chłodnym powietrzem ciepłej ziemi, węzowymi spiralami wzbijała się w górę mgła. Jej tumany unosiły się ponad lasem. Wędrowców otaczały mroczne i wilgotne sylwetki drzew: olbrzymie czarne dęby, wiązy, skarłowaciałe i sękaty białe orzechowce, wierzby i cedry. Zrodzone w wyobraźni zmory wylaniały się zza nich i znikwały w mgnieniu oka, zawodząc i chichocąc. Ben czuł się oszołomiony natłokiem wrażeń. Czuł się, jakby jeszcze nie do końca przebudzony ze snów minionej nocy. Czuł się, jak pod wpływem środków odurzających. Przedzierał się przez zakrywającą wszystko, z jego własnymi myślami włącznie, mgłę, wyteżając wzrok w poszukiwaniu czegoś, co wyglądałoby realnie. Lecz jedynym pewnym oparciem dla wzroku okazywały się wilgotne od oparów drzewa i twarda, płaska powierzchnia jeziora.

Potem zniknęło nawet jezioro, a wraz z nim – cała reszta świata. Pozostały tylko drzewa. Ranek wydłużał się, a mgły i półmrok zalewały krainę jezior, kryjąc jej sekrety przed przybyszami. Poprzez opary wędrowców dochodziły jedynie ciche i stłumione dźwięki – oznaki, że nie są oni tutaj jedynymi żywymi istotami, iż za zasłoną mgieł coś się dzieje. Ben cały czas błądził wzrokiem w poszukiwaniu choćby cienia Willow; jakiś wewnętrzny głos podszeptował mu, że gdzieś tam jest. Szukał więc – lecz bezskutecznie.

Chwilę później pojawiła się przed nimi jakaś leśna istota.

Skierowali swe konie przejściem utworzonym przez kilka powalonych drzew. Bunion szedł pierwszy i to na jego ramię wskoczyło szczupłe, gibkie stworzenie, niewiele wyższe od niego. Ubrane było w swobodny strój w kolorze ziemi o krótkich nogawkach i rękawach. Jego skóra była brązowa i chropowata niczym kora młodego drzewa, a głowę, grzbiet, plecy i tylne powierzchnie ramion pokrywały gęste włosy.

Wędrowcy nie zwolnili tempa marszu. Stworzenie poruszało się to w przód, to w tył, szybkie i niespokojne niczym ptak.

– Questorze! – Ben syknął głośniejszym głosem, niż zamierzał. – Kto to jest?

Mag spokojnie obrócił się w siodle, kładąc palec na ustach.

– Spokojnie, panie. Naszym przewodnikiem jest leśny skrzat, na usługach Władcy Rzek. Wokół nas jest ich mnóstwo.

Ben szybko rozejrzał się wokół siebie. Niczego nie jednak nie dostrzegł.

– Naszym przewodnikiem? Dokąd nas prowadzi?

– Prowadzi nas do Elderew, miasta Władcy Rzek.

– Potrzebny nam przewodnik?

Questor wzruszył ramionami.

– Bezpieczniej jest go mieć, panie. Elderew otaczają rozległe trzęsawiska, w których niejeden postradał życie. Kraina jezior może być zdradliwa. Przesłanie nam przewodnika to wyraz gościnności Władcy Rzek – wyraz gościnności dawany wszystkim odwiedzającym go.

Ben jeszcze raz powiódł wzrokiem po zasłonie mgły.

– Mam nadzieję, że podobną uprzejmość wyświadcza również wszystkim odchodzącym – wymamrotał pod nosem.

Szli dalej pomiędzy drzewami. Z mgły zaczęły wyłaniać się nagle kolejne gibkie, sylwetki leśnych stworzeń: niektóre o twarzach podobnych do oblicza ich przewodnika, przypominających pokryte słojami drewno, inne patykowate i sękate, inne gładkie i błyszczące, o niemal srebrzystej skórze. Wyskakiwały bezgłośnie z obu stron ciągnącej ścieżką kolumny wędrowców, chwytając się końskich upręży i wiodąc zwierzęta za sobą. Ścieżka stała się jeszcze węższa, a chwilami całkowicie nikała pod wodą, tak, że ich przewodnicy szli w niej po pas. Po obu jej stronach pojawiały się lśniące tafle stawów, porośnięte trzcina bagna i wielkie połacie błota, nad którymi unosiła się mgła. W wodzie pływały niezwykle stworzenia jedne wyposażone w rybie płetwy, inne pokryte gadzią łuską. Twarze niektórych były ludzako podobne do ludzkich.

Niektóre przedzierały się przez mgły, tańcząc po lustrzanej powierzchni wody niczym nieważkie owady. Wynurzały się z mgły i ledwie zdążyły mignąć przed oczami, a już znikaly.

Ben czuł się już przebudzony. Sny ubiegłej nocy przestały w końcu kołatać się w jego głowie. Pozostawały już tylko bladym wspomnieniem i zawieszonymi w próżni uczuciami.

Rzeško rozglądał się wokół i z niedowierzaniem obserwował pojawiające się przy nich istoty. Opanowało go przykre uczucie bezradności. Skrzaty leśne, nimfy, kelpy, najady i chochliki pojawiały się i znikaly we mgle. Przypominał sobie czasy, gdy będąc chłopcem, pochłaniał masami literaturę fantastyczną i literaturę grozy – dla niego wtedy niemal zakazaną – i znowu przypatrywał się zadziwiony napotykanym tutaj stworzeniom.

Przecież jeszcze nie tak dawno uważał, że mogą one istnieć jedynie w wyobraźni pisarza i są powoływane do życia jedynie jego piórem. Uważał tak, w głębi ducha pragnąc jednak, by mogło być inaczej. W świecie, do którego przybył, stworzenia te faktycznie istniały, lecz wiedział o nich mniej, niż o tamtych ze stronic czytanych za młodu książek. One z kolei nie wiedziały niczego o nim. Jak, na Boga, ma przekonać je, by uznały go za swego króla? Jak ma skłonić je do przysiężenia mu wierności?

Beznadziejność zadania, którego się podjął, była przerażająca. Świadomość ta do tego stopnia dała znać o sobie, iż przez chwilę był sparaliżowany niezdecydowaniem. Smukłe, widmowe sylwetki mieszkańców krainy Władcy Rzek przemykały obok niego we mgle. Odbierał je jako obcych, dla których on sam jest również tylko obiektem chwilowego zainteresowania. Z władcami Greensward było inaczej. Byli podobni do niego, przynajmniej z wyglądu. Miał poczucie, że należą do tego samego gatunku. O ludziach Władcy Rzek nie mógł tego powiedzieć.

Przemógł lęk i niezdecydowanie, pogrążając się jednak w przemożnym poczuciu beznadziejności swej sytuacji. Walczył z nim z zadziwiającą energią. Wszak mogłoby się ono stać wymówką, usprawiedliwieniem wycofania się, poddania, ale do tego nie mógł dopuścić. Przecież mosty budować można między stworzeniami wszelkich gatunków. Przecież przed nim żyli służący temu ludowi i władający nim królowie. On mógł służyć mu równie dobrze. Z pewnością

znajdzie sposób na to, by ludność dostrzegła jego starania. Zrobi wszystko, co będzie konieczne. Nigdy nie zrezygnuje. Nigdy!

– Panie?

Przy jego boku pojawił się Abernathy i utkwiał w nim wilgotne, pytające oczy. Ben spojrzał w dół. Palce miał zbieleiałe od kurczowego trzymania się siodła. Jego tunika była na plecach i pod rękawami mokra od potu. Zdawał sobie sprawę, że wyraz twarzy odzwierciedla siłę jego przeżyć.

Wziął głęboki oddech i rozluźnił kurczowy uchwyt, starając się nad sobą zapanować.

– To tylko dreszcze – usprawiedliwił się, spojrzał przed siebie i przynaglił Wishbone'a, by zostawić za sobą Abernathy'ego w bezpiecznej odległości.

Przed nimi zamajaczył we mgle las wiekowych cyprysów.

Mgła zdawała się więznąć między ich rzucającymi głęboki cień gałęziami. Potężne korzenie niczym szpony wczepiały się w wilgotną ziemię. Trzęsawiska skończyły się i wreszcie wkroczyli na twardsze podłoże. Otaczały ich cyprysy, dęby i wiązy. Surowy zapach nizinnej części krainy jezior wyparła słodsza woń sosen i cedrów. Twarze pojawiających się we mgle ulotnych stworzeń stały się wyraźniejsze. W lesie, gdzieś przed nimi, słychać było głosy. Ben czuł, że są o krok od celu podróży. Jego serce zaczęło bić szybciej.

Poprzez drzewa przedzierały się już strzępki barw. Z konarów i pni zwisały girlandy kwiatów. Powietrze wypełnił dźwięk płynącej wody. W końcu drzewa rozstały się i oczom wędrowców ukazał się olbrzymi, jasno oświetlony amfiteatr.

Ben oniemiał. Amfiteatr wyznaczały drzewa, rosnące na trzech czwartych obwodu kolistej łąki pokrytej kwiatami i trawą.

Konary chyliły się nad areną, tworząc jej naturalne sklepienie. Na nich wisiały utkane z żywych gałęzi i lian miejsca siedzące dla widzów.

– Panie, spójrz tutaj – rzekł cicho Abernathy, wskazując nie na amfiteatr, lecz coś, co znajdowało się za nim.

Ben poczuł, że z trudnością łapie oddech. To, co ujrzał, wyglądało wprost niewiarygodnie. Drzewa dwukrotnie większe od tych tworzących amfiteatr wznosiły się ponad lasem ku niebu. Przy nich nawet sekwoje, które widział kiedyś, podróżując razem z Annie przez Kalifornię, były tylko karłami. Potężne konary drzew splatały się, łącząc się w jedną całość. Ich splecione gałęzie tworzyły wielką i skomplikowaną sieć.

Pod konarami i na nich samych usadowione było całe miasto.

Przedstawiało to sobą obraz niewyobrażalnie piękny i niezwykły. Domostwa i warsztaty zawieszane były wysoko na gałęziach drzew-gigantów. Łączyły je ze sobą utkane z gałęzi pomosty i przejścia, którymi można było również zejść na ziemię, gdzie rozłożona była większa część miasta. Tutaj domy stały nad nitkami kanałów, zasilanymi w wodę przez przepływającą środkiem miasta rzekę. To właśnie jej szum słyszeli, podążając jeszcze przez trzęsawiska. Liściaste sklepienie lasu przysłaniało niebo, lecz światło słoneczne i tak dostawało się tu i wąskimi snopami padało na ziemię. Barwy rosnących wszędzie kwiatów rozjaśniały sylwetki domów i warsztatów, ogrody i żywopłoty, wodne kanały i napowietrzne ścieżki. Mgła otulała to niezwykle miasto półprzezroczystym welonem. Owa chłodna szarość, tak charakterystyczna dla całej reszty doliny, tutaj była nieobecna.

Czarodziejski lud Władcy Rzek wypełniał miasto od zawieszonych w przestworzach domostw aż po szemrzące wodą kanały. Kanciaste twarze i wiotkie ciała zdawały się być częstkami wylaniającego się zza mgły mroku.

– To Elderew – udzielił zbędnej już informacji Questor.

Niewielka grupka podróżnych skierowała się ku amfiteatrowi. Otaczające ich i prowadzące konie wiotkie stworzenia zaczęły znikać jedno po drugim, aż w końcu pozostał z nimi tylko przewodnik, który dołączył do nich na samym początku. Wkroczyli na arenę amfiteatru przez przerwę w pierścieniu otaczających ją drzew. Bunion, ramię w ramię z przewodnikiem, posuwał się przodem. Za nim konno jechali Questor i Ben, a o kilka kroków za nimi Abernathy jeszcze raz dzielnie wznosił królewskie insygnia i biało-purpurowy sztandar ze zbrojną sylwetką Paladyna. Procesję kończył wiodący za sobą kilka jucznych osłów Parsnip. Komitet powitalny wynurzył się z jednego z licznych tuneli prowadzących pod widownią do wnętrza amfiteatru. W jego skład wchodził zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Odległość dzieląca ich od Bena nie pozwalała mu jeszcze dojrzeć rysów ich twarzy, lecz spostrzegł już, że odziani są w leśne ubrania podobne do tego, jakie nosił ich przewodnik. Ich skóra również przypomina drewno o wyraźnych słojach.

Ben i Questor zatrzymali się na środku areny, zsiadli z koni i pieszo ruszyli w kierunku komitetu powitalnego. Koboldy i Abernathy podążali teraz za Benem i Questorem. Przewodnik pozostał za nimi, razem ze zwierzętami. Ben spojrzał na Maga.

– Jeśli masz dla mnie jakąś ostatnią radę na tę chwilę, bardzo bym był za nią wdzięczny – szepnął.

– Hm? – Jak zwykle, myśli maga krążyły teraz zupełnie gdzie indziej.

– Władca Rzek. Jaki on jest?

I – Masz na myśli: jakim jest rodzajem stworzenia? – wtrącił się zza ich pleców Abernathy.

– To wodnik, panie – odrzekł Questor. – Czarodziejskie stworzenie, które stało się półczłowiekiem, gdy przybyło do Landover i tę okolicę uczyniło swym domem. To stworzenie wodno-leśne... eee... uhm... – Mag zamyślił się. – Właściwie okazuje się, że trudno go opisać.

– Najlepiej, gdy sam zobaczy – skwitował Abernathy.

Questor myślał przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– Tak, chyba tak.

Byli już zbyt blisko oczekującego ich zgromadzenia, by dalej dyskutować, choć Ben – wobec tego, czego się przed chwilą dowiedział – dałby wiele za taką możliwość. W zaistniałej sytuacji nie pozostało mu jednak nic innego, niż skupić całą swoją uwagę na witającej ich grupce. Wśród niej od razu rozpoznał Władcę Rzek. Stał w samym środku, wysunięty naprzód spośród zgromadzonych. Wysoki i szczupły, ubrany był w spodnie, tunikę i płaszcz w kolorze leśnej zieleni, oraz wysokie, błyszczące, skórzane buty. Na jego piersi krzyżowały się skórzane pasy, a na czole osadzony był delikatny, srebrny diadem. Na jego srebrzystej skórze, podobnie jak u ich przewodnika, widać było linie przypominające słoje drewna czy nawet łuskę. Głowę, kark i przedramiona pokrywały długie, czarne włosy. Oczy i usta wyglądały jakby były wyrzeźbione, nos natomiast pozostawał prawie niewidoczny. Władca Rzek robił wrażenie wyciosanego w drewnie posagu.

Pozostali uczestnicy powitalnego zgromadzenia stali skupieni wokół niego. Byli to w większości młodzi mężczyźni i kobiety różnych typów, wyglądu i wzrostu, o orzechowobrazowych i naznaczonych liniami przypominającymi słoje drewna twarzach. Dwóch czy trzech miało, podobnie jak Władca, cerę srebrzystą. Jeden wyglądał na skleconego z patyków, drugi miał coś gadziego w wyglądzie i ubarwieniu, innego pokrywało rdzawe futro, a jeszcze inny, o czarnych, głębokich oczach, był biały niczym duch.

Ben zwolnił gwałtownie, próbując nie dać poznać po sobie szoku, którego doznał na widok tego przedziwnego zgromadzenia. Wśród zebranych, po lewej stronie Władcy Rzek, stała Willow.

– Questorze! – szepnął nisko. – Kim jest ta dziewczyna po lewej?

Questor spojrzał na niego.

– Która?

– Dziewczyna po lewej! Ta o zielonej skórze i włosach, do licha!

– Ach, sylfida? – Questor uśmiechnął się szeroko w kierunku zgromadzonych, mówiąc jednocześnie półgębkiem do Bena. – Ma na imię Willow. Jest jednym z dzieci Władcy Rzek. – Przerwał. – Cóż jednak za różnica...

Ben uciszył go. Kroczyli dalej, a jego umysł pracował chaotycznie. Oczami wodził po zebranych, ciągle zatrzymując spojrzenie na Willow. Dziewczyna patrzyła na niego wyzywająco.

– Witaj, panie! – pozdrowił go Władca Rzek, gdy znaleźli się tuż przed nim. Skłonił się szybko i lekko. Jego towarzysze uczynili to samo. – Witamy w Elderew.

Kryjąc swe zaskoczenie widokiem Willow, Ben pospiesznie zbierał rozsypane myśli.

– Dziękuję. Dziękuję również za to, że przyjąłeś mnie, mimo spóźnionego uprzedzenia.

Władca Rzek roześmiał się. Był to potężny, serdeczny śmiech, który wypełnił swym dźwiękiem cały amfiteatr. Jego łuskowata twarz pozostała jednak bez wyrazu niczym kamień.

– Już samo to, że się tutaj pojawiłeś, wiele znaczy. Od czasu śmierci starego króla jesteś pierwszym, który mnie odwiedza.

Musiałbym być zaiste wyjątkowo niegościnnie, by odmówić przyjęcia ciebie po tak długim oczekiwaniu!

Ben uśmiechnął się uprzejmie, choć naprawdę nie było to łatwe, gdyż w tym właśnie momencie dostrzegł, że po bokach szyi Władcy Rzek rytmicznie falują skrzela.

– Tak, to było dla wszystkich długie oczekiwanie – wydusił wreszcie.

Władca Rzek kiwnął głową.

– Owszem, dosyć długie. -Odwrócił się nieco. -Oto moja rodzina, panie: moje żony, dzieci i wnukowie. Wielu z nich nie widziało jeszcze nigdy króla Landover i dlatego pragnęli być obecni na twoim powitaniu.

Przedstawił ich wszystkich po kolei. Ben słuchał cierpliwie, każdemu z osobna się kłaniając. Gdy przyszła kolej na Willow, skłonił się jej jak innym, lecz poczuł zalewającą go falę gorąca. Gdy Władca Rzek skończył, Ben przedstawił swoich towarzyszy.

– Witam was wszystkich! – rzekł Władca Rzek, podając każdemu z nich rękę. – Dzisiaj wieczorem odbędzie się uroczystość i procesja na waszą cześć. Czujcie się tutaj jak w domu. –

Przerwał na chwilę, dając zapewne Benowi czas na kolejny uprzejmy uśmiech. – Teraz, jak sądzę, powinniśmy pomówić o tym, co cię tu sprowadziło, panie. W krainie jezior zwyczajem jest załatwianie interesów wprost i bez zwłoki. Podczas gdy twoi towarzysze będą lokowani w osadzie, my odbędziemy naszą naradę – tylko we dwóch. Czy przystajesz na to?

Ben kiwnął głową.

– Tak. – Nie spojrział nawet na Questora, by stwierdzić, czy aprobuje tę decyzję. W tym Questor nie mógł mu pomóc.

Ben wiedział, jaki cel ma osiągnąć i wiedział, że musi tego dokonać sam. Poza tym Władca Rzek nie wyglądał na kogoś źle do niego usposobionego i jakoś nie pasowały do niego ponure komentarze Abernathy'ego.

Władca Rzek odesłał swoją rodzinę z poleceniem ulokowania Questora, Abernathy'ego i koboldów w przygotowanych kwaterach. Potem zwrócił się do Bena.

– Czy chciałbyś, panie, obejrzeć podczas naszej rozmowy okolicę? – zapytał.

Była to raczej sugestia niż pytanie, lecz Ben i tak wyraził zgodę skinieniem głowy. Władca Rzek wskazał mu drogę poprzez jeden z tuneli wychodzących pod widownią amfiteatru i bez słowa podążył za nim. Nim otoczyła ich ciemność, Ben po raz ostatni spojrział na stojącą w mglistym świetle i odprowadzającą go wzrokiem Willow.

Gdy wyszli z drugiego końca tunelu, Władca Rzek poprowadził Bena wzdłuż jednego z kanałów, którego brzegi ozdobione były żywopłotami i klombami kwiatów. Cała ta roślinność była starannie wypielegnowana, a żywopłoty równo przycięte. Tą drogą dotarli do rozciągającego się za amfiteatrem parku. Natknęli się tam na gromadki bawiących się dzieci. Zróżnicowanie ich budowy i rozmiarów odzwierciedlało różnice pomiędzy ich rodzicami. Wokół w ciszy popołudnia rozbrzmiewały ich wesołe, jasne głosy. Ben uśmiechnął się dosyć ponuro. Wiele czasu minęło od chwili, kiedy ostatnio dane mu było słuchać śmiechu bawiących się dzieci. Te tutaj, gdyby nie nieco inny wygląd, mogłyby przecież być dziećmi z jego świata.

Lecz, oczywiście, teraz jego światem był ten świat.

– Wiem, że przybyłeś do Elderew, by prosić mnie o złożenie przysięgi wierności tronowi – powiedział niespodziewanie Władca Rzek. Jego srebrzysta twarz pozostawała nieprzeniknioną maską. Wyglądało na to, że nigdy nie zmienia ona wyrazu, nie odbijając żadnych myśli czy uczuć. – Wiem również, że najpierw udałeś się z taką prośbą do władców Greensward, a oni ją odrzucili. – Ben rzucił na niego krótkie spojrzenie, lecz Władca Rzek wzruszył tylko ramionami. – Och, nie powinieneś się dziwić, że wiem o takich rzeczach, panie.

Jestem istotą pochodzącą z czarodziejskiego świata i nadal władam częścią magii, nad którą niedługo panowałem. Mam oczy w większości zakątków doliny.

Przerwał i wtrącił parę zdań na temat budowy parku i systemu kanałów w Elderew. Ben słuchał uważnie, widząc, że Władca Rzek zamierza wieść dyskusję zaplanowanym przez siebie z góry traktem. Nie przeszkadzał mu w tym. Z parku przeszli do wiazowego lasu, za którym wznosiły się owe gigantyczne drzewa, stanowiące szkielet konstrukcji miasta.

– Doceniam inicjatywę i odwagę, jaką się wykazałeś, podejmując się podróży do ludów tej doliny, panie. – Władca Rzek powrócił do meritum. – Sądzę, że jesteś człowiekiem silniejszym od tych, którzy przed tobą tak licznie zasiadali na tronie Landover. W każdym razie można tak

sądzić na podstawie tego, co zrobiłeś w Rhyndweir. Myślę również, że jesteś człowiekiem prostoliniowym i zdecydowanym, więc oszczędźmy sobie dyplomatycznych manewrów. Rozważyłem twoją prośbę i – wiedząc, co ona oznacza – muszę ją odrzucić.

Szli przez chwilę w milczeniu. Ben był wstrząśnięty.

– Czy mogę zapytać dlaczego? – spytał w końcu.

– Nie widzę w tym żadnych korzyści.

– Mógłbym cię przekonać o wielu płynących z niej korzyściach.

Władca Rzek skinął głową.

– Tak, wiem. Mógłbyś rzec, że siła leży w liczbie, że centralna władza dałaby korzyści ludom całej doliny. Mógłbyś przekonywać mnie, że ludy doliny nie mogą sobie wzajemnie ufać, jeśli nie mają wspólnego króla. Mógłbyś powiedzieć, że jesteśmy zagrożeni przez uzurpatorów z graniczących z Landover światów, przez Marka i jego demony. Przekonywałbyś mnie, że kraina naznaczona jest piętnem upadku, które świadczy o słabnięciu magicznych mocy, które dały jej życie. Jeśli nic się nie zmieni, kraina umrze. Czy nie omyliłem się co do argumentów, których zamierzasz użyć?

Ben wolno pokiwał głową.

– I jak byś na nie odpowiedział?

– Opowiem ci o naszej historii. -Władca Rzek zwolnił i poprowadził Bena w kierunku wyciosanej w skale ławeczki.

Usiedli. – Lud krainy jezior pochodzi z czarodziejskiego świata, panie. Większość przybyła stamtąd w czasach pamiętanych już tylko przez nas samych. Jesteśmy czarodziejskim ludem, który wybrał życie w świecie ludzi. Z wyboru, przechodząc przez przesmyk czasu, staliśmy się śmiertelni. Jesteśmy niczym żywioły tworami ziemi, wody i powietrza: nimfami, kelpami, najadami, wodnikami, i wielu innymi gatunkami.

Opuściliśmy czarodziejski świat i przejęliśmy krainę jezior na własność. Uczyniliśmy ją tym, czym jest teraz – krainą piękną, wdzięku i zdrowia. Uczyniliśmy tak, gdyż właśnie to było głównym celem naszego pojawienia się w Landover. Przybyliśmy tutaj, by dawać życie. Nie tylko krainie jezior, lecz całej dolinie Landover. – Przerwał. – Dysponowaliśmy wielką mocą, panie – mocą dawania życia. – Pochylił się, niczym poważny nauczyciel nad swym uczniem. – Jak widzisz, nie utraciliśmy jej jeszcze. Stale mamy moc uzdrawiania. Możemy uzdrowić cierpiącą krainę z jej choroby i uczynić ją taką, jaka była przedtem. Chodź ze mną, a pokażę ci, co mam na myśli.

Powstał i podszedł do skupiska krzewów rosnących na skraju wiązowego zagajnika. Ich liście były przywędnięte i poszarzałe, jak liście bonnie blues, które Ben oglądał w pobliżu Sterling Silver.

– Czy dostrzegasz trapiącą te liście chorobę? – zapytał Władca Rzek. Przykucnął, wyciągnął rękę i położył dłoń na przywędłym krzewie w miejscu, gdzie wyrastał on z ziemi.

Na jego twarzy pojawił się wyraz koncentracji. Zwolnił oddech i pochylił głowę, opierając brodę na piersi. W odpowiedzi na jego dotyk krzak powoli otrząsnął się. Szarość i czerniejące

plamki zniknęły, powróciły naturalne barwy i krzak, powróciwszy do zdrowia, ożył teraz w świetle popołudniowego słońca.

Władca Rzek powstał.

– Mamy moc uzdrawiania – powtórzył z naciskiem, wpatrując się intensywnie w Bena. – Gdyby nam pozwolono, użylibyśmy jej, by pomóc całej krainie. Jest jednak wielu takich, którzy nam nie ufają, wielu takich, których nie obchodzi to, co dla nich robimy. Wola, abyśmy pozostali zaszyty tutaj, w krainie jezior. Szanujemy ich wolę. Jeśli obawiają się nas i myślą, że przedstawiamy sobą niebezpieczeństwo tylko dlatego, że jesteśmy inni – trudno. Nie będą jednak w stanie sami sobie poradzić, panie. Nadal niszczą tę krainę, mimo że w niej żyją. Swoją obojętnością i brakiem zainteresowania sprawiają, iż choroba rozprzestrzenia się. Przynoszą chorobę nie tylko do swych domów w dolinie, lecz również tutaj, do nas do naszych lasów i rzek!

Ben przytaknął skinieniem głowy. Zdaje się, że mimo wszystko mieli pewną płaszczyznę porozumienia.

– Twój świat w istocie nie różni się tak bardzo od mojego, Władco Rzek. I w moim świecie jest wielu takich, którzy zanieczyszczają ziemię i wody, nie bacząc na zdrowie i bezpieczeństwo innych.

– A więc, panie, zrozumiesz z pewnością, dlaczego kończę tę historię tak, a nie inaczej. – Władca Rzek spojrzał mu prosto w twarz. – Kraina jezior należy do nas – do stworzeń, które w niej mieszkają i troszczą się o nią. To nasz dom. Jeśli inni mieszkańcy doliny chcą swe domy zniszczyć, to ich sprawa. My mamy dosyć mocy, by uzdrowić swe rzeki i lasy, i będziemy to robić tak długo, jak będzie to konieczne. Upadek magicznych mocy, który nastąpił po śmierci starego króla, nie zmienił wiele w naszej sytuacji. Władcy Greensward, trole, koboldy, gnomy i cała reszta rozprzestrzeniała tę chorobę po całym Landover na długo przedtem. Dla nas to odwieczny problem. Zawsze byliśmy odrębnym ludem i sądzę, że takim zawsze pozostaniemy. – Wolno pokiwał głową. – Życzę ci powodzenia, panie, lecz nie złożę tobie przysięgi. Twoje wstąpienie na tron dla ludu krainy jezior nic nie znaczy.

Ben spojrzał znowu na uzdrowiony przez Władcę Rzek krzak i skrzyżował ręce na piersiach.

– Questor Thews mówił mi, że Władca Rzek i jego lud próbują walczyć z chorobą szerzącą się w Landover. Lecz czyż nie jest prawdą, że z każdym dniem trudniej wam stawiać jej czoła? Upadek magii sprawia, że choroba rozprzestrzenia się zbyt szybko. Któregoś dnia nawet wasze umiejętności mogą się okazać nie wystarczające. Zmatowienie okaże się zbyt silne i moc magiczna krainy zostanie ostatecznie zdławiona.

Twarz Władcy Rzek była jak z kamienia.

– Inni być może zgina, jeśli brak im będzie niezbędnych do przetrwania umiejętności, panie. Nas to nie dotyczy.

Ben zmarszczył brwi.

– Ta deklaracja niepodległości brzmi chyba zbyt optymistycznie. A co z Markiem i jego demonami? Czy ich panowanie też uda się wam przetrwać? – W jego głosie pobrzmiwało rozdrażnienie.

– Jeśli tego nie chcemy, nie mogą nas nawet dojrzeć. Możemy w jednej chwili zniknąć we mgle. Nie stanowią dla nas zagrożenia.

– Czyżby? A jeśli zajmą Elderew?

– Zbudujemy nową osadę. Czyniliśmy już tak. Ta kraina zawsze daje niezbędne do przetrwania środki tym, którzy władają mocami magicznymi.

Niewzruszony spokój i pewność Władcy Rzek były dla Bena nie do zdzierzenia. Zachowywał się niczym uczoney, żyjący tylko tym, co zapisano w księgach, nie dostrzegając w otaczającym go świecie niczego poza tym, co już opisane.

Wyglądało na to, że cynizm Abernathy'ego był jednak w tym wypadku uzasadniony. Ben szukał w myślach argumentów, lecz odrzucał je równie szybko, jak znajdował. Władca Rzek najwyraźniej zdecydował, że nie przysięgnie wierności żadnemu królowi Landover. Ben czuł jednak, że musi mimo wszystko szukać jakiegoś sposobu, by go przekonać.

Nagle coś mu zajaśniało w głowie.

– Co przede wszystkim sprowadziło cię, Władco Rzek, do Landover? Co z twoją pracą?

Oczy Władcy Rzek wpatrywały się w niego uważnie.

– Moją pracą, panie?

– Tak, z tym, co sprowadziło twój lud tutaj, do Landover.

Opuściłeś raj, zrezygnowałeś z życia poza czasem, z nieśmiertelności, by znaleźć się w tym świecie. Zgodziłeś się być człowiekiem. Uczyniłeś to, ponieważ pragnąłeś oczyścić Landover, sprawić, by ziemia, woda i roślinność tej krainy były bezpieczne! Nie wiem, dlaczego się tego podjąłeś, ale uczyniłeś to. Teraz wygląda na to, że rezygnujesz. A nie wydajesz się tego rodzaju człowiekiem. Czy chcesz się i czekać, aż cała dolina kompletnie zniszczy tylko dlatego, by dowieść, że masz rację? Któregoś dnia spustoszenie to sięgnie tak daleko i głęboko, że niemożliwe się stanie znalezienie wystarczająco potężnej mocy, która by mogła mu podołać!

Władca Rzek patrzył na niego w milczeniu. Na jego czole ukazała się niewielka zmarszczka, a w oczach dostrzec można było cień wątpliwości.

Ben szedł za ciosem.

– Jeśli przyrzekniesz mi wierność, położę kres zanieczyszczaniu wód i lasów. Powstrzymam rozprzestrzenianie się choroby nie tylko tutaj, w krainie jezior, lecz w całej dolinie.

– To szlachetny zamiar, panie. – Władca Rzek wydawał się niemal smutny. – Lecz jak tego dokonasz?

– Znajdę sposób.

– Jaki? Brak ci nawet tej niewielkiej mocy magicznej, którą władał stary król, a która pozwalała mu panować nad Paladynem. Nosisz medalion – dostrzegam go pod twoją tuniką.

Test on jednak tylko symbolem twego urzędu. Jesteś, panie, królem tylko z nazwy. Jak zamierzasz dokonać tego, co obiecujesz?

Ben wziął głęboki oddech. Słowa Władcy Rzek dotknęły go do żywego, lecz robił wszystko, by nie okazać gniewu.

– Nie wiem. Ale z pewnością znajdę sposób, by tego dokonać.

Władca Rzek przez chwilę milczał, pogrążony w rozmyślanie. Potem wolno pokiwał głową. Mówił teraz wolno i ostrożnie, jakby mierzając każde ze słów.

- Dobrze, panie. Niczego nie tracimy, pozwalając ci spróbować. Jeśli obiecasz, że tego dokonasz, będę cię wspierał.

Położ kres zanieczyszczaniu ziemi i wód. Powstrzymaj szerzenie się choroby. Skłoń innych mieszkańców doliny, by przyrzekli, że będą o to walczyli. Gdy tego dokonasz, złożę ci przysięgę. Wyciągnął rękę.

- Umowa stoi, panie?

Ben mocno ścisnął jego dłoń.

- Umowa stoi.

W oddali pobrzmiwał śmiech bawiących się dzieci. Ben odetchnął w duchu. Wydobył kolejną warunkową przysięgę.

Był człowiekiem budującym domki z kart.

Uśmiechnął się do Władcy Rzek swym najlepszym uśmiechem rodem z sali sądowej.

- Znasz może przypadkiem sposób na skłonienie smoka, by trzymał się z dala od Greensward?

ELDEREW

Władca Rzek nie znał sposobu na skłonienie smoka, by trzymał się z dala od Greensward. O ile mu było wiadomo, nie znał go nikt. Może jedynie Nocny Cień. Czarownica zamieszkująca Wielką Czeluść włada najpotężniejszymi w dolinie mocami magicznymi, lecz dotąd nawet ona nie ośmieliła się wdać w potyczkę ze smokiem. Poza tym Nocny Cień nigdy nie zgodziłaby się im pomóc, nawet jeśli potrafiłaby to zrobić. Od dawna nienawidziła królów Landover za to, że władali siłami potężniejszymi od jej czarów: mieli do dyspozycji magiczną moc Paladyna.

Czasy się zmieniają, pomyślał posępnie Ben.

Władca Rzek dodał po chwili, że są w końcu jeszcze czarodziejskie istoty. One zawsze były w stanie zapanować nad smokami. To dlatego smoki opuściły tamten świat i zdomowały się tutaj, w dolinie. Lecz i czarodziejskie istoty Benowi nie pomogą. Nie pomagały nikomu, o ile same wcześniej tego nie zaplanowały. Żyły w czarodziejskich mgłach, w swym ponadczasowym świecie, i wiodły to życie według swych własnych zasad. Ben nie mógł nawet się udać do nich, by prosić o pomoc. Jeszcze nikt, kto wyruszył do czarodziejskiego świata, z niego nie powrócił.

Wędrowali razem przez Elderew. Władca Rzek opisywał historię miasta i jego mieszkańców, a Ben zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się zostać panem tej krainy. Popołudnie upływało. Choć miasto stanowiło twój piękny i niezwykle, wycieczka po nim była dla Bena straconym czasem. Słuchał uważnie, dodawał swe komentarze we wszystkich właściwych ku temu momentach, zadawał odpowiednie pytania i z anielską cierpliwością oczekiwał, kiedy wreszcie będzie mógł zostać sam.

Nie doczekał się. W końcu zapadł zmrok i Władca Rzek odprowadził go do przygotowanych kwater. Był to parterowy domek z kilkoma otwartymi werandami i wejściami, otoczony ogrodem i dorodnymi okazami bonnie blues. Nad głowami wiły się we mgle złotawymi łukami jasno

oświetlone napowietrzne korytarze. Śmiech i ożywione rozmowy odbijały się echem pośród cieni. Dla niektórych dzień pracy był już zakończony.

Ben powrócił do osady, gdy za jego plecami zapadał już zmierzch. Niczym groźba wisiało nad nim zaproszenie Władcy Rzek na wieczorny festyn. Świątowanie było ostatnią rzeczą, na którą miał teraz ochotę.

Towarzysze oczekiwali jego powrotu. Pozdrowił ich ponuro i opadł w wygodny, wyłożony miękkimi poduszkami, gięty bujany fotel.

– Znowu zawałem – oznajmił grobowym tonem.

Questor siadł na przeciwko niego.

– Odmówił ci przyrzeczenia wierności?

– Mniej więcej. Obiecał, że zrobi to tylko wtedy, gdy powstrzymam innych mieszkańców doliny od jej niszczenia.

Muszę ich skłonić, by przyrzekli, że będą dbali o jej ziemię, wody i roślinność.

– Ostrzegalem cię, panie, że nie pójdzie z nim łatwo oznajmił tryumfalnie Abernathy.

– Sądzę, że poradziłeś sobie całkiem dobrze, panie – rzekł Questor, nie zwracając uwagi na Abernathy'ego.

Ben jęknął.

– Proszę...

– Ależ zapewniam cię, panie, że mówię to całkiem poważnie – dodał szybko mag. – Obawiałem się, że jego odmowa będzie bezwarunkowa. Władca Rzek był lojalny z poczucia szacunku dla monarchy. Nie chciał odmową przyrzeczenia posłuszeństwa prowokować żadnych kłopotów. W istocie jednak lud krainy jezior nigdy nie miał prawdziwego poczucia wspólnoty z innymi ludami Landover. Nigdy też nie był do końca przez nie akceptowany.

– To samo mogłem wywnioskować ze słów Władcy Rzek.

Dlaczego tak się dzieje?

Questor pokiwał głową.

– Przede wszystkim z braku zrozumienia. Mieszkańcy krainy jezior to lud czarodziejski. Władca on mocami magicznymi, których inni mieszkańcy doliny nie posiadli i nie posiadają. Lud krainy jezior dobrowolnie opuścił świat uznawany przez nas za najdoskonalszy, ponadczasowy i niezmienny, w którym jest się nieśmiertelnym. Lud krainy jezior wie swoje życie inaczej niż inne ludy Landover; ma własny system wartości. Wszystko to rodzi brak zaufania, zazdrość, wrogość uczucia bardzo niszczycielskie.

– Jest, rzecz jasna, i druga strona medalu – Abernathy przerwał zza pleców Questora. – Lud krainy jezior zawsze miał trudności w nawiązywaniu kontaktów z innymi. Istoty z krainy jezior uważają, że to ich system wartości winien zostać przyjęty przez wszystkich mieszkańców doliny, podczas gdy same pozostają w izolacji. Mają innym za złe szerzenie zarazy poprzez niewłaściwą i niedostatecznie troskliwą opiekę nad ziemią i wodami, a sami pozostają ukryci we mgle i lasach.

– Czy zanieczyszczenie środowiska, na które narzekają, posuwa się rzeczywiście tak daleko?

– Ben zmarszczył brwi.

Questor wzruszył ramionami.

– Owszem, nie jest najlepiej. Władcy Greensward zagarnęli wielkie połacie ziemi pod pola uprawne. Polują w lasach.

Trolle potworzyły w górach na północy kopalnie, w których poszukują cennych kruszców. Zanieczyszczają w ten sposób zasilające dolinę strumienie. Inni też dokładają do tego ręki.

– Trudno, by każdy znalazł tutaj dla siebie właściwe miejsce – rzekł Abernathy w zamyśleniu, błyskając swymi psimi oczami.

– Mądre słowa. – Ben stwierdził z zaskoczeniem, że myśli o Chicago i o tym, co w nim pozostawił. – Im bardziej rzeczy się zmieniają, tym bardziej pozostają takie same – wymamrotał.

Questor i Abernathy popatrzyli po sobie.

– Panie? – spytał Questor.

Ben podniósł się, przeciągnął się i potrząsnął głową.

– Wybaczcie. Ile czasu mamy jeszcze do wieczornej uroczystości?

– Niewiele – odrzekł mag.

– Może kąpiel, panie? – spytał pospiesznie Abernathy. Może zmiana odzienia?

– I to, i to. I jeszcze – gdyby ktoś miał jakieś pomysły, jak należałoby obłaskawić ich wszystkich, by złożyli mi tę cholerną przysięgę!

Bunion i Parsnip zasyczeli i uśmiechnęli się szeroko z drugiego kąta pokoju. Ben rzucił ku nim ciężkie spojrzenie i ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się.

– Nie byłoby chyba źle, gdybym jednak zdołał skłonić Władcę Rzek do zmiany zdania. Ile mam na to czasu dzisiejszego wieczora?

– Takie festyny trwają zazwyczaj całą noc, panie – odrzekł Questor.

– Wspaniale! – westchnął umęczonym głosem i wyszedł z pokoju.

Przewidywania Questora sprawdziły się co do joty. Uroczystości rozpoczęły się tuż po zachodzie słońca i trwały aż po świt. Wszystko odbywało się w zasadzie ku czci władcy Landover, lecz Ben miał nieodparte wrażenie, że tutejszy lud bawi się w ten sposób przy każdej możliwej okazji. Z pewnością ani porządek, ani tempo, ani czas trwania, ani organizacja tego, co się tam działo, nie była w żaden sposób podporządkowana jego osobie.

Uroczystości rozpoczęły się procesją. Bena posadzono na widowni amfiteatru razem z jego przyjaciółmi i rodziną Władcy Rzek, w tym i Willow, i kilkuset innymi stworzeniami. Przez nieosłoniętą część amfiteatru wmaszerowała do wnętrza młodzież i dzieci z pochodniami i barwnymi proporcami w dłoniach. Śpiewali. Okrągła arena mieniła się barwami niczym kalejdoskop. Maszerujący utworzyli na niej koncentryczne kręgi, które wolno zaczęły się obracać wokół wspólnej osi.

Odezwały się okrzyki i śmiechy podnieconej widowni. Muzyka fletów, rogów i instrumentów strunowych dochodziła z miejsca, nad którym siedział Ben. Była radosna i rytmiczna.

Prowadziła procesję, przyspieszając stopniowo z minuty na minutę.

Wkrótce wielkie koncentryczne koła rozpadły się, a na arenie powstały liczne mniejsze kółka i maszerujący stali się tancerzami wirującymi na trawie areny. Pochodnie migały, a proporce

łopotowały ponad ich głowami. Taniec nabierał coraz większego tempa. W całym amfiteatrze zaczęto rozdawać darmowe piwo i wino. Rozochociona widownia klaskała i śpiewała razem z występującymi na arenie. Dźwięki rozbrzmiewały echem w otaczających Elderew lasach i wypełniły ciszę nocy tak, że po chwili niczego innego nie dało się już słyszeć. Mgły rozpierzchły się i na niebie ukazały się barwne księżycy, przypominające ogromnych rozmiarów balony. Strumienie ich tęczego światła sączyły się do wnętrza amfiteatru i mieszały z blaskiem pochodni.

Ben rozglądał się, szukając okazji, by porozmawiać jeszcze z Władcą Rzek o jego przysiędze wierności wobec tronu. Nikt jednak wokół nie wyglądał na zainteresowanego niczym innym prócz tego, by dobrze się bawić. Śpiew i okrzyki uniemożliwiały prowadzenie normalnej rozmowy, a wino pochłaniane było przez publiczność z zadziwiającą prędkością.

Nie chcąc być niegrzecznym, ostrożnie przyjął jeden kielich, i stwierdził, że jest niezłe. Wypił jeszcze jeden, a później u diabła, co za różnica -jeszcze kilka. Nie zdążył się obejrzeć, a już wspaniale się bawił z całą resztą, ledwie trzymając się na nogach. Questor i koboldy także nie odmówiły sobie wina, najwyraźniej tak jak on zrelaksowani, i tylko Abernathy wstrzymywał się od picia, mruczając coś o szkodliwości wina dla zwierząt. Wkrótce wszyscy, z wyjątkiem jego, śpiewali i klaskali w dłonie, i nie miało dla nich żadnego znaczenia, dlaczego właściwie to czynią.

Władca Rzek wyglądał na zadowolonego, że Ben dobrze się bawi. Podchodził do niego kilka razy, wyrażając radość, że Ben przybył do Elderew, życząc mu wszystkiego najlepszego i pytając, czy czegoś nie potrzebuje. Ben chciał już powiedzieć o tym, czego – rzecz jasna – najbardziej by od niego pragnął, lecz jakoś utrzymał język za zębami. Władca Rzek najwyraźniej miał wobec niego dobre zamiary, a radosny nastrój wieczoru był zaraźliwy. Ben od dawna tak dobrze się nie bawił – nawet na długo, nim trafił do tego dziwnego świata.

Była już noc, zabawa rozwijała się w najlepsze, a siedzący na widowni stopniowo zaczęli schodzić na arenę i mieszać się z tymi, którzy rozpoczęli procesję. Śpiew i taniec wprowadzały mieszkańców krainy jezior w trans. Znikali oni w mroku i pojawiali się znowu, jak gdyby ciągle byli tamtymi dawnymi magicznymi istotami. Władca Rzek chwycił rękę jednej ze swych kilku żon, smukłej nimfy wodnej, i pociągnął ją za sobą w stronę areny. Zawołał do Bena i jego towarzyszy oraz całej reszty swojej rodziny, by również się przyłączyli.

Większość poszła za nim. Ben wstał, spojrzał w kierunku miejsca, gdzie siedziała Willow. Zawahał się. Nie było jej tam.

Usiadł znowu. O czym myślał? Jakież ma powody, by świętować? Gdy tylko zaczął się zastanawiać nad marnymi efektami swych starań o restaurację tronu Landover7 nadspodziewanie szybko otrząsnął się z tego, co uczyniło z nim wino, i stracił ochotę na dalszą zabawę.

Ciągle niespokojny, podniósł się jeszcze raz, pospiesznie usprawiedliwiając się przed innymi, pospieszył najkrótszą drogą do wyjścia z amfiteatru. Abernathy natychmiast podążył za nim, lecz Ben stanowczo odesłał skrybę. Nimfy, skrzaty, kelpy, najady przemykały wokół niego, tańcząc i śpiewając, porwane duchem zabawy. Ben miał już na dzisiaj dosyć wszelkiego towarzystwa. Pragnął chwili samotności.

Zniknął w ciemnościach tunelu i po chwili znowu był w lesie. Na gałęziach wisały lampiony. Odgłosy zabawy cichły powoli, gdy oddalał się od amfiteatru. Przypieszył, chcąc jak najszybciej

dotrzeć do swej kwatery i znaleźć się z dala od całego tego zgiełku. Czuł przelewające się w żołądku wino i nagle zaczęło mu się robić niedobrze. Zatrzymał się i odczekał, aż żołądek się uspokoi. Gdy dotarł do domku, poszedł prosto na otwartą werandę i zapadł się tam w wygodny, głęboki, pleciony fotel.

– Czyż nie jesteś genialny?! – pogratulował sobie.

Poczuł przygnębienie i niechęć. Przecież początkowo tak w siebie wierzył. Uważał, że może stać się dobrym królem i będzie w stanie władać Landover. Był zdolny, inteligentny i odpowiedzialny, miał doświadczenie w pracy z ludźmi i rozumiał funkcjonowanie prawa w społeczeństwie. A co najważniejsze, czuł potrzebę podjęcia tego wyzwania. Czuł, że jest na nie przygotowany. Lecz wszystko to okazywało się tak mało istotne w kontekście sytuacji, jaką tu napotkał. Jego wysiłki, by pozyskać choć minimum uznania, spełzały na niczym. Sprowadzały się jedynie do warunkowych zobowiązań. Odrzucili go najbliżsi sprzymierzeńcy starego króla. Inni go zignorowali. Utracił panowanie nad Paladynem, który był teraz jedynie zjawą zamieszkującą opustoszałe domostwa.

Dzień po dniu zbliżała się chwila, w której stawie będzie musiał czoło Markowi i jego demonom.

Przeciągnął się i zapatrzył w ciemności. No i co z tego, do licha? – pomyślał. W końcu na szali nie kładzie nic poza szacunkiem do samego siebie. Czyż nie? Wystarczy wykorzystać moc medalionu i w mgnieniu oka znajdzie się z powrotem w Chicago – lżejszy o milion dolarów, lecz bezpieczny i zdrowy. Nie jest to przecież pierwsza i nie ostatnia porażka w jego życiu. Lecz na cóż mógł liczyć, pozostając tutaj, jeśli nie na porażkę?

Igrał przez chwilę z tą myślą, lecz po chwili z zaskoczeniem przyłapał się na rozmyślaniu o tych, którzy przybyli na jego koronację: o rolnikach i ich rodzinach, o myśliwych, o tych wszystkich, którzy chcieli wierzyć, że stanie się on prawdziwym królem Landover. Ich strata – pomyślał, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego traktuje ich tak cynicznie.

– A więc może jednak nie jesteś taki genialny? – wymamrotał.

Coś mignęło w cieniu drzew rosnących tuż przed werandą. Rozejrzał się.

– Ben?

Była to Willow. Wyszła spomiędzy drzew i ruszyła ku niemu. Odziana w jedwabne, białe szaty, wyglądała niczym duch.

Była jak rozświetlony księżycowym blaskiem strzęp mgły przemierzający jezioro nocy; efemeryczna, lecz niewypowiedzianie piękna. Podeszła blisko do niego.

– Szłam za tobą – rzekła delikatnie, lecz z pewnością nie miały być to przeprosiny. – Wiedziałam, że zmęczysz się i będziesz chciał iść spać. Ale nie zasypiaj jeszcze. Pójdź teraz ze mną. Chodź zobaczyć, jak tańczy moja matka.

Gdy Willow znalazła się blisko, Ben poczuł, jak zasycha mu w gardle.

– Twoja matka?

– Jest nimfą leśną, tak dziką, że nie może mieszkać tutaj, w Elderew. Mój ojciec nigdy nie był w stanie jej tutaj sprowadzić. Lecz muzyka wabi ją i porywa do tańca. Przyjdzie do starych sosen i będzie mnie tam szukała. Chodź. Pragnę, byś tam był.

Weszła na werandę, wyciągnęła ku niemu dłoń i zatrzymała się.

– Och! Twoja twarz! Byłeś ranny!

Ben niemal zapomniał o ciosach, jakie zebrał w swej walce z Kallendborem. Jej dłoń delikatnie musnęła jego czoło.

– Lecz widzę, że ran tych nie doznałeś tutaj, nad Irrylyn.

Przesunęła palcami po jego twarzy i ból natychmiast zniknął. Ben nie posiadał się ze zdziwienia.

– Małe rany można uzdrowić – wyszeptała. – Te, które da się dostrzec okiem.

– Willow... – zaczął.

– Nie poproszę cię znowu, byś mnie ze sobą zabrał. Nie zrobię tego aż do czasu, gdy będziesz gotów. – Jej ciepłe i delikatne palce wodziły po policzkach Bena. – Teraz wiem, kim jesteś. Wiem, że pochodzisz z innego świata i nie przywykłeś jeszcze do naszego. Poczekam.

Ben potrząsnął głową.

– Willow...

– Chodź! – chwyciła go mocno za dłonie i wyciągnęła z fotela. – Chodź, spieszmy się! – Pociągnęła go pomiędzy drzewa. – Moja matka nie będzie czekała!

Ben nie myślał się już opierać. Biegli razem przez las: ona stworzenie, o istnieniu którego do niedawna nawet nie śnił, on – ciągnięty przez nią jak cień. Trzymając się za ręce, przemykali wśród drzew. Gorąco jej dotyku przenikało go na wskroś i pragnienie jej znów zaczęło w nim rosnać.

Po pewnym czasie zwolnili. Las był tutaj zamglony i mroczny, zupełnie inny, niż ten w Elderew. Odgłosy zabawy stale dochodziły ich z oddali, lecz były teraz ciche i odległe.

Ziemia oświetlona była plamkami barwnego, księżycowego światła, które zdołało się przedrzeć przez strop lasu. Willow trzymała mocno dłoń Bena, drażąc ją płomieniem swego dotyku. Delikatne włosy rosnące na jej przedramionach powiewały na wietrze niczym końska grzywa. Skradała się teraz pomiędzy drzewami i krzewami, wymijając strażników, niczym kropla ciemności nocy.

W lesie przeważać zaczęły wiecznie zielone, gigantyczne, wiekowe sosny. Willow i Ben przedarli się przez iglaste krzewy, i przed nimi otworzyła się polana.

Na niej w barwnej poświacie księżycy tańczyła matka Willow.

Była drobna, ledwie większa niż dziecko, o delikatnych i pięknych rysach. Srebrzyste włosy sięgały talii, a skóra pokrywająca jej smukłe ciało była bladozielona, podobnie jak u jej córki. Odziana była w białą, przejrzystą i lekką tkaninę i zdawała się promieniować jakimś własnym, wewnętrznym światłem. Wirując i skacząc, jakby ogarnięta jakimś szczególnym rodzajem szaleństwa, tańczyła na zalanej księżycowym światłem polanie w rytm odległej muzyki.

– Matko! – szepnęła cicho Willow, a jej oczy zabłysnęły szczęściem i podnieceniem.

Spojrzenie nimfy leśnej na krótką chwilę skrzyżowało się z jej spojrzeniem. Nie zwolniła jednak tańca. Willow bez słowa przycupnęła na brzegu polany, delikatnie pociągając za sobą Bena. Siedzieli tak w milczeniu, obserwując ów czarodziejski spektakl.

Jak długo tańczyła i jak długo ją obserwowali – tego Ben nie był w stanie stwierdzić. Czas na polanie zdał się stać w miejscu. Wszystko, co trapiło go po powrocie z amfiteatru, straciło znaczenie i zostało zapomniane. Istniała tylko Willow i jej tańcząca matka. Poprzez grację i piękno tańca czuł, że są one jednym. Czuł, że pomiędzy nimi istnieje jakaś niepojęta dla niego więź, która teraz zaczyna obejmować również jego.

Nie opierał się.

Taniec skończył się. Nagle nastąpiła cisza i zdawało się, że muzyka przestała grać. Matka Willow zwróciła się ku nim na ułamek chwili, po czym zniknęła. Ben patrzył przed siebie, słysząc teraz znowu odległą muzykę i odgłosy zabawy. Lecz leśna nimfa zniknęła tak, jak gdyby nigdy jej nie było.

– Och, matko! – wyszeptała Willow i się rozpląkała. – Ona jest taka piękna! Czyż nie jest piękna?

Ben pokiwał głową.

– Jest niezwykle piękna, Willow.

Sylfida uniosła się, pociągając za sobą Bena.

– Ben! – wyszeptała jego imię tak cicho, że niemal go nie dosłyszał. – Teraz należę do ciebie. Będziemy jednym – władcą Landover i córką czarodziejskich istot. Musisz poprosić mego ojca, by pozwolił ci zabrać mnie ze sobą. Musisz powiedzieć mu, że mnie potrzebujesz – gdyż w istocie tak jest. Gdy mu to powiesz, pozwoli mi z tobą odejść.

Ben szybko pokręcił głową.

– Willow, nie mogę prosić o...

– Jesteś królem Landover i twej prośbie nie można odmówić. – Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. – Jestem tylko jednym z jego wielu dzieci mego ojca, dzieckiem, którego matka nawet z nim nie mieszka. Jego stosunek do mnie zmienia się wraz z nastrojem. Musisz o mnie poprosić.

Przed oczami Bena błysnęła twarz Annie, niczym kontrpunkt dla widoku owej rozpalającej jego żądze dziewczyny.

– Me mogę tego zrobić.

– Nie rozumiesz magii czarodziejskiego ludu. Widzę to w twych oczach. Słyszę to w twym głosie. Landover jest krainą magii i musisz zaakceptować wszystko, co to ze sobą niesie.

Puściła jego rękę i cofnęła się płynnym ruchem.

– Teraz muszę iść. Muszę karmić się ziemią, której dotykała ma matka. Zostaw mnie. Wracaj przez las. Ścieżka sama cię poprowadzi do domu.

– Nie, poczekaj...

– Poproś o mnie, Ben. Mój ojciec musi mnie tobie oddać. Wzniosła swą delikatną twarz ku księżycowi, których promienie zalewały polanę. – Ach, Ben, czuję się tak, jak gdyby moja matka była tutaj, wszędzie wokół mnie, obejmowała mnie i trzymała mnie mocno. Ciągłe ją tutaj czuję. Jej istota przenika do mnie z ziemi. Tej nocy będę razem z nią. Zostaw mnie teraz samą. Idź już.

Stał przed nią jak wrośnięty w ziemię, uparcie odmawiając zrobienia tego, o co prosiła. Dlaczego z takim przekonaniem twierdzi, że należy właśnie do niego? Dlaczego nie dostrzega iż jest to niemożliwe?

Zawirowała pośrodku polany, piękna, zmysłowa i delikatna. Pragnął jej teraz tak bardzo, że łązy nabiegły mu do oczu.

– Willow! – krzyknął, ruszając przed siebie.

Zatrzymała się, zwrócona ku niemu twarzą, z nogami zarytymi mocno w ziemię polany, wzniesionymi ku niebu ramionami i twarzą. Ben zatrzymał się. Z sylfidy zaczęło nagle bić przedziwne światło – podobne do tego, którym emanowała jej tańcząca matka. Willow zadrżała, stała się przezroczysta i zaczęła zniekształcać. Ben zasłonił oczy, padając w szoku na kolana. Oto przed nim Willow zmieniała się w coś zupełnie innego. Jej ramiona i nogi pociemniały i stały się chropowate. Zaczęły się rozdzielać i wydłużać...

Zamrugnął oczami. Willow zniknęła. Na jej miejscu stała wierzba – drzewo, od którego wzięła swe imię. Nim właśnie się stała.

Ben stał oniemiały. Przeląła się przez niego fala przerażenia i odrazy. Nie chciał się do tego przed sobą przyznać, lecz uczucia nie ustępowały. Mówiła, że czuje, jak jej matka jest wszędzie wokół niej, że ją obejmuje. Mój Boże, jakimże stworzeniem była naprawdę?

Stał samotny w mroku i we mgle, licząc, że może skądś doczeka się odpowiedzi. Czekał, lecz odpowiedź nie przychodziła.

Stałby tam zapewne resztę nocy, gdyby nie Bunion, który nagle wyłonił się spośród drzew, podszedł do niego, wziął za rękę i, jak nieposłuszne dziecko, odprowadził do ich kwater.

Ben poszedł z koboldem, nie opierając się, zbyt wstrząśnięty, by rzec cokolwiek. Szalały w nim sprzeczne uczucia. Willow była tak piękna i pełna życia! Wzbudzała w nim niewyobrażalnie silne, nieodparte pożądanie. Lecz jednocześnie odrzucała go od niej i budziła odrazę świadomość jej amorfizmu, świadomość, że równie łatwo może stać się człowiekiem, jak drzewem.

Gdy opuszczali polanę, nie obejrzał się za siebie. Nie mógł tego znieść. Zbyt wstydział się własnych uczuć. W milczeniu podążał za Bunionem, klucząc pomiędzy wiekowymi sosnami. Zdał sobie sprawę, że kobold musiał go śledzić. Pewno posłali go za nim Questor lub Abernathy. Po jego zniknięciu nad Irrylyn nie chcieli już niczego ryzykować.

Poczuł nagle, że wolałby nie zostać tamtej nocy odnaleziony. Wolałby zniknąć. Pragnął, by wydarzyły się tysiące innych rzeczy, które mogłyby się wydarzyć wtedy – lecz już nie teraz.

Droga powrotna była krótka. Inni czekali na niego w domu, a ich twarze pełne były niepokoju. Posadzili go na fotelu i zebrali się wokół niego.

– Powinieneś był nam powiedzieć o sylfidzie panie – rzekł Questor, zamieniwszy kilka słów z Bunionem. – Moglibyśmy cię ostrzec przed tym, co cię może spotkać.

– Uprzedzałem wszak, że ludzie z krainy jezior są od nas różni... – zaczął Abernathy, a Ben nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Questor szybko uciszył skrybę.

– Panie! Musisz coś zrozumieć – ciągnął mag, odwracając się teraz do Bena. – Willow to dziecko wodnika i nimfy leśnej. Jej ojciec jest tylko w połowie człowiekiem. Jej matka w jeszcze

mniejszym stopniu. Nimfa jest raczej częścią lasu, niż człowiekiem, jest żywiołem, który czerpie swą moc z ziemi.

Przekazała tę cechę swej córce, Willow, i ona też wymaga tego rodzaju pokarmu. Ona jest inna. Jest w połowie rośliną. Nie mogłaby żyć inaczej. Wiem, że tobie musi się to wydawać dziwne.

Ben wolno pokręcił głową, czując, że jego wewnętrzny konflikt został nieco stłumiony.

– Nie dziwniejsze niż wszystko inne, co się tutaj dzieje. Poczuł, że ściska go w dołku. Był zmęczony. Potrzebował snu.

Questor zawahał się.

– Musi jej bardzo na tobie zależeć.

Ben przytaknął.

– Tak. Powiedziała, że do mnie należy.

Questor spojrzał szybko na Abernathy'ego. Koboldy wpatrywały się w Bena szeroko otartymi, jasnymi oczami. Ben spojrzał na nie.

– Ale nie należy – rzekł w końcu. – Należy do krainy jezior. Należy do swej rodziny i swego ludu.

Abernathy wymamrotał coś pod nosem i odwrócił się.

Questor nie odezwał się w ogóle. Ben przypatrywał się im przez chwilę, po czym wstał.

– Idę spać – oznajmił. Ruszył ku drzwiom. Odprowadziły go spojrzenia pozostałych. Zatrzymał się na chwilę w drzwiach do swej sypialni. – Wracamy do domu. – powiedział i odczekał chwilę. – Jutro o świcie.

Nikt nie powiedział ani słowa. Ben zamknął za sobą drzwi i znalazł się sam w ciemnym pokoju.

GNOMY-DODOMY

Elderew opuścili następnego ranka krótko po świcie. Nad krainą jezior wisały gęste mgły. Powietrze było nieruchome i wilgotne. Był to ten rodzaj dnia, w jakim ozywają duchy i gobliny. Władca Rzek przyszedł, by ich pożegnać. Sprowadził go Questor, a on przyszedł bez wahania. Zapewne w ogóle nie kładł się spać, gdyż zabawa dopiero co się skończyła. Wyglądał jednak rześko i przytomnie. Ben podziękował za gościnność w imieniu swoim i swych towarzyszy. Władca Rzek, ze swą nie wyrażającą niczego twarzą rzeźby, pokłonił się lekko w odpowiedzi. Ben rozejrzał się kilkakrotnie za Willow, lecz nigdzie jej nie było. Znowu się zastanawiał nad jej prośbą o zabranie jej do Sterling Silver. Część jego ja pragnęła tego, część na to nie pozwalała. Niezdecydowanie ustąpiło w końcu przyzwoitości. Odszedł, nie wspomniawszy o niej ani słowem.

Przez cały dzień posuwali się na północ, najpierw poprzez zatopioną we mgłę krainę jezior, potem przez szare, rozległe równiny zachodniej części Greensward, aż dotarli do zalesionych gór, otaczających okolice Sterling Silver. Promienie słońca z trudnością przedzierały się przez

chmurne niebo. Powietrze pachniało deszczem. Gdy wysiadali z promu na brzegu wyspy, zapadała już noc. Zaczynało właśnie padać.

Padało przez całą noc. Deszcz był ulewny i nie słabł ani na chwilę, kryjąc w strumieniach lejącej się z nieba wody cały świat. Ben był w wisielczym humorze. Wyciągnął butelkę glenliveta, którą zabrał ze swojego świata z przeznaczeniem na jakąś specjalną okazję, i zaprosił do stołu w komnacie jadalnej Abernathy'ego, Questora i koboldy. Pił na umór. Pozostali tylko przypatrywali się mu posępnie z nadzwyczajnych kielichów, gdy niemal sam opróżniał butelkę do dna. Pijąc, opowiadał im o życiu w swoim świecie, o Chicago i mieszkającym w nim ludziach, o swej rodzinie i przyjaciółach – o wszystkim z wyjątkiem Landover. Odpowiadali mu uprzejmie, choć później i tak nie pamiętał, co właściwie mówili. Prawdę mówiąc, nie obchodziło go to. Kiedy skończyła się szkocka i tematy do rozmowy, wstał zza stołu i powlekł się do łóżka.

Gdy obudził się nazajutrz rano, obok jego łóżka siedzieli Questor i Abernathy. Ben miał kaca, a na dworze ciągle padało.

– Dzień dobry, panie – pozdrowili go jednocześnie z zafrasowanymi wyrazami twarzy. Obaj wyglądali, niczym przybyli na pogrzeb żałobnicy.

– Przyjdźcie, kiedy wyzionę ducha – nakazał, odwrócił się na drugi bok i zasnął.

Obudził się ponownie o drugiej po południu. Tym razem nikogo przy nim nie było. Deszcz przestał padać, a słońce rzucało na ziemię słabe snopy mdłego światła. Ben usiadł w łóżku i rozejrzał się wokół. Kręciło mu się w głowie, a w ustach czuł wyjątkowo nieprzyjemny smak. Był tak wściekły na siebie, że ledwie powstrzymał się od krzyku.

Umył się, ubrał i ruszył zamkowymi schodami do wielkiej sali. Po drodze długo przyglądał się kamiennym ścianom, czerniejącym srebrnym ozdobom i insygniom, starym arrasom i gobelinom. Czuł płynące ku niemu ciepło zamku, miłe niczym dotyk troskliwej matki. Kiedyż to ostatnio było mu dane je odczuwać? Powiódł dłonią po kamieniach.

Questor, Abernathy i koboldy zgromadzeni byli w wielkiej sali, a każdy z nich czymś się zajmował. Gdy wszedł Ben, szybko zwrócili ku niemu spojrzenia. Podeszedł do nich.

– Przepraszam za tamten wieczór – rzekł. – Myślę, że musiałem po prostu jakoś odreagować. Mam nadzieję, że jesteście wypoczęci, bo przed nami wiele pracy.

Questor popatrzał po innych, a potem znowu na Bena.

– Dokąd idziemy tym razem, panie?

Ben uśmiechnął się.

– Tym razem idziemy do szkoły, Questorze.

Lekcje rozpoczęły się tegoż popołudnia. Uczniem był Ben, a Questor, Abernathy, Bunion i Parsnip -jego nauczycielami Ben przemyślał wszystko jeszcze raz – wprawdzie czynił to w różnych stanach: od upojenia winem po głębokie poczucie winy – lecz tym razem uważnie i dokładnie. Większość czasu od momentu przybycia tutaj spędził, miotając się bez celu i sensu. Questor mógłby zapewne znaleźć argumenty przekonujące, że wizyty w Rhyndweir i Elderew nie były wcale błędem i czemuś tam służyły. Być może było to prawda. Lecz cóż z tego? Ciągłe pozostawał obcym w świecie, o którego istnieniu dotąd nawet nie śnił. Próbował władać krainą, której nawet nie zdążył się dobrze przyjrzeć. Próbował dogadać się z przywódcami, o których niczego nie wiedział. Jakkolwiek byłby kompetentny, pracowity i pełen dobrych intencji, nie mógł

zasymilować się tutaj tak prędko, jak próbował. Musiał wiele się nauczyć i właśnie na naukę tę przyszedł teraz czas.

Zaczął od Sterling Silver. Resztę popołudnia krążył po zamku z Abernathym i Questorem. Obeszli twierdzę od piwnic aż po strychy. Skryba opowiadał mu historię zamku i jego władców, począwszy od najdawniejszych wzmiankowanych w kronikach wydarzeń. Od czasu do czasu dopowiadał coś Questor. Ben dowiadywał się czego mógł o wszystkim, co się działo w poszczególnych komnatach i izbach, w wieżach i na krużgankach, na wyspie i jeziorze. Przy użyciu powonienia, wzroku i dotyku chłonał żywotne siły zamku. Stawał się z nim jednym.

Tej nocy kolację zjadł późno, a po niej jeszcze przez dwie godziny uczył się przy pomocy Parsnipa odróżniać jadalne i niejadalne rośliny doliny. Questor pozostał z nimi, by tłumaczyć słowa kobolda.

Nazajutrz Ben udał się do krainoglądu. Kilka razy wybrał się nim w podróż razem z Questorem. Przemierzali dolinę w tę i z powrotem, przyglądając się jej geografii, miastom, prowincjom, zamkami, fortecom i zamieszkującym je ludziom. Po południu, poczuwszy się już pewniej w roli użytkownika tego magicznego urządzenia, zaczął poruszać się sam. Poznawał możliwości i sposoby sterowania krainoglądem. Powtarzał sobie w pamięci wszystko to, o czym opowiedział mu wcześniej mag.

Każdego dnia wybierał się regularnie w samotne podróże, koncentrując uwagę na historii doliny, usiłując powiązać ludzi, wydarzenia i miejsca. Questor okazał się niezmiernie cierpliwym nauczycielem. Powiązanie ze sobą dat, miejsc i wydarzeń tego obcego świata, o którym Ben nie wiedział przecież przedtem niczego, nie było dla niego łatwe. Mag musiał powtarzać wszystko po kilka razy. Wreszcie dobra pamięć i determinacja Bena zrobiły swoje. Pod koniec pierwszego tygodnia nauki dysponował już przyzwoitą ogólną wiedzą o Landover.

Zaczął częściej wychodzić na spacer w okolice Sterlig Silver na własnych nogach. W tych wyprawach jego przewodnikiem i mentorem był Bunion. Kobold poprowadził go poprzez leżące w okolicach zamku lesiste góry, by mógł przyjrzeć się bliżej faunie i florze charakterystycznej dla tego rejonu.

Razem wysledzili szarego wilka, zwabili do jego kryjówki jaskinnika i odkryli parkę chwycóców bagiennych. Odkopali norę szczurów, napotkali węże i inne różnego rodzaju gady. Osaczyli kilka dzikich kotów rozmaitych gatunków i obserwowali ukryte na wysokich skałach gniazda drapieżnych ptaków. Studiowali życie roślin. Początkowo chodził z nimi w roli tłumacza Questor, później zaczęli sobie radzić bez niego. Ben i kobold stwierdzili, że mogą już wystarczająco dobrze komunikować się bez jego pomocy.

Dziesięć dni później Ben użył krainoglądu, by odnaleźć Strabo. Na poszukiwania udał się sam. Pragnął, by ta wyprawa pozwoliła mu stwierdzić, jak rzeczywiście sobie radzi z magiczną mocą tego urządzenia. Początkowo myślał, by odszukać Willow, lecz czułby się wtedy jak szpieg. Zdecydował się więc wytropić smoka. Smok przerażał go. Ben chciał się przekonać, czy mu się uda ten lęk opanować. Poszukiwał Strabo przez większą część dnia, aż w końcu natknął się na niego na północy Greensward. Bestię zastał w trakcie posiłku złożonego z pół tuzina krów, które leżały wokół niego, rozszarpane na strzępy. Smok zdawał się wyczuwać jego obecność, gdy Ben zbliżył się do niego na jakieś dziesięć metrów. Pokryty łuską nos wzniósł się i węszył. Smok

kłapnął szczęką. Ben stał tak, przypatrując się zwierzęciu, przez dobre kilka sekund, po czym zadowolony wrócił do zamku.

Planował samotny wypad do lasów otaczających Sterling Silver, by sprawdzić, czego zdołał nauczyć się od Buniona, lecz Questor ostudził jego zapały. Stało w końcu na jednodniowej samotnej wycieczce pod dyskretną opieką Buniona, który miał iść za Benem i interweniować tylko w wyraźnej potrzebie. Wyruszył o świcie, powrócił o zmroku. Ani razu nie dojrzał towarzyszącego mu z ukrycia kobolda. Uwadze jego umknęły również jaskinnik i żmija drzewna, które kobold unieszkodliwił, gdy chciały uczynić sobie z Bena posiłek. Zdołał jednak zauważyć i uniknąć spotkania z kilkoma chwycami bagiennymi, wilkami, oraz innymi zamieszkującymi las drapieżnikami i gadami, które zapewne równie szybko by go pożarły.

Dwa tygodnie później potrafił już opowiedzieć o najnowszej historii Landover, znał geografie krainy i jej system dróg, rozróżniał rośliny jadalne i trujące, znał zamieszkujące dolinę zwierzęta, porządek społeczny panujący wśród większości ras Landoverian. Znał też obowiązujące w tym kraju żelazne zasady przetrwania. Nadal badał możliwości krainogłędu. Nie nabył jeszcze takiej wprawy w posługiwaniu się nim, by poddać się ostatecznemu testowi: poszukiwaniu Nocnego Cienia w Wielkiej Czeluści. Czarownica nigdy nie opuszczała tych mrocznych zakątków, a Ben nie czuł się jeszcze gotów, by się tam zapuszczać.

Cały czas zmagał się z tą niepewnością, gdy do bram zamku zapukał inny problem.

– Masz gości, panie – oznajmił Abernathy.

Ben siedział właśnie pochylony nad stołem w jednej z komnat na niższych piętrach zamku, studiując stare mapy doliny. Zdziwiony, podniósł wzrok, dostrzegając najpierw Abernathy'ego, a później stojącego dyskretnie, o kilka kroków za nim, Questora.

– Gości?

– Gnomy, panie – rzekł Questor.

– Gnomy-dodomy – uściślił Abernathy.

Ben wytrzeszczył oczy. Odsunął na bok mapy.

– A cóż to takiego, u licha? -Jego wiedza zdobyta w czasie lekcji z Questorem nie sięgała aż tak głęboko.

– Obawiam się, że to raczej żalostny gatunek gnomów odrzekł Questor.

– Raczej bezyteczny, chciałeś rzec – poprawił go chłodno Abernathy.

– Niekoniecznie.

– Ależ z pewnością.

– Obawiam się, że twoja ocena wynika wyłącznie z nabytych uprzedzeń.

– Moja ocena wynika wyłącznie ze zdrowego rozsądku, Questorze.

– Co to ma być? Flip i Flap? – przerwał im Ben. Obydwaj skierowali na niego pytające spojrzenia. – Nieważne. – Niecierpliwym ruchem ręki dając znać, że nie ma ochoty wyjaśniać, o co właściwie mu chodziło. – Powiedzcie mi tylko, co to za stworzenia.

– To plemię żyjące u podnóży gór na północ od najwyższych szczytów Melchor – odpowiedział Questor, sowing twarzą zwrócony wciąż ku Abernathy'emu. – To lud ziemny.

Zamieszkują w jamach i tunelach, które sami kopią. Większość czasu spędzają pod ziemią...

– ...skąd nie powinny wychylać nosa – przerwał Abernathy.

– ...lecz, od czasu do czasu, kręcą się po okolicy. – Rzucił na Abernathy'ego lodowate spojrzenie. – Czy coś nie tak? Zwrócił się znowu ku Benowi. – Nie dadzą się lubić. Mają skłonności do przywłaszczania sobie cudzej własności, nie dając niczego w zamian. Stają się uciążliwe, gdy zaczynają kopać swe nory pod pastwiskami lub polami uprawnymi.

Bardzo przywiązują się do miejsca. Gdy raz się gdzieś zagnieźdzą, nie sposób ich usunąć. Nie ma dla nich znaczenia, do kogo należy ziemia, na której się osiedlają. Jeśli już się gdzieś zadomowia, to tam pozostają.

– Nie powiedziałeś mi o najgorszym! – wtrącił znowu Abernathy.

– Dlaczego sam mi nie powiesz? – burknął Questor, odsuwając się o krok w tył.

– Oni jedzą psy, panie! – wybuchnął Abernathy, nie mogąc już dłużej wytrzymać. Odslonił zęby. – Są kanibalami!

– Tak, niestety, to prawda. – Questor jeszcze raz posunął się o krok do przodu, stając ramie w ramie z Abernathy'm. Jednak jedzą również koty, a nie pamiętam, żebyś się kiedyś nad tym rozżalał!

Ben zrobił kwaśną minę.

– Wspaniale! A skąd ta nazwa?

– To skrót, panie – rzekł Questor. – Przez swą skłonność do kradzieży i kopanie jam gdzie popadnie, gnomy te bywały tak uciążliwe, że na sam ich widok wszyscy wołali: „Gnomy, do domu!” Po pewnym czasie na podstawie zawołania utarła się ich nazwa.

Ben z niedowierzaniem pokiwał głową.

– Teraz to historia z baśni braci Grimm. Gnomy-dodomy.

No dobrze. Ale co je do nas sprowadza?

– Chcą o tym mówić tylko z tobą, panie. Czy ich przyjmiesz?

Abernathy ze zmarszczonym nosem i odsloniętymi zębami wyglądał tak, jak gdyby zamierzał za chwilę ugryźć Questora. Questor zakolysał się na piętach i cofnął, czekając na odpowiedź.

– Królewski kalendarz spotkań nie jest zbyt zatłoczony terminami – odrzekł Ben, spoglądając w pierw na Abernathy'ego, a potem na Questora. – Nie sędzę, by przyjęcie kogoś, kto się poświęcił, przebywając taki kawał drogi, było czymś niewłaściwym.

– Mam nadzieję, że będziesz potem pamiętał własne słowa, panie – parsknął Abernathy. – Jest ich dwóch. Czy mam prosić?

Ben walczył ze sobą, by powstrzymać się od głupiego uśmiešku.

– Tak, prosź!

Abernathy wyszedł i po chwili wrócił, prowadząc ze sobą gnomy.

– Filip i Sot, panie – oznajmił Abernathy, pokazując wszystkie zęby.

Gnomy wyszły przed niego i pokłoniły się tak nisko, że ich głowy niemal dotykały kamiennej posadzki. Były najnędrniejszymi stworzeniami, jakie kiedykolwiek dane było Benowi oglądać.

Korpulentne i całe pokryte sierścią, wzrostem ledwie przekraczały metr. Ich twarze przypominały krecie ryjki i również porośnięte były włosiem. Miały na sobie ubrania, których założenia odmówiłby z pewnością najgorszy włóczęga. Wyglądały, jak gdyby nie myły się od urodzenia. Pył pokrywał ich ciała i ubrania. Brud i ziemia wypełniały wszelkie zagłębienia i zmarszki na ich skórze, nie wspominając o paznokciach, które wyglądały w dodatku na dotknięte jakąś chorobą. Malutkie, spiczaste uszka sterczały po obu stronach głowy. Z dziur ledwie trzymających się butów wystawały palce z pozaginanymi paznokciami.

– O wielki panie! – zwrócił się do Bena jeden z nich.

– O możny panie! – dodał drugi.

Oderwały głowy od posadzki i spojrzały w końcu na Bena.

Wyglądały niczym krety, które wygrzebały się ze swych nor, by spojrzeć na promyk słonecznego światła.

– Jestem Filip – rzekł pierwszy.

– Jestem Sot – przedstawił się drugi.

– Przyszliśmy, by zaoferować ci przyrzeczenie wierności w imieniu wszystkich gnomów-dodomów – oznajmił Filip.

– Przybyliśmy, by złożyć ci życzenia i gratulacje – powiedział Sot.

– Życzymy ci wielu lat życia w zdrowiu – rzekł Filip.

– Życzymy ci liczego potomstwa. – rzekł Sot.

– Oferujemy ci na twe usługi nasze umiejętności i doświadczenie – powiedział Filip.

– Oferujemy ci naszą służbę – dodał Sot.

– Lecz mamy jeden drobny kłopot – rzekł Filip.

– Mamy – potwierdził Sot.

Zamilkli, zakończywszy najwyraźniej to, co zamierzali powiedzieć w tej turze rozmowy. Ben zastanawiał się, czy po prostu nie zabrakło im już pochlebstw.

– Jakiż to problem? – zapytał z przesadnym zainteresowaniem.

Gnomy spojrzały po sobie. Krecie pyszczki zmarszczyły się, odsłaniając malutkie, lecz ostre jak sztylety ząbki.

– Trolle – odpowiedział Filip.

– Skalne Trolle – sprecyzował Sot.

I znowu zamilkli w oczekiwaniu. Ben chrząknął.

– No i co z nimi? – Wprawdzie nie wiedział dotąd niczego o gnomach-dodomach, lecz o skalnych trollach – owszem.

– Wzięli naszych ludzi – rzekł Filip.

– Nie wszystkich, ale znaczną ich liczbę – poprawił Sot.

– Nas przeoczyli – rzekł Filip.

– Byliśmy gdzie indziej – uściślił Sot.

– Napadli na nasze nory i jamy i zabrali ze sobą naszych ludzi.

- Zabierali wszystkich, którzy wpadli im w ręce – rzekł Sot.

- Zabrali ich do Melchor, by pracowali dla nich w kopalniach i hutach – wyjaśnił Filip.

- Zabrali ich do palenisk – zasmucił się Sot.

Ben zaczynał już rozumieć, co się wydarzyło. Skalne trolle były dosyć prymitywnym gatunkiem, żyjącym w górach Melchor. Zajmowały się przede wszystkim poszukiwaniem kruszców i rud, z których potem, w swoich hutniczych piecach, wytapiały metale. Z metalu wykonywały przede wszystkim broń i zbroje, które sprzedawały innym mieszkańcom doliny.

Były to stworzenia niezbyt przyjazne i raczej niemiłe, lecz rzadko się zdarzało, by sprawiały kłopoty sąsiadującym z nimi plemionom, a już z pewnością nie wykorzystywały niewolników.

Ben spojrzał ponad gnomami na Questora i Abernathy'ego.

Mag wzruszył ramionami, a skryba przybrał wygląd wyrażający jego ulubione „a nie mówiłem”.

- Dlaczego skalne trolle pojmały waszych ludzi? – spytał Ben.

- Nie wiemy, wielki panie – rzekł Filip.

- Nie, nie wiemy – zapewnił Sot.

Byli niewątpliwie najgorszymi łgarzami, jakich spotkał, lecz mimo tego postanowił być taktowny.

- W takim razie, jak przypuszczacie?

- Trudno powiedzieć – rzekł Filip.

- Bardzo trudno powiedzieć – sprecyzował Sot.

- Powodów może być wiele – dodał Filip.

- Wiele – powtórzył niczym echo Sot.

- Możliwe, jak sądzę, że przywłaszczyliśmy sobie coś, do czego trolle były przywiązane – spekulował Filip.

- Możliwe, że zabraliśmy coś, co uznaliśmy za porzucone, lecz co faktycznie cały czas należało do nich – dodał Sot.

- Niekiedy się zdarzają tego rodzaju pomyłki – zapewnił Filip.

- Niekiedy się zdarzają – dodał Sot.

Ben pokiwał głową. Ani na chwilę nie uwierzył, by przywłaszczenie sobie przez gnomy-dodomy mienia skalnych trolli było czystym przypadkiem. Wielką pomyłką gnomów była jedynie wiara, że ujdzie im to na sucho.

- Jeśli omyłka tego rodzaju zdarzyła się – zaczął ostrożnie Ben – to dlaczego skalne trolle nie poprosiły was o zwrot swej własności?

Gnomy najwyraźniej poczuły się bardzo nieswojo. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Ben zmarszczył brwi.

- A jak sądzicie, o jaką własność im chodziło? – zapytał.

Filip spojrział na miejsce, w którym powinny znajdować się nieistniejące już czubki jego butów i zaczął niespokojnie przebierać palcami u nóg. Krecia twarz Sota wykrzywiła się tak, iż można było się obawiać, że cała zapadnie się zaraz w sobie, niknąc w sierści.

– Trolle lubią hodować zwierzęta domowe – rzekł w końcu Filip.

– Trolle bardzo lubią zwierzątka – dodał Sot.

– A już najbardziej lubią te futrzaste, drzewne leniwce rzekł Filip.

– Dają je swoim dzieciom, by się z nimi bawiły – wyjaśnił Sot.

– Jak odróżnić dzikiego drzewnego leniwca od udomowionego drzewnego leniwca? – rzekł Filip.

– Jak tu odróżnić jednego od drugiego? – dodał Sot.

Przez myśl Bena przemknęło straszliwe podejrzenie.

– Zawsze możecie zwrócić przywłaszczone zwierzęta, prawda? – zapytał.

– Nie zawsze – rzekł Filip, który w jakiś sposób zdołał osiągnąć wygląd zawstydzonego.

– Nie, nie zawsze – zgodził się Sot.

Ben kątem oka dostrzegł Abernathy'ego. Włos na grzbiecie psa zjeżył się tak, że przypominał teraz nastroszonego jeżozwierza.

– Zjedliście te leniwce? Czy tak? – zażądał odpowiedzi.

Gnomy milczały, wbijając spojrzenia w nie istniejące czubki butów. Rozglądały się po ścianach wokół, starannie omijając wzrokiem Bena. Abernathy wydał niski, ponury pomruk, natychmiast uciszony przez Questora.

– Proszę, poczekajcie na zewnątrz – powiedział do gnomów Ben.

Filip i Sot odwrócili się szybko i, niezdarnie się kołysząc, wydreptali z sali. Filip obejrzał się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz najwyraźniej się rozmyślił. Questor odprowadził ich do drzwi, po czym zamknął je za nimi starannie.

Ben spojrział na swych pomocników.

– No cóż. Co o tym myślicie?

– Myślę, że oswojone leniwce są łatwiejsze do schwytania i pożarcia niż dzikie – wzruszył ramionami Questor.

– Myślę, że ktoś powinien ich zjeść, by przekonać się wreszcie, jak smakują – warknął Abernathy.

– Czyżby interesował cię taki posiłek? – spytał Questor.

Ben niecierpliwie ruszył w ich kierunku.

– Nie pytam, co sądzicie o tym, co zrobili, ale czy należy im pomóc.

Abernathy zapłonął oburzeniem. Uszy mu opadły, a okulary zsunęły się na czubek nosa.

– Niechaj mnie najpierw pchły pożrą żywcem, panie!

Wolałbym już raczej zamieszkać z kotami.

– Skalne trolle wykorzystują ich jako niewolników – rzekł Ben.

– Przecież to jasne, że sami sobie są winni! – odparł niewzruszenie skryba. – Masz w każdym razie wiele znacznie ważniejszych spraw, niż opieka nad gnomami.

– Czyżby? – Ben zmarszczył brwi.

– Panie – przerwał mu Questor i zrobił krok w jego kierunku. – Melchor to niebezpieczna kraina, a skalne trolle nigdy nie należały do najlojalniejszych poddanych. To prymitywne plemię, bardzo odporne na wszelkie wpływy z zewnątrz.

Stary król radził sobie z nimi, trzymając się z dala od ich spraw.

A kiedy już musiał interweniować, szedł tam z całą armią.

– A ja przecież jej nie mam. Czy to chciałeś powiedzieć? dokończył Ben. – Nie władam nawet mocą Paladyna.

– Panie! Odkąd sięgam pamięcią, gnomy-dodomy sprawiały wyłącznie kłopoty. – Abernathy również postąpił o krok do przodu, ponownie zrównując się z Questorem. – Gdziekolwiek się pojawiają, stają się utrapieniem. To kanibale i złodzieje! Nie rozumiem, jak w ogóle możesz myśleć o udzieleniu im pomocy!

Questor pokiwał głową.

– Tak, panie. Tego rodzaju prośbie najlepiej chyba odmówić.

– Nie, Questorze – odparł natychmiast Ben. – Tego właśnie rodzaju prośbie po prostu nie mogę odmówić. – Spojrzał na maga i skrybę, kręcąc głową. – Nie rozumiecie? Przybyłem do Landover, by zostać królem całej krainy. Nie mogę wybierać, dla kogo mam, a dla kogo nie mam nim być. Powinienem być królem dla wszystkich, którzy czegokolwiek ode mnie potrzebują. Wiem to z historii mojego świata. Tak właśnie funkcjonuje monarchia. Król musi proklamować i egzekwować prawa królestwa sprawiedliwie wobec wszystkich poddanych. Nie może być faworytów. Nie może być wyjątków. To, co miałbym uczynić dla władców Greensward, czy wodników i nimf z krainy jezior, muszę zrobić i dla Gnomów-dodomów. Jeśli wycofam się raz, uczynię precedens, i będę miał pretekst, by zrobić to jeszcze raz, a potem już kiedykolwiek będzie to dla mnie wygodne.

– Ależ nie masz, panie, w nikim oparcia – rzekł Questor.

– Może i nie. Lecz jeśli zdołam pomóc gnomom, za następnym razem będę je miał. Gnomy przyrzekną mi wierność, 1 będzie to o jedną przysięgę więcej, niż miałem przed naszą wyprawą. Być może i inni złożą przysięgę wierności, gdy zobaczą, że tron uznają nawet gnomy-dodomy. Może zastanowią się raz jeszcze.

– A może krowy wzniosą się w powietrze i zaczną krążyć wokół zamku, niczym motyle – wystękał Abernathy.

– Może – zgodził się Ben. – Od czasu przybycia tutaj widziałem już dziwniejsze rzeczy.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

– Nie podoba mi się ten pomysł – rzekł Questor z wyrazem powątpiewania na swojej twarzy.

– Mnie również – zgodził się Abernathy.

– A więc zgadzamy się! – skonkludował Ben. – Mnie też.

Ale tak czy inaczej, wyruszymy tam. Pójdziemy, gdyż jest to nasz obowiązek. Szkoła się skończyła, czas spojrzeć życiu prosto w oczy. Poproście teraz gnomy.

Questor i Abernathy uklonili się i opuścili komnatę, coś do siebie mamrocząc.

Gnomy-dodomy powróciły, zalewając Bena solennymi zapewnieniami o swej dobrej woli. Filip przekonywał, że leniwce drzewne to ulubiony przysmak jego ludu. Sot potakiwał.

W końcu Ben przerwał im i powiedział, że ich prośba zostanie spełniona. Pójdzie z nimi do Melchor, by zobaczyć, co da się zrobić, by wynegocjować u skalnych trolli zwolnienie ich ludzi. Ze Sterling Silver wyruszą o świcie. Filip i Sot wlepili w niego wzrok, po czym padli na kolana, obsypując go pochlebstwami w sposób żaloszny i wręcz odrażający. Ben kazał ich natychmiast usunąć z sali.

Po kolacji poszedł sam do krainogłędu. Gnomy zamknięte zostały w swych pokojach przez Abernathy'ego (który stanowczo odmówił im swobodnego poruszania się po zamku), a pozostali zajęli się przygotowaniami do czekającej ich nazajutrz wyprawy. Ben mógł robić, co zechciał, więc postanowił się wybrać w krótką podróż krainogłędem do krainy jezior.

Noc była ciemna i mglista.

Miasto jaśniało światłem rozmieszczonych na łączących drzewa wiszących pomostach pochodni. Słysząc było śmiech i dźwięki rozmów. Ben poczuł się jakoś niezręcznie -jeszcze bardziej obco niż w czasie pierwszej swej tutaj wizyty. Przemknął ponad amfiteatrem, potem ponad domami i warsztatami osady – mijając domek, w którym niedawno nocował i zagłębił się w otaczającym miasto lesie. Odnalazł stare sosny, przy których tańczyła matka Willow. Miejsce to było opustoszałe. Drzewo, w które zamieniła się Willow, zniknęło. Willow w ludzkiej postaci również nigdzie nie dostrzegł.

Przez jakiś czas pozostawał w gęstym lesie, rozmyślając o Annie. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, lecz czuł potrzebę rozmyślenia o niej. Pragnął jej, choć jednocześnie zdawał sobie sprawę, że jej już nie ma, i że rozżalanie się nad sobą niczego tu nie zmieni. Czuł się niczym samotny podróżnik, z dala od rodziny i przyjaciół, rzucony na łaskę fal nieznanego oceanu. Docierało do niego teraz, że sam odciął się od wszystkiego, co było mu znajome, a powody, by to uczynić, okazywały się raczej mizerne. Potrzebował kogoś, kto powiedziałby mu, że wszystko będzie dobrze, że postępuje właściwie, że ma przed sobą lepsze czasy.

Nikogo takiego jednak nie było. Był sam.

Zbliżała się północ, gdy Ben skupił swą uwagę na znaczku symbolizującym na mapie Sterling Silver. Niechętnie oderwał ręce od poręczy krainogłędu. Znowu był w domu.

SKALNE TROLLE

Jak zazwyczaj po nocy nastał poranek. Ben obudził się, powątpiewając, czy rzeczywiście zawsze musi się tak dziać.

Był w ponurym nastroju, wyczerpany snami o śmierci i o swej bezsilności. We śnie umierali wokół niego ludzie, a on nie był w stanie im w żaden sposób pomóc. Nie znał żadnego z nich z życia na jawie, lecz we śnie ich twarze zdawały się całkiem realne. Kiedy w końcu otworzył oczy,

ujrzał blade i przyćmione mgłą, poranne światło, sączące się przez okna do jego sypialni. Świat jego snów również był szary i pełen mgieł. Był to świat wiecznego „stanu przejściowego”, w którym nigdy nie nastaje ani dzień, ani noc.

Zastanawiał się, czy istnieją światy, w których po nocy nie następuje świt, w których jest tylko jedno albo drugie, czy też tylko nieustająca mieszanka jednego i drugiego. Przyszło mu do głowy, że po całkowitym upadku sił magicznych tak właśnie może wyglądać Landover.

Perspektywa ta była zbyt ponura, żeby dłużej się nad nią zastanawiać. Starął się więc o tym wszystkim zapomnieć, oddając się zwyczajnym porannym zajęciom. Wstał, umył się i ubrał, dokończył pakowania swych rzeczy, przywitał przy śniadaniu Questora, Abernathy'ego, Buniona, Parsnipa, Filipa i Sota. Po posiłku przepłynęli na brzeg jeziora i przytroczyli swe bagaże do jucznych osłów. Ben wsiadł na Wishbone'a i dał znak do wymarszu. Starął się znajdować sobie cały czas jakieś zajęcia, by tylko nie pozwolić powrócić myślom o śnie.

Teraz niemal o nim zapomniał. Było to już tylko blade wspomnienie czegoś, o czym najlepiej zapomnieć. Król Landover wraz ze swoją świtą i wlokącymi się za nią gnomami-dodomami znowu wyruszał w podróż.

Cały dzień spędzili, posuwając się przez krainę gór. Przemierzali zalesione stoki, porośnięte krzakami rozpadliny, doliny i brzegi jezior. Potem podążali zachodnimi obszarami Greensward, omijając leżącą jeszcze bardziej na zachodzie Wielką Czeluść. Wiszące ponad ich głowami przesłonięte mgłami słońce przypominało rozmytą białą kulę światła z ledwością rozpraszającego mroki nocy. Obszary, przez które podróżowali, były poszarzałe i wyglądały na mocno dotknięte chorobą. Liście drzew i krzaków pokrywały czerniejące plamy, trawy wyglądały na wyschnięte i wymarznęte. Drzewa porastał wysysający ich soki grzyb. Choroba pogłębiała się.

Z krainy uchodziło życie.

Wieczorem przeleciał ponad nimi Strabo. Smok ukazał się na zachodzie: przypominał gigantyczny, uskrzydłony cień, ciemniejszy od nieba, na którego tle się poruszał. Ujrzawszy go, gnomy-dodomy zeskoczyły ze wspólnie dosiadanego konia i pospiesznie się skryły w pobliskich krzakach. Reszta obserwowała w milczeniu, jak smok leci dalej na wschód. Po jego zniknięciu Ben i jego towarzysze dobry kwadrans spędzili na wywabianiu gnomów z ich kryjówek. W końcu ruszyli w dalszą drogę.

Obozowisko na tę noc rozbili w dolince otoczonej jabłonią i kępami brzoź. Nim zdążyli zabrać się do kolacji, światło zachodzącego słońca zniknęło w ciemnościach nocy. Nikt nie miał ochoty rozmawiać. Każdy wydawał się zajęty swymi własnymi myślami. Skończyli posiłek i poszli spać.

Kolejny dzień podróży był podobny do pierwszego: szary, zamglony i nieprzyjazny. Opuścili granice Greensward, docierając powoli do podnóża gór. Mgły zaczarowanego świata, które pierścieniem otaczały całą dolinę, zdawały się sięgać już samego Melchor, okrywając je szarym, zasłaniającym wszystko płaszczem. Podążali w tym kierunku i krótko po południu wkroczyli w nie.

Prowadził ich idący pewnym i zdecydowanym krokiem Bunion. Jego oczy widziały z pewnością więcej, niż ktokolwiek z całej ich kompani mógłby dostrzec. Podążali skalistą drogą, która stała się wkrótce ścieżką, a jeszcze później – wąską, pokrytą koleinami ścieżyną. Otoczyły ich strome skały i półmrok. Byli w Melchor. Słabe światło słoneczne zaczęło gwałtownie

przygasać. Zapadał już zmrok. Wędrowcy byli zmuszeni zsiąść i prowadzić swe konie, by się nie narażać na upadek. Filip i Sot szli przytuleni do siebie, coś tam pomrukując. Ich rosnący niepokój był dla wszystkich łatwo dostrzegalny. Ben przedzierał się przez mgły i ciemności, koncentrując się na wysiłkach, by coś przed sobą dojrzeć, lecz z równym powodzeniem mógłby próbować przejrzeć, co znajduje się pod grubą warstwą farby.

Rosło w nim uczucie desperacji. Cały dzień usiłował je zwalczyć, zaprzeczyć jego istnieniu, lecz było tak uporczywe, że w końcu musiał mu się poddać. Wyprawa do krainy skalnych trolli w celu uwolnienia wziętych do niewoli gnomów-dodomów była znacznie ważniejsza, niż sam chciałby przyznać. Być może to jego ostatnia szansa. Nie zdołał dotąd skłonić nikogo do złożenia przysięgi wierności. Od czasu objęcia tronu nie dokonał w zasadzie niczego pozytywnego. Dokąd się uda, jeśli mu się nie powiedzie i tutaj, z tymi zapomnianymi przez świat, żalonymi gnomami? Z pewnością wieść o jego porażce szybko się rozniesie. Nikt więcej nie będzie szukał u niego pomocy. Stanie się królem-marionetką – tak, jak nazwał go lord Kallendbor.

Zapadła noc. Droga była coraz bardziej niepewna i musieli jeszcze zwolnić kroku. W oddali ciszę rozdarł dźwięk grzmotu: niski łomot, przerwany krótkim trzaskiem błyskawicy. Mrok nasiąkł dziwną, czerwonawą poświatą. Ben rozglądał się ostrożnie. Grzmoty powtórzyły się, lecz tym razem zabrzmiały jakoś inaczej. Nie przypominały już odgłosów zbliżającej się burzy.

Bunion zatrzymał się. Zamienił kilka słów z Questorem, a ten podszedł do Bena. Czerwonawy blask okazał się światłem palenisk w hutniczych piecach trolli, a grzmoty – odgłosami pompowanego do nich powietrza i kutego metalu.

Ben kazał Abernathy'emu wyciągnąć i rozwinąć królewski proporzec. Ruszyli dalej.

Parę minut później przeszli przez szczyt wzniesienia, gdzie ścieżka stała się nieco szersza, i znaleźli się u wrót piekieł a przynajmniej takie wrażenie odniósł Ben. Owym piekłem była dolina otoczona potężnymi, wysokimi skałami, których ściany nikięły gdzieś wysoko w sklepieniu z mgieł i ciemności.

Ognie płonęły wszędzie. Płonęły w gigantycznych, kamiennych, rozżarzonych do białości piecach, pod wielkimi garncami, w których topiono kruszce, w wyżłobionych w skale zagłębieniach. Wszystko skąpane było w purpurowym blasku rzucającym przez płomień. Na dnie doliny wiała się niewielka rzeczka, której wody miały kolor krwi. Na skalnych ścianach i gładkich migotały cienie. Pomiedzy piecami porozrzucane były zbudowane ze skał chaty i wykonane ze stalowych prętów i drutu zagrody. Mieścił się w nich żywy inwentarz, i ludzie. W leżącej po środku doliny zagrodzie tłoczyło się około pięćdziesięciu obdartych i wystraszonych gnomów, z pyszczkami zanurzonymi w naczyniach z jedzeniem i wodą.

Gnomy poruszały się także poza zagrodą. Te zajęte były dokładaniem do palenisk. Ze zgiętymi karkami i pochylonymi głowami, nosiły opał, rudę, napełniały nimi piece i kuły wytopiony metal. Ich włochate ciała były poznaczone bliznami i osmalone. Wyglądali niczym zesłani na wieczną pokutę potępieńcy.

Pilnowały ich trolle. W dolinie krzątały się ich setki: dziwacznie zbudowane postacie dreptały od pieca do pieca, zaangażowane bezpośrednio w pracę bądź też nią kierujące. Były to ponure, nieco niezgrabne i ociężałe stworzenia o niemal pozbawionych wyrazu twarzach. Ich silnie umięśnione, nieproporcjonalnie ukształtowane ciała były wyposażone w długie, grube kończyny, które zdawały się cięższe od szczupłych korpusów. Te natomiast przygięte posiadały

nieproporcjonalnie szerokie w stosunku do utrzymujących je stawów i ścięgien barki. Głowy o kanciastych twarzach osadzone były na nich nisko, jakby wtłoczone w pokrytą kręconymi włosami klatkę piersiową. Ich chropowata, skóra zdająca się nie odbijać, a jedynie pochłaniać światło ognisk, przypominała spieczonego tosta. Koślawe, zniekształcone stopy z zadziwiającą pewnością stąpały po ziemi i skałach, niczym kopyta górskiej kozicy.

Ben poczuł, że brak mu tchu. Gorąco palenisk wysysało powietrze z jego płuc. Jednak mimo duszącego gorąca, poczuł zimne dreszcze. Trolle już ich zauważyły i szły ku nim, wpatrując się w nich swymi jasnymi, żółtawymi oczami.

– Z koni! – nakazał cicho Ben.

Zeskoczył na ziemię, a za nim Questor, Abernathy. Bunion i Parsnip wyszli przed nich, posykując na trolle ostrzegawczo i szczerząc w purpurowej poświacie palenisk swe białe zęby. Filip i Sot ukryli się za Benem, tuląc się do jego nóg.

W jednej chwili stanęły przed nimi dwa tuziny skalnych trolli. Przepychały się i tłoczyły bezmyślnie o kilka metrów od nich, rzucając swymi żółtawymi oczami zdecydowanie nieprzyjazne spojrzenia. Z jednej z wykopanych w ziemi dziur buchnął z hukiem gejzer ognia. Nikt się nawet nie obejrzał.

– Pokaż im flagę – nakazał Ben Abernathy'emu.

Skryba uniósł proporzec za rogi w ten sposób, by były widoczne królewskie insygnia. Trolle przyjrzały mu się bez większego zainteresowania. Ben odczekał chwilę, spojrzał szybko na Questora i zrobił krok naprzód.

– Jestem Ben Holiday, władca Landover – krzyknął, a jego głos odbił się echem od ścian doliny i wybrzmiał. – Kto jest waszym przywódcą?

Trolle przyglądały mu się uważnie. Żaden jednak się nie poruszył. Ben pamiętał z lekq'i udzielonych mu przez Questora, że plemię to ma swego przywódcę.

– Kto będzie rozmawiał ze mną w waszym imieniu? zapytał, starając się, by głos brzmiał spokojnie, zdecydowanie i władczo.

Do zgromadzenia dołączyły kolejne grupki trolli. Po chwili ich szeregi rozstały się, a zza nich wyszedł jakiś koślawy, ponury osobnik w naszyjniku ze srebrnych ćwieków. Mówił szybko niezrozumiałym dla Bena językiem.

– Chce wiedzieć, skąd się tutaj wzięliśmy, panie – przełożył Questor. – Wygląda na niezadowolonego.

– Czy rozumie, co mówię?

– Nie wiem, panie. Prawdopodobnie tak.

– Mów do niego w jego języku. Powiedz mu jeszcze raz, kim jestem. Powiedz mu, że ponieważ się nie pojawił na mojej koronacji, przychodzę do niego, by odebrać przysięgę wierności.

– Panie, obawiam się...

Twarz Bena była jednak twarda i zdecydowana.

– Powiedz mu!

Questor przez chwilę mówił coś do trolla, po czym wśród zebranych przeszedł pomruk niezadowolenia. Przywódca wznosił dłoń i hałas ucichł. Troll powiedział coś do Questora.

Mag zwrócił się do Bena.

– Mówi, że nie wie nic o żadnej koronacji, że nie ma i nie było w Landover króla od czasu śmierci starego króla. Mówi, że nikomu nie będzie składał żadnej przysięgi.

– Wspaniale. – Ben nie spuszczał oczu z przywódcy. Powoli wyciągnął spod tuniki medalion i podniósł go tak, by wszyscy mogli go dojrzeć. Skalne trolle popatrzały po sobie z niepokojem i nieco się cofnęły.

– Powiedz im, że władam magiczną mocą, Questorze nakazał. -1 przygotuj się, by dać im na to jakiś dowód.

Sowia twarz Questora stężała. Spojrzał na Bena z wahaniem.

– Zrób to, Questorze – rzekł cicho Ben.

Questor znowu przemówił. Trolle mamrotały coś i stale poruszały się niespokojnie. Przywódca wyglądał na skonsternowanego. Ben czekał. Paliło go gorąco hutniczych piecy.

Ubrania szybko nasiąkały potem. Czuł przyciśnięte do swych nóg twarze gnomów-dodomów. Mijały sekundy i nic się nie działo. Wiedział, że musi coś szybko zrobić, bo inaczej straci tę niewielką przewagę, którą zyskał do tej pory.

– Questorze, powtórz wodzowi, że musi złożyć przysięgę tronowi. Powiedz, że jako wyraz dobrej woli musi mi dać pojmane przez niego gnomy, by te mogły mi służyć. Powiedz, że musi zrobić to natychmiast, bo nie mogę tracić dla niego czasu, gdyż zmierzam właśnie do czarownicy zamieszkującej Wielką Czeluść. Powiedz, by nie nadużywał mej cierpliwości.

– Panie! – Questor wymamrotał z niedowierzaniem.

– Powiedz mu!

– A co, jeśli porwie się na nas, a ja nie zdołam użyć odpowiednich czarów?

– Wtedy, do licha, będziemy się tutaj smażyć razem z gnomami! – Twarz Bena poczerwieniała z gniewu.

– Ostrożnie, panie! – ostrzegł nagle Abernathy, wyłaniając się niespodziewanie z ciemności.

– Do diabła z ostrożnością! – zgromił go Ben. – Blef, nie blef, czegoś musimy...!

Abernathy uciszył go szybko syknięciem.

– Panie, obawiam się, że on rozumie, o czym mówimy.

Ben zamarł. Wódz przyglądał się mu błyszczącymi teraz przebiegle żółtymi oczami. Rozumiał. Ben wiedział to od razu.

Troll dał krótki rozkaz stojącym za nim szeregom i stworzenia zaczęły powoli otaczać Bena i jego towarzyszy.

– Użyj czarów, Questorze! – wyszeptał Ben.

Niepewna twarz maga była szara z przerażenia.

– Nie wiem, czy potrafię...

– Jeśli nie, to jesteśmy w wielkich opałach! – Ben wbił spojrzenie w Questora. – No, dalej!

Questor zawahał się. W swych pstrokatych szatach wyglądał na tle ogni niczym wysoka statua. Nagle obrócił się w kierunku trolli, zamachał ramionami, a z jego ust posypał się potok słów. Powietrze eksplodowało światłem.

Zaczął padać deszcz kwiatów.

Pojawiły się znikąd: róże, peonie, fiołki, lilie, stokrotki, chryzantemy, orchidee, żonkile, i wszelkie inne możliwe gatunki.

Padaly na wszystkich całym naręczami, pokrywając szybko powierzchnię ziemi.

Trudno ocenić, kto był bardziej zaskoczony. Jedno było pewne: wszyscy oczekiwali czego innego, włączając w to Questora, który rozpaczliwie próbował naprawić swój błąd i ponownie wznosił ręce, by użyć magicznej mocy. Zbyt wolno! Skalne trolle zdażyły już do siebie i w mgnieniu oka rzuciły się na karki towarzyszy Bena. Wyglądały przerażająco. Ben zdażył tylko ostrzegawczo krzyknąć. Dosłyszał jeszcze syki koboldów, warknięcie Abernathy'ego i poczuł, jak gnomy rozpaczliwie przywierają do jego nóg w poszukiwaniu schronienia. Powietrze napelnił zapach popiołu i dymu.

Skalne trolle zwały się na niego jak lawina. W jednej chwili został zbity z nóg i powalony na ziemię. Uderzył o nią głową.

Coś błysnęło mu przed oczami, a później nastala ciemność.

Ocknął się jako więzień owego dantejskiego Inferno. Siedział w głównej zagrodzie pośrodku dolinki. Ręce i nogi miał skute solidnymi łańcuchami. Siedział oparty plecami o słup Zza zasłony dymu i oparów wpatrywały się w niego dziesiątki gnomowych oczu. W głowie mu pulsowało, a całe ciało pokrywał lepki pot i ziemia. Powietrze wypełniał zapach palenisk i odpadków. Benowi zbierało się na wymioty. Wokół płonęły ognie, a ich purpurowy blask rozświetlał całą dolinę Ben zamrugał oczami. Nieopodal, również przykuci do pala, siedzieli Questor i Abernathy. Rozmawiali o czymś szeptem. Koboldy przywiązane były łańcuchami do żelaznych kół, nasadzonych na wystające z ziemi pręty. Wyglądały na nieprzytomne. Skalne trolle patrolowały okolicę. W blasku ognisk dostrzec można było ich niezgrabne sylwetki, przemieszczające się cicho niczym cienie.

– Obudziłeś się, panie?

– Czy nie jesteś ranny?

Wśród dziesiątek gnomów ukazały się twarze Filipa i Sota. Krecie oczka wpatrywały się w niego z troską i niepokojem. Ben zapragnął w tej chwili uwolnić się tylko po to, by udusić ich obu. Poczul się jak główna atrakcja ogrodu zoologicznego. Czul się jak czubek. Lecz przede wszystkim czul, że poniósł kolejną klęskę. To przez nich wpadł w te tarapaty. To właśnie przez nich siedział teraz skuty w tej klatce. Niech to diabli! Wszystko to wydarzyło się właśnie przez nich – myślał.

Lecz nie było to prawdą i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Znalazł się tutaj z własnego wyboru. Znalazł się tutaj, bo sam się tutaj pchał.

– Czy wszystko w porządku, panie? – spytał Filip.

– Czy słyszysz nas, panie? – zapytał Sot.

Ben odłożył swój nieuzasadniony gniew na bok.

– Słyszę was. Wszystko ze mną w porządku. Czy długo byłem nieprzytomny?

– Nie, panie – rzekł Filip.

– Nie więcej, niż kilka minut – uściślił Sot.

– Schwytali nas wszystkich – dodał Filip.

– Wrzucili nas do tej zagrody – powiedział Sot – Nikt nie uciekł – rzeki Filip.

– Nikt – powtórzył jak echo Sot.

A niby czego mogłem się spodziewać – pomyślał gorzko Ben Rozejrzał się wokół. Otaczał ich dwumetrowy płot z drutu kolczastego. Grube drzwi wyjściowe wykonane były z drewna i zamknięte łańcuchem. Pociągnął za łańcuchy przymocowane do jego ramion i nóg. Były solidnie zamocowane. Ucieczka stąd nie będzie łatwa. Ucieczka? – zaśmiał się w duchu.

O czym, u licha, w ogóle myśli?! Jak zamierza uciec z tego miejsca?

– Panie! – Odwrócił się, słysząc w ciemnościach czyjś głos To Questor spostrzegł, że Ben jest już przytomny. – Czy jesteś ranny, panie?

Ben pokiwał głową.

– Nie. A co z tobą i Abernathym? Co z koboldami?

– Całkiem niezłe. – Jego sowa twarz była czarna od sadzy. – Obawiam się, że najbardziej ucierpieli Bunion i Parsnip.

Walczyli o ciebie bardzo zaciekle. By ich obezwładnić, na każdego musiał rzucić się jednocześnie ponad tuzin trolli.

Koboldy zabręczały łańcuchami, jakby na potwierdzenie słów Questora. Ben popatrzał na nie przez moment, po czym zwrócił się do Questora – Co nam teraz zrobią? – zapytał.

Questor potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. Obawiam się, że nic dobrego.

Ben mógł to sobie wyobrazić.

– Czy możesz użyć magii, by nas stąd uwolnić?

Questor jeszcze raz potrząsnął głową – Nie mogę, gdy mam skute ręce. Magia traci swą moc, gdy krępuje mnie żelazo. – Zawahał się przez chwilę, wykrzywiwszy pociągłą twarz – Przepraszam, panie, że tak bardzo cię zawiodłem. Próbowałem zrobić to, o co prosiłeś. Próbowałem użyć sił magicznych, lecz one po prostu nie chciały się słuchać Zdaje się... zdaje się, że nie potrafię władać czarami tak, jak sam bym sobie tego życzył – skończył załamującym się głosem.

– To nie twoja wina – przerwał mu szybko Ben. – To ja wciągnąłem was w te tarapaty, me ty.

– Ale ja jestem nadwornym magiem! – upierał się Questor. – Powinienem władać wystarczającą mocą, by poradzić sobie z tą garstką trolli!

– A ja powinienem mieć dosyć rozumu, żeby to zrobić!

Ale wygląda na to, że tym razem obydwaj się nie wykazaliśmy, więc zapomnijmy o tym. Zapomnijmy o całej tej sprawie. Skoncentrujmy się lepiej na tym, jak wydostać się z tej krowiej zagrody!

Questor Thews osunął się, zrozpaczony. Załamanie sprawiło, że zniknął gdzieś ów pewny siebie przewodnik, który wprowadzał Bena w tajemnice tej krainy. Nawet Abernathy wstrzymał się od komentarzy. Ben odwrócił się.

Filip i Sot przysunęli się nieco bliżej ku niemu.

– Chce mi się pić – powiedział Filip.

– Jestem głodny – rzekł Sot.

– Jak prędko opuścimy to miejsce, panie? – spytał Filip.

– Jak prędko? – zapytał Sot.

Ben patrzył na nich z niedowierzaniem. Za miesiąc? Rok?

Dziesięć lat? Pewno nigdy! Czy oni myślą, że po prostu wyjdą stąd sobie spacerkiem? Niemal się roześmiał. Najwyraźniej tak myśleli.

– Pozwólcie, że się nad tym trochę zastanowię – powiedział i śmiało się uśmiechnął.

Odwrócił się i rozejrzał po otaczającej zagrodę okolicy. Jaka szkoda, że nie zabrał ze sobą ze starego świata jakiejś broni.

Na przykład bazuki. Albo małego czołgu. Poczuł wielką gorycz. Tak to zwykle bywa ze spóźnionym refleksem. Wiesz dokładnie, co powinienesz zrobić, w chwili, kiedy już i tak jest na to za późno. Przed wyprawą do Landover nawet do głowy mu nie przyszło, że będzie potrzebował broni. A tym bardziej nie przypuszczał, że kiedykolwiek znajdzie się w sytuacji takiej, jak ta.

Dlaczego, gdy zaatakowały ich trolle, nie pojawił się Paladyn? Duch, nie duch, Paladyn pojawiał się dotąd zawsze, gdy Ben był zagrożony. I teraz Ben powitałby go z zadowoleniem.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę i doszedł do wniosku, że jedyna różnica pomiędzy tymi sytuacjami polegała na tym, iż tym razem nie pomyślał o medalionie w chwili zagrożenia.

Wyglądało to jednak na wąty trop. W końcu próbował już wezwać Paladyna siłą woli, badając działanie medalionu, lecz nic z tego nie wynikło.

Znowu oparł się o pał, do którego był przykuty. Jego głowa powoli uspokajała się i pulsujący ból ustawał. W piekle nie było tak źle, jak mu się zdawało jeszcze przed pięcioma minutami. Przedtem było nie do zniesienia, teraz dawało się tu jakoś wytrzymać. Zamyślił się nad swym życiem, usiłując sobie przypomnieć sytuacje gorsze niż ta, w której się teraz znajdował. Nic z tego! Pomyślał o Annie i o tym, co by powiedziała, widząc go w takim położeniu. Pewno poradziłaby sobie w tej sytuacji znacznie lepiej od niego. Zawsze była bardziej elastyczna i odporna.

W oczach stanęły mu łzy. Przeżyli razem tak wiele. Była jego jedynym przyjacielem. Mój Boże! Tak pragnął, by była z nim raz jeszcze!

Otarł pospiesznie oczy i wyprostował się. Usiłował pomyśleć o Milesie, lecz wszystko, co przychodziło mu do głowy, to jego „a nie mówiłem?” Myślał o swej decyzji odejścia do Landover, baśniowej krainy, która – jak się zdawało – nie mogła przecież istnieć. Myślał o świecie, który opuścił, o tych wszystkich drobnych przyjemnościach i przykrościach, których nigdy już nie przeżyje. Zaczął układać w myślach katalog marzeń i życzeń, które nigdy już się nie spełnią.

Wtedy zdał sobie sprawę z tego, co robi. Poddawał się!

Sam spisywał się na straty!

Zawstydził się. Jego żelazne zdecydowanie, które go nie opuszczało w tak wielu trudnych sytuacjach, powróciło ze zdwojoną mocą. Nie poddam się, poprzysiągł sobie w duchu.

Wygram tę walkę.

Uśmiechnął się gorzko. Gdyby tylko wiedział, jak tego dokonać.

– Czy zdażyłeś się już nad tym zastanowić, panie? – zapytał Filip.

– Czy zdecydowałeś, kiedy stąd wyjdziemy, panie? – zapytał Sot.

Ben westchnął.

– Pracuję nad tym – zapewnił gnomy.

Mijały godziny. Minęła północ i skalne trolle zaczęły się udawać na spoczynek. Paru pozostało, by pilnować pieców i ognisk, lecz reszta zniknęła w kamiennych chatkach. Questor i Abernathy ułożyli się do snu. Tak też uczyniła większa część gnomów Filip i Sot skulili się u jego stóp. Jedynie koboldy nie spały. Leżały, nie mogąc nawet się podnieść, patrząc na niego swymi wąskimi oczami i szczerząc białe zęby w tych doprowadzających do szału uśmieszkach. Ben uśmiechnął się do nich raz czy dwa. Mali twardziele! Podziwiał ich i żałował, że wplątał ich w to całe zamieszanie. Żałował, że wplątał w to wszystkich swych towarzyszy.

Był już prawie poranek, gdy poczuł na twarzy delikatny dotyk czyjejś dłoni. Spał bardzo lekko, więc natychmiast oprzytomniał. Mgła i dym wisiały nad całą doliną. Cienie rzucane przez sylwetki trolli w świetle czerwonych ognisk przypominały potwory z sennych koszmarów. Powietrze było mroźne, a ogniska ledwie się tliły.

– Ben?

Rozejrzył się i zobaczył Willow. Siedziała przycupnięta tuż za jego plecami, przytulona do pąka, do którego umocowane były łańcuchy. Ciemnoszaro-zielone ubranie okrywało jej wiotkie ciało, a włosy i głowę krył kaptur. Ben zamrugał oczami z niedowierzaniem, obawiając się, że to tylko postać z jakiegoś niedośnionego snu.

– Ben? – powtórzyła, spoglądając na niego spod kaptura swymi szmaragdowymi oczami. – Nic ci nie jest?

Odruchowo pokręcił głową. Willow nie była senną zjawą – Jak mnie odnalazłaś? – wyszeptał.

– Szłam za tobą – odpowiedziała, przysuwając się bliżej. Jej twarz znalazła się o cal od jego. Była nieprawdopodobnie piękna. – Powiedziałam, że należę do ciebie. Czyżbyś mi nie wierzył?

– To nie kwestia wiary, Willow – usiłował się wytłumaczyć. – Nie możesz do mnie należeć. Nikt nie może.

Zdecydowanie pokręciła głową.

– To zostało rozstrzygnięte już dawno temu. Dlaczego nie możesz tego zrozumieć?

Ben poczuł zalewającą go falę uczucia bezradności. Pamiętał ją nagą w wodach jeziora Irrylyn; pamiętał, jak zmienia się w sękatą wierzbę. Jednocześnie podniecała go i odpychała. Nie mógł dojść do ładu z tą mieszaniną uczuć.

– Dlaczego tutaj przysłałaś? – zapytał łamiącym się głosem – By cię uwolnić – odpowiedziała od razu. Zza płaszczki wyciągnęła kółko z żelaznymi, brzęczącymi kluczami.

– Powinieneś był poprosić o mnie mego ojca, Ben. Zgodziłby się, jeśli byś go tylko poprosił. Lecz nie poprosiłeś. A ja tak czy inaczej musiałam odejść. Teraz nie mogę już tam powrócić.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Willow zaczęła po kolei wypróbować klucze, dopasowując je do skuwającej jego łańcuchy kłódki.

– Nikt nie może opuścić krainy jezior bez zgody mego ojca. Karą jest wygnanie.

– Wygnanie? Ależ ty jesteś jego córką!

– Już nie.

– Do licha! W takim razie, skoro wiedziałaś, czym to grozi, nie powinnaś była za mną iść.

Jej spojrzenie było spokojne.

– Nie miałam wyboru.

Trzeci klucz pasował i łańcuchy opadły z nóg i rąk Bena.

Wpatrywał się w sylfidę ze złością, a potem z rozpaczą. Ona tymczasem przemknęła się do Questora, Abernathy'ego i koboldów. Uwolniła ich wszystkich, jednego po drugim.

Światło wstającego słońca zaczęło rozjaśniać niebo na wschodzie, ponad górami. Trolle wkrótce mogły zacząć się budzić.

Willow znów znalazła się koło Bena.

– Musimy się spieszyć – szepnęła.

– Jak dostałaś się tutaj nie zauważona?

– Nikt nie może dostrzec mieszkańców krainy jezior, jeśli oni sami nie zechcą być widziani. Po północy zakradłam się do doliny i ukradłam wartownikom klucze. Bramy są otwarte – ich łańcuchy nie są spięte kłódkami. Musimy uciekać.

Podstęp w każdej chwili może zostać odkryty.

Podążyła mu pęk kluczy. Odbierając je, dotknął jej palców. Zawahał się, myśląc, co ryzykowała, by przybyć mu tutaj na pomoc. Musiała podążać za nim od momentu, gdy opuścił krainę jezior. Musiała obserwować go przez cały ten czas.

Wyciągnął ku niej ramiona i mocno ją przytulił.

– Dziękuję ci, Willow – wyszeptał.

Jej ramiona oploty go. Poczul przenikające go na wskroś ciepło jej ciała. Nie walczył już ze sobą.

– Panie! – Questor nagle pociągnął go za ramię.

Ben wypuścił Willow z uścisku i rozejrzył się pospiesznie dookoła. Gnomy tarły sennie oczy i przeciągały się, rozprostowując swe włochate kończyny. Niektóre przebudziły się.

– Czy nadszedł już czas, żeby stąd odejść, panie? – spytał nieprzytomnym głosem Filip.

– Tak, czy to już czas? – powtórzył jak echo wstający właśnie na chwiejnych nogach Sot.

Ben popatrzył na nich, przypominając sobie, po co właściwie tutaj przyszli. Nagle pochylił się nad nim Abernathy.

– Panie! Trudno będzie się wydostać stąd nie zauważonej naszej szóstce. Nie mamy szans, jeśli zabierzemy ze sobą to całe stado gnomów.

Ben rozejrzał się raz jeszcze. Mgły i opary zaczynały się powoli rozwiewać. Niebo jaśniało. Z kilku kamiennych chat dochodziły już oznaki życia. Za parę minut na nogach będzie pewno cała wioska.

Spojrzał w dół na zatrwożone twarze Filipa i Sota.

– Idziemy wszyscy – powiedział cicho.

– Ależ panie...! – próbował protestować Abernathy.

– Questorze! – rzekł cicho Ben, ignorując skrybę. – Będziemy potrzebowali czegoś dla odwrócenia ich uwagi.

Mag zbladł. Sowa twarz wykrzywiła się do granic możliwości.

– Fanie, już raz cię zawiodłem...

– Więc nie zrób tego ponownie! – urwał mu Ben. – Musisz zrobić to, gdy tylko opuścimy zagrodę. Zrób coś, co odciągnie od nas trolle. Wysadź w powietrze jeden z ich pieców, albo spraw, by zawałiła się na nich góra. Zrób cokolwiek!

Wziął Willow za rękę i ruszył ku wyjściu. Bunion i Parsnip kroczyli już przed nim, przekradając się w mroku i torując mu drogę. Zewsząd otaczały go pokryte sierścią stworzenia o krecich twarzach.

Wtem Ben dostrzegł cień wychudzonej, zbliżającej się do bramy zagrody nieforemnej sylwetki.

– Bunion! – syknął ostrzegawczo do kobolda.

Kobold w jednej chwili znalazł się przy drzwiach, wyciągnął przewleczone przez ich kółka łańcuchy, po czym dopadł i uciszył trolla, nim ten zdążył się zorientować, co się tutaj dzieje.

Ben i Willow wybiegli z zagrody; krok za nimi Questor i Abernathy, a po nich wytoczyła się cała fala gnomów. W tym samym momencie alarmujące okrzyki przeszyły poranną ciszę i przebudziły śpiące trolle. Te, pomrukując, wybiegły z chat. Gnomy, niczym stadko kurczaków, rozbiegły się na wszystkie strony, poruszając się znacznie szybciej, niż można by oczekiwać, sądząc po ich rozmiarach i budowie. Trolle były już wszędzie.

– Questorze! – krzyknął przerażony Ben.

Ponad nimi błysnęło potężnie jasne światło i pojawił się Strabo. Smok leciał ponad doliną, buchając ogniem na wszystkie strony. Skalne trolle jak oszalałe szukały kryjówek, a gnomy-dodomy wrzeszczały ze strachu. Ben patrzył z niedowierzaniem. Skąd wziął się tutaj smok?

Wtedy kątem oka ujrzał Questora wywijającego wyciągniętymi spod szat ramionami. W tej samej chwili zauważył, że Strabo ma tylko jedną nogę, skrzydła wyrastają mu nie tam, gdzie powinny, a na jego plecach znajdują się dziwne kępki piór. Ogień, którym buchał smok, dosięgał ziemi, lecz niczego nie palił. Smok nie był prawdziwy. To Questor odwracał uwagę trolli!

Willow spostrzegła to również. Ben chwycił ją za ramię i razem rzucili się pędem ku przesmykowi, którym dotarła tu wczorajszego wieczora ich cała grupka. Inni biegli za nimi.

Questor osłaniał tyły. Smok-widmo zaczynał już blednąć i rozpadać się na kawałki. Jego ciało ulegało stopniowej dezintegracji, podczas gdy latał w tę i z powrotem nad zaskoczonymi trollami. Ben i jego towarzysze biegli pomiędzy nimi.

Dwukrotnie trolle usiłowały ich zatrzymać, lecz Bunion rozprawiał się z napastnikami z przerażającą łatwością. Po chwili dopadli ujścia wąwozu i droga przed nimi była wolna.

Ben zaryzykował ostami rzut oka za siebie. Smok rozpadł

się już kompletnie, a części jego magicznego ciała padały w dym i mgłę, niczym kawałki rozsypanej układanki. Trolle nadal jednak były kompletnie zdezorientowane.

Kilka chwil później wszyscy uciekinierzy skryli się już w ciemnościach wąwozu. Trolle, ogniska, dolina, i całe to szaleństwo pozostało gdzieś za ich plecami.

KRYSTAŁ

Było już wczesne przedpołudnie, gdy Ben i jego towarzysze wreszcie się zatrzymali. Znajdowali się teraz w bezpiecznej odległości od Melchor, znacznie poniżej mrocznych i okrytych mgłami skał i wąwozów, w okolicy, z której zostały kiedyś porwane gnomy. One same gdzieś się teraz rozpierzchły, a trolle prawdopodobnie straciły chęci do rzucania się w pościg. Dalszy bieg nie miał sensu.

Tylko nie popełnij jakiegoś błędu – myślał Ben, pochylając się, by oprzeć się plecami o pień dębu. Przecież uciekali! Była to zwykła, haniebna ucieczka, a zarazem przyznanie się do własnej słabości. Znacznie bardziej odpowiadałoby mu, gdyby mógł to określić jako fortel lub zwód, czy coś w tym rodzaju. Faktem jednak, a zarazem istotą problemu, było to, że po prostu biegli, ratując swe życie.

Willow, Questor, Abernathy i koboldy zebrali się wokół niego, siadając w kręgu na marniejącej, blad różowej trawie.

Chmury zbierały się nad ich głowami niczym szary koc.

W powietrzu wisiał zapach deszczu. Zjedli trochę kłaczy i liści rosnących w pobliżu bonnie blues i popili je wodą ze spływającego z gór strumienia. Nie mieli nic innego. Wszystko, co posiadali, włączywszy w to konie, znalazło się w łapach trolli.

Ben przeżuwał bez zapachu, usiłując zebrać myśli. Mógłby może znaleźć w całej tej historii jakieś pozytywy, lecz sprawy toczyły się wyraźnie niekorzystnie dla władcy Landover. Lista jego dotychczasowych dokonań była w zasadzie pusta.

Z wyjątkiem tych, którzy siedzieli teraz wokół niego, nie zyskał żadnych nowych sprzymierzeńców. Władcy Greensward, tradycyjni stronnicy tronu, przyjęli go chłodno, usiłowali przekupić, a potem praktycznie wyrzucili za bramy Rhyndweir.

Władca Rzek okazał się bardziej przyjazny, lecz tylko dlatego, że sprawy tronu kompletnie go nie interesowały, i żywił przekonanie, że ratunek dla krainy leży wyłącznie w rękach jego ludzi. Skalne trolle uwięziły go i zapewne nie omieszkałyby usmażyć, gdyby nie udało mu się zbiec z ich bydłowych zagród. A wszystko to dzięki – napomniął się – niczemu innemu, tylko uporowi i

wytrwałości Willow oraz szczęśliwym okolicznościom, które pozwoliły wreszcie Questorowi posłużyć się magią mniej więcej tak, jak zamierzał.

Były i gnomy-dodomy. Filip i Sot złożyli mu przysięgę wierności. Lecz czegoż była warta? Co mu po przysiędze ziemnych ludzi uznawanych przez wszystkich za bandę złodziejasków, śmieciarzy albo coś jeszcze gorszego?

– A więc co my tutaj mamy? – zapytał głośno i wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. – Oto co mamy. Władcy Greensward z Kallendborem na czele, Strehan i cała reszta – przyrzekną mi wierność, gdy się pozbędę smoka, a więc uczynię to, czego nikt przede mną nie potrafił zrobić. Władca Rzek przyrzeknie wierność tronowi, gdy tylko zdołam skłonić lordów Greensward i wszystkich innych, by przysięgli, że będą dbać o czystość ziem i wód krainy, a sam będę z nim w tym współdziałał. Wielce to prawdopodobne! Skalne trolle przysięgną wierność tronowi w dniu, w którym powrócę do Melchor, nie lękając się, że zrobią ze mnie rostbefa. Czyż to nie zbyt proste? – przerwał. – Myślę, że w tym streszcza się cała moja sytuacja, czyż nie?

Nikt się nie odezwał. Questor i Abernathy wymienili niepewne spojrzenia. Willow zdawała się nie rozumieć, o co chodzi – co faktycznie było możliwe. Koboldy wpatrywały się w niego swymi jasnymi, rozumnymi oczami i szczerzyły w uśmiechach ostre jak igły zęby.

Benem wstrząsnął nagły gniew, zmieszany z zakłopotaniem.

– Faktem jest, że nie zrobiłem absolutnie żadnych postępów. Zero. Nic. A może się mylę? – Miał nadzieję, że ktoś spróbuje wyprowadzić go z błędu.

Wysłuchał go Questor.

– Myślę, że jesteś dla siebie zbyt surowy, panie.

– Czyżby? Czy cokolwiek z tego, co powiedziałem, nie jest prawdą, Questorze Thews?

– To, co powiedziałeś, jest rzeczywiście prawdą, panie.

Lecz pomiñałeś jeden ważny element.

– Tak? Cóż to za element?

Questor nie poddawał się.

– Trudność twego położenia. Nie jest łatwo być królem Landover nawet przy sprzyjających okolicznościach.

Inni zgodnie pokiwali głowami.

– Nie! – Ben natychmiast potrząsnął głową. – Nie mogę rozumować w ten sposób. Nie mogę wszystkiego zwać na okoliczności. Okoliczności akceptuje się takimi, jakimi są. Trzeba potrafić je jak najlepiej wykorzystać.

– Dlaczego sądzisz, że to ci się nie udało? – spytała Willow.

Ben zmieszał się.

– Bo nie! Nie potrafiłem przekonać władców Greensward, twego ojca, ani nawet tych cholernych trolli, by zrobili choć jedną z rzeczy, których od nich wymagałem. Przeze mnie omal nie zginęliśmy z rąk trolli. Gdyby nie twoja przebiegłość i magia Questora, pewno bylibyśmy już martwi!

– Nie przywiązywałbym zbyt wielkiej wagi do pomocy, jaką dała ci moja magia – wymamrotał, krzywiąc twarz Questor.

– Udało ci się uwolnić gnomy, panie – przypomniał surowym głosem Abernathy. Zamrugał oczami. – Osobiście uważam to za stratę czasu i sił, ale jakkolwiek wartość przedstawiało sobą ich życie, to zawdzięczają je teraz tobie. To ty nalegałeś, byśmy je zabrali ze sobą.

Pozostali jeszcze raz skinęli głowami. Ben patrzył kolejno na ich twarze, marszcząc brwi.

– Doceniam wasze wotum zaufania, lecz jest ono chybione. Czemu po prostu nie przyjmiecie do wiadomości tego, co oczywiste: nie wywiązuję się należycie ze swych obowiązków.

– Robisz, co możesz, panie – odpowiedział natychmiast Questor. – Nikt nie może od ciebie wymagać więcej.

– Ani więcej zrobić – dodał Abernathy.

– Ale może ktoś inny potrafiłby zrobić więcej – odrzekł Ben. – Może powinien być to ktoś inny!

– Panie! – rzekł oficjalnie Abernathy, powstając. Poprawił zsuwające się z nosa okulary. – Jestem nadwornym pisarzem dłużej, niż ty żyjesz na tym świecie. Być może trudno w to uwierzyć, uwzględniając mój obecny wygląd. – Tu rzucił mrożące spojrzenie na Questora. – Niemniej jednak proszę, byś wysłuchał moich słów. Byłem świadkiem pojawiania się i znikania kolejnych królów Landover – starego króla i tych, którzy następowali po nim. Obserwowałem ich wysiłki. Widziałem, jak próbują czynić użytek ze swej wiedzy i umiejętności. Niektórzy byli zdolni, inni nie. – Wzniósł łapę, by dodać dramatyzmu swej wypowiedzi. – Lecz powiem ci, panie, że żaden z nich, nawet stary król, nie był bardziej obiecujący niż ty!

Skończył i powoli przysiadł na tylnych łapach. Ben był poruszony. W najśmielszych marzeniach nie oczekiwał czegoś takiego po cynicznym skrybie.

Poczuł, że Willow bierze go za rękę – Musisz go usłuchać. Część mojego ja, która pochodzi od mej matki, mówi mi, że jesteś kimś szczególnym, że jesteś mną. Myślę, iż przeznaczone ci było zostać królem Landover. Nikt inny nie powinien tego nawet próbować.

– Willow! Nie możesz rozsądzać tego w ten sposób... zaczął, lecz przerwało mu gwałtowne posykiwanie koboldów. Rozmawiały przez chwilę o czymś między sobą, po czym Bunion szybko powiedział coś Questorowi.

Mag spojrzał na Bena.

– Koboldy zgadzają się z sylfidą. Czują, że jesteś jakiś inny. Okazałeś siłę i odwagę. Jesteś królem, któremu chcą służyć. Ben oparł się znowu plecami o pień, potrząsając głową z niedowierzaniem.

– Cóż mam rzec, by przekonać was, że mylicie się co do mnie? Nie jestem inny! Nie ma we mnie niczego szczególnego, co czyniłoby mnie lepszym królem. Czyż tego nie dostrzegacie? Robicie to samo, co ja robiłem, przyjmując tron Landover – sami się oszukujecie i łudzicie! Musimy się pogodzić z tym, że samą silną wolą i pobożnymi życzeniami niczego się tutaj nie da zmienić!

Nikt nie odpowiedział. Patrzyli na niego w milczeniu. Ben zastanawiał się, co powinien jeszcze rzec, by ich przekonać, lecz w końcu zrezygnował. Nie było już nic więcej wartego powiedzenia.

W końcu poruszył się Questor. Podnosił się z ziemi z takim trudem, jak gdyby na jego barkach spoczął nagle ciężar całego świata. Swoją twarz była wykrzywiona – mogło się zdawać, że bólem. Wolno wyprostował się.

– Panie, jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. Zakaszłał nerwowo. – Mówiłem ci już, że mój przyrodni brat wybrał cię celowo jako nabywcę tronu Landover. Liczył na to, że nie poradzisz sobie, że nie powiesz ci się, a królestwo jeszcze raz powróci w jego ręce, tak jak działo się to za każdym razem od czasu śmierci starego króla. Uważał cię za nieudacznika, który doznał w życiu wielkiej porażki, panie. Na tym przekonaniu oparł się w swoim wyborze Ben w obronnym geście skrzyżował ręce na piersiach.

– Więc przypuszczam, że nie będzie rozczarowany, gdy się zorientuje, jak się mają moje sprawy.

Questor znowu zakaszłał, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

– Tak się składa, że wie on dokładnie, jak sprawy się mają, i jest tym głęboko rozczarowany.

– Poważnie? I ja mam w to...? – Ben urwał nagle i spojrzał na Questora. – Co powiedziałeś? Że wie, jak się sprawy mają?

Że wie dokładnie? – Wstał i spojrzał magowi w twarz. Jak to możliwe? Jego moc magiczna nie sięga przecież do tego świata, czyż nie? Sam mówiłeś, że nie mógł wziąć stąd nic, prócz medalionu. Wszystko inne musiał tu pozostawić. Skoro tak, to w jaki sposób się dowiaduje, co się tutaj dzieje.

Questor był dziwnie spokojny, a jego twarz przypominała maskę pośmiertną – Ja mu o tym mówię, panie – rzekł cicho.

Nastąpiła ciągnąca się w nieskończoność cisza. Ben nie wierzył własnym uszom.

– Mówisz mu? – rzekł zaskoczony.

– Muszę, panie. – Questor spuścił oczy. – Taki zawarłem z nim układ, gdy opuszczał Landover razem z synem starego króla. Zgodził się, bym był w czasie jego nieobecności nadwornym magiem, lecz pod warunkiem, że będę donosił mu o poczynaniach kolejnych królów Landover, których on przysyłał mi z twego świata, o ich porażkach i sukcesach – jeśli takie staną się ich udziałem. Chciał wykorzystać te informacje w procesie selekcji dalszych kandydatów na tron Landover. Analizował słabości ich poprzedników.

Pozostali zerwali się na nogi. Questor zignorował ich.

– Nie chcę więcej żadnych tajemnic między nami – mówił szybko. – Obawiam się, że było już zbyt wiele sekretów. Powiem wam więc o ostatnim, który przed wami tailem. Zapytałeś kiedyś, panie, ilu królów miało Landover od czasu śmierci starego władcy. Powiedziałem, że ponad trzydziestu. Nie powiedziałem ci tylko, że ośmiu poprzedzających cię przeszło przez Rosen's Ltd. i to w ciągu niecałych dwóch lat! Pięciu z nich powróciło przed upływem ustalonego w umowie dziesięciodniowego terminu. Zastanów się, co to oznacza, panie. Mój przyrodni brat pięć razy się omylił i stracił szansę na otrzymanie większej sumy pieniędzy. Za każdym razem milion dolarów. Zła klientela – zły interes. Sądzę, że ani sklep, ani on sam nie tolerowałiby takich strat. To z kolei wskazuje, że straty te nigdy nie zostały przez pracowników sklepu wykryte. Myślę, że większość – jeśli nie wszystkie – z tych transakcji mój przyrodni brat zataił przed sklepem, a niezadowolenie kolejnych klientów starał się możliwie szybko zamaskować. – Przerwał z rozmysłem.

– Questor, o czym ty mówisz? – wyszeptał Ben.

– O tym, że jeśli byś zdecydował się powrócić do swojego świata przy użyciu medalionu, stwierdziłbyś, że twoje pieniądze zniknęły, a twoje życie zapewne skończyłoby się szybciej, niż mógłbyś oczekiwać.

Abernathy był wściekły. Wyszczrzył groźnie zęby.

– Wiedziałem, że nie można tobie ufać, Questorze Thews! jęknął posepnie.

Ben wznosił w górę ręce.

– Nie, poczekaj! Przecież nie musiał mi o tym mówić Sam się na to zdecydował. Dlaczego, Questorze?

Uśmiech maga był przedziwnie łagodny.

– Żeby cię przekonać, jak bardzo w ciebie wierzę, Benie Holiday. Inni usiłowali cię przekonać o swej lojalności i wierze w ciebie, lecz ty nie chciałeś słuchać. Myślę, że poprzez to, co ci teraz wyznaję, skłonię cię do tego, do czego im najwidoczniej nie udało się cię skłonić, i wreszcie uwierzysz w siebie. Uważam, że jesteś królem, na którego Landover od dawna czekało. Podejrzewam, że mój przyrodni brat tego właśnie się obawia. Bardzo się zaniepokoił, dowiedziawszy się, że nie poddałeś się w chwilach, w których inni już dawno by to uczynili. Lęka się, że znajdziesz sposób, by utrzymać się na tronie. Boi się ciebie, panie.

Willow mocno chwyciła ramię Bena.

– Posłuchaj go, Ben. Ja mu wierzę.

Questor westchnął słabo.

– Było coś, co uważałem za usprawiedliwienie tego, co robiłem dla mego przyrodniego brata. Gdybym odmówił, nie powierzyłby mi stanowiska nadwornego maga. Wiedziałem, że jeśli go nie dostanę, to w żaden sposób nie będę mógł pomóc Landover. Wierzyłem, że to, co będę w stanie naprawić jako nadworny mag, zrównoważy zło wyrządzone przez moje raporty. Już od dawna miałem pewne podejrzenia co do losów tych, którzy nabyli królestwo, lecz nie zdołali utrzymać tronu. Gdy powracali do swego świata, było już za późno, by im pomóc...

Głos Questora zaczął się łamać.

– Przyrodni brat zawarł ze mną jeszcze jedną umowę, panie. Umowę, której – wstyd mi się przyznać – nie potrafiłem odrzucić. Jego magiczne księgi, zawierające sekretną wiedzę gromadzoną przez magów od zarania dziejów tej krainy, są ukryte gdzieś w Landover. Tylko on wie gdzie. Nie może ich ze sobą zabrać, więc obiecał, że kiedyś mi je przekaze. Za każdym razem, gdy upada kolejny władca, on daje mi kolejną porcję magicznych zaklęć, nad którymi mogę pracować.

Nie robię niczego, by wspomagać jego plany, panie, lecz nie potrafię się oprzeć pokusie, jaką stanowi dla mnie wiedza tajemna. Jej strzępki, które on mi przekazuje, pozwalają mi czynić postępy. Wiem, że nigdy mi nie da tych ksiąg. Wiem, że mnie wykorzystuje. Mam jednak nadzieję, że kiedyś powie 0 jedno słowo za dużo, a wtedy zdołam odnaleźć księgi 1 skończę z nim!

Sowia twarz wykrzywiła się w wyrazie bólu.

– Pozwoliłem się wykorzystywać, bo nie widziałem innej możliwości. Moje intencje zawsze były czyste. Pragnąłem, by ten kraj stał się tym, czym był ongiś, i zrobiłbym wszystko, żeby tego dokonać. Kocham go nad życie!

Ben przyglądał się mu w milczeniu, starając się stłumić sprzeczne uczucia. Willow ciągle trzymała go za rękę, a jej mocny, natarczywy uścisk dawał do zrozumienia, że Questor mówi prawdę. Abernathy był jednak bardziej ostrożny. Koboldy stały za nim, milcząc. Trudno było dociec, co wyrażały ich twarze.

Spojrzał znowu na maga.

– Questorze, powiedziałeś mi kiedyś, że mogę użyć medalionu, by bezpiecznie powrócić do mego świata.

– Musiałem wystawić na próbę twoje zaangażowanie, panie – wyszeptał z naciskiem. – Musiałem dać ci wybór!

– A co, jeśli bym zdecydował się użyć medalionu?

Cisza ciągnęła się w nieskończoność.

– Chciałbym wierzyć, że udałoby mi się ciebie powstrzymać, panie – wydusił Questor.

W jego oczach stanęły łzy. Ben widział w jego twarzy mieszaninę wstydu i cierpienia.

– Też chciałbym w to wierzyć, Questorze.

Pomyślał przez chwilę, po czym położył dłoń na ramieniu maga.

– W jaki sposób porozumiewasz się z Meeksem? Jak z nim rozmawiasz?

Przez chwilę Questor dochodził do siebie, potem zagłębił dłoń w przepastnych fałdach swego stroju i coś stamtąd wy dobył. Ben przyjrzał się. Był to ten sam kryształ, który Questor miał na sobie, gdy po raz pierwszy spotkał się z nim w Landover. Ben zupełnie o nim zapomniał. Widział go jeszcze kilka razy, lecz nigdy nie poświęcił mu większej uwagi.

242 – Kryształ należy do niego, panie – wyjaśnił Questor. – Dał mi go, opuszczając Landover. Gdy ogrzeje go ciepłem dłoni, pojawia się w nim Meeks. Wtedy mogę z nim rozmawiać.

Ben przez chwilę przyglądał się kryształowi, obserwując jego szlify i mieniące się w jego wnętrzu barwy tęczy. Kryształ był zawieszony na srebrnym łańcuszku, przyczepionym do kółka na jego szczycie. Spojrzał na Questora.

– Czy Meeks ma jeszcze jakieś inne możliwości kontaktu z Landover?

Mag pokręcił głową.

– Nie sądzę.

– Czy wierzysz we mnie na tyle, żeby mi go dać? – zapytał szeptem.

– Kryształ należy do ciebie, panie – natychmiast odparł mag.

Ben pokiwał głową i uśmiechnął się blado. Teraz on podał kryształ Questorowi.

– Czy zechciałbyś przywołać pana Meeksa?

Nastąpiła chwila wahania, a potem Questor wziął kryształ w dłonie. Willow, Abernathy i koboldy podeszli bliżej. Ben czuł, jak wali mu serce. Nie spodziewał się, że spotka się z Meeksem tak prędko. A teraz miało się to właśnie wydarzyć, więc oczekiwał tego z niecierpliwością.

Questor rozwarł dłonie i ostrożnie uniósł kryształ za łańcuszek. Z jego środka wyglądała twarz Meeksa, w którego przeszywających oczach malowało się zaskoczenie.

Ben pochylił się na kryształ, patrząc prosto w twarz Meeksa.

– Dzień dobry, panie Meeks – powitał go. – Jak się mają sprawy w Nowym Jorku?

Stara, pomarszczona twarz pociemniała z wściekłości, a spojrzenie miało najwyraźniej rozerwać Bena na strzępy. Ben nigdy nie widział takiej nienawiści.

– Nie ma pan ochoty rozmawiać? – Ben uśmiechnął się swoim najlepszym uśmiechem rodem z sali sądowej. – Nie mogę powiedzieć, bym pana za to winił. Sprawy przyjęły niezbyt korzystny dla pana obrót, czyż nie?

Odziana w czarną rękawicę dłoń wzniosła się w geście ostrzeżenia, a Meeks chciał chyba coś powiedzieć.

– Nie, niech się pan nie sili na odpowiedź – uprzedził go Ben. – Nie interesuje mnie nic, co ma pan do powiedzenia. Wziął kryształ od Questora i trzymał go teraz przed sobą.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Chciałem panu tylko przekazać, że koła pańskiego wozu wkrótce odpadną! – Potem podszedł do wyrastającej z ziemi skały i cisnął kryształ, rozbijając go na kawałki. Jego szczątki wdeptał w ziemię butami. – Do widzenia, panie Meeks – rzekł cicho.

Odwrócił się. Jego towarzysze obserwowali go, nie poruszywszy się z miejsca. Powoli podszedł do nich. Ich oczy nieustannie były w nim utkwione.

– Myślę, że to wszystko, jeśli chodzi o sprawę Meeksa stwierdził. – I oto znowu jesteśmy na polu numer jeden.

– Pozwól mi coś powiedzieć, panie – poprosił Questor. Był poruszony, lecz starał się mówić spokojnie. – Nie możesz się poddać. – Powiódł niepewnym spojrzeniem po twarzach innych. – Pewno przez to, co robiłem, straciłem wasze zaufanie. Pewno będzie najlepiej, gdy was teraz opuszczę. Pogodziłem się z tym. Lecz ty, panie, musisz walczyć dalej. Abernathy, Bunion, Parsnip i Willow pozostaną z tobą. Wierzą w ciebie i mają słuszość. Jesteś odważny, mądry, silny i masz dobre serce. Lecz masz coś jeszcze, panie. Jest to coś, czym od dawna nie wykazał się żaden król Landover. Jest w tobie determinacja. Nie poddajesz się w chwilach, w których uczyniliby to inni. A tego potrzeba królowi najbardziej.

Przerwał, wyprostowując się.

– Nie kłamałem, gdy mówiłem, że mój brat widzi twą determinację i lęka się jej. – Potrząsnął głową. – Nie rezygnuj, panie! Bądź królem, jakim chciałeś zostać!

Skończył i czekał. Ben spojrzał na resztę. Ogień w oczach Willow świadczył, że darzy go ona czymś więcej, niż zaufaniem. Abernathy – jak zwykle, sardoniczny i ostrożny. Parsnip i Bunion spoglądali groźnie, a w ich małych twarzach odbijała się posiadana przez nich tajemna wiedza. Każda z tych twarzy zdała mu się teraz jakąś dziwną aktorską maską, założoną przez aktorów sztuki teatralnej. A sztuka ta nie miała się jeszcze ku końcowi. Kim są naprawdę? – zastanawiał się. Kim jest on sam?

Nagle znalazł się o miliony lat i mil od wszystkiego, co wydarzyło się przed jego podróżą do tej przedziwnej krainy.

Zniknęły drapacze chmur, prawnicy, system sądowniczy Stanów Zjednoczonych, miasta, rządy, kody, prawa. Wszystko to w jednej chwili uleciało. Pojawiło się natomiast to, czego nigdy przedtem nie było: smoki, wiedźmy, wszelkiego rodzaju zaczarowane stworzenia, zamki i rycerze, dziewice i magowie, i magiczne przedmioty. Wszystkie rządzące jego życiem reguły były nowe. Skoczył w otchłań i ciągle w niej opadał.

Całkiem nieoczekiwanie uśmiechnął się.

– Nie zamierzam rezygnować, Questorze – uśmiechnął się szerzej. – Jak mógłbym zrezygnować wobec tak elokwentnego wyznania wiary? Jak mógłbym zrezygnować, mając przy sobie takich przyjaciół jak wy? – Wolno pokręcił głową, zadziwiony zarówno własnym, jak i ich szaleństwem. – Będziemy walczyć dalej.

Willow uśmiechała się. Koboldy posykiwały z aprobatą.

Na twarzy Questora pojawił się wyraz ulgi. Nawet Abernathy zgodnie pokiwał głową.

– Jednak pod jednym warunkiem. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Zrobił krok do przodu i delikatnie położył dłoń na ramieniu Questora. – Zaczęliśmy razem, więc razem skończymy. Co było, to było, Questorze. Potrzebujemy cię.

Mag wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Panie, zrobiłbym cokolwiek, o co byś mnie poprosił, ale...

ale nie mogę... – spojrzał nieprzytomnie na pozostałych.

– Głosowanie – oznajmił Ben. – Czy Questor idzie z nami?

Bunion? Parsnip? – Koboldy pokiwały głowami. – Willow? nimfa również przytaknęła.

Przerwał i spojrzał na Abernathy'ego.

– Abernathy?

Abernathy spojrzał na niego, milcząc. Ben czekał. Skryba stał nieruchomo, jak posąg wyciosany z kamienia.

– Abernathy? – powtórzył Ben.

Pies wzruszył ramionami.

– Myślę, że z charakterem nawet gorzej u niego niż z umiejętnościami magicznymi. Chyba jednak nie zamierzał nikomu wyrządzić szkody. Niechaj idzie z nami.

Ben uśmiechnął się.

– Świetnie. Znowu jesteśmy razem – spojrzał na Questora. – Idziesz, Questorze?

Słaby uśmiech czaił się w kącikach warg porumieniałego ze wzruszenia maga.

– Tak, panie, idę – rzekł pospiesznie.

Ben spojrzał jeszcze raz na wszystkich po kolei, myśląc przez chwilę, że to czystej wody wariaci, a potem odwrócił się i patrzył w niebo. Słońce świeciło wprost nad ich głowami, przyćmione białym woalem mgły i obłoków. Zbliżało się południe.

– Lepiej chodźmy już stąd – powiedział.

Abernathy kłapnął zębami.

– Eee... chodźmy... ale dokąd, panie? – spytał z wahaniem.

Ben podszedł do niego i położył ręce na kudłatych ramionach psa.

– Pamiętasz, co powiedziałem skalnym trollom, Abernathy? Idziemy tam, dokąd tak czy inaczej powinniśmy pójść.

Skryba wbił w niego wzrok.

– To znaczy dokąd, panie?

Ben uśmiechnął się ceremonialnie.

– Do Wielkiej Czułości, Abernathy. Do Nocnego Cienia.

WIELKA CZELUŚĆ

Teraz to oni sądzili, że Ben zwariował. Być może różnili się w ocenie stopnia owego szaleństwa, lecz co do samego faktu wszyscy byli zgodni. Koboldy wyraziły to nagłym sykiem i swymi przerażającymi uśmiechami, które z pewnością nie miały objawiać radości. Dezaprobatę wyrażały również oczy Willow. Questor i Abernathy byli przerażeni i mówili coś, jeden przez drugiego.

– Ależ, panie! Postradałeś zmysły! – wybuchnął skryba.

– Nie możesz ryzykować znalezienia się w rękach czarownicy! – poparł go Questor.

Ben pozwolił im się wygadać, potem kazał im się uspokoić i cierpliwie wyjaśnił swoją decyzję. Zapewnił, że nie postradał zmysłów, a wręcz przeciwnie – doskonale wie, co robi. Zdaje sobie sprawę z podejmowanego ryzyka, lecz przecież wszystkie inne kroki, które mógłby teraz podjąć, wiązały się z ryzykiem. Wyprawa do Wielkiej Czułości była najsensowniejszym i dającym największe nadzieje na osiągnięcie czegokolwiek wyjściem.

Prosił, by sami gruntownie to przemyśleli. Kluczem do każdych zamkniętych przed nim drzwi było odpowiednie użycie sił magicznych. Magiczna moc dała życie tej krainie i tym, którzy zamieszkiwali w niej od zarania. Teraz załamanie się tej mocy rujnowało Landover. Medalion był przedmiotem magicznym, umożliwiającym noszącej go osobie przechodzenie z jednego świata do drugiego. Paladyn był również stworzeniem magicznym i to magia była potrzebna, by go znowu przywołać. Zamek Sterling Silver był magiczny, i magia potrzebna była, by go ocalić. Większość stworzeń zamieszkujących tę krainę była istotami magicznymi, i magia była tym, co rozumiały, szanowały i czego się lękały. Władcy Greensward żądali, by Ben oswobodził ich od smoka, i aby tego dokonać, konieczna jest moc magiczna. Władca Rzek pragnął, by mieszkańcy krainy razem z nim pracowali nad jej uzdrowieniem, a to zapewne też wymagałoby jakiegoś rodzaju działań magicznych. Mark i jego demony należeli do mrocznych mocy magicznych, zagrażających krainie zagładą, i potrzeba z pewnością potężnej mocy białej magii, by ich powstrzymać.

Przerwał. Kto więc najprawdopodobniej włada magią tak potrzebną, by przywrócić sprawom Landover normalny bieg?

Kto dysponuje magiczną mocą, do której brak dostępu innym?

Jasne, że przedsięwzięcie jest ryzykowne. Zawsze jest jakieś ryzyko. Lecz nikt od tak wielu lat nie był u Nocnego Cienia – nikt nawet nie pomyślał, by spróbować. Żaden z królów Landover władających tutaj przez ostatnie dwadzieścia lat nie usiłował szukać w niej sprzymierzeńca.

Abernathy przerwał i powiedział, że również stary król nie chciał mieć z nią do czynienia. Ben stwierdził jednak, że tym bardziej powinien się z nią spotkać. Można przecież porozmawiać. Możliwe, że da się ją przekonać. Jeśli wszystko inne zawiedzie, to może choć da się ją oszukać.

Towarzysze patrzeli na niego z przerażeniem. Wzruszył ramionami.

– W porządku, nie będziemy próbowali jej oszukiwać.

Tak czy owak, wyprawa do czarownicy była najlepszym, co mogli zrobić. Wszak to ona dysponowała najpotężniejszą w całej krainie mocą magiczną, a przynajmniej tak twierdził Questor, dając Benowi w Sterling Sih/er lekcje o Landover. Na magu skupiły się oskarżycielskie spojrzenia.

Ben uważał, że odrobina magicznych mocy wiedźmy mogłaby zmienić bieg jego spraw. Nie potrzebował wiele. Nawet jeśli czarownica odmówi pomocy, może się zgodzić zaaranżować jego spotkanie z czarodziejskimi istotami. Może Ben zdoła od nich uzyskać pomoc.

Willow skuliła się nieco w momencie, w którym wspomniał o czarodziejskich istotach, więc Ben stracił nagle pewność siebie. Wzruszył jednak ramionami i dalej wytaczał argumenty.

Przemyślał wszystko, i rozwiązanie takie zdaje mu się w tej sytuacji najrozsądniejsze. Nie ma żadnego sprzymierzeńca, który pomógłby mu dojść do porozumienia z innymi mieszkańcami Landover. A z pewnością nie znajdzie nigdzie sprzymierzeńca potężniejszego niż Nocny Cień.

– Ani bardziej niebezpiecznego – zauważył Questor.

Lecz Bena nie sposób było przekonać. Rzecz była postanowiona i wkrótce mieli wyruszyć w podróż.

– Jeśli ktoś nie chce ze mną iść, niechaj zostanie. Zrozumiem to – rzekł Ben. Nikt jednak się nie wycofał. Wszyscy tylko spoglądali niespokojnie na niego.

Wyruszyli około południa i aż do zmierzchu wędrowali przez góry. Pogoda była nadal nieprzyjemna, chmury zbierały się ponad ich głowami. Czuć było zbliżający się deszcz.

Wraz z zapadnięciem nocy mgła zaczęła się skraplać i opadać w postaci mżawki. Przygotowali obozowisko tuż pod skałami, pośród wymarniałych jesionów. Szybko zapadł zmrok.

Sześciu podróżnych przycupnęło w swym szałasie i zjadło skromny posiłek złożony z kłaczy bonnie blues i jakichś dziwnych korzonków, które zebrał niezastąpiony Parsnip. Popili to wszystko źródlaną wodą. Powietrze stało się chłodne i Ben zamarzył o kieliszku ulubionego, a tak teraz odległego glenliveta.

Kolacji dokończyli szybko i zaczęli się zastanawiać nad tym, jak najwygodniej ułożyć się do snu. Nie mieli przecież żadnego sprzętu, gdyż wszystko stracili, uciekając z niewoli skalnych trolli. Questor zaoferował, że wykorzysta swe umiejętności magiczne. Tym razem Ben zgodził się. Koboldy były wystarczająco odporne, by spać na dworze, ale cała reszta dostanie z pewnością zapalenia płuc, jeśli się nie znajdzie żaden sposób, by ochronić się przed chłodem. Poza tym Questor popisał się w Melchor lepszym władaniem mocami magii.

Niestety, tym razem nie poszło mu zbyt dobrze. Posypały się iskry, buchnął dym i przed zebranymi zmaterializowało się kilka tuzinów ręczników. Questor mruknął coś na temat nieodpowiedniej pogody i spróbował jeszcze raz. Tym razem wyczarował jutowe worki. Teraz zamruczał również Abernathy i nastroje zaczęły się rozgrzewać szybciej niż ciała. Za trzecim

razem mag stworzył ozdobny namiot w kolorowe pasy, z poduszkami do siedzenia i garderobą włącznie. Ben zdecydował, że to im wystarczy.

Weszli do środka i jeden po drugim zasnęli. Abernathy trzymał wartę przez sen, z nosem skierowanym ku wejściu do namiotu, nie do końca przekonany, czy skalne trolle zaniechały pościgu.

Nie spał tylko Ben. Leżał w ciemności, słuchając uderzeń kropel deszczu o dach namiotu. Znalazł się sam na sam z niewiadomymi, które do tej pory konsekwentnie ignorował.

Czuł, że czas przecieka mu przez palce. Skończy się z pewnością prędzej, niżby sobie tego życzył. Potem dopadnie go Mark lub inna zła moc, przed którą nie będzie miał żadnej ochrony.

Wtedy mógłby być zmuszony do użycia medalionu, by się ratować – nawet jeśli by przysiągł, że tego nie zrobi. Jakiego wyboru dokonałby wtedy? Co by zrobił, jeśli by jego życie rzeczywiście było zagrożone – nie przez feudalnych panów, próbujących utrzymać mu nosa, nie przez trolle, chcące wsadzić go do krowiej zagrody, lecz przez jakiegoś potwora, który byłby w stanie pozbawić go życia, ledwie o tym pomyślawszy? Wiedział już, że takie potwory istnieją. Wiedział, że istnieje Nocny Cień.

Przez jakiś czas zmuszał się do myślenia o czarownicy z Wielkiej Otchłani. Nie robił tego do tej pory; tak było łatwiej. Wiedział, że musi do niej iść. Uświadamianie sobie tego, jak może być niebezpieczna, nie zmieniało postaci rzeczy.

Nocny Cień przerażała wszystkich jego towarzyszy, a tak jak niej lękali się tylko Marka. Może jednak brał zbyt wielki kęs, by móc go przełknąć? Może stawiał ich w sytuacji gorszej, niż się znaleźli, wpadając w łapy Skalnych Trolli? W zamyśleniu przygryzał wargi. Nie, nie może tego zrobić. Tym razem może się nie znaleźć nikt, kto by im pomógł. Musi być bardziej ostrożny. Musi podjąć jakieś kroki, by ochronić swych towarzyszy.

Szczególnie Willow, pomyślał. Spojrzał w kierunku miejsca, gdzie spała. Powiódł wzrokiem po jej nieruchomym ciele. Tej nocy nie zamieniła się w drzewo. Nie zapuściła korzeni. Najwidoczniej robi to tylko co jakiś czas. Stwierdził, że myśl o tym nie budzi w nim takiego jak przedtem obrzydzenia. Być może wtedy poruszyła go po prostu dziwaczność tej przemiany, a teraz zdażył już do tego przywyknąć. Czasami poznanie czegoś rodzi w końcu akceptację.

Pokiwał głową. I po co się oszukujesz, Holiday? – pomyślał. Dziewczyna ocaliła twoją skórę i dlatego ją akceptujesz.

Jakiż jesteś wspaniałomyślny!

Jego oddech stał się równiejszy, oczy zamknęły się. Żałował, że poświęciła tak wiele, by podążyć za nim. Wolał, by nie była tak impulsywna. To sprawiło, iż czuł się za nią odpowiedzialny, a tego przecież nie chciał. Willow widziała świat oczami dziecka: jej los wyznaczała wróżba utkana z powojów na łożu jej rodziców, a ich miało na zawsze połączyć przypadkowe spotkanie podczas nocnej kąpieli. Ben nie był przygotowany, by komukolwiek dać to, czego ona teraz od niego oczekiwała.

Jego myśli błądziły dalej i stopniowo opuszczała go zawziętość. Może to nie z nią jest coś nie w porządku? Może to jego wina, a problem polega na tym, że nie jest w stanie dać jej tego, o co ona prosi, gdyż po prostu tego nie ma? Może wraz ze śmiercią Annie stracił wszystko, co było w nim dobre? Nie chciał w to wierzyć, lecz to chyba była prawda.

Ze zdziwieniem poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Otarł je po cichu, szczęśliwy, że inni tego nie widzą.

Potem pozwolił myślom wędrować własnymi drogami i powoli pogrążył się w sobie. Senność zwyciężyła.

Obudził się świtem, kiedy słoneczne światło było jeszcze zaledwie bladą luną na wschodnim niebie. Tumany mgieł przetaczały się przez wzgórza. Jego kompani również się przebudzili, przeciągając się i rozgrzewając stężełe od zimna i wilgoci mięśnie. Ziewali. Widocznie noc była zbyt krótka.

Deszcz przestał padać. Z liści drzew spadały jedynie pojedyncze krople. Ben wyszedł z namiotu i skierował się do miejsca, w którym spod gęstych krzaków wypływał niewielki strumyczek. Pochylił się, by w zaczerpnąć wody w złożone dłonie, gdy nagle z gęstwiny wyłoniły się dwie krecie twarze.

Odskoczył z przekleństwem na ustach, oblewając się przy tym wodą.

– O wielki panie! – pozdrowił go pospiesznie jakiś głos.

– Możny panie! – odezwał się drugi.

Filip i Sot. Ben pospiesznie starał się przybrać bardziej oficjalny wygląd. Z ledwością pohamował swój pierwszy odruch, by się rzucić na nich i własnoręcznie udusić. Czekał cierpliwie, aż wypłaczą się ze swej kryjówki. Żalosa para gnomów-dodomów wyglądała jeszcze marniej niż zazwyczaj. Ich futerka były przemoczone, a ubrania podarte. Wyglądali na jeszcze brudniejszych niż zwykle (o ile w ogóle mogli być bardziej brudni).

Potoczyli się ku niemu, wpatrując się w niego w półmroku.

– Wymykając się skalnym trollom, doświadczyliśmy pewnych trudności – oświadczył Filip.

– Trolle ścigały nas aż do zmierzchu, a potem nie mogliśmy ustalić, dokąd poszliście – dodał Sot.

– Lękaliśmy się, że znowu cię pojмали – rzekł Filip.

– Ale odnaleźliśmy twój ślad i podążyliśmy za nim – ciągnął Sot.

– Widzimy słabo, ale za to mamy świetny węch – wyjaśnił Sot.

Ben bezradnie pokręcił głową.

– Dlaczego w ogóle fatygowaliście się, by iść za mną? zapytał i przyklęknął tak, by móc rozmawiać z nimi twarzą w twarz. – Dlaczego po prostu nie poszliście do domu z resztą waszych ludzi?

– O nie, panie! – wykrzyknął Filip.

– Przenigdy! – zawołał Sot.

– Złożyliśmy przysięgę, że będziemy ci wiernie służyć, jeśli pomożesz uwolnić naszych ludzi – rzekł Filip.

– Daliśmy słowo – potwierdził Sot.

– Ty dotrzymałeś swej obietnicy, panie – podkreślił Filip.

– Teraz my wypełnimy naszą – dokończył Sot.

Ben patrzył na nich z niedowierzaniem. Lojalność była ostatnią rzeczą, jakiej się po nich spodziewał. Była to też ostatnia rzecz, jakiej potrzebował. Bardziej było bowiem prawdopodobne, iż Filip i Sot nie staną się niczym innym, jak tylko nowym źródłem kłopotów.

Chciał im to już powiedzieć, lecz w ich twarzach i na wpół ślepych oczach dostrzegł taką determinację! Przypomniał sobie, że to gnomy-dodomy jako pierwsze same przyszły złożyć mu hołd. I na razie zrobiły to tylko one. Byłoby błędem odrzucać ich pomoc, gdy tak się garnęły, by mu służyć.

Powoli wyprostował się, obserwując ich podążające za jego twarzą spojrzenia.

– Idziemy do Wielkiej Czułości – oznajmił. – Planuję się spotkać z Nocnym Cieniem.

Filip i Sot popatrzyli po sobie nic nie wyrażającymi oczami i pokiwali głowami.

– Możemy się tam przydać, panie – rzekł Filip.

– Zaiste, możemy – zgodził się Sot.

– Wielokrotnie bywaliśmy w Wielkiej Czułości – powiedział Filip.

– Znamy dobrze te zapadliska – rzekł Sot.

– Tak? – Ben nie próbował nawet ukryć swego zdziwienia.

– Tak, panie – chórem odrzekli Filip i Sot.

– Wiedźma nie zwraca uwagi na stworzenia takie, jak my rzekł Filip.

– Nawet nas nie widzi – dodał Sot.

– Zaprowadzimy cię tam bezpiecznie, panie – zaproponował Filip.

– A potem bezpiecznie cię wyprowadzimy – zakończył Sot.

Ben wyciągnął rękę i serdecznie uściśnął ich oblepione brudem łapy.

–| Umowa stoi! – uśmiechnął się. Gnomy promieniały. Ben cofnął się o krok. – Jedno pytanie. Dlaczego pokazaliście się dopiero teraz? Jak długo siedzieliście w tych krzakach?

– Całą noc, panie – przyznał się Filip.

– Baliśmy się psa – wyszeptał Sot.

Ben zaprowadził ich do obozu i oznajmił, że gnomy będą towarzyszyły im w drodze do Wielkiej Czułości. Abernathy strasznie się oburzył, wyrażając to w niedwuznacznych słowach. Inną sprawą było pozwolenie magowi na pozostanie z nimi, gdyż ten mógł się okazać – choć nie wiadomo do jakiego stopnia – użyteczny. Z gnomów-dodomów na pewno nie będzie żadnego pożytku. Warknął, a gnomy niepewnie cofnęły się o parę kroków. Koboldy zasyczały. Wyglądało na to, że nawet Willow ma wątpliwości, co do słuszności decyzji Bena. Lecz on nie zamierzał jej zmieniać. Gnomy szły razem z nimi.

Wyruszyli krótko po wschodzie. Zjedli pospiesznie śniadanie z liści i kłaczy bonnie blues, Questor spowodował zniknięcie jarmarcznie barwnego namiotu. Towarzyszący temu błysk światła i buchające kłęby dymu przeraziły gnomy niemal na śmierć. Posuwali się na południowy zachód, klucząc meandrami, które sprowadziły ich w końcu z gór na równiny graniczące z Greensward. Prowadził ich Bunion. Deszcz to zaczynał, to przestawał padać. Często przetaczały się przed nimi tumany chłodnej mgły. Dolina była nią zalana i zdawała się promieniować dziwną,

niebieskawą poświata, mieszająca się z kolorem wierzchołków drzew i odległymi zboczami gór. Ben zauważył, że rośnie tu szczególny rodzaj kwiatów.

Kwitły wraz z pojawieniem się deszczu i zamykały się, gdy przestawał padać. „Deszczowe kwiaty” -jak nazwał je Questor, okazując godny pożałowania brak oryginalności. Kiedyś, w lepszych czasach, kwitły przez całe dwanaście godzin.

Lecz teraz, jak wszystko w dolinie, dotknięte były chorobą.

Wątlejąca magiczna moc dawała im coraz to krótszy żywot.

Przed południem podróżni zatrzymali się na krótki odpoczynek przy zarośniętym gęstą trzcina, liliami i cyprysami źródle. Jego woda była jednak zielono-brunatnej barwy, a nic co rosło wokół niego, nie wyglądało zdrowo. Bunion poszedł poszukać wody, która nadawałaby się do picia. Znowu zaczęło padać i cała reszta grupki poukrywała się pod gałęziami drzew. Ben przez jakiś czas oczekiwał, aż spojrzy na niego Willow. Gdy to wreszcie uczyniła, dał jej znak i odszedł razem z nią kilka kroków na bok, w miejsce, gdzie mogli porozmawiać w cztery oczy.

- Willow... -zaczął ostrożnie. Wiedział, że to będzie trudne zadanie - Zastanawiałem się nad tobą i naszą wyprawą do Wielkiej Czułości, czy dokądkolwiek indziej. Nie powinnaś iść dalej z nami. Sądzę, że powinnaś wrócić do domu, do Elderew.

Patrzała na niego spokojnym wzrokiem.

- Nie chcę wracać do domu. Pragnę być z tobą.

- Wiem, ale to, co zamierzam zrobić, jest dla ciebie zbyt niebezpieczne.

- Nie bardziej dla mnie niż dla ciebie. Może znowu będziesz potrzebował mojej pomocy. Zostanę z wami.

- Napiszę list do twego ojca i wyjaśnię w nim, że chciałem, byś do tej pory mi towarzyszyła. Nie będziesz musiała się tłumaczyć - ciągnął. - Potem przybędę, by mu wszystko wyjaśnić.

- Nie chcę odchodzić, Ben - powtórzyła.

Jasnozielona twarz zacieniona była teraz cyprysami i zdawała się Benowi niemal częścią drzewa.

- Doceniam, że gotowa jesteś podjąć razem ze mną to ryzyko - rzekł. - Nie ma jednak powodów, byś to czyniła. Nie mogę na to pozwolić.

Cofnęła nieco głowę, a jej zielone oczy zapłonęły nagle ogniem.

- Nie masz tu nic do powiedzenia. Decyzja należy do mnie - przerwała, a jej wzrok zdawał się przeszywać go na wylot. - Dlaczego nie powiesz, co cię dręczy naprawdę, władco Landover?

Spojrzał na nią zaskoczony, po czym wolno pokiwał głową.

- W porządku. Nie jestem pewien, jak to powiedzieć.

Gdybym mógł cię przy sobie zatrzymać, pozostając w zgodzie ze sobą samym, zapewne bym tak zrobił. Lecz nie mogę. Nie kocham cię, Willow. Być może czarodziejski lud kocha od pierwszego wejrzenia, ale nie dzieje się tak ze mną. Nie wierzę w to, co powiedziały o twym losie jakieś wróżby. Nie wierzę, że przeznaczone jest nam stać się parą kochanków. Myślę, że ja i ty możemy zostać przyjaciółmi, lecz nie mogę z tego powodu narażać twego życia.

– Ty ciągle nie rozumiesz, prawda? – wyszeptała. – Należę do ciebie, gdyż takie jest przeznaczenie. Jest to prawda wpleciona w osnowę magii tej krainy i chociaż możesz jej teraz nie dostrzec, ona sama w końcu do ciebie dotrze. Kocham cię, gdyż moja miłość jest miłością czarodziejskich istot, miłością od pierwszego spotkania za sprawą mocy proroctwa. Nie oczekuje tego od ciebie. Ale kiedyś i ty mnie pokochasz, Ben. Tak się stanie.

– Możliwe – przyznał, ujmując mimo woli w odpowiedzi jej dłoń. Pożądał jej tak, że bliski był już przyznania jej racji. – Lecz jeszcze tak nie jest. Jesteś najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem. Pragnę cię tak bardzo, że muszę walczyć z tym uczuciem. – Potrząsnęła głową. – Lecz nie wierzę w przyszłość, która jest dla ciebie tak oczywista.

Nie należysz do mnie! Należysz do siebie!

– Jeśli nie należę do ciebie, nie należę do nikogo i niczego upierała się zajadle. Jej twarz pochyliła się ku niemu. – Boisz się mnie? Widzę w twoich oczach strach i nie rozumiem go.

Ben wziął głęboki oddech.

– Był ktoś inny. Ktoś, kto naprawdę należał do mnie, a ja do niego. Ona miała na imię Annie. Była moją żoną i bardzo ją kochałem. Nie była tak piękna, jak ty, ale była urocza i miała w sobie coś... szczególnego. Zginęła dwa lata temu w wypadku i... nie jestem w stanie o niej zapomnieć, ani pokochać kogoś innego.

Jego głos załamał się. Nie spodziewał się, że nadal tak trudno będzie mu o tym mówić.

– Nie powiedziałaś mi, czego się obawiasz – naciskała łagodnym, lecz zdecydowanym głosem Willow.

– Nie wiem, czemu się boję! – zmieszany pokręcił głową. Nie wiem. Myślę, że gdy zginęła Annie, straciłem część siebie. Straciłem coś tak cennego, że nie wiem, czy będę kiedykolwiek mógł to odzyskać. Czasami wydaje mi się, że nie jestem w stanie już niczego odczuwać, że tylko udaję...

W jej oczach pojawiły się nagle łzy. Ben był poruszony.

– Nie płacz, proszę.

Willow uśmiechnęła się gorzko.

– Myślę, że boisz się pozwolić sobie mnie pokochać, bo jestem od niej taka inna – rzekła cicho. – Lękasz się pozwolić sobie mnie kochać, bo boisz się, że w ten sposób ją utracisz.

Nie chcę tego. Pragnę cię takiego, jakim byłeś, jakim jesteś i jakim będziesz – kocham wszystko, czym jesteś. Lecz nie mogę cię mieć, bo ty lękasz się mnie.

Ben chciał już zaprzeczać, ale zrezygnował. Miała rację, mówiąc, że się jej boi. Przypomniał sobie ją tańczącą na leśnej polanie otoczonej wiekowymi sosnami, zmieniającą się z sylfidy w wierzbę, wrastającą korzeniami w ziemię, po której tańczyła jej matka. Nie była człowiekiem. Była czymś innym:

czymś ponad to i różnym od tego.

Jak mógłby kiedykolwiek pokochać stworzenie tak różne od Annie?

Willow otarła palcami spływające po policzkach łzy.

– Jestem częścią magii tej krainy i podlegam jej prawom.

Ty też musisz być jej posłuszny, na pewno to zrozumiesz.

Oboje zostaliśmy stworzeni przez Matkę Ziemię i Ojca Niebo, a ta kraina nas połączyła. – Pochyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek. – Któregoś dnia zniknie twój lęk i wtedy mnie pokochasz. Wierzę, że tak będzie. – Czuli jej delikatny oddech na twarzy. – Będę czekała tak długo, jak będzie to konieczne, lecz nigdy nie zmusisz mnie do odejścia ani błaganiem, ani nakazem. Należę do ciebie. Muszę być z tobą. Pozostanę przy tobie, nawet jeśli ryzyko będzie dziesięciokrotnie większe niż teraz. Zostanę, choćbym miała za ciebie oddać życie.

Wstała. Jej ubrania i długich włosów nie poruszał nawet najłżejszy wiatr.

– Nie próbuj mnie nawet prosić, bym odeszła – powiedziała.

Potem oddaliła się szybkim krokiem. Patrzył za nią w milczeniu. Wiedział, że nie ustąpi.

Do Wielkiej Czeluści dotarli przed południem. Deszcz przestał padać i dzień stał się jaśniejszy, choć chmury nadal przesłaniały cały nieboskłon. W powietrzu wisiał zapach wilgoci, a poranny chłód nie słabł.

Ben stał ze swymi towarzyszami na skraju czeluści i patrzył w dół. Nie było widać niczego prócz obręczy kotliny, całą ją krył koc gęstej mgły. Mgła spowijała wszystko wokół, powoli przelewając się pomiędzy kępami drzew i wyrastającymi gdzieś tam, niczym kości połamanego szkieletu, ostrymi wierzchołkami skał. Obrzeża zapadliska i wyższe części jego stoków porastały gęste, lecz skarłowaciałe i poszarzałe krzewy. W jego wnętrzu panował bezruch. Nie dochodził z niego żaden dźwięk. Czeluść przypominała otwarty grób, oczekujący na przyjęcie ciała.

Ben rozglądał się niespokojnie. Widok był przerażający z pewnością bardziej teraz, niż z bezpiecznego pomostu krainoglądu. Czeluść wydawała mu się przeogromna: bezdenna, bezkształtna otchłań wyciosana w ziemi, by gromadzić to, co na niej najgorsze. Spojrzył na skupisko rosnących nieopodal bonnie blues. Były poczerniałe i wynędzniałe.

– Panie, nie jest jeszcze za późno, byś powtórnie przemyślał swą decyzję – odezwał się cicho stojący przy jego boku Questor.

Ben bez słowa pokręcił głową. Decyzja została już podjęta.

– Może powinniśmy poczekać do rana? – wymamrotał Abernathy, spoglądając niespokojnie na pochmurne niebo. Ben po raz wtóry pokręcił głową.

– Nie. Nie mogę dłużej czekać. Idę teraz. – Odwrócił się do swych towarzyszy, patrząc po kolei po ich twarzach. Posłuchajcie mnie teraz uważnie. Nie chcę żadnych sprzeczek.

Filip i Sot pójda ze mną jako przewodnicy. Mówili, że znają Wielką Czeluść. Wezmę ze sobą jeszcze kogoś z was. Reszta pozostanie tutaj.

– Nie! Panie! – wykrzyknął z niedowierzaniem Questor.

– Chcesz powierzyć swe życie tym... kanibalom! – gniewnie zawołał Abernathy.

– Możesz potrzebować naszej pomocy – ciągnął Questor.

– To szaleństwo, byś szedł tam sam! – dokończył Abernathy.

Koboldy zasyczały i obnażyły swe zęby w wyrazie jawnej dezaprobaty. Gnomy-dodomy skuliły się i usunęły się na bok, podczas gdy skryba i mag nadal wiedli spór. Willow wprawdzie nic nie powiedziała, lecz Ben wyraźnie czuł na swej skórze jej spojrzenie.

Uniósł ręce, by ich uciszyć.

– Dobrze, dosyć już! Powiedziałem już, że nie chcę żadnych sprzeczek! Wiem, co robię. Przemyślałem to już wystarczająco głęboko. Nie powtórzy się to, co stało się w Melchor.

Jeśli nie wyjdę stamtąd wtedy, kiedy powinienem, chcę, by ktoś przyszedł mi na pomoc.

– Wtedy może być już znacznie za późno, panie – zauważył ponuro Abernathy.

– Powiedziałeś, że zabierzesz ze sobą jeszcze kogoś z nas? – zapytał pospiesznie Questor. – Domyślam się, że miałeś na myśli mnie. Możesz potrzebować mych czarów...

– Rzeczywiście, mogę ich potrzebować, Questorze – zgodził się Ben. – Lecz dopiero wtedy, gdy wpadnę w tarapaty i będę musiał stamtąd uciekać. Zostaniesz tutaj z Abernathym oraz koboldami. Ze sobą biorę Willow.

Twarde spojrzenie sylfidy ustąpiło miejsca wyrazowi zaskoczenia.

– Bierzesz dziewczynę? – wykrzyknął Questor. – Ona ma cię obronić?

– Nie, nie ma mnie bronić. – Ben obserwował oczy Willow, wyrażające teraz zamyślenie. – Nie szukam obrony. Szukam płaszczyzny porozumienia. Nie chcę, by czarownica myślała, że królowi Landover w ogóle potrzebna jest obrona. Sądzę, że tak pomyśli, widząc, że zdecydowałem się do niej przybyć sam. Willow, podobnie jak wiedźma, jest stworzeniem czarodziejskim. Mają wspólne korzenie. Być może razem z Willow zdołam przekonać ją do naszych planów.

– Nie znasz Nocnego Cienia, panie! – protestował rozpaczliwie Questor.

– Nie znasz jej, panie! – zgodził się Abernathy.

Wtedy podeszła do niego Willow. Ujęła go delikatnie pod ramię.

– Mogą mieć rację, Ben. Wątpliwe, by Nocny Cień zaoferowała nam pomoc tylko przez wzgląd na mnie. Do ludu krainy jezior nie czuje sympatii większej niż do dworu Sterling Silver. Właściwie do nikogo nie czuje sympatii. Nikt jej nie obchodzi. I to jest najbardziej niebezpieczne.

Willow nie odezwała się jednak ani słowem, że chce zostać. Ściągnęła już wysokie buty i zielony płaszcz. Stała obok niego boso, w krótkich spodniach i tunice bez rękawów.

– Wiem – odpowiedział w końcu. – To dlatego Questor, Abernathy i koboldy pozostaną tutaj. Zostaną, by w razie potrzeby móc przyjść nam z pomocą. Jeśli pójdziemy razem, wszyscy możemy paść ofiarą jednego podstępku. Lecz jeśli najsilniejsi z nas pozostaną tutaj, szansę na ratunek wzrosną. Popatrzaj po innych. – Rozumiecie?

Towarzysze zareagowali pomrukiem niechętniej aprobaty.

– Z całym szacunkiem zauważam, że cały ten pomysł jest nierozważny i niebezpieczny, panie – oświadczył Abernathy.

Ben cierpliwie pokiwał głową.

– Szanuję wasze uczucia, lecz podjąłem już decyzję i nie zamierzam jej zmieniać. Jeśli mógłbym zrobić to sam, nie narażając nikogo na niebezpieczeństwo, to tak właśnie bym postąpił. Niestety, nie mogę.

– Przecież nikt nawet cię o to nie prosi, panie – rzekł cicho Questor.

Ben spojrział mu w oczy.

– Wiem, że nigdy nie miałem przyjaciół wierniejszych, niż wy. – Przerwał. – Lecz tutaj nasza wspólna ścieżka się kończy. Zrobiliście dla mnie wszystko, co było w waszej mocy.

Kończy się czas, kończą się możliwości wyboru. Jeśli mam stać się królem Landover, coś wreszcie musi się wydarzyć.

Czuję za to odpowiedzialność wobec was, tej krainy i siebie.

Questor milczał. Ben spojrzał krótko na towarzyszy. Nikt się nie odezwał. Pokiwał głową i sięgnął po dłoń Willow. Poczł przechodzący go lodowaty dreszcz.

– Prowadźcie! – rzekł do Filipa i Sota.

Razem zaczęli schodzić w głąb otchłani.

NOCNY CIEŃ

Kotlina przypominała basen czarnej, brudnej wody. Mgły wzniosły się na ich powitanie, wijąc się łapczywie wokół ich nóg. Po udach wspinały się aż do bioder. Potem sięgnęły do ramion, aż w końcu zakryły ich głowy. Ben walczył z odruchowym wstrzymywaniem oddechu.

Mocno uściskał dłoń Willow.

Mgła była nieprzeniknioną zasłoną – kocem, który owijał się wokół wszystkiego, by dusić. Dobierała się do ich skóry lepkimi, wilgotnymi i natarczywymi palcami, a jej dotyk wywoływał swędzenie, któremu nie sposób było zaradzić. Woń butwiejącego drewna i ziemi wypełniała powietrze, mieszając się z mgłą i nadając jej konsystencję toksycznej, wżerającej się w skórę cieczy. Biła nieprzyjemnym ciepłem, jak gdyby gdzieś za jej zasłoną ukryte było olbrzymie, pocące się z przerażenia stworzenie, z którego coś stopniowo wysysa krew.

Ben poczuł, że przerażenie to jest jego własną projekcją i natychmiast zaczął z nim walczyć. Plecy i boki jego tuniki mokre były od potu. Oddychał szybko i nierówno. Nigdy w życiu nie był tak przerażony – nawet wtedy, gdy w przejściu pomiędzy światami ruszył na niego na swym rumaku Mark.

Nie bał się tak nawet smoka. Był to strach przed czymś wyczuwanym, lecz nie dostrzegalnym. Mechanicznie stawiał stopy na porośniętym krzakami stoku. Przed sobą widział tylko posuwające się z uporem do przodu krępe sylwetki gnomów.

Obok siebie miał Willow. Mgła przesłaniała teraz jej zieloną skórę i dziewczyna przypominała ducha. Delikatne włosy porastające na głowie, plecach i przedramionach falowały, jak gdyby zaczepiały się o drobiny mgły. Wokół siebie dostrzegał co pewien czas fragmenty skał, krzaki i drzewa. Wyczuwał obecność odległych jeszcze stromych szczytów. Widział je i był na nie ślepy zarazem. Właśnie na tym, czego nie widział, a co jedynie mógł wyczuwać, skupiała się cała jego uwaga. Okazywało się, że to, czego nie mógł dostrzec, oczami wyobraźni widział teraz najlepiej.

Wolną ręką sięgnął po ukryty pod tuniką medalion i ścisnął go kurczowo palcami przez płótno.

Mijały minuty, a ich czwórka ciągle przedzierała się po omacku przez opary i mgłę. Potem stok skończył się, mgła zrzędła, a skarłowaciałe krzaki ustąpiły miejsca drzewom lasu.

Dotarli do płaskowyżu rozciągającego się o kilkadziesiąt metrów ponad dnem kotliny. Ben zamrugał oczami. Znowu widział. Przed nim rozciągał się las: mieszanina pni drzew, krzewów, konarów, gałęzi i roślin pnących. Sięgał po sam horyzont, ginąc gdzieś w oddali we mgłach. Obręcz kotliny zniknęła. Wszystko, co było poza nią – również.

Ben precyzyjnie się pomiędzy gnomami i stanął na niewielkim skalnym występie, z którego roztaczał się zapierający dech w piersiach widok.

– O, mój Boże! – wyszeptał.

Kotlina rozciągała się przed nim dalej, niż mógł sięgnąć wzrokiem. Dalej, niż teoretycznie mogłaby sięgać. Wielka Czeluść zdawała się być tak gigantyczna, iż nie mogła pomieścić się we własnych granicach. Była rozmiarów całego Landover!

– Willow! – wyszeptał gorączkowo.

Dziewczyna stała już przy nim. Ben wskazał na niekończące się obszary lasu. Próbował pojąć to, co widzi, a w jego oczach odbijało się przerażenie. Willow zrozumiała od razu.

Objęła go.

– To tylko złudzenie – rzekła szybko. – Nie ma tam tego, co widzisz. To tylko czary Nocnego Cienia. Całą kotlinę odbiła w tysiącu luster, by nas stąd wypłoszyć.

Ben spojrzał jeszcze raz przed siebie. Nie dojrzał niczego nowego, lecz pokiwał głową.

– Jasne. Sztuczka. Żeby nas wystraszyć. – Wziął głęboki oddech. Znowu był spokojny. – Wiesz co? Trzeba przyznać, że nieźle jej to wyszło. – Uśmiechnął się. – Dlaczego ty nie uległaś złudzeniu?

Willow odwzajemniła uśmiech.

– Magiczna część mej natury wyczuwa takie podstępny.

Znowu ruszyli w dół, do dna kotliny. Filip i Sot nie wyglądali na zbyt przejętych tą widowiskową iluzją. Ben pomyślał, że to pewno z powodu ich słabego wzroku. Ignorancja czasami bywa błogosławieństwem!

W końcu doszli do dna kotliny i zatrzymali się. Przed nimi rozciągała się niekończąca się płatanina dzikiej roślinności.

Skarłowaciale pnie i konary sięgały ku sklepieniu z mgły, niczym nici pajęczej sieci. Powoje wiły się jak węże, a krzewy były zbite i posplatane ze sobą. Ziemia była wilgotna i grząska.

Filip i Sot przez chwilę węszyli, po czym podążyli naprzód.

Ben i Willow ruszyli za nimi. Przedzierali się przez dzicz, odnajdując w niej ścieżki tam, gdzie zdawało się, że z pewnością ich nie będzie. Stoki kotliny zniknęły i otoczyła ich prawdziwa dżungla. Wokół panowała przerażająca cisza. Nie widzieli żadnych śladów ani nie słyszeli żadnych odgłosów życia. Nie słyhać było głosów zwierząt, nie było widać latających ptaków. Nie słyszeli nawet brzęczenia owadów. Las oświetlało słabe światło słoneczne, z ledwością przebijające się poprzez tumany mgły i szarych oparów. Wszystko pogrążone było w półmroku. Miało się tutaj uczucie bycia pożartym żywcem. Miało się uczucie bycia śledzonym.

Nie uszli daleko: natknęli się na jaszczury.

Posuwali się wąską rozpadliną, gdy Ben dostrzegł o parę metrów przed nimi jakiś ruch. Gwałtownie zatrzymał całą grupkę i uważnie wpatrywał się w mrok. W jamie siedziały stłoczone dziesiątki jaszczurów. Ich pokryte łuskami, zielonkawe ciała, spoczywały jedno na drugim. Z pysków wysuwały i szybko się chowały nieprzyjemnie wyglądające języki.

Były różnych rozmiarów: niektóre wielkie jak aligatory, inne małe jak żaby. Blokowały całe przejście.

Willow wzięła Bena za rękę i uśmiechnęła się.

– Jeszcze jedno złudzenie.

– Tędy, panie – rzekł Filip.

– Chodź, panie – zachęcał Sot.

Zeszli szczeliną w dół i jaszczury zniknęły. Ben znowu był cały zlany zimnym potem. Wolałby nie dać się już tak nabrać.

Jednak czekały ich kolejne tego rodzaju niespodzianki i Ben za każdym razem wpadał w pułapkę złudzenia. Napotkali gigantyczny jesion, cały obwieszony olbrzymimi nietoperzami. Trafili na strumień pełen piraniopodobnych ryb. Najgorsza była jednak polana, na której wystające z ziemi podobne do ludzkich kończyny chwytaly przechodzących uzbrojonymi w pazury palcami. Za każdym razem Willow i gnomy rezolutnie jednak podążali przed siebie, a wyimaginowane zagrożenia rozplywały się we mgle.

Nim dotarli do bagien, minęła co najmniej godzina. Było już popołudnie. Jak okiem sięgnąć, ich drogę pokrywały teraz porośnięte trzcina trzęsawiska i ruchome piaski. Z błota unosiła się para, a ruchome piaski bulgotały, jak gdyby zasilane wydmuchiwanymi gdzieś z wnętrza ziemi gazami.

Ben spojrzął na Willow.

– Złudzenie? – zapytał, przygotowany już na twierdzącą odpowiedź.

Willow potrząsnęła głową.

– Nie, tym razem nie. Bagna są prawdziwe – rzekła.

Gnomy znowu węszyły. Ben rozejrzał się. Na uschniętej gałęzi siedziała wielka, paskudna wrona z pasemkiem białych piór na głowie. Wpatrywała się w niego swymi malutkimi, czarnymi oczkami, przekręcając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

Spojrzął przed siebie.

– I co teraz? – rzekł do pozostałych.

– Ścieżka wiedzie dalej, panie – odpowiedział Filip.

– Tak, ścieżka wiedzie przez bagna, panie – zgodził się Sot.

Węsząc swymi krecimi noskami, gnomy ruszyły wzdłuż bagna. Ben i Willow wolno podążyli za nimi. Trzydzieści metrów dalej gnomy skrzyły wprost do bagna. Wyglądało ono w tym miejscu tak samo, jak wszędzie, a jednak tutaj ziemia okazała się na tyle twarda, że nie można było się w niej zapaść. Tym sposobem w ciągu kilku minut bezpiecznie znaleźli się po drugiej stronie trzęsawiska. Ben obejrzał się, by jeszcze raz spojrzeć na wronę. Cały czas uważnie ich obserwowała.

– Nie dajmy się zwariować– wymamrotał pod nosem.

Znowu przedzierali się przez dżunglę. Uszli zaledwie kawałek, kiedy Filip i Sot zaczęli objawiać silne podniecenie. Ben przyspieszył, by sprawdzić, co się dzieje. Okazało się, że gnomy odnalazły gniazdo myszy leśnych. Filip rzucił się szczupakiem pomiędzy krzaki, prześlizgując się bezgłośnie, i po chwili wyczołgał się stamtąd, dzierżąc w dłoni jedną z nieszczęśniczek. Odgryzł jej głowę, a tułów dał Scotowi. Ben skrzywił się, kopnął Sota poniżej pleców i gniewnym głosem rozkazał iść dalej. Jednakże obraz pozbawionej głowy myszy cały czas stawał mu przed oczami.

Zapomniał o tym dopiero, gdy dotarli do ściany jeżynowych krzewów, która wznosiła się na co najmniej trzy metry, wplątując się w konary drzew i pnące się po nich inne rośliny. Olbrzymi żywopłot zdawał się nie mieć początku, ani końca. Ben spojrzał na Willow.

– Jeżyny też są prawdziwe – oznajmiła.

Filip i Sot znowu węszyli, patrząc to w górę, to w dół. Potem skręcili w prawo. Uszli razem jakieś piętnaście metrów, gdy Ben znowu ujrzał wronę. Siedziała dokładnie nad nimi, na szczycie jeżynowego muru, i przypatrywała się im z uwagą.

Jej spojrzenie skupiło się na Benie. Ten popatrzał na nią przez chwilę i mógłby przysiąc, że ptak mrugnął do niego okiem.

– Tutaj, panie! – zawołał Filip.

– Przejdźcie, panie – rzekł Sot.

Gnomy przeszły przez ścianę krzewów tak, jak gdyby nie istniała. W tym miejscu jeżyny można było z łatwością rozsunać. Po drugiej stronie Ben wyprostował się i rozejrzał wokół.

Ptak zniknął. Potem widział go jeszcze kilka razy, siedzącego na gałęziach lub pniach powalonych drzew i śledzącego ich uważnie tajemniczym spojrzeniem. Nigdy nie spostrzegł go w locie, ani nie usłyszał żadnego wydanego przez niego dźwięku. Za którymś razem spytał Willow, czy również go widziała. Żadne z nich nie było pewne, czy to nie kolejna iluzja.

Dziewczyna widziała wronę, lecz nie miała pojęcia, co ona tutaj robi.

– Wygląda na to, że jest jedynym ptakiem w tej kotlinie zauważył niepewnym głosem.

Willow pokiwała głową.

– Być może należy do Nocnego Cienia.

Nie była to zbyt przyjemna świadomość, lecz cóż można było poradzić, więc Ben starał się po prostu o tym nie myśleć.

Dżungla stała się rzadsza. Gęstwina pni, gałęzi i lian przerzedła nieco, tworząc wiele polanek, nad którymi, niczym uwięzione obłoki, wisiały kłęby mgły. Przed wędrowcami ukazały się strzępki jaśniejszego nieba – oznaka zbliżającego się krańca dżungli. Nie było jednak ani śladu ścian przeciwległego końca kotliny, do których przecież powinni byli już dotrzeć.

Czyżby Wielka Czeluść była tak olbrzymia i przepastna, jak początkowo zdawało się zwiedzionemu iluzją Benowi?

– Możecie mi powiedzieć, jak daleko już zaszliśmy, albo gdzie jesteśmy? – zapytał innych Ben.

Nagle dżungla urwała się i czwórka towarzyszy zatrzymała się na skraju polany. Przed nimi stał zamek, przy którym wszystko, co widział, czy nawet co wyobrażał sobie dotąd Ben, było

zdecydowanie karłowate. Forteca wznosiła się przed nimi niczym góra. Wierzchołki jej wież kryły się gdzieś wysoko w chmurach i we mgle. Mury zdawały się nie mieć końca i sięgały aż po linię horyzontu. Blanki, umocnienia, wieżyczki strzelnicze i parapety, umocowane jedne nad drugimi, tworzyły skomplikowaną konstrukcję o przedziwnej geometrii.

Cała budowla była tak potężna, że mogłaby pomieścić w swych czarnych, kamiennych murach całe miasto. Stała na wielkim płaskowyżu, a przestrzeń wokół jej murów porośnięta była gęstą roślinnością. Z miejsca, gdzie się zatrzymali, wiodła ku otwartym wrotom i podniesionej kracie droga z kamiennych bloków.

Ben patrzył na zamek z niedowierzaniem. Instynkt mówił mu, że nic, co prawdziwe, nie może być aż tak wielkie. To musi być złudzenie, jakaś magiczna sztuczka, podobnie jak wizja niekończących się obszarów Wielkiej Czeluści i inne rzeczy, na które się tutaj natknęli...

– Co to za miejsce, Willow? – wymamrotał, przerywając własne spekulacje. W jego głosie mieszały się niedowierzanie i przerażenie.

– Nie wiem, Ben. – Stała obok niego, również wpatrując się w monstualną budowlę. Powoli pokręciła głową. – Nie rozumiem. To zarazem jest i nie jest złudzenie. Działają tu czary, lecz magia tworzy tylko część tego, co widzimy.

Gnomy-dodomy również wyglądały na zdezorientowane.

Wierciły się niespokojnie, zwracając swe krecie twarze we wszystkie strony w poszukiwaniu zapachu, na którym mogłyby polegać. Najwidoczniej nie udało się to im, bo zaczęły coś do siebie szeptać zatrwożonymi głosami.

Ben zmusił się, by odwrócić wzrok od zamku i uważnie rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, która pozwoliłaby mu pojąć to zjawisko. Początkowo nie dostrzegł niczego poza lasem i mgłą.

Potem zobaczył wronę.

Siedziała na gałęzi o kilkanaście metrów od nich ze starannie złożonymi skrzydłami i spojrzeniem utkwionym w Benie. Była to ta sama błyszcząca, czarna wrona z pasemkiem białych piór na głowie. Ben wlepił w nią wzrok. Nie potrafiłby tego wyjaśnić, lecz był przekonany, że to właśnie ona wie, o co tutaj chodzi. Do szaleństwa doprowadzał go niewzruszony spokój ptaka, który zdawał się oczekiwać, co też zrobi teraz Ben i jego towarzysze.

– Chodźmy! – powiedział do reszty, ruszając po traktcie wiodącym do zamkowej bramy.

Ostrożnie posuwali się naprzód, a zamek rósł w oczach.

Wbrew oczekiwaniom Bena nie rozwiął się nagle w powietrzu.

Miast tego, gdy lepiej było już widać jego mury i słychać wiatr świszczący w pustych wieżach, zaczął sprawiać wrażenie jeszcze bardziej złowrogiego i ponurego. Prowadził teraz Ben, a Willow szła o krok za nim. Gnomy wlokły się z tyłu, trzymając się łapami spodni Bena. Ich wystraszone pyszczki co jakiś czas wyglądały zza jego nóg. Suche liście i gałązki szeleściły i łamały się pod stopami na kamiennej drodze. Ciepło dżungli ustąpiło miejsca przenikliwemu chładowi.

Wejście do zamku stało przed nimi otwarte: czarna dziura o stalowych zębach opuszczanej kraty. Wszystko za nim tonęło w mroku. Ben zwolnił i ostrożnie wpatrywał się w ciemności.

Zdołał dojrzeć jedynie coś w rodzaju dziedzińca z kilkoma stołami i ławami, parę poczerniałych stojaków z pochodniami i zniszczony, pokryty kurzem i pajęczynami tron. Niczego poza tym.

Znowu ruszył przodem. Inni podążali tuż za nim. Przeszli przez cień bramy i weszli na wielki, zaniedbany i prawie pusty dziedziniec. Ich kroki pobrzmiwały w ciszy głębokim echem.

Byli na jego środku, gdy Ben znowu spostrzegł wronę.

W jakiś sposób zdołała dostać się tam przed nimi. Siedziała na tronie, z utkwionym w niego spojrzeniem. Ben zwolnił i zatrzymał się.

Wrona zamrugnęła oczami i nagle stała się czerwona jak krew.

– Nocny Cień – wyszeptała Willow szybko w ostrzeżeniu.

Wrona zaczęła się zmieniać. Zdawała się rozszerzać, rozpierając ciemności, błyszcząc luną purpurowego światła. Rzucany przez nią na tron cień rósł, niczym wydostająca się skądś na wolność zjawa. Pochodnie w poczerniałych stojakach zabłysły nagle światłem i zapłonęły. Zdjęte przerażeniem gnomy-dodomy rzuciły się do ucieczki ku wrotom zamku i zniknęły. Willow stała obok Bena, trzymając jego dłoń tak, jak gdyby była to lina ratunkowa, chroniąca ją przed utonięciem. Ben obserwował, jak wrona zamienia się powoli w jakąś mroczną postać. Nagle przeraził się, że popełnił wielką pomyłkę.

Purpurowa poświata zgasła i jedynym źródłem światła pozostały płonące pochodnie. Wrona zniknęła. Na rozpadającym się tronie siedziała Nocny Cień.

– Witaj w Wielkiej Czeluści, potężny i możny władco! powitała go szyderyczym szeptem.

Ben spodziewał się czegoś zupełnie innego. Nocny Cień nie wyglądała jak wiedźma, choć nawet przez chwilę nie zwątpił w to, że nią jest. Była wysoka, szczupła, o ostrych rysach twarzy, białej, gładkiej cerze i kruczo czarnych włosach z wyjątkiem siwego pasemka na środku głowy. Nie była ani stara, ani młoda. Jej twarz zdawała się nie zdradzającą swego wieku marmurową rzeźbą – dziełem artysty, które przetrwać może wieki. Ben nie wiedział, jaki artysta stworzył wiedźmę – dobry czy zły, lecz z pewnością poświęcił on temu nieco czasu i zastanowienia. Nocny Cień była kobietą robiącą silne wrażenie.

Powstała, a jej szaty zafalowały wokół szczupłej, wysokiej postaci. Zeszła z tronu i zatrzymała się o kilka metrów przed Benem i Willow.

– Okazałeś większą determinację, niż można było się spodziewać po uzurpatorze-udawaczu. Nie wypłoszyły cię czary. Czy to dlatego, żeś głupi, czy też po prostu szukasz przygód?

Ben myślał gorączkowo.

– To dlatego, że jestem zdeterminowany – odparł. – Nie przyszedłem do Wielkiej Czeluści, by zostać stąd przepłoszony.

– Tym gorzej dla ciebie – wyszeptała, a kolor jej oczu zdawał się przechodzić z purpurowego w zielony. – Nigdy nie lubiłam władców Landover, a ty nie jesteś wyjątkiem. Nie ma dla mnie znaczenia to, że pochodzisz z innego świata, ani nie interesuje mnie dlaczego właściwie tu przybyłeś. Jesteś głupcem, jeśli czegoś ode mnie oczekujesz. Nie mam niczego, co chciałabym dać.

Ben czuł, jak się mu pocą dłonie. Nie zanosilo się na to, by cokolwiek tu wskórał.

– A jeśli ja mam coś, co pragnąłbym dać tobie?

Nocny Cień zaśmiała się i zakołysała, a jej czarne włosy błysnęły w mroku.

– Ty miałbyś mi cokolwiek dawać? Król Landover miałby dać coś wiedźmie z Wielkiej Czeluści? – Śmiech zamarł na jej ustach. – Jesteś jednak głupcem. Nie masz niczego, co chciałabym mieć.

– Sądzę, że możesz się mylić.

Czekał, nie odzywając się. Nocny Cień podeszła bliżej i pochyliła ku niemu swą śmiertelnie bladą, kościstą twarz, by lepiej się przyjrzeć przybyszowi.

– Wiem co nieco o tobie, królu-marionetko – rzekła. – Śledziłam twe podróże do Greensward, do krainy jezior, do Melchor, i w końcu do Wielkiej Czeluści. Wiem, że usiłujesz skłonić mieszkańców doliny do złożenia ci przysięgi wierności, a sam nie władasz nikim, poza tą śmiesznie lojalną dziewczyną, tym szarlatanem Questorem Thews, psem, dwoma koboldami i parą żalonych gnomów. Dzierżysz medalion, lecz nie panujesz nad jego magiczną mocą. Paladyn trzyma się od ciebie z daleka. Mark tylko czeka, by cię dopaść. Jesteś o krok od stania się bladym wspomnieniem przeszłości!

Pochyliła się nad nim, o głowę wyższa, mroczna niczym widmo śmierci.

– Co możesz mi dać, królu-marionetko?

Ben wyszedł o krok przed Willow.

– Ochronę.

Wiedźma patrzyła na niego, milcząc. Ben patrzył prosto w jej oczy, starając się ją od siebie odsunąć rozpaczliwym wysiłkiem woli. Jej bliskość dusiła go. Lecz Nocny Cień nie drgnęła.

– Jestem władcą Landover, Nocny Cieniu, i zamierzam nim pozostać – rzekł niespodziewanie. – Nie jestem królem-marionetką, za którego mnie uważasz. Nie jestem głupcem.

Może nie jestem z tego świata i być może nie wiem jeszcze o Landover wszystkiego, co powinienem. Wiem jednak wystarczająco wiele, by rozumieć jego problemy. Landover mnie potrzebuje. Potrzebujesz mnie i ty. Jeśli stracisz mnie, ryzykujesz własne życie.

Nocny Cień patrzyła na niego jak na szaleńca. Potem spojrzała na Willow, by upewnić się, czy ta też uważa Bena za wariata. Zamrugnęła oczami i znowu spojrzała mu w oczy.

– Na czym miałyby polegać moje ryzyko?

Słuchała teraz bardzo uważnie. Ben wziął głęboki oddech.

– Z krainy uchodzi magiczna moc. Magia podupada. Dzieje się tak, bo w Landover nie ma odpowiedniego króla. Wszystko rozpada się, wszystko trawi choroba. Widzę to i wiem, co jest tego przyczyną. Potrzebujesz mnie. Mark chce zagarnąć krainę i prędzej czy później tego dokona. Demon nie będzie cię tutaj tolerował. Wkrótce cię stąd usunie. Nie zniesie kogoś, kto dysponuje większą mocą, niż ta, którą sam włada – Mark mnie nie pokona! – wysyczała z uśmiechem, a jej oczy zabłyśły furją.

– Teraz jeszcze nie – naciskał dalej Ben. – Nie w Wielkiej Czeluści. Lecz co będzie, gdy cała kraina zamieni się w pustkowię, w próżną skorupę? Zostaniesz sama. Mark będzie miał wszystko. Wtedy będzie miał dość sił, by poradzić sobie również z tobą!

Oczywiście tylko domyślał się tego, lecz z oczu wiedźmy mógł wyczytać, że rozumuje właściwie. Nocny Cień wyprostowała się.

– I ty wierzysz, że będziesz w stanie mnie obronić?

• Tak. Jeśli ludy doliny przyrzekną mi wierność, Mark nie podbije jej tak łatwo. Nie zdołałby stanąć do walki przeciwko lam wszystkim. Przypuszczam, że nawet nie próbowaliby.

Jeśli ty przysięgniesz wierność jako pierwsza, inni będą musieli zrobić to samo. Jesteś najpotężniejsza. Twoja magia ma największą moc. Jeśli ty sprzymierzysz się ze mną, pozostali pójdą w twe ślady. Niczego innego od ciebie nie pragnę.

W zamian mogę ci obiecać, że Wielka Czeluść zawsze będzie należała do ciebie. Nikt nie będzie cię tutaj niepokoił. Nigdy.

Wiedźma nieomal się uśmiechnęła.

– Nie oferujesz niczego, czego już bym nie miała. Nie potrzebuję ciebie, by stanąć do walki z Markiem. Mogę to uczynić, kiedy tylko zechcę. Mogę zwołać do siebie wszystkich przybędą, bo się mnie boją!

No, pięknie! – myślał Ben.

– Nie, nie przybędą. Ukryją się, uciekną lub będą z tobą walczyć. Nie poddadzą się tobie tak, jak mogliby się poddać mej woli.

– Lud krainy jezior nigdy cię nie zaakceptuje – wyszeptała Willow, wspierając argumenty Bena.

Czarownica zmarszczyła brwi.

– Tylko tyle ma do powiedzenia córka Władcy Rzek? zachichotała. – Nie wiesz, z kim masz do czynienia. Nim twój ojciec zdaży cokolwiek uzdrowić, ja mogę zniszczyć dziesięciokrotnie więcej!

Błyskawicznie wyciągnęła rękę i chwyciła nadgarstek Willow. W jednej chwili ramię dziewczyny poczerniało i obumarło. Willow krzyknęła, a Ben wyrwał jej rękę z uchwytu czarownicy. Ramię natychmiast odzyskało dawny wygląd – oznaki choroby zniknęły. Willow porumieniała, a w jej oczach pojawiły się łzy bezsilnego gniewu. Ben spojrzał na wiedźmę.

– Spróbuj teraz ze mną! – rzucił jej wyzwanie, kładąc jednocześnie dłoń na medalionie.

Nocny Cień dostrzegła to i cofnęła się o krok. Przymknęła oczy.

– Nie próbuj mnie zastraszyć, królu-marionetko! – ostrzegła mrocznym głosem.

Ben nie ustępował. Był teraz równie wściekły, jak ona.

– I ty nie próbuj tego robić! Ani wobec mnie, ani wobec moich przyjaciół! – odrzekł.

Nocny Cień zdawała się chować głębiej w swych szatach.

Twarz ukryła się gdzieś w kruczych włosach. Wzniosła ramię i wskazała na Bena palcem.

– Doceniam twoją determinację, królu-marionetko. Doceniam też twoją odwagę. Ale nie złożę ci przysięgi. Jeśli miałabym ci ją złożyć, musiałbyś najpierw dowieść, że na nią zasługujesz. Jeśli jesteś słabszy niż Mark, to sprzymierzanie się z tobą wyszłoby na mą niekorzyść. Mogłabym równie dobrze sprzymierzyć się z demonem i związać go magiczną obietnicą, której nie mógłby złamać. Nie, nie będę narażała się dla ciebie, póki nie poznam mocy, jaką dysponujesz.

Ben wiedział, że jest w tarapatkach. Nocny Cień podjęła już decyzję, której z pewnością nie będzie skłonna zmienić. Jego umysł pracował szaleńczo. Ciemności zamku, olbrzymie rozmiary

jego komnat przytłaczały go. Nocny Cień była jego ostatnią szansą. Nie mógł sobie pozwolić na jej utratę. Czuł, jak jego nadzieje zaczynają pierzchać, choć trzymał się ich kuczowo.

– Potrzebujemy siebie nawzajem, Nocny Cieniu – powiedział, szukając jakiegoś rozwiązania. – Jak mogę cię przekonać, że posiadam moc niezbędną, by być królem?

Wiedźma zdawała się przez moment rozważać pytanie, przy czym jej blada twarz niemal całkowicie skryła się we włosach. Potem powoli uniosła głowę i spojrzała na Bena. Na jej ustach pojawił się niemiły uśmiech.

– Być może potrzebujemy siebie nawzajem i być może jest coś, co potrzebne jest nam obojgu. Co ty na to, jeśli powiem ci, że istnieje magiczna moc, która może pozwolić pozbyć się smoka?

– Strabo?

– Strabo. – Kamienny uśmiech nie zniknął z jej ust. – Istnieje taka magiczna substancja, która pozwoliłaby tobie zapanować nad smokiem. Substancja, która dałaby ci władzę nad wszystkim, co robi. Jeśli jej użyjesz, smok będzie robił wszystko, co mu nakazesz. Możesz kazać mu wynieść się z Greensward, a wtedy lordowie złożą ci przysięgę.

– Wiesz więc i o tym? – rzekł Ben, walcząc o chwilę czasu do namysłu. Uważnie przypatrywał się jej bladej twarzy. Czy zgodziłabyś się obdarzyć mnie taką mocą? Zdażyłaś przecież już dać do zrozumienia, co wobec mnie czujesz.

Wiedźma uśmiechnęła się niczym wilk, który właśnie dostrzegł swój obiad.

– Nie mówiłam nic o dawaniu, królu-marionetko!

Mówiłam o tym, że mogłabym tobie zdradzić, jak ją zdobyć.

Sama jej nie posiadam. Musiałbyś udać się tam, gdzie jest ukryta, i mija dostarczyć. Wtedy podzielilibyśmy się. Dostarcz mi ją, a uwierzę, że masz dosyć sił, by być królem. Zrób to, a będziesz w stanie dotrzymać danych obietnic.

– Ben...-zaczęła ostrożnie Willow.

Ben ruchem głowy kazał jej się odsunąć. Był przekonany do wybranej drogi postępowania.

– Gdzie mogę znaleźć tę moc? – spytał Nocnego Cienia.

– Znajdziesz ją we mgłach – odpowiedziała cicho. – Znajdziesz ją w czarodziejskim świecie.

Willow chwyciła za dłoń Bena.

– Nie, Ben! – krzyknęła.

– Moc tę ma pył Io – ciągnęła wiedźma, ignorując dziewczynę. – Zbiera się go z granatowych, niczym niebo o północy, krzewów o srebrnych liściach. Mieszczą go strąki rozmiaru pięści-zacisnęła dłoń tuż przed oczami Bena.– Przynies dwa – jeden dla mnie, drugi dla siebie. Pył z jednego strąka ma wystarczającą moc, by dać ci panowanie nad smokiem!

– Ben! Nie możesz wejść do zaczarowanego świata! – Willow była przerażona. Odwróciła się do wiedźmy. – Dlaczego nie pójdziesz tam sama? Dlaczego wysyłasz tam Bena Holidaya?

Nocny Cień z politowaniem pokiwała głową.

– Strofuje mnie córka tego, którego lud dobrowolnie opuścił tę krainę? Szybko zapominasz, sylfido! Zostałam wygnana z czarodziejskiego świata i nie mogę tam powrócić. Powrót tam to dla

mnie pewna śmierć. – Uśmiechnęła się chłodno do Bena. – Może on będzie miał więcej szczęścia niż ja. Jemu przynajmniej wejście tam nie jest zakazane.

Willow szarpnęła Bena, by ten wreszcie na nią spojrział.

– Nie możesz tam iść. To oznacza śmierć również dla ciebie. Nikt, kto nie narodził się i nie wychował w czarodziejskim świecie, nie może tam wejść i przebywać. Wysłuchaj mnie!

Mój lud opuścił zaczarowany świat właśnie dlatego, że rzeczywistość była w nim tworzona przez projekcję uczuć, myśli i wyobrażeń. Z wyjątkiem nas samych nie było tam nic prawdziwie realnego. Ben! Nie przetrwasz w takim świecie. Wymaga to znajomości jego praw i dyscypliny ducha, której ci brak. Ten świat cię zniszczy!

Ben pokręcił głową.

– Może nie. Może stać mnie na więcej, niż przypuszczasz.

Z jej oczu popłynęły łzy.

– Nie, Ben. To ciebie zniszczy – powtarzała.

Ben był przerażony siłą przekonania bijącą z jej głosu i twarzy. Patrzył w jej oczy i walczył twardo z wyrażającym się w nich błaganiem. Powoli przyciągnął ją do siebie i przytulił.

– Muszę iść, Willow – wyszeptał tak cicho, by słyszała to tylko ona. – Nie mam wyboru!

– Ona chce cię oszukać! – szeptała Willow, patrząc mu twardo w oczy. – To pułapka! W jej głosie dostrzegłam nutę podstęp! – Drżała. – Wiem już, czym jest ten zamek! To projekcja magii na tle czarodziejskich mgieł. Jeśli pójdziesz tą drogą kawałek dalej, znajdziesz się w czarodziejskim świecie. Ona przygotowała to wszystko z rozmysłem! Wiedziała, że przybędziesz. Wiedziała, co cię sprowadza. Wiedziała o tym od dawna!

Ben pokiwał głową i delikatnie odsunął ją od siebie.

– To niczego nie zmienia. I tak muszę iść. Obiecuję, że będę ostrożny. Bardzo ostrożny.

Willow w milczeniu pokręciła głową, a po jej policzkach znowu pociekły łzy. Ben zawahał się, pochylił do przodu i delikatnie pocałował ją w usta.

– Wróć.

Willow zdała w jednej chwili odzyskać pewność siebie.

– Jeśli idziesz, to idę z tobą.

– On pójdzie sam – przerwała chłodno wiedźma z obojętnym wyrazem twarzy. – Nie chcę, by pomagała ci istota narodzona z mocy czarodziejskiego świata. Nie chcę, by ktokolwiek się w to wtrącał. Chcę się przekonać, czy król-marionetka rzeczywiście posiada moc, którą się szczyci. Jeśli dostarczy mi strąki z pyłem, będę miała namacalny dowód.

– Muszę iść z nim – nalegała Willow, powoli kręcąc głową. – Należę do niego.

– Nie – łagodnie sprzeciwił się Ben. Szukał właściwych słów. – Ty należysz do Landover, ja jeszcze nie. Być może nigdy się ono nie stanie moim światem. Póki sam nie zwiążę się z tą krainą, nie mogę nawet myśleć o wiazaniu się z kimś, kto do niej należy. Jest to coś, czego nie osiągnąłem, a co osiągnąć muszę. – Uśmiechnął się twardo. – Czekaj na mnie. Wróć tu po ciebie.

– Ben...

– Na pewno wrócę – rzekł z przekonaniem.

Odsunął się od niej, wzrokiem szukając Nocnego Cienia.

Czuł pustkę. Był niczym jakaś mikroskopijna cząstka życia, unosząca się na wzburzonym oceanie wśród hulających fal i wiatrów. Po raz pierwszy od chwili znalezienia się w Landover miał zdać się całkowicie na własne siły i bezgranicznie się tego lękał.

– Dokąd mam iść? – zapytał wiedźmy, starając się panować nad własnym głosem.

– Tym korytarzem – wskazała za siebie. Zabłyły pochodnie, oświetlając mroczny korytarz, w którym mgły poruszały się niczym żywe stworzenia. – Na jego końcu znajdziesz drzwi. Za nimi jest czarodziejski świat.

Ben skinął i przeszedł obok niej bez słowa. W jego głowie pobrzmiwały ostrzegawcze szepty, a on walczył ze sobą, by je zignorować. Przy wejściu do korytarza zwolnił i po raz ostatni obejrzał się za siebie. Dostrzegł stojącą samotnie bladozieloną sylwetkę Willow. Po jej dziwnej, pięknej twarzy ciekły łzy. Jej zaangażowanie zadziwiało go. Wszak był dla niej tylko obcym. Był zaledwie kimś, na kogo kiedyś przypadkowo się natknął. Dziewczyna zdawała się ślepa na tę prawdę albo celowo zasłaniała ją przed sobą snami i wróżbami. Wyobrażała sobie istnienie miłości tam, gdzie jej nie było. Ben w żaden sposób nie mógł tego pojąć.

Nocny Cień odprowadziła go wzrokiem. Jej chłodna twarz nie wyrażała niczego. Ben powoli odwrócił się i zanurzył we mgle.

CZARODZIEJSKA KRAINA

W jednym momencie wszystko wokół niego zniknęło. Otoczyły go mgły. Był teraz sam. Przed nim wił się korytarz, oświetlony mętym i przyćmionym światłem pochodni. Ben, kierując się nimi, szedł w zasadzie po omacku. Ledwie widział wilgotne, kamienne ściany, w których płomienie pochodni odbijały się bladą luną. Słyszał jedynie słabe, dobiegające jakby z oddali odgłosy własnych kroków, dudniących po posadzce. Poza tym, niczego nie widział ani nie słyszał.

Szedł tak przez dłuższy czas, a strach, który zdażył już w nim zasiać swe nasiona, rozprzestrzeniał się teraz niczym rak. Zaczął myśleć o śmierci.

Korytarz zakończył się niespodziewanie okutymi żelazem, drewnianymi drzwiami z wielką, wygiętą klamką. Ben nie wahał się ani chwili. Chwycił klamkę i mocno ją nacisnął.

Drzwi otworzyły się lekko. Wszedł do środka.

Znalazł się w windzie. Migające światełka na panelu po prawej stronie zamkniętych drzwi sygnalizowały ruch w górę.

Przez chwilę był tak zaskoczony, że gapił się jedynie na drzwi i podświetlone przyciski. Odwrócił się, szukając drzwi, przez które wszedł do środka. Nie było ich. W ich miejscu znajdowała się po prostu ściana windy, wykonana z imitacji dębu, otoczona ciemną plastikową listwą. Obmacał jej brzegi palcami, szukając jakiegoś ukrytego zamknięcia. Na próżno.

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze i wkroczył do niej portier.

– Dobry! – powitał go mile i nacisnął przycisk siódmego piętra.

Ben uklonił się bez słowa. Co, u licha, się tutaj dzieje? Patrzył na panel z przyciskami i stwierdził, że jest on dziwnie znajomy. Jeszcze raz rozejrzył się pośpiesznie po wnętrzu i zdał sobie sprawę, że jedzie windą w budynku, w którym znajdowało się jego biuro prawnicze.

Był z powrotem w Chicago!

Zawirowało mu w głowie. Coś jest nie tak. Coś tu musi być nie w porządku. Cóż w innym wypadku mógłby tutaj robić? Chwycił się umocowanej na ścianie windy poręczy.

Wyjaśnienie mogło być tylko jedno. Przeszedł przez całą czarodziejską krainę i znalazł się znowu w swoim świecie.

Winda zatrzymała się na siódmym piętrze. Portier wysiadł.

Ben patrzył za nim przez zamykające się drzwi. Nigdy wcześniej nie spotkał tutaj tego człowieka, choć przecież znał z widzenia lub z nazwiska wszystkich zatrudnionych w tym budynku. Biura sprząтали w niedziele. Był to jedyny dzień, w którym wolno im było korzystać z wind. On sam również tu wtedy bywał, nadganiając zaległości w papierkowej robocie. Tego człowieka jednak z pewnością nie znał. Dlaczego?

Pokręcił głową. Może to ktoś nowy – pomyślał. – Ktoś, kogo administrator budynku dopiero co zatrudnił. Lecz nowy pracownik nie mógłby przecież sam krzątać się po biurach, gdzie miałyby dostęp do... Uśmiechnął się nagle głupio. Niedziela!

To z pewnością niedziela, skoro służba korzysta z wind. Mało brakowało, a roześmiałby się w głos. Od momentu przybycia do Landover nie spytał się jeszcze ani razu o dzień tygodnia!

Winda ruszyła w górę. Przyciski na panelu znowu zaczęły kolejno zapalać się i gasnąć. Zatrzymał się na czternastym piętrze. Winda zawiozła go do jego własnego biura. Lecz przecież sam nie nacisnął guzika! Skonsternowany popatrzał po sobie i aż podskoczył z wrażenia. Nie miał już stroju, który nosił w chwili spotkania z Nocnym Cieniem. Ubrany był teraz w dres i adidasy – te same, które miał na sobie, gdy wspinał się po stokach Blue Ridge w poszukiwaniu wejścia do Landover.

Co się dzieje?

Winda zatrzymała się na czternastym piętrze, rozsuwane drzwi otworzyły się i Ben wyszedł na korytarz. Zakręcił w lewo – i znalazł się przed drzwiami recepcji biura Holiday and Bennett, Ltd. Były otwarte. Popchnął je i wszedł do środka.

Przy biurku siedział Miles Bennett. Odwrócił się i spojrzał na niego, dzierżąc w dłoniach pliki papierów.

– Doktoru! – wyszeptał, a papiery posypały się na podłogę.

Ben oniemiał. Stał przed nim Miles Bennett, lecz nie był to ten sam Miles Bennett, z którym rozstał się przed wyjazdem do Landover. Ten Miles był zaledwie żalonym wspomnieniem tamtego. Nie był już potężny – był po prostu tłusty! Jego twarz rumieniała się w sposób typowy dla ludzi, którzy zbyt często sięgają po butelkę. Ciemne włosy posiwiały i zrzedły.

Twarz pokrywały głębokie zmarszczki.

Zaskoczenie ustąpiło w oczach Milesa miejsca nie ukrywanej wrogości.

– No, no! Doktor Holiday! – Miles wypowiadał jego imię z wyraźnym niesmakiem. – Niech mnie licho, jeśli to nie stary Doktor.

– Cześć, Miles – rzekł Ben i wyciągnął ku niemu rękę.

Miles zignorował ten gest.

– Nie mogę uwierzyć! Czy to naprawdę ty? Myślałem, że nigdy już ciebie nie ujrzę. Do licha! Myślałem, że już od dawna szorujesz posadzki w piekle, Doktorku.

Ben uśmiechnął się, zmieszany.

– Ej, przecież to nie trwało aż tak długo.

– Nie? Dziesięć lat to dla ciebie nie długo? Dziesięć pieprzonych lat?! – Miles uśmiechnął się, widząc przerażenie w oczach Bena. – Tak, zgadza się, Doktorku. Dziesięć lat. Od dziesięciu lat nie słyszała o tobie żywa dusza. Nikt, a już na pewno nie ja, cholerny partnerze! Co, może i tego nie pamiętasz? – zakrztusił się, przelękając ślinę. – Ty biedny, żaloszny czubku! Pewno nawet nie wiesz, co się stało, kiedy byłeś w tym swoim pieprzonym, zaczarowanym świecie!? Pozwól, że cię uświadomię, Doktorku! Jesteś zrujnowany! Straciłeś wszystko!

Ben poczuł przenikający go chłodny dreszcz.

– Co takiego?

– Tak, wszyściutko, Doktorku! – Miles pochylił się nad biurkiem. – Tak właśnie się dzieje, gdy prawnie uznają cię za martwego. Zabierają wszystko, co twoje, i oddają twoim spadkobiercom lub państwu! Pamiętasz jeszcze coś z tego prawa?

Pamiętasz, jak funkcjonuje? Czy pamiętasz cokolwiek, do jasnej cholery?!

Ben z niedowierzaniem kręcił głową.

– Nie było mnie dziesięć lat?

– Zawsze miałeś niezły refleks, Doktor ku – drwił Miles. Wielki Doktor Holiday, legenda sal sądowych. Ile spraw wygrałeś, Doktorku? Ile ataków odparłeś? Lecz przecież to i tak nie ma już żadnego znaczenia. Wszystko, na co zapracowałeś, przepadło. Wszystko. – Jego nabrzmiałe policzki pokryte były czerwonymi żyłkami. – Nie ma dla ciebie miejsca w tej firmie. Jesteś już tylko zbiorem historyjek, które opowiadam młodym adwokacikom.

Ben rozejrzał się wokół i spojrzał na napis na szklanych drzwiach: Bennett i spółka.

– Miles, zdawało mi się, że to tylko parę tygodni... – wyjąkał.

– Tygodni? A niech cię diabli, Doktorku! – Miles łkał. – Dlaczego?! Dlaczego nie zostałeś tutaj, by policzyć się z tymi wszystkimi smokami, wiedźmami i czarnoksiężnikami bezprawia? Dlaczego uciekłeś stąd do tego pieprzonego, zaczarowanego świata? Przecież nigdy przedtem się nie poddawałeś. Byłeś zbyt hardy, by się poddać. Może dlatego byłeś takim dobrym prawnikiem. Byłeś! Byłeś najlepszym prawnikiem, jakiego znałem. Mogłeś poradzić sobie z tym wszystkim. Dałbym sobie odciąć prawą rękę, żeby ci w tym pomóc. Tak cię podziwiałem! Ale nie! Ty nie mogłeś trwać w tym świecie razem z nami wszystkimi! Musiałeś mieć swój własny, cholerny świat! Musiałeś opuścić ten tonący statek i zostawić mnie tu razem ze szcurami. Tak właśnie postąpiłeś. Szcury wypęły z nor i podchodzą mnie ze wszystkich stron jak stary ser! Nie dam rady sam! Próbowałem, ale klienci chcieli ciebie. Firma nie mogła bez ciebie funkcjonować. Wszystko zaczęło się pieprzyć!

Zapłakał.

– Popatrz na siebie! Nie postarzałeś się nawet o dzień!

Spójrz na mnie: jestem rozpitym, wypalonym wrakiem...Przysunął się, napinając mięśnie karku pod kołnierzykiem. Wiesz, kim jestem? Jestem już tylko kupą mięsa. Czymś, co istnieje tylko po to, żeby zajmować przestrzeń. Młodzi pracownicy starają się znaleźć sposób, by spokojnie i po cichu wysłać mnie w odstawkę! – znowu załkał. – I pewnego dnia zrobią to, Doktorku. Wypieprzą mnie z tego cholernego biura...

Jego głos załamał się. Ben czuł ból, widząc upadek swego starego przyjaciela. Chciał do niego podejść, lecz nie mógł się ruszyć z miejsca.

– Miles... – próbował coś powiedzieć.

– Wynoś się, Doktorku! – uciał Miles łamiącym się głosem. Gestem ramienia wskazał mu drzwi. – To nie twoje miejsce. Już dawno zabrali wszystko, co miałeś. Jesteś trupem, Doktorku! Idź stąd, do diabła!

Miles wyszedł szybko z recepcji na korytarz i ruszył w kierunku drzwi swojego biura. Ben stał przez chwilę znieruchomiał, po czym podążył za nim. Gdy dobiegł do drzwi biura Milesa, były zamknięte. Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Przed oczami zawirowała mu mgła...

Po chwili mgła zniknęła. Stał teraz w sadzie wśród owocujących jabłoni. Letni wietrzyk lekko kołysał zieloną trawą, a w powietrzu wisiał zapach kapryfolium. W oddali widać było zbudowaną z pomalowanych na biało bali zagrodę dla koni. W niej pasły się zwierzęta. Nieopodal wносиła się stajnia. Trochę dalej, na zacienionym kępcu świerków pagórku, stał budynek mieszkalny z czerwonej cegły.

Zdezorientowany Ben obrócił się dookoła, zdając sobie sprawę, że Miles, biuro i winda zniknęły. Wszystko to istniało, a teraz nie pozostało po tym ani śladu. Czyżby tylko to sobie wyobraził? Wspomnienie boleśnie nieprzyjemnego spotkania z Milesem cały czas tłukło się w jego głowie, tnąc bezlitośnie niczym ostrze skalpela. Czy możliwe, by było to tylko dzieło jego wyobraźni?

Spojrzał szybko na swoje ubrania. Dres i adidas ustąpiły miejsca luźnym spodniom, koszulce z krótkimi rękawami i mokasynom.

Co, u licha, się tutaj dzieje?

Walczył, usiłując zapanować nad ogarniającym go przerażeniem i przywołać na odsiecz zdrowy rozsądek. Czyżby podróżował w czasie? Nie, to raczej niemożliwe. Lecz może wyobrażał sobie, że podróżuje? Wszystko to mogło być tylko iluzją. Nie wyglądało na nią, lecz mogło nią być. Mgły mogły go omamić. Przejście przez zaczarowany świat mogło wywołać halucynacje. A może nigdzie nie doszedł? Może nie ruszył się wcale z miejsca? Jeśli jednak wszystko, co widział do tej chwili, było złudzeniem, to czym jest to, co widzi teraz...?

– Ben?

Odwrócił się. To była Annie. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał: słodka, mała dziewczynka o wielkich, brązowych oczach, małym, zadartym nosku i sięgających ramion kasztanowych włosach. Ubrana była w biały, lekki dres. Jej piegowata skóra była bardzo blada, a powietrze wokół niej zdawało się skrzyć w świetle południowego słońca.

– Annie? – wyszeptał z niedowierzaniem. – O mój Boże!

Annie, to naprawdę ty?

Uśmiechnęła się tym swoim nieskażonym uśmiechem małej dziewczynki, którym obdarzała go zawsze, gdy dostrzegała w nim coś zabawnego. Wiedział teraz, że to ona.

– Annie! – powtórzył, a do oczu napłynęły mu łzy.

Ruszył w jej kierunku, niemal oślepiiony łzami, lecz ona podniosła gwałtownie ręce w geście ostrzeżenia.

– Nie, Ben! Nie dotykaj mnie. Nie wolno ci mnie dotykać. – Odsunęła się o krok. Ben zatrzymał się zmieszany. Ben, ja przecież nie żyję – wyszeptała ze łzami w oczach. Usiłowała uśmiechnąć się do niego. – Jestem duchem. Jestem tylko obrazem pozostałym w twojej pamięci. Jeśli spróbujesz mnie dotknąć, zniknę.

Stał przed nią bezradny i zdezorientowany.

– Ale co... Co tutaj robisz, skoro jesteś duchem?

Roześmiała się wesoło i przez chwilę było tak, jakby nigdy jej nie utracił.

– Benie Holiday! Twoja pamięć jest jak zwykle selektywna. Nie pamiętasz tego miejsca? Rozejrzyj się. Nie wiesz, gdzie jesteśmy?

Rozejrzał się, znowu widząc pastwiska, stajnię, konie i dom na pagórku. Nagle przypomniał sobie.

– Dom twoich rodziców! – wykrzyknął. – Na litość boską, to przecież wiejski dom twoich rodziców! Zupełnie o nim zapomniałem! Nie byłem tutaj przecież od... nie pamiętam, od jak dawna!

Jej uśmiech trwał jeszcze w kącikach warg.

– To była nasza specjalna kryjówka, gdy życie w mieście stawało się nie do zniesienia. Pamiętasz? Moi rodzice zwykli byli drwić sobie z ciebie -byłeś dla nich miejskim chłopakiem, który nie odróżnia końskiego zadu od głowy. Mawiałeś, że różnica jest niewielka. Kochałeś to miejsce. Kochałeś poczucie wolności, jakie nam dawało. – Rozejrzała się dookoła, smutnie zamyślona. – Wiesz, to dlatego ciągle tutaj powracam.

Przypomina mi ono ciebie. Czy to nie dziwne? Spędziliśmy tutaj tak niewiele czasu, a właśnie to miejsce najbardziej mi się z tobą kojarzy. Myślę, iż właśnie dlatego, że to tutaj odnajdywałeś poczucie wolności, i ja czuję się tu dobrze. To coś więcej niż moja tęsknota za życiem na wsi.

Obróciła się, wskazując w kierunku domu.

– Pamiętasz te szafy, przez które można było przedostać się z jednej sypialni do drugiej? Pamiętasz, jak się z tego śmialiśmy? Opowiadaliśmy sobie, że żyją tam gremliny – tak jak na tym filmie. Groziliśmy, że zabijemy im wejście deskami, kiedy działa się cokolwiek dziwnego, gdy byliśmy sami. Powiedziałeś, że kiedyś, kiedy umrą moi rodzice, zamieszkamy w tym domu i wtedy na pewno się za nie zabierzemy!

Ben pokiwał głową, uśmiechając się.

– Zawsze uwielbiałem to miejsce... Zawsze.

Założyła ręce na piersi, a jej uśmiech zbladł.

– Lecz nie zająłeś się tym domem. Nie przyjeżdżałeś tu potem nawet w odwiedziny.

Wystraszył się bólu, który wyrażały teraz jej oczy.

– Twoi rodzice odeszli, Annie. Zbyt cierpiałem po twojej utracie, by móc tu powracać...

– Powinieneś był zająć się tym domem, Ben. Byłbyś tutaj szczęśliwy. Tutaj bylibyśmy blisko siebie. – Wolno pokręciła głową. – Powinieneś był przynajmniej przyjeżdżać tu od czasu do czasu. Ale nie przyjechałeś ani razu. I nadal nie przyjeżdżasz. Czekam na ciebie. Ciągle na ciebie czekam, a ty nie przyjeżdżasz. Tak mi ciebie brak! Potrzebuję cię tutaj, blisko...

choć nie mogę cię dotykać i przytulać, jak kiedyś. Ale i tak twoja bliskość mi pomaga. – Zamilkła. – W mieście nie potrafię sprawić, byś mnie dostrzegł. Jeśli już muszę być duchem wolę straszyć na wsi, gdzie wszystko jest świeże i zielone. Ale nie jest mi tutaj dobrze, gdy nie mam ciebie.

– Tak mi przykro, Annie – przepraszał pospiesznie. – Nigdy nie przypuszczałem, że możliwe jest, bym cię kiedykolwiek jeszcze spotkał. Gdybym wiedział, że tu jesteś, przybędziesz... Uśmiechnęła się.

– Nie sędzę. Nie sędzę, bym cokolwiek jeszcze dla ciebie znaczyła. Nawet teraz zjawileś się tutaj przez przypadek. Wiem, co się teraz z tobą dzieje i wiem, co zamierzasz. Duchy widzą lepiej niż żywi. Wiem, że zdecydowałaś się mnie opuścić i udać się do innego świata – świata, w którym ja pozostanę tylko wspomnieniem. Wiem, że spotkałaś dziewczynę. Jest bardzo ładna, a na dodatek cię kocha.

– Annie! – już chciał wyciągnąć do niej ręce mimo ostrzeżenia i ostatnim wysiłkiem woli utrzymał je przy sobie. – Nie kocham tej dziewczyny. Kocham ciebie. Zawsze cię kochałem. Odszedłem, bo nie mogłem znieść twojej śmierci. Pomyślałem, że muszę coś ze sobą zrobić albo stracę wszystko to co ze mnie jeszcze zostało!

– Ale nigdy nie próbowałaś mnie szukać, Ben – naciskała cichym, przepelnionym cierpieniem głosem. – Zrezygnowałaś ze mnie. Teraz utraciłaś mnie na zawsze. Odszedłeś do tamtego świata i nigdy nie będę już przy tobie. Nie mogę pójść tam za tobą. Nie mogę mieć cię blisko, choć tak tego potrzebuję. Nawet duchowi potrzebna jest bliskość tego, kogo kocha.

Ben poczuł, że rozdzierające go uczucia powoli się uspokajają.

– Nadal mogę tu powrócić. Mogę to zrobić. Nie muszę pozostawać w Landover.

– Ben... – wyszeptła. Jej brązowe oczy były smutne i puste. – Nie należysz już do tego świata. Wybrałaś inny. Nie możesz powrócić. Wiem, że rozmawiałaś z Milesem Bennettem. Nie masz do czego wracać. Miles powiedział ci prawdę. Minęło dziesięć lat. Straciłaś wszystko – majątek, pozycję w towarzystwie i firmę. Dokonałaś wyboru dziesięć lat temu, więc musisz się pogodzić z tym, że teraz jest już za późno, by cokolwiek zmienić. Me możesz już wrócić.

Ben na próżno usiłował wydusić z siebie odpowiedź. To szaleństwo! Jak to się mogło stać? Postanowił mocno się wziąć w garść. Może to wszystko nie dzieje się jednak na prawdę?

Może to, tak jak podejrzewał wcześniej, tylko iluzja? Może tylko wpływ mgieł czarodziejskiego świata. Nieprawdopodobieństwo tej możliwości uderzało go. Annie wyglądała przecież tak realnie! Jak to możliwe, że jej nie ma?

– Tato?

– Odwrócił się. O trzy metry od niego, w cieniu wielkiej jabłoni, stała mała dziewczynka. Me mogła mieć więcej niż dwa lata. Jej drobniutka twarz do złudzenia przypominała Annie.

– To twoja córka – usłyszał szept Annie. – Ma na imię Beth.

– Tato? – zawołała Beth, wyciągając ku niemu rączki.

Jednak Annie uchwyciła ją i odciągnęła od Bena. Ten opadł powoli na jedno kolano. Pochylony i przygarbiony, trzęsąc się, przyciskał do piersi własne ramiona.

– Beth? – powtórzył głucho.

– Jest tu razem ze mną – powiedziała Annie, przełykając swój własny ból. – Jeździmy razem w różne miejsca. Próbuję jej pokazać, jak wyglądałoby jej życie, gdyby...

Me potrafiła dokończyć. Pochyliła się nad Beth i ukryła twarz w jej ramionach.

– Me płacz, mamusiu – mówiła cicho mała dziewczynka. – Wszystko będzie dobrze.

Ale nie było dobrze i Ben wiedział, że nigdy już nie będzie. Czuł, jak zapada się w sobie, jak rozdiera go potrzeba ich bliskości. Me był jednak w stanie zrobić żadnego ruchu.

Stał tylko bezradnie.

– Dlaczego nas opuściłeś? – pytała znowu Annie, szukając odpowiedzi w jego oczach. – Dlaczego odszedłeś do tamtego świata, gdy tak bardzo potrzebowałyśmy cię tutaj? Nigdy nie powinieneś nas opuszczać. Nigdy nie powinieneś z nas rezygnować! Utraciliśmy ciebie, a ty nas. Utraciliśmy siebie na zawsze!

Powstał, a z jego gardła wydarł się przeszywający krzyk.

Na oślepie, z rozłożonymi ramionami, ruszył w kierunku miejsca, w którym stały. Widział wyciągającą do niego drobne rączki Beth.

Przed oczami zawirowała mu mgła...

Próbował iść dalej przed siebie po omacku, lecz potknął się i przewrócił. Zamroczyło go i przez chwilę nie mógł złapać oddechu. Owionęła go bryza chłodnego powietrza, a światło słoneczne zniknęło. Zamrugał oczami w ciemnościach, pochylił się i zaczął macać ziemię, na której teraz stał. Była naga i twarda.

Gdzie są Annie i Beth – jego żona i córka?

Z trudem i powoli podniósł się i wyprostował. Stał na obrzeżu pogrążonej w półmroku i wypełnionej tumanami mgły doliny. Przypominała ona umierające w długotrwałej i bolesnej agonii stworzenie. Drzewa w lasach były pozbawione liści, miały spękane i zniekształcone konary, a ich gałęzie gniły. Cała roślinność przybrała zimowy wygląd. Trawy uschły, a kwiaty utraciły swe barwy. Na tle zamglonego nieba widać było linię szczytów gór o nagich zboczach. Gdzieś dostrzec można było skupiska zrujnowanych, opuszczonych domostw, stojących pośród zachwaszczonych i zaniedbanych pól. Z jezior i stawów unosiły się duszne opary, a rzeki wolno toczyły swe gęste od brudu wody.

Benowi przerażenie znowu zapało dech w piersiach. Rozpoznał tę dolinę. Było to Landover. Spojrzał na swe ubrania. Były to rzeczy, które miał na sobie, schodząc do Wielkiej Czeluści.

– O nie...-wyszeptał.

Annie i Beth odeszły w zapomnienie. Ben rozpaczliwie szukał na tej wyniszczonej ziemi jakiegóż oznaki życia. Wypatrywał jakiegoś ruchu wokół osad i zamków, lecz na próżno.

Szukał wzrokiem Sterling Silver, lecz odnalazł jedynie pustą wyspę na jeziorze o czarnych wodach. Szukał Wielkiej Czeluści, Rhyndweir, krainy jezior Melchor i wszystkich innych znanych mu miejsc. Za każdym razem odnajdował jedynie obraz zniszczenia i upadku. Wszystko zniknęło.

– O mój Boże! – jęknął.

Zaczął zbiegać po zboczu. Biegł coraz szybciej, cały czas szukając wzrokiem czegokolwiek, co pozostało z tamtej doliny, do której ongiś przybył w poszukiwaniu innego życia.

Sucha i zeszywniała trawa zaczęła się o nogi, a z umierających krzewów sypały się liście. Minał kępę bonnie blues.

Drzewa były całkowicie poczerniałe, a ich liście uschnięte i poskręcane. Przyjrzał się drzewom pobliskiego sadu i stwierdził, że również są zupełnie pozbawione liści. Na tle nieba nie unosiły się żadne ptaki. Spod nóg nie uciekały żadne drobne zwierzęta. Nie było słyhać brzęczenia owadów.

Zadyszał się i zwolnił, by w końcu zatrzymać się z wyrazem przerażenia na twarzy. Przed nim rozciągała się poczerniała i pusta dolina. Landover było jednym wielkim grobem.

– To niemożliwe... – zaczął.

Wtedy we mgle przed nim ukazała się jakaś sylwetka.

– A więc król Landover w końcu raczył do nas powrócić powitał go oschły głos.

Z mgieł wynurzył się Questor Thews. Jego szare, opasane barwnymi wstęgami i szarfami szaty były podarte i brudne, siwe włosy w nieładzie, a broda potargana. Nie miał jednej nogi i kuśtykał o kulach. Jego twarz i ramiona znaczyły siniaki i blizny. Palce poczerniały, a oczy jaśniały w gorączce.

– Questor! – wyszeptał Ben, zdjęty przerażeniem.

– Tak, panie! Questor Thews we własnej osobie. Niegdyś nadworny mag i doradca władcy Landover, teraz bezdomny żebrak, włóczęący się po krainie, gdzie żyją tylko ci, o których już i tak zapomniano. Czy sprawia ci przyjemność widzieć mnie w takim stanie?

Gorycz przesyciała jego głos do tego stopnia, że Ben wzdrygnął się i cofnął o krok.

– Przyjemność? Czemu miałoby mi sprawiać przyjemność? – wydusił w końcu. – Co się stało, Questorze?

– Co się stało, panie? Czy naprawdę nie wiesz? Rozejrzyj się dookoła. Oto co się stało! Kraina umarła z braku sił magicznych, które mógł dostarczyć jej silny król. Kraina umarła, a wraz z nią – jej ludy. Nic już tutaj nie pozostało, panie! Nie ma niczego!

Ben kręcił głową z niedowierzaniem.

– Jak się to mogło stać...?

– Mogło, bo król Landover opuścił swój kraj – podniesionym i pełnym bólu głosem uciął mu mag. – Mogło, bo nie było cię tutaj, byś temu zapobiegł! Byłeś gdzieś w czarodziejskim świecie, zajęty swoimi sprawami, a nas pozostawiłeś własnemu losowi. Nie było cię przez cały rok, panie.

Cały rok! Nikt nie mógł cię odnaleźć. Zaginał medalion. Uszła cała nadzieja na znalezienie nowego króla. To był dla nas koniec.

Pochylony, podkuśtykał bliżej, podpierając się kulami.

– Magia szybko straciła resztę swej mocy. Trucizna rozlała się po całej krainie. Mieszkańcy tej ziemi – ludzie, zwierzęta i inne stworzenia – zaczęli chorować i umierać. Działo się to tak szybko, że nikt nie potrafił tego powstrzymać. Nie pomogły ani uzdrowicielskie moce Władcy Rzek, ani potężna magia Nocnego Cienia. Niewielu przeżyło, a ci, którym się to udało, są teraz rozproszeni. Żyjemy tylko dlatego, że nie potrafimy umrzeć – mówił trzęsącym się głosem. – Myślałem, że powrócisz do nas na czas, panie. Do końca miałem nadzieję. Byłem głupcem. Wierzyłem w ciebie, a powinienem był wiedzieć, że nie jesteś tego wart!

Ben energicznie kręcił głową.

– Nie, Questorze...

Mag wzniósł w geście protestu swoją poczerniałą, pokrytą plamami dłoń.

– Teraz pozostało tylko czekać, aż pojawi się tutaj Mark ze swymi demonami, by przejąć królestwo, panie. Nie ma nikogo, kto mógłby się mu przeciwstawić. Wszyscy umarli.

Wszystkich wyniszczyła choroba. Nawet najsilniejsi nie mogli przetrwać odejścia mocy magicznych. – Smutno pokręcił głową. – Dlaczego nie powróciłeś do nas wcześniej, panie?

Dlaczego pozostawałeś tam tak długo, skoro wiedziałeś, że cię potrzebujemy? Tak kochałem ten kraj i jego lud! Myślałem, że ty również. Och, gdybym miał dosyć sił, wziąłbym tę kulę i...

Jego ciało wyprężyło się. Trzęsąc się, zaczął podnosić kulę.

Przerażony Ben cofnął się, lecz Questor nie był w stanie podnieść kuli wyżej, niż o kilka cali ponad ziemię. Wysiłek zwałił go z nóg i mag padł na ziemię, niczym szmaciana lalka. Po jego wyniszczonej twarzy popłynęły łzy.

– Ach, jakże cię nienawidzę za to, co zrobiłeś! – wykrzyknął. Wolno podniósł głowę. – Czy wiesz, jak bardzo cię nienawidzę? Czy masz pojęcie? Chciałbym, abyś wiedział! – Jego oczy zapłonęły gniewem. – Czy wiesz, co stało się z twoją ukochaną sylfidą po tym, gdy ją opuściłeś? Wiesz, co stało się z Willow? – Jego twarz wyrażała już tylko furję. – Pamiętasz, że czerpała swe siły życiowe z ongiś żywej ziemi tej krainy?

Spójrz tam, w dół, koło jeziora! Spójrz tam, gdzie cienie są najmroczniejsze! Czy widzisz ten poskręcany, poczerniały pień ze spróchniałymi korzeniami?!

Ben nie mógł dłużej tego słuchać. Odwrócił się i zaczął biec.

Biegł, nie myśląc, trawiony przez nieopanowany gniew i przerażenie. Pragnął za wszelką cenę znaleźć się jak najdalej od tego pełnego nienawiści starca, nie słyszeć jego słów, obwiniających go za wszystko, co się tutaj wydarzyło. Biegł, nie bacząc na kierunek, byle przed siebie, poprzez ciemności i mgły. Za nim echem odbijały się krzyki – nie wiedział, czy dochodzą z zewnątrz, czy też rodzą się w jego własnej głowie. Jego świat walił się, niczym domek z kart, pchnięty przypadkowym powiewem wiatru. Stracił wszystko: swój stary i nowy świat, starych i nowych przyjaciół, swoją przeszłość i przyszłość. Przed oczami tłoczyły się znajome twarze: Miles, Annie, Questor. Ich oskarżycielskie głosy szeptały o jego winach, a ich oczy pałały gniewem i cierpieniem. Ich wytykające jego winy słowa raniły i pogrążały w beznadziei.

Biegł coraz szybciej, a jego własny krzyk zagłuszał łomotanie serca.

Wtem w ogóle przestał się poruszać. Biegł, lecz ziemia uciekła mu spod nóg i zawisł w powietrzu. Poczł nagły ból.

Szarpnął się gwałtownie, szukając jego przyczyny...

Potężne łapy trzymały go za barki, wbijając się głęboko w ubrania i ciało. Ponad nim unosił się jakiś potężny, ciemny kształt. Pokryte łuską ciało tej istoty cuchnęło nie do zniesienia, trawione potworną chorobą całej krainy. Oszałały ze strachu Ben spojrzał w górę i ujrzał otwarty pysk Strabo. Smok zamierzał go pożreć.

Ben krzyknął.

Mgły zawirowały mu przed oczami...

I znowu działo się to samo. Zmieniał się czas i miejsce.

Zamknął oczy i trzymał je mocno zaciśnięte. W zasadzie zrobił to, zanim jeszcze o tym sam zdecydował. Działo się coś niedobrego. Mówił mu to instynkt. Instynkt podpowiadał mu, że te bezustanne skoki w czasie i przestrzeni nie są możliwe.

Zdawało się, że tak się dzieje, lecz musiało to być tylko złudzenie. Złudzenie, iluzja czy coś w tym rodzaju. Cokolwiek to było, niszczyło go, rozdzierało na strzępy. Jeśli chciał przeżyć, musiał to natychmiast powstrzymać.

Zaciskając powieki, w milczeniu zagłębił się w ciemnościach swego umysłu. Starał się skoncentrować na rytmie swego serca, na uczuciu tętniącej w żyłach krwi, na otulającej go ciszy.

– Uspokój się – szeptał. – Zachowaj spokój. Nie pozwól się zwieść temu, co widzą twoje oczy.

Powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Nadal jednak miał oczy zamknięte. Bał się, że gdy je otworzy, będą go czekały kolejne przerażające przeżycia. Najpierw musi zrozumieć, dlaczego się to wszystko dzieje.

Zaczął analizować przebieg wypadków. Doszedł do wniosku, że nie ruszył się nigdzie z miejsca, do którego przybył na samym początku. Nie minęło dziesięć lat, czy nawet rok. To niemożliwe. Zmiany czasu i miejsca były tylko iluzją wywołaną przez zaczarowany świat lub jego mieszkańców. Wywołaną – lecz w jaki sposób i dlaczego?

Rozumowanie posuwał systematycznie, krok po kroku.

Ustalił, że nic z tego, co widział, nie było rzeczywistością. Jeśli nic nie było rzeczywistością, wszystko musiało być złudzeniem. A jeśli tak właśnie było, to musiał istnieć jakiś powód, dla którego pojawiało się przed nim w takiej formie.

Dlaczego stawały przed nim takie właśnie wizje? Szukając odpowiedzi na to pytanie, zagłębił się w najmroczniejszych, najcichszych zakamarkach swego umysłu. Dlaczego Questor, Miles i Annie ukazali mu się właśnie jako tacy, nie inni? Pozwolił sobie pograżyć się w atramentowej czerni. Odprężył się. Willow ostrzegła go przed niebezpieczeństwami czarodziejskiego świata. Cóż mówiła? Mówiła, że rzeczywistość czarodziejskiego świata jest tylko projekcją myśli i uczuć.

Mówiła, że nie ma w nim żadnej substancjalnej rzeczywistości poza przebywającymi w nim istotami. Jeśli tak, to wszystko, co widział, było projekcją jego wnętrza, manifestacją jego własnych uczuć...

Wzjął głęboki, powolny oddech i po chwili wypuścił powietrze. Zaczynał rozumieć. Jego wizje były tworem jego własnych uczuć. Lecz jakich uczuć? Przypomniał sobie, jak przebiegały jego wyimaginowane spotkania z Milesem, Annie i Beth, a w końcu z Questorem Thews. Wszyscy oni byli rozżaleni lub rozgniewani jego postępowaniem, które sprawiło im ból. Wszyscy winili go za swe nieszczęścia. Tak właśnie ich postrzegał, choć byli przecież tylko złudzeniem.

Postrzegał ich jako ofiary własnych błędnych decyzji i beczynności. Dlaczego? Błyskawicznie analizował wszelkie możliwości i nagle wpadł na odpowiedź. Po prostu lękał się, że to wszystko może być prawdą! Lęk! To właśnie uczucie kształtowało jego myśli!

Odpowiedź taka była oczywista i logiczna. Lęk to najsilniejsze z uczuć. To uczucie jest najtrudniej kontrolować. To za jego przyczyną przeskakiwał w czasie i przestrzeni, by być świadkiem okropieństw, które miały się stać udziałem jego przyjaciół i najbliższych. Ten lęk wydzierał z niego życie. Od momentu podjęcia decyzji o wyprawie do Landover lękał się, że nie podoła zadaniu, które sam przed sobą postawił. Naturalnym rezultatem tych obaw było pojawienie się w jego podświadomości scenariuszy historii, które właśnie przed chwilą przeżył. Lękał się, że zostanie na zawsze odcięty od wszystkiego, co miał w swym dawnym życiu, że zostanie pozbawiony wszystkiego, co pragnął zyskać w nowym, że zawiedzie swych przyjaciół i rodzinę i będzie człowiekiem, który wszystko utracił.

Poczuł powoli spływające na niego uczucie ulgi. Zrozumiał. Wiedział już, co robić. Jeśli mógł kontrolować swe uczucia, mógł zapobiec kolejnym koszmarom. Jeśli potrafił opanować strach, świadomość i podświadomość, to może mógł również powrócić do teraźniejszości. Wspaniale! Na razie jednak pozostawało to tylko pewną szansą.

Kilka chwil zajęło mu zebranie myśli i skoncentrowanie się na zadaniu, jakie miał teraz przed sobą. Starał się zmobilizować, przypominając sobie o tym, jakim był niegdyś prawnikiem, i jakie umiejętności go nim uczyniły. Nakazał sobie pamiętać, że wszystko, co widział, było tylko marą, złudzeniem, tworem jego własnej wyobraźni. Miast tego, starał się wyobrazić sobie świat, który widział, podróżując przez przesmyk czasu pomiędzy swoim światem i Landover – las i wypełniające go mgły.

Potem powoli otworzył oczy. Znowu miał przed sobą mroczny, głęboki, pierwotny las. Pomiędzy drzewami przepływały powoli wstęgi mgły. Tańczyły w niej jakieś blade zjawy, lecz ich widok nie był dla niego niepokojący. Nocne mary zniknęły. Jego rozumowanie okazało się słuszne. Oddychał głęboko, pozwalając sobie spokojnie dryfować to w głąb, to na zewnątrz niematerialnej wizji. Ostrożnie zaczął się rozglądać za tym, po co tu przybył. Zdawało mu się, że widzi jakieś przebłyski srebra i ciemnego granatu. Unosił się dalej i nagle poczuł, że się rozpada niczym ciśnięta o kamień bryłka lodu.

Szaleńczym wysiłkiem zmusił się do wyobrażenia sobie, że stąpa po twardej ziemi.

Uczucie rozpadania się minęło. Otoczyły go mgły.

Nie był już sam. Słyszał wokół siebie szepczące głosy.

– Witaj, władco Landover...

– Odnalazłeś siebie i w ten sposób odnalazłeś nas...

Ben próbował coś powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć ani słowa. Wokół niego tłoczyły się szczupłe, smukłe twarze o ostrych, nieco stłumionych przez półmrok, rysach. Były to twarze,

które widział, przeprawiając się korytarzem czasu do Landover. Były to twarze czarodziejskich istot.

– Nic nie jest stracone, jeśli my wcześniej nie uznamy tego za stracone, panie. Uwierz, że da się uratować, a może stanie się to możliwe. Wizje zrodzone z lęku są źródłem naszego upadku. Wizje zrodzone z nadziei dają początek zwycięstwu.

– Ukryte w nas możliwości czekają tylko, byśmy sami je odkryli. Czy możesz dać życie swym snom? Spójrz we mgły i przekonaj się...

Ben zaczął wpatrywać się w kłębiące się przed nim białe tumany. Nagle zaczęły się rozstępować. Przed nim ukazała się kraina niewiarygodnej urody. Promienie słońca przykrywały ją złotym płaszczem. Kwitło w niej życie i wypełniała ją energia. Było to tak podniecające i zachwycające, iż przechodziło wszelkie jego wyobrażenia. Chciał niemal krzyknąć, oczarowany tym widokiem i towarzyszącym mu uczuciem.

Wizja powoli zbladła i rozwiała się. Znowu słyszał szepty.

– Nie czas jednak i miejsce na takie wizje, panie. To inne życie.

– Jesteś tutaj dzieckiem pomiędzy starszymi, panie, lecz dzieckiem obiecującym. Zdołałeś dostrzec prawdę poprzez otaczającą cię zasłonę kłamstwa i poznać ją jako własną. Zasłużyłeś, by odkryć więcej...

Pokażcie mi więc! – chciał krzyknąć. Nie mógł jednak, a głosy szeptały dalej.

– Rozpoznałeś lęk, który mógł cię zniszczyć, panie. Okazałeś godną podziwu postawę. Lecz lęk ma wiele twarzy i przyjmuje wiele form. Musisz nauczyć się je rozpoznawać.

Musisz pamiętać, czym naprawdę są, gdy on ponownie ci zagrozi...

Ben nie potrafił zrobić użytku z własnej krtani. Niczego nie rozumiał. Co czarodziejskie stworzenia miały na myśli?

– A teraz musisz już wracać, panie. Landover cię potrzebuje. Król krainy musi jej służyć.

– Lecz możesz wziąć ze sobą to, po co tutaj przyszedłeś.

Ben ujrzał jak tuż przed nim materializuje się granatowy krzak o srebrnych liściach. Poczul nagle, że coś trzyma w dłoniach. Spojrzał w dół i dojrzał dwa podłużne strąki.

Głosy szeptały.

– Pył Io, panie. Jeśli będziesz go wdychał, pozostaniesz we władaniu tego, kto ci go podał. Wystarczy jeden oddech.

Lecz bądź ostrożny. Nocny Cień chce wykorzystać pył do własnych celów i nie ma zamiaru się nim z tobą dzielić. Gdy go dostarczysz, nie będziesz jej już do niczego potrzebny...

– Bądź szybszy od niej, panie. Bądź zwinny...

Ben potakiwał milcząco, a na jego twarzy rysowała się determinacja.

– Teraz idź. Straciłeś tylko jeden dzień, lecz musiałeś go stracić. Szybszy powrót mógłby wyrządzić ci nieodwracalną szkodę. Zrozum więc, że sprawy musiały się potoczyć tak, jak je zastałeś.

– Powróć do nas panie, gdy odnajdziesz magię tej krainy.

– Powróć, jeśli poczujesz potrzebę...

– Powrót...

Głosy, twarze i gibkie sylwetki zaczęły niknąć we mgle.

Biały tuman owionął go i nagle zniknął.

Ben z niedowierzaniem zamrugnął oczami. Stał znowu na skraju Wielkiej Czeluści, dzierżąc w każdej dłoni po strąku z pyłem Io. Rozejrzył się ostrożnie i stwierdził, że jest sam.

Przez moment przed oczami przebiegały mu obrazy z jego spotkań z Milesem, Annie i Questorem Thews, kłując niczym małe noże. Zadrżał na ich wspomnienie i szybko się z nich otrząsnął. Nic takiego nigdy się przecież nie wydarzyło. Wszystko to było fałszem. Prawdziwe było jedynie spotkanie z czarodziejskimi istotami.

Podniósł strąki i przyjrzał się im uważnie. Nie posiadał się z radości. Zaczął uśmiechać się niczym Kot z Cheshire.

Dokonał niemożliwego. Wyprawił się do czarodziejskiego świata i mimo trudnych doświadczeń, wyszedł z niego cało.

Czuł się jak nowo narodzony.

PYŁIO Uśmiech Kota z Cheshire i dobre samopoczucie nie opuszczały go przez jakieś trzydzieści sekund. Tyle właśnie zajęło Benowi przypomnienie sobie ostrzeżenia czarodziejskich istot przed Nocnym Cieniem.

W popłochu rozejrzył się wokół, próbując przesyć wzrokiem mgły wypełniające kotlinę. Czarownicy nie było ani śladu, lecz z pewnością gdzieś tam czekała na niego, planując, w jaki sposób się go pozbyć, gdy tylko dostanie pył Io. Musiała to zamierzać od samego początku: chciała wysłać go po pył do czarodziejskiego świata, a później, gdy tylko wróci, pozbyć się go na zawsze. Zmarszczył czoło. Czy mogła wiedzieć, że w ogóle powróci? Zapewne nie. Jeśli nie powróciłby, nie miałyby to dla niej szczególnego znaczenia. Ta próba nic jej nie kosztowała. Lecz z tego, co mówiły czarodziejskie istoty wynikało, że wiedźma spodziewa się jego powrotu. To go niepokoiło. Skąd mogła wiedzieć, że zdoła on dokonać czegoś, co nie udało się dotąd nikomu?

Mocno zacisnął dłonie na strąkach i wziął głęboki oddech, by się uspokoić. Nie było teraz czasu, by zastanawiać się nad tym co czarownica wiedziała, a czego nie. Musiał odnaleźć Willow i jak najszybciej uciekać z Wielkiej Czeluści. Bał się o sylfidę. Nie sądził, by Nocny Cień potraktowała ją lepiej niż jego. W czasie jego nieobecności dziewczynie mogło się przydarzyć wszystko, a jeśli było to coś złego, to z pewnością z jego winy. Cały dzień jest dla ciebie stracony – mówiły czarodziejskie istoty. Cały dzień to stanowczo zbyt długo dla pozostawionej sam na sam z wiedźmą dziewczyny. Willow nie była dla niej żadnym przeciwnikiem. Co gorsza, pozostali jego towarzysze mogli zejść w głąb czeluści w poszukiwaniu go i również wpaść w łapy czarownicy.

Zgrzytając w bezsilnej złości zębami, rozejrzył się jeszcze raz wokół, by dokładnie ustalić, gdzie się znajduje. Ze wszystkich stron otaczały go tumany mgły i las. Nisko nad wierzchołkami drzew wisiało sklepienie ciężkich chmur. Nie spostrzegł niczego, co pozwoliłoby mu się zorientować, gdzie stoi, ani dokąd powinien się skierować.

– Do licha! – wyszeptał cicho i nie zwracając sobie dalej głowy ostrożnością, ruszył przed siebie.

Wiele wydarzyło się w życiu Bena Holidaya, od kiedy trafił tutaj, do Landover, a większość tych wydarzeń nie należała do przyjemnych. Za każdym razem, gdy próbował postąpić o krok naprzód, zmuszony był robić dwa kroki w tył.

Wyglądało na to, że nie ma szans, by cokolwiek mu się powiodło. Lecz wszystko to miało się zmienić. W końcu musiało mu się udać. Wyprawił się do czarodziejskiego świata po pył Io i powrócił z nim, choć zdrowy rozsądek i logika mówiły, że to niemożliwe. Dysponował więc tym, dzięki czemu mógł zmusić smoka, by trzymał się z dala od Greensward, a tym samym zyskać przysięgę wierności najpotężniejszych sprzymierzeńców – władców Greensward. Byłby to olbrzymi krok ku temu, co zamierzał osiągnąć – nieporównywalnie wielki w stosunku do tych małych kroczków, którymi usiłował się dotąd posuwać. Nie dbał o to, czy w lesie czai się na niego tuzin Nocnych Cieni. Nie miał zamiaru pozwolić, by ta okazja wyślizgnęła mu się z rąk.

Nagle z krzaków przed nim wyłoniła się para włochatych twarzy. Ben wrzasnął i odskoczył do tyłu.

– O, wielki panie!

– O, możny panie!

Byli to Filip i Sot. Ben odetchnął głośno i głęboko i czekał, aż serce opadnie mu z krtani na swoje miejsce. Tak oto sprawdza się cała jego odwaga i zdecydowanie!

Gnomy-dodomy ostrożnie wyczołgały się z gąszcza, wietrząc ruchliwymi, krecimi noskami leśne powietrze.

– Wielki panie! Czy to naprawdę ty? Myśleliśmy, że już nigdy więcej cię nie ujrzymy! – rzekł Filip.

– Nigdy! Myśleliśmy, że zginiesz we mgłach! – przekrzykiwał Filipa Sot.

– Gdzie byliście? – spytał Ben, przypominając sobie, jak ci dwaj uciekli z zamku w czasie, gdy wrona przemieniała się w wiedźmę.

– Ukrywaliśmy się! – wyszeptał Filip.

– Obserwowaliśmy! – wyszeptał Sot.

– Wiedźma szukała nas długo i zawzięcie – wyjaśniał Filip.

– Lecz nie mogła nas odnaleźć – wtrącił Sot.

– Nie, gdy skryliśmy się pod ziemią – ciągnął Filip.

– Nie w naszych jamach – sprecyzował Sot.

Ben westchnął.

– Wspaniale, wspaniale! – pochwalił ich bez przekonania. Gdzie ona jest?

– Tam, na polanie, gdzie ją pozostawiłeś, panie – rzekł Filip.

– Czeka na twój powrót – dodał Sot.

Ben skinął głową.

– A Willow?

Filip i Sot szybko spojrzeli po sobie, po czym wbili wzrok w ziemię. Ben klęknął przed nimi, czując, jak serce podchodzi mu znowu do gardła.

– Co stało się z Willow?

Pokryte futerkiem ryjki marszczyły się niespokojnie. Gnomy nerwowo splatały koślawe łapki.

– Nie wiemy, panie – oznajmił w końcu Filip.

– Nie wiemy – zgodził się Sot.

– Gdy ty nie wracałeś, inni wyruszyli do kotliny, by cię szukać – powiedział Filip.

– Zeszli na dół – uściślił Sot.

– Nie wiedzieliśmy, że są w kotlinie – mówił Filip.

– Jeśli byśmy wiedzieli, ostrzeglibyśmy ich – tłumaczył Sot.

– Lecz my się ukrywaliśmy – przyznał się Filip.

– Baliśmy się – wyjaśnił Sot.

Ben zbył ich wyjaśnienia niecierpliwym ruchem ręki.

– Czy powiecie mi wreszcie, co się stało?!

– Uwięziła ich wszystkich, panie! – rzekł Filip.

– Wszystkich! – powtórzył Sot niczym echo.

– I zniknęli – dokończył Filip.

– Nie ma po nich śladu – zgodził się Sot.

Ben wolno przysiadł na piętach. Jego twarz pobladła.

– O, mój Boże! – jęknął cicho. Sprawdziły się jego najgorsze obawy. Nocny Cień pojmała Questora, Abernathy'ego, Willow i koboldy. I była to jego wina. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad całą tą sytuacją. Wstał. Nie ma mowy o żadnej ucieczce. Nie pozostawi przecież swych przyjaciół na pastwę wiedźmy. Bez względu na to, czy miał stracie pył Io, czy też nie – nie zamierzał ich opuścić.

– Czy możecie mnie zaprowadzić do Nocnego Cienia? zapytał gnomy.

Filip i Sot patrzyli na niego z nie ukrywanym przerażeniem.

– Nie, panie – wyszeptał Filip.

– Och, nie! – jęknął Sot.

– Uwięzi i nas! – rzekł Filip.

– Spraw, że znikniemy jak tamci! – dodał Sot.

Ben przyznał w myśli, że to całkiem możliwe. Chwilę później uśmiechnął się jednak do gnomów przebiegle.

– Może jednak nie – rzekł. Wydobył spod tuniki jeden ze straków zawierających pył Io. – Może jednak nie.

Przygotowanie do spotkania z Nocnym Cieniem zajęło mu nie więcej niż kilka minut. Objął gnomom swój plan, a one słuchały z zapartym tchem i wbitymi w niego spojrzeniami.

Wyglądało na to, że nie są pewne, o czym mówi, lecz i tak nie było czasu na bardziej szczegółowe objaśnianie strategii.

– Postarajcie się tylko zapamiętać to, co i kiedy wy macie zrobić – rzekł w końcu i zaniechał dalszych wyjaśnień.

Ruszyli przez las. Przodem szły gnomy. Światło popołudnia stopniowo bladło i powoli zapadał zmierzch. Ben rozglądał się wokół niespokojnie, obserwując migające we mgle cienie. Gdzieś tam za nimi był czarodziejski świat wraz z żyjącymi w nim tworam i jego wyobraźni. Czuł teraz na sobie ich spojrzenia: tych żywych i tych umarłych, tych z przeszłości i terażniejszości, z jego starego i nowego świata. To, co widział w czarodziejskim świecie, nie było prawdą – było tylko tworem jego własnych lęków i obaw. Lecz kryła się w nich prawda tego, co mogło się kiedyś wydarzyć. Nie zawiódł nikogo w sposób taki, jaki pokazały mu mgły zaczarowanego świata. Lecz może zawieść, jeśli nie będzie wystarczająco szybki i zwinny. Może zawieść ich wszystkich.

Mijały minuty. Ben, nieco otepiały, nie dostrzegał prawie upływu czasu. Chciał popędzić gnomy, by prowadziły go szybciej, by przyspieszyły swój ostrożny krok poprzez ten leśny labirynt. Zachował jednak spokój. Filip i Sot wiedzieli, że z Nocnym Cieniem nie ma żartów, a i on sam nie chciał się niepotrzebnie narażać.

Po jakimś czasie poprzez zasłone drzew i gęstych krzaków dojrzeli tonącą w ciemnościach polanę. Filip i Sot przycupnęli i w popłochu spojrzeli na Bena. On również pochylił się, po czym posunął się do przodu jeszcze o metr i zatrzymał się.

Nocny Cień siedziała na oplatanych pajęczynami i pokrytym kurzem tronie, na którym ujrzał ją po raz pierwszy, kiedy tu przybyli. Jej spojrzenie wbite było w ziemię. Rozstawione w nieładzie zniszczone stoły i ławy otaczał krąg poczerniałych stojaków z płonącymi słabym ogniem pochodniami. Dziedziniec, brama i cały zamek zniknęły. Wokół był tylko las i tych kilka rozpadających się mebli, które otaczały wiedźmę.

Nocny Cień błysnęła krwistoczerwionymi oczami, lecz nie podniosła głowy.

Ben po cichu cofnął się po gnomy. Gdy oddalili się na tyle, by nie być dosłyszonymi, Ben po raz ostatni udzielił im wskazówek i odesłał je do ich zadań. Bezgłośnie zniknęły pośród drzew. Patrzył, jak odchodzą. Wzniósł oczy ku niebu w niemej modlitwie i czekał.

Gdy, według jego oceny, minął kwadrans, podniósł się i ruszył przed siebie. Przedarł się przez zasłone drzew i krzewów i wyszedł na polanę, gdzie oczekiwała go wiedźma.

Nocny Cień powoli podniosła wzrok, obserwując, jak się zbliża. Jej alabastrowa twarz o ostrych rysach wyrażała mieszaninę zadowolenia i zaskoczenia. I czegoś jeszcze: podniecenia. Ben podchodził do niej ostrożnie. Był jeszcze o dobre dziesięć kroków od niej, gdy powstała i gestem dłoni kazała mu się zatrzymać.

– Masz to? – zapytała cicho.

Milcząco pokiwał głową.

Szczupłą ręką przesunęła po swych czarnych włosach, wygładzając biały kosmyk, który w ciemnościach wyglądał jak strzęp białej piany unoszący się w mrocznej wodzie.

– Wiedziałam, że okażesz się czymś więcej, niż królem-marionetką – wyszeptała z olśniewającym uśmiechem na twarzy. Była wysoka i pełna majestatu; stała przed nim odziana w długie czarne szaty, a jej alabastrowa skóra bez skazy jaśniała w oprawie czarnych włosów. – Wiedziałam, że jesteś kimś... szczególnym. Zawsze miałam zdolność dostrzegania takich rzeczy. Pył Io... Pokaż mi go.

Ben rozejrzał się dookoła, jakby szukał czegoś wzrokiem.

– Gdzie jest Willow?

Czerwone oczy niezauważalnie się zwały.

– Czeka. Jest bezpiecznie ukryta. A teraz pokaż pył!

Ben ruszył ku niej, lecz ona powstrzymała go gestem dłoni.

– Nie podchodź!

Włożył obydwie ręce do kieszeni. Powoli wydobyl lewą dłoń, dzierząc w niej strąk. Pokazał go wiedźmie.

Jej twarz ożyła podnieceniem.

– Pył Io! – Drżała, dając mu znak, by podszedł bliżej. Daj mi to. Ostrożnie!

Podszedł, lecz zatrzymał się jeszcze poza zasięgiem jej ramion. Znowu się rozejrzał.

– Myślę, że najpierw powinnaś mi powiedzieć, gdzie jest Willow.

– Najpierw pył! – naciskała, wyciągając powoli ku niemu ramiona.

Pozwolił jej wziąć strąk.

– Dobrze, w porządku, już ją widzę tam, pomiędzy drzewami. – Ruszył w kierunku czarownicy, wpatrując się w zarośla gdzieś za jej plecami. – Willow, chodź tutaj!

Czarownica właściwie zareagowała na jego zachowanie i odmawiane w duchu modły. W krzakach coś się poruszyło, pojawił się jakiś kształt. Nocny Cień odwróciła się, zaskoczona, podążając za spojrzeniem Bena.

Z jej ust już miały wydobyć się słowa niedowierzania, gdy Ben wydobyl z kieszeni prawą dłoń i dmuchnął wyciągniętą stamtąd garścią ukrytego pyłu prosto w twarz wiedźmy. Zaskoczona, wciągnęła powietrze, a z nim – pył Io. Jej oniemiała twarz wyrażała teraz wściekłość i przerażenie. Ben cisnął w jej twarz drugą garść pyłu, szarpiąc ją raptownie za szaty.

Czarownica znów, mimo woli, zaciągnęła się nim. Strąk wypadł z jej dłoni na ziemię.

Ben rzucił się na nią niczym kot.

– Nie próbuj żadnych sztuczek! – ostrzegł. – Nawet nie myśl o tym, by mnie zranić! Należysz do mnie i zrobisz wszystko, co ci nakazę, i nic poza tym! – Spostrzegł, jak wiedźma z wściekłości zagryza wargi i poczuł, że po plecach cieknie mu strużka potu. – Czy rozumiesz, co powiedziałem? – wyszeptał szybko.

– Rozumiem -powtórzyła, a w jej oczach płonęła niezmierna nienawiść.

– Dobrze. – Ben wziął głęboki oddech i powoli wstał. Wstań! – nakazał wiedźmie.

Nocny Cień wstała, powoli prostując się. Jej ciało zdawało się zeszywniałe i nieposłuszne jej woli, jak gdyby skuwała je jakaś niewidzialna siła, której ona w żaden sposób nie potrafiła się oprzeć.

– Zniszczę cię za to! – wyszczała. – Sprawię, byś cierpiał tak, że nie możesz sobie tego wyobrazić.

– Dzisiaj chyba ci się to nie uda – wymamrotał, bardziej do siebie, niż do niej. Rozejrzał się pospiesznie wokół. – Filip, Sot!

Gnomy-dodomy ostrożnie wygramoliły się z kępy krzaków, w której oczekiwały znaku Bena, by udawać odpowiadającą na jego wołanie Willow. Do ich pokrytych futerką twarzy przytwierdzony był wyraz przerażenia. Ślepymi, krecimi oczami gapiły się na czarownicę.

– O, wielki panie – wyszeptał Filip.

– O, możny panie – wymamrotał Sot.

Żaden z nich nie czuł się jednak zbyt pewnie i z łatwością można było dostrzec, że spłoszy ich nawet najmniejszy ruch.

Nocny Cień zwróciła ku nim swe spojrzenie, a gnomy skurczyły się pod nim jak w obawie przed ciosem.

– Nie może wam zrobić krzywdy – zapewnił ich Ben, usiłując jednocześnie przekonać o tym siebie samego. Podszedł, by podnieść upuszczony przez czarownicę strąk i pokazał go Nocnemu Cieniowi. – Pusty – rzekł, wskazując na niewielką dziurkę, wydrążoną w łupinie. – Wysypałem z niego cały pył i włożyłem do kieszeni, by zastosować go na tobie. Zapewne miałas wobec mnie podobne plany, czyż nie? Odpowiedz!

– Tak, to prawda – jej słowa nasiąknięte były jadem.

– Chcę, byś tu stała i robiła tylko to, co ci nakazę. Zaczniemy od kilku pytań. Zadam je, a ty na nie odpowiesz. Lecz mów prawdę! Be/. żadnych sztuczek! Zrozumiałaś? – Wiedźma w milczeniu pokiwała głową. Ben sięgnął pod swą tunikę i wydobyl stamtąd drugi strąk. Pokazał go jej. – Czy pył zawarty w tym strąku wystarczy, by zyskać kontrolę nad smokiem?

Nocny Cień uśmiechnęła się.

– Nie wiem.

Tego się nie spodziewał. W jego głowie zakiełkowało nagłe podejrzenie.

– Czy dałem ci dosyć pyłu, byś była mi posłuszna?

– Tak.

– Na jak długo?

– Nie wiem – uśmiechnęła się znowu.

Ben starał się nie zdradzać swych emocji. A więc nie wszystko da się w ten sposób z niej wydobyć!

– Jeśli zauważysz, że siła, która zmusza cię do posłuszeństwa wobec mnie słabnie, powiedz mi o tym. Zgoda?

Nienawiść w jej oczach zapłonęła jeszcze silniej.

– Tak.

Pył, nie pył – nie ufał czarownicy. Chciał mieć już to wszystko za sobą i wydostać się jak najprędzej z Wielkiej Czeluści.

Filip i Sot sprawiali wrażenie, jak gdyby byli na tej drodze o przynajmniej tuzin kroków dalej. Przycupnięci i skuleni w cieniu jednego z połamanych stołów, z noskami przyciśniętymi do piersi wyglądali jak zakłopotane ostrygi.

Ben spojrzal znowu na wiedźmę.

- Co zrobiłaś z Willow i pozostałymi?
- Uwięziłam ich – odpowiedziała.
- Questora, skrybę Abernathy'ego i dwa koboldy – ich wszystkich?
- Tak. Zeszli tutaj w poszukiwaniu ciebie, więc ich schwytalam.
- Co im zrobiłaś?
- Trzymałam ich tutaj przez jakiś czas, a potem odesłałam.

Wiedźma wyglądała na niemal zadowoloną z przebiegu tego przesłuchania. Ben mimo woli zawahał się.

- Co masz na myśli mówiąc, że ich odesłałaś?
- Nie przedstawiali dla mnie żadnej wartości, więc ich odesłałam.

Coś było nie tak. Nocny Cień z pewnością nie planowała uwolnienia go. Nigdy nie wypuściłaby jego przyjaciół. Wpatrywał się uważnie w jej twarz, obserwując, jak jej oczy zmieniają nagle barwę z czerwonej na zieloną.

- Dokąd ich odesłałaś? – zapytał pośpiesznie.
- Do Abaddonu. Do Marka.

Ben zeszywniał. Jego najgorsze wyobrażenia i obawy stały się rzeczywistością. Jednak zawiódł swych przyjaciół.

- Sprowadź ich natychmiast z powrotem! – nakazał szorstko.
- Nie mogę – uśmiechnęła się szeroko. – Są poza moim zasięgiem.

Rozwścieczony, chwycił za jej ciemne szaty.

- Wysłałaś ich tam, więc teraz ich sprowadź!

Uśmiechała się z rozkoszą.

- Nie mogę, królu-marionetko! Znajdując się w Abaddonie, są poza zasięgiem moich mocy! Są w pułapce!

Puścił ją i odsunął się o krok, walcząc, by odzyskać panowanie nad sobą. Powinien był to przewidzieć! Powinien był zrobić coś, by temu zapobiec! Rozglądał się po polanie nieprzytomnym wzrokiem. Wrzał w nim gniew. Był rozżalony.

Pospiesznie rozważał kolejne możliwości i wszystkie je po kolei odrzucał. Po chwili znów zwrócił się do wiedźmy.

- Pójdiesz do Abaddonu i uwolnisz ich – nakazał tryumfująco.

Czarownica była bliska radosnej ekstazy.

- Nie mogę, królu-marionetko! W Abaddonie nie mam żadnej mocy! Byłabym równie bezradna, jak oni!

- W takim razie ja sam tam pójde – rzekł. – Gdzie jest wejście, wiedźmo?!

Roześmiała się. Mięśnie jej twarzy były napięte.

- Nie ma wejścia, głupcze! Abaddon jest miejscem zakazanym! Tylko nieliczni...

Jej tryumf był tak wielki, że nie zdołała się na czas opanować i wyrzekła o słowo za dużo. Zamknęła usta, lecz było już za późno. Ben znowu chwycił ją za szaty.

– Nieliczni? Co za nieliczni? Kto, poza demonami, może tam się dostać?! – Nocny Cień odwracała głowę to w lewo, to w prawo, nie mogąc wydusić ani słowa. – Kto, do licha! Powiedz mi!

Zadygotała i zeszywniała, jak gdyby wbił się w jej ciało jakiś stalowy pręt. Jej odpowiedź zabrzmiała niemal krzykiem.

– Strabo!

– Smok! – dyszał Ben, pojmując, w czym rzecz. Puścił ją i odszedł o kilka kroków. – Smok! – Zawrócił i znowu podszedł do czarownicy. – Dlaczego smok może tam wejść, a ty nie?

Gniew Nocnego Cienia był nie do opisania.

– Jego magiczna moc jest... jest o wiele większa niż moja...
sięga dalej... !

Więc smok jest potężniejszy! – dokończył w myśli Ben to, co Nocnemu Cieniowi nie mogło przejść przez gardło. Czuł, że nogi się pod nim uginają, pot cieknie po plecach, a zmęczenie coraz bardziej daje się we znaki. Tak – odpowiedź czarownicy zdawała się logiczna. Wszak pierwszy raz natknął się na smoka w oparach mgły, już w granicach czarodziejskiego świata. Jeśli Strabo może przebywać tam, to zapewne może również dostać się do Abaddonu.

I może zabrać ze sobą Bena.

Niewiele brakowało, by się uśmiechnął. Zamierzał przecież użyć pyłu Io, by pozbyć się smoka z Landover. I samo to było już zadaniem dostatecznie trudnym. Teraz zmuszony będzie użyć pyłu Io, by skłonić Strabo do uwolnienia swych przyjaciół z otchłani Abaddonu. Niewyobrażalna trudność tego zadania przerażała go. Musi tego dokonać sam – bez niczyjej pomocy, bez niczyich wskazówek! Pytania, czy zrobi to, czy też nie, w ogóle nie poddawał rozwadze. Willow, Questor, Abernathy, Parsnip i Bunion raz za razem narażali dla niego swe życie. Moralnym imperatywem, wykraczającym poza to, co wymagałoby od niego samo piastowanie tronu, było uwolnienie przyjaciół.

Zatrzymał spojrzenie na oczach wiedźmy. Dojrzał w nich nieskrywane zadowolenie.

– Poprzysięgłaś, że mnie zniszczysz, Nocny Cieniu! Lecz to ja zniszczę ciebie! – wyszeptał z wściekłością.

Filip i Sot wyczołgali się zza stołu i przyłgnęli do jego nóg.

– Czy możemy odejść, panie? – zapytał Filip.

– Czy możemy opuścić to miejsce? – odezwał się echem Sot.

– Ona mnie przeraża – przyznał się Filip.

– Chce nas skrzywdzić – dodał Sot.

Ben spojrzał na nich i dostrzegł w ich oczach strach. Gnomy kręciły w oczekiwaniu noskami. Wyglądały jak oczekujące kary zabrudzone dzieci. Zrobiło mu się ich żal. Przeszli przecież tak wiele.

– Jeszcze tylko chwila – obiecał. Spojrzał na wiedźmę. Jak dawno temu wysłałaś ich do Abaddonu?

Zielone oczy Nocnego Cienia zwięzły się.

– Pozbyłam się ich tego ranka, dosyć wcześnie.

– Czy zraniłaś któregoś z nich?

– Nie. – Jej twarz była nadal napięta.

– W takim razie nic im nie jest?

Roześmiała się.

– Możliwe – jeśli nie znudzili się już demonom.

Ben chciał ją udusić, lecz zdołał się jakoś powstrzymać.

– Jak zdołam ich odnaleźć w Abaddonie?

Nocny Cień zdawała się pograżać w swych przepastnych szatach.

– Smok może ich odnaleźć. Jeśli będzie jeszcze tobie posłuszny!

Ben pokiwał głową w milczeniu. To, jak długo będzie działał na smoka czarodziejski pył, decydowało teraz o wszystkim.

Żeby się o tym przekonać, można było – rzecz jasna – posłużyć się tylko jedną metodą.

Wzruszył ramionami i przestał się nad tym zastanawiać.

– Gdzie go znajdzie? – zwrócił się do czarownicy.

Nocny Cień uśmiechnęła się ponuro.

– Wszędzie, królu-marionetko.

– Z pewnością. – Ben jeszcze raz przemyślał pytanie. Dokąd powinienem się udać i gdzie zacząć, by mieć pewność, że i on tam przybędzie?

– Ogniste Źródła! – wyszeptała. – Mieszka wśród źródeł płonącej wody!

Ben przypomniał sobie to miejsce – poznał je w czasie swej nauki w Sterling Silver. Niewielkie wulkany, zbiorniki lawy, czy też źródła ropy naftowej, leżały na wschód od Greensward, daleko na pustkowiach.

– Panie! – rzekł ponagłajaco Filip, przerywając jego zamyślenie.

– Panie! – Sot tulił się do jego nogi.

Ben jeszcze raz w odpowiedzi pokiwał głową. Dzień miał się ku końcowi. Światło słoneczne ustępowało miejsca mrokowi nocy. Cienie zmierzchu kładły się już na koronach drzew.

Nie chciał, by noc zastała go tutaj, w Wielkiej Czeluści.

Stanął tuż przed Nocnym Cieniem.

– Jestem królem Landover, Nocny Cieniu. Możesz uważać, że tak nie jest. Inni też mogą tak sądzić. Lecz póki ja sam nie zrezygnuję, pozostanę nim. Król ma pewne obowiązki.

Winy jest dawać ochronę swym poddanym. Ty natomiast naraziłaś ludzi, którzy są nie tylko moimi poddanymi, lecz i przyjaciółmi, na tak wielkie niebezpieczeństwo, że być może nigdy więcej ich już nie zobaczę!

Przerwał, wpatrując się w jej błyszczące nienawiścią oczy.

– Sama podpisałaś na siebie wyrok, Nocny Cieniu. Zrobię ci to, co ty uczyniłaś moim przyjaciołom. Nakazuję ci zamienić się we wronę i odlecieć we mgły czarodziejskiego świata.

Nie zbaczaj z drogi. Leć, póki nie znajdziesz się znowu w świecie, z którego zostałaś wygnana. Leć dalej, przed siebie, cokolwiek by się działo!

Czarownica zadrżała z gniewu i trwogi. Jej oczy błysnęły nagle przerażeniem.

– Magia czarodziejskiego świata pochłonie mnie – wyszeptała.

Ben był niewzruszony.

– Czyń, co ci nakazałem, Nocny Cieniu. Zrób to teraz!

Wiedźma zeszywniała, załśniła purpurowym światłem.

Z żelaznych statywów z pochodniami buchnęły ku niebu płomienie. Wiedźma i poświata zniknęły, a na ich miejscu pojawiła się wrona. Kracząc, rozpostarła skrzydła i odleciała w kierunku lasu.

Ben patrzył za nią, jakby oczekując, że może powróci. Nie wróciła. Zniknęła. Leciała tak, jak jej nakazał, prosto we mgły czarodziejskiego świata – świata dla niej zakazanego. Nie wiedział, co się z nią stanie, gdy tam dotrze, lecz wątpił, by było to cokolwiek przyjemnego. Dał jej przynajmniej taką samą szansę na przeżycie, jak ona dała jego przyjaciołom. Jego wyrok był sprawiedliwy.

Pokręcił głową. Mimo wszystko, nie czuł się z tym najlepiej.

– Lepiej chodźmy już stąd – wymamrotał do gnomów i ich trójka pospiesznie opuściła polanę.

STRABO Tę noc Ben spędził wśród topoli, o kilka mil od obręczy Wielkiej Czeluści. O świcie, gdy tylko się obudził, wyruszył w drogę do Ognistych Źródeł.

Zabrał ze sobą Filipa i Sota, choć wyraźnie dawali do zrozumienia, że nie mają najmniejszej ochoty na tę podróż. Nie miał wyboru. Bał się, że bez nich zblądzi. Krainę znał wprawdzie dość dobrze z map i swych wypraw przy użyciu krainogłędu, lecz zawsze istniała możliwość pojawienia się czegoś, o czym nie zdążył się dowiedzieć. Ignorancja mogła go w każdej chwili zgubić. Nie wolno mu było tak ryzykować.

Nie mógł tracić czasu. Gnomy-dodomy musiały więc jeszcze przez jakiś czas dotrzymywać mu towarzystwa.

Podróż zajęła im prawie trzy dni. Trwałyby zapewne jeszcze dłużej, gdyby nie to, że Filip i Sot zorganizowali parę koni, które swe najlepsze czasy dawno miały za sobą. Sam widok tych kanciastych kobył o zapadłych grzbietach przyprawiał Bena o ból kości.

Jazda na nich nie upajała komfortem, dzięki nim podróż przebiegała jednak w szybszym tempie. Ben nie narzekał więc.

Nie zapytał też gnomów, skąd sprowadziły owe rumaki. Zasady moralne ustąpiły tym razem miejsca pragmatyzmowi.

Opuścili porośniętą lasami górzystą okolicę Wielkiej Czeluści i poruszali się wzdłuż granic równin Greensward ku przeciwnym krańcom doliny. Podróż zdawała się ciągnąć bez końca. Ben

miał wrażenie, że wlecze za sobą uwiązany do szyi kamień milowy. Trawił go lęk o porwanych przyjaciół.

Nim będzie w stanie ich wyratować, może się wydarzyć zbyt wiele złego. Filip i Sot wystarczająco bali się o swe własne skóry. Uważali się za jagnięta ofiarne, wiedzione na pożarcie smokowi. Cała trójka rozmawiała ze sobą rzadko, dosyć już zmęczona podróżą, myślami o tym, co ich czeka, i sobą nawzajem.

W drodze Ben często rozmyślał o Nocnym Cieniu, i nie były to myśli przyjemne. Popełnił błąd, pozostawiając Willow samą i bez ochrony. Questor i pozostali również popełnili błąd, schodząc do kotliny w poszukiwaniu go, kiedy nie powrócił pierwszego dnia. A najgorsze było to, że wszyscy oni trafili do Abaddonu za sprawą oczekującej na jego powrót wiedźmy. Nie mógł sobie darować, że nie zrobił lepszego użytku z czarownicy, gdy była mu posłuszna pod wpływem magicznego pyłu Io. Iluż rzeczy mógł wtedy dokonać!

Mógł zażądać, by mocą swej magii sprowadziła do niego smoka – by po prostu go zwabiła, jeśli by nie była w stanie zrobić niczego więcej. Jeżeli i to by okazało się niemożliwe, mógł nakazać jej wysłać się przy pomocy czarów do kryjówek smoka. Zaoszczędziłoby to mu i gnomom trzech dni podróży na tych wynędzniałych kobyłach. Mógł zażądać, by przekazała mu część swych magicznych mocy. Dodatkowe zabezpieczenie zawsze może się przydać. Nie powinien był pozbywać się jej w ten niezbyt przemyślany sposób. Nie po tym, co zrobiła. Należało uczynić wszystko, by zyskać pewność, że Nocny Cień nie sprawi mu już więcej kłopotów. Mógł przynajmniej wymusić na niej złożenie mu przysięgi wierności na wypadek, gdyby udało jej się uciec.

Jednak w miarę jak posuwali się naprzód, myśli te przewijały się coraz rzadziej, były coraz odleglejsze i bledsze. Mógłby, powinien był – cóż to teraz za różnica? Postąpił tak, jak potrafił najlepiej. Po prostu nie mógł pomyśleć o wszystkim.

Wymuszona przysięga byłaby prawdopodobnie bezwartościowa. Nie znana mu magia mogłaby okazać się bardziej niebezpieczna, niż jej brak. Może jednak lepiej było tak, jak było.

Może wystarczy zrobić właściwy użytek z tego, co już osiągnął.

Do Ognistych Źródeł dotarli trzeciego dnia po południu.

Gnomy poprowadziły go daleko w głąb pustkowi na wschód od Greensward. Była to kraina przerażająca. Nagie, pustynne równiny, pokryte piaskiem i pyłem, wzgórza porośnięte marną trawą, niskimi zaroślami i skarłowaciałymi drzewami, wypełnione czerwonym błotem wciągające bagna i ruchome piaski, zniszczone lasy o powyginanych drzewach, wystających z ziemi niczym połamane kości. Cała przyroda była tutaj w stanie nieporównywalnie gorszym niż w innych częściach doliny. Na posępny krajobraz składała się umierająca, poszarzała roślinność i posiekana rozpadlinami ziemia. Bonnie blues w ogóle tutaj nie rosły. Trójka podróżnych wędrowała przez pokryte usychającymi krzewami dzikich róż wzgórza. Dotarli w końcu do martwego lasu, porastającego obrzeże niewielkiej doliny. Zsiedli z koni, nie mogąc dalej przedzierać się na nich przez gęste zarośla. Nad nimi unosiły się gęste tumany mgły, niosące ze sobą zapach śmierci tej krainy.

– Tam, panie! – krzyknął nagle Filip, zatrzymując gwałtownie Bena szarpnięciem za rękaw.

– Ogniste Źródła, panie – oznajmił Sot, wskazując ręką na coś w oddali.

Ben wyteżył wzrok. Mgły i drzewa stanowiły jednak skuteczną zasłonę. Nie widział nic. Spróbował jeszcze raz. Teraz zdało mu się, że widzi w mroku jakieś słabe refleksy światła.

– Podejźmy trochę bliżej – ponaglił. – Stąd prawie nic nie widzę.

Zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Filip i Sot stali w miejscu. Popatrzyli po sobie, a później na niego. Opuścili głowy i zmarszczyli noski.

– To już wystarczająco blisko – stwierdził Filip.

– Tak, podeszliśmy już dosyć blisko – zgodził się Sot.

– Nic nie chroni nas przed smokiem – zauważył Filip.

– Nic, zupełnie nic – potwierdził Sot.

– Zje nas, nim zdąży się nad tym zastanowić – orzekł Filip.

– Spali nas na popiół! – wyjąkał Sot.

Filip zawahał się.

– Smok jest zbyt niebezpieczny. Zostawmy go i chodźmy stąd, panie.

Sot gorliwie przytakiwał.

– Tak, panie. Niech tu sobie mieszka. Niech sobie tu żyje.

Ben przyjrzał się im uważnie i pokręcił głową.

– Nie mogę zostawić go w spokoju. Jest mi potrzebny. Uśmiechnął się ponuro i cofnął do gnomów. Położył im dłonie na ramionach.

– Czy poczekać na mnie? Czy poczekać, aż wrócę?

Filip spojrzał na niego, mrużąc oczy.

– Poczekaamy na ciebie, panie. Będziemy czekać, aż wrócisz.

Sot nerwowo zacierał łapy.

– Jeśli wrócisz – wymamrotał.

Ben zostawił ich z kobyłami, a sam ruszył do przodu poprzez zarośla. Posuwał się ostrożnie, starając się robić jak najmniej hałasu. Za lasem widział już wyraźniej gejzery buchające parą, która mieszała się z tumanami mgły. Migocące na tle nieba światła również stały się wyraźniejsze. W powietrzu poczuł jakiś nieprzyjemny zapach. Przypominał woń psującego się mięsa.

Pot zalewał mu twarz i spływał po ramionach, lecz we wnętrzu Ben czuł przejmujący chłód lęku.

Sięgnął ręką do kieszeni tuniki. Była tam pozostała część pyłu Io z otwartego przez niego strąka. Drugi, cały strąk, ukryty był w lewej kieszeni. Do tej pory nie ułożył sobie jasnego planu użycia pyłu Io. Nie miał pojęcia, czy w tych okolicznościach ma sens układanie jakichkolwiek planów. Jego jedynym celem było podejść do smoka jak najbliżej i liczyć na to, że nadarzy się odpowiednia okazja.

Pomyślał ponuro, że jako – bądź co bądź – król Landover, powinien mieć chyba jakiś lepszy plan. Nie zanosilo się jednak na to, by miał go ułożyć.

Dotarł do skraju lasu i rozejrzył się. Przed nim rozciągała się szeroka, dziwacznie ukształtowana kotlina, o dnie pokrytym kraterami wszelkich kształtów i rozmiarów. Ich wnętrza wypełnione były niezidentyfikowaną, błękitną substancją, na której tańczyły żółte płomienie ognia. Wokół leżały głazy i fragmenty skał. Rumowisko to stanowiło dla przybysza istny tor przeszkód.

Ben ostrożnie rozejrzył się dookoła. Smoka nie było w zasięgu wzroku.

– To dobrze – wymamrotał.

Przez chwilę zastanawiał się, co dalej. Mógł poczekać na powrót Strabo tutaj lub zejść od razu w dół. Zdecydował się na to drugie. W momencie stanięcia twarzą w twarz ze smokiem chciał być jak najbliżej niego.

Zaczął schodzić na dno kotliny. Jakiś głos w głębi niego mówił, że jest szaleńcem. Zgadzał się z tym w stu procentach.

Sam nie mógł uwierzyć, że robi to, co robi. Smok przerażał go. Wolałby teraz odwrócić się i ruszyć w przeciwnym kierunku tak szybko, na ile tylko pozwoliłyby mu jego trzęsące się nogi. Nie był przecież szczególnie odważny. Był po prostu zdesperowany. I aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów własnej desperacji.

Rozmyślając o Willow i pozostałych, obiecywał sobie, że nie może ich teraz zawieść, cokolwiek się wydarzy.

Po stromym zboczu dotarł wreszcie do dna kotliny i rozejrzył się. Z krateru odległego na wyciągnięcie ręki buchnęła nagle silnym strumieniem para. Ben wystraszył się. Buchające płomienie liznęły gęstą mgłą. Ledwie mógł dostrzec, co znajduje się tuż przed nim. Szedł jednak zdecydowanie naprzód. Przypuszczał, że gdzieś po środku – ale nie za bardzo po środku – kotliny znajdzie najwłaściwsze miejsce, by poczekać na smoka. Jego oddech stał się krótki i urywany.

Tak pragnąłby mieć władzę nad Paladynem. Chciałby, żeby był tu z nim Questor i koboldy. Chciał, by był z nim ktokolwiek. Chciał znaleźć się zupełnie gdzie indziej.

Para i gorące powietrze kręciły go w nosie. Wykrzywił twarz z niesmakiem. Panujący tutaj zapach był nie do zniesienia. Na dnie kotliny poniewierały się kości. Niektóre już zbieleły, inne wyglądały całkiem świeżo. Zmusił się, by na nie nie patrzeć. Zarośla torowały mu drogę, lecz powoli posuwał się naprzód. Minał stertę pokruszonych skał, parę głazów i szkielet jakiegoś sporego zwierzęcia. Pomyślał, że jest już wystarczająco blisko. Tuż przed nim znajdowało się duże usypisko ziemi, wspierające się z jednej strony o skałę. Wyglądało to na dobrą kryjówkę. Tam zamierzał oczekiwać smoka.

Lecz jak długo? – przyszło mu nagle do głowy. Ogniste Źródła mogą być domem Strabo, lecz nie musi to wcale oznaczać, że on często tu przebywa. Może zjawia się tutaj raz do roku? Niech to! Bena zaczęła spalać niecierpliwość. Powinien był zapytać o to wiedźmę! Powinien...

Nagle potok jego myśli urwał się gwałtownie. Był zaledwie o kilka metrów od upatrzonej kryjówki – zwał ziemi opierającego się o skałę, gdy nagle ów zwał drgnął.

Ben osłupiał. Nie, musiało mu się wydawać.

Zwał ziemi poruszył się jednak znowu.

– O, mój Boże! – wyszeptał.

W miejscu, które uważał za jeden z ostrych występów na skale uniósł się niewielki obłoczek pyłu i wznosząca się powieka odsłoniła oko.

Tak oto prawnik, dzielny poszukiwacz przygód i prawie-król Landover popełnił największą pomyłkę swego życia.

Smok, przebudziwszy się ze snu, otrząsnął się leniwie z warstwy ziemi i pyłu. Śledził Bena spojrzeniem obserwującego swą ofiarę węża. Ben zamarł w bezruchu. Powinien był użyć pyłu Io. Powinien był odwrócić się i uciekać. Powinien był coś zrobić – zrobić cokolwiek! Nie mógł jednak ruszyć się ani o cal. Wszystko, na co mógł się zdobyć, to krzyk. Zaczął się zastanawiać, czy smok po prostu go usmaży, czy też spożyje w postaci saute.

Strabo mrugnął oczami. Najeżona kolcami głowa wzniosła się powoli i smok lekko poruszył nozdrzami. Rozwarł paszczę, ukazując rzędy poczerniałych zębów i rozdwojony na końcu język, wijący się w zamglonym powietrzu.

– Znamy się skądś, czy tak? – spytał smok.

Ben zdębiał. Spodziewał się po smoku wielu różnych rzeczy, lecz nie tego, że będzie mówił. Fakt ten zmieniał wszystko. Lęk przed bestią jakby odrobinę się zmniejszył. Zmieniła się perspektywa, z której patrzył dotąd na swe spotkanie ze smokiem. Jeśli ze Strabo można rozmawiać, to może da się go jakoś przekonać! Ben zapomniał o smażeniu i saute. Zapomniał o ratowaniu swego życia. Miast tego, zastanawiał się pospiesznie, jak smokowi odpowiedzieć.

Strabo pokiwał głową.

– Mgły na skraju czarodziejskiego świata – tam cię widziałem. Parę tygodni temu, czyż nie? Spałem, gdy natknąłeś się na mnie. Gapiłeś się na mnie tak uporczywie, że w końcu mnie zbudziłeś. To niegrzecznie z twej strony. – Przerwał. – To byłeś ty, prawda?

Ben mechanicznie pokiwał głową. Przed oczami stanęło mu wspomnienie lotu na łeb na szyję, jaki smok zafundował mu jednym dmuchnięciem. Szybko otrząsnął się z tych myśli.

Ciągle nie mógł uwierzyć, że bestia rzeczywiście mówi ludzkim głosem. Głos ten brzmiał jednak nieco dziwnie. Przypominał wydobywający się z jakiejś maszyny wibrujący szum, pobrzmiwający echem, jak gdyby z komory pogłosowej.

– Kim jesteś? – spytał smok, znowu pochylając głowę. Co robiłeś w czarodziejskich mgłach? – smok wyszczerzył zęby. – Czy jesteś jedną z czarodziejskich istot?

Ben pokręcił głową.

– Nie, nie jestem – szybko zbierał myśli. – Jestem Ben Holiday z Chicago, z innego świata. Jestem nowym królem Landover.

– Czyżby? – Na smoku nie zrobiło to najwyraźniej większego wrażenia.

– Tak. – Ben zawahał się, odzyskując część pewności siebie. – Wiesz, nie sądziłem, że smoki mówią.

Strabo przesunął się nieco, kręcąc przy tym swym długim, węzowym ciałem tak, by zbliżyć się do kilku mniejszych kraterów. Żółtawe płomienie lizały jego pokryty łuską bok.

– Aaa, jeden z tych – parsknął.

Ben zmarszczył brwi.

– Jeden z których?

– Jeden z tych, którzy myślą, że smoki są bezmózgimi analfabetami; bestiami, które spędzają czas, znęcając się nad biednym, ciężko pracującym ludem, póki nie pojawi się jakiś rycerz, który je załatwi. Należysz do nich, prawda?

– Obawiam się, że tak.

– Naczytałeś się zbyt wielu bajek, Holiday. Jak sądzisz, kto rozpowiada te historie o smokach? Możesz być pewien, że nie robią tego smoki. To ludzie rozpowszechniają te opowieści, a oni nie będą przecież opisywali w nich siebie jako złych i okrutnych, a smoków jako dobrych i odważnych. Musisz wziąć pod uwagę źródło informacji, jak mawiają. Znacznie prościej opisać smoka jako krwiożerczą bestię palącą pola, pożerającą żywy inwentarz i ludzi, porywającą piękne białogłowy i walczącą z zakutymi w zbroje rycerzami. Czyta się to dobrze, nawet jeśli nie jest to prawda.

Ben osłupiał. Cóż to za rodzaj smoka?

– Smoki istniały na długo przed ludźmi. Smoki istniały, nim pojawiła się większość czarodziejskich stworzeń. – Strabo pochylił się. Jego oddech był nie do wytrzymania. – To nie smoki stały się źródłem kłopotów. Stali się nim inni. Nikt nie chciał smoków w okolicy. Smoki zajmowały zbyt wiele miejsca.

Wszyscy lękali się smoków i tego, co potrafią zrobić. A złą sławę zawdzięczamy zaledwie kilku jednostkom! Nasza moc magiczna była zawsze tak potężna, że nikt nie mógł zdobyć nad nami władzy.

Wolno pokiwał uzbrojoną w kolce i łuski głową.

– Lecz zawsze są przecież sposoby, by osiągnąć to, czego pragniesz, jeśli odpowiednio się postarasz. A oni starali się wyjątkowo usilnie. Ścigali nas, polowali na nas, przeganiali i niszczyli jednego po drugim. Pozostałem tylko ja. Jeśli tylko znajdą jakiś sposób, zniszczą i mnie.

Smok nie powiedział, coż to za „oni”, lecz Ben wnioskował, że mówi o ludziach w ogóle.

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteś odpowiedzialny za żadną z rzeczy, o które cię winią? – zapytał z cieniem wątpliwości w głosie.

– Och, nie żartuj! Oczywiście, że jestem odpowiedzialny!

Jestem odpowiedzialny praktycznie za wszystko, o co mnie oskarżają! – zasyczał cicho. – Zabijam ludzi i ich zwierzęta, gdy tylko przyjdzie mi na to ochota. Palę ich plony i domostwa.

Porywam ich kobiety, bo mnie to bawi. Nienawidzę ich. Oblizal się. – Ale nie zawsze tak było. Nie było tak, póki bycie stworzeniem za które mnie uważają nie stało się łatwiejsze od życia jakieś nigdyś wiodłem – ucichł, wspominając zapewne te odległe czasy. – Żyję już prawie tysiąc lat, z czego ostatnie dwieście jestem zupełnie sam. Nie ma już smoków. Są już tylko legenda. Pozostałem tylko ja – tak jak Paladyn. Słyszałeś o nim. Obydwaj jesteśmy ostatnimi przedstawicielami swych gatunków.

Ben obserwował, jak smok zanurza nos w jednym ze źródeł, spija płonąca ciecz i powoli zaciąga się płomieniami.

– Dlaczego mówisz mi o tym? – spytał w końcu, skonsternowany.

Smok podniósł wzrok.

– Bo tu jesteś. – Znowu zanurzył nos w kraterze. – A swoją drogą, dlaczego tutaj przyszedłeś?

Ben zawahał się, przypominając sobie nagle, co go tutaj sprowadziło.

– Hm...

– Ach tak – uciał mu szybko smok. – Nowy król Landover. Moje gratulacje.

– Dziękuję. Nie jestem nim zbyt długo.

– Tak przypuszczam. W innym wypadku nie byłoby cię tutaj.

– Nie byłoby?

– Najprawdopodobniej.– Smok zbliżył się nieco.– Gdy żył stary król, musiałem przebywać na wygnaniu. Reszta doliny była dla mnie ziemią zakazaną. Król posłużył się Paladynem, gdyż tylko on ma moc dorównującą mojej. Czasami latałem nocą ponad doliną, lecz nie mogłem pozwolić, by dostrzegli mnie ludzie. Nie mogłem w żaden sposób zakłócić im spokoju – głos smoka stał się twardy. – Obiecałem sobie, że któregoś dnia będę znowu wolny. I kiedy stary król umarł, a Paladyn zniknął, tak się stało. Żaden król Landover nie uwięzi mnie znowu na pustkowiach.

Ben zdał sobie sprawę z tego, że ton smoka zmienił się, a atmosfera rozmowy straciła swój początkowy charakter pogawędki.

– Nie przyszedłem tutaj po to – rzekł.

– Ale przyszedłeś, bym złożył przysięgę wierności tronowi?

– Myślałem o tym – przyznał Ben.

Strabo wydał nozdrza i roześmiał się niskim, świszczącym śmiechem.

– Cóż za odwaga! Szkoda, że na próżno. Nigdy nie przyrzekłem wierności władcy Landover – nigdy, przez całe tysiąc lat mego życia. Dlaczego miałbym to czynić? Nie jestem taki, jak cała reszta mieszkańców tej krainy. Nie jestem jak oni, przywiązany do tej ziemi! Mogę podróżować, dokąd tylko zechcę!

Ben nie omieszkał skorzystać z okazji.

– Rzeczywiście wszędzie?

Smok przesunął się nieco, zawijając ogon za plecami Bena.

– No cóż... Może niezupełnie. Ale prawie wszędzie. Nie mogę zapuszczać się zbyt głęboko do czarodziejskiego świata ani do światów, w których nie wierzy się w smoki. Czy w twoim świecie wierzy się w smoki?

Ben potrząsnął głową.

– Raczej nie.

– To wyjaśnia fakt, że nigdy tam nie byłem. Bywam jedynie w światach, gdzie smoki są rzeczywistością. Albo przynajmniej były nią ongiś. Najczęściej bywam w kilku najbliższych światach. Przede wszystkim, by polować. Musiałem zacząć tam polować, gdy stary król zabronił mi polowania w dolinie – rzucił ku Benowi chytre i zwodnicze spojrzenie.

Zmrużył powieki. – Lecz polowanie poza doliną wymaga więcej wysiłku, niż miałbym ochotę w to wkładać. Łatwiej mi polować tutaj. To bardziej mnie zadowala.

Atmosfera rozmowy stała się zdecydowanie chłodna. Ze smokiem rzeczywiście można było rozmawiać, lecz wątpliwe, by dałoby się go o czymkolwiek przekonać. Ben czuł, że zamykają się przed nim kolejne drzwi.

– Cóż, w takim razie wydaje mi się, że nie ma większego sensu, bym sugerował ci zrobienie czegokolwiek. Czy się mylę?

Strabo uniósł lekko jedną z tylnych nóg, wznecając kurz wokół swego potężnego cielska.

– Miło mi się z tobą rozmawiało, lecz zdaje się, że nasza pogawędka ma się ku końcowi. Niestety, oznacza to również twój koniec.

– Poczekaj chwilę, aż tak się nie spieszymy. – Ben nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Myślał jak oszalały. – Nasza rozmowa wcale nie musi się już kończyć. Myślę, że powinniśmy jeszcze porozmawiać!

– Rozumiem, dlaczego chciałbyś jeszcze rozmawiać – zasyczał cicho smok. – Jednak mi zaczyna się już nudzić.

– Nudzić? W porządku! Zmieńmy temat.

– To na nic.

– Nie? Więc może... Może po prostu poszedłbym sobie?

Po prostu odszedł stąd, powiedział do widzenia i... – Ben rozpaczliwie usiłował ratować własną skórę.

Smok pochylił się nad nim: wielki, pokryty łuską.

– To tylko opóźni to, co nieuniknione. W końcu wrócisz tu kiedyś. Będziesz musiał. Jesteś przecież królem Landover.

Nie ukrywajmy tego faktu, Holiday: jestem twoim wrogiem.

Albo ty zniszczysz mnie, albo ja ciebie. Osobiście wolę tę drugą ewentualność.

Ben rozglądał się dookoła rozbieganym wzrokiem.

– Na litość boską! Dlaczegoż jeden z nas miałby unicestwić drugiego?

– Dlaczego? Ponieważ tak właśnie jest ze smokami i królami. Tak było zawsze.

Załamanie Bena osiągnęło punkt kulminacyjny.

– W porządku. Ale jeśli było tak zawsze, to po co cała ta długa opowieść o tym, jak opowiadane przez ludzi baśnie zniekształciły prawdę o smokach? Dlaczego traciłeś czas, by mi to opowiadać, skoro i tak z góry planowałeś mnie usmażyć?

Smok roześmiał się.

– Och, jak dziwnie to ująłeś! – przerwał. – Tak! Dlaczego mówiłem ci o tym wszystkim w takich okolicznościach? Dobre pytanie. – Przez chwilę zastanawiał się. – Myślę, że to 3 prostu było to jakieś zajęcie. Jak wiesz, nie ma tutaj zbyt wiele do roboty.

Ben poczuł, jak łamie się jego ostatnia deska ratunku. To był koniec. Udało mu się ujść z życiem we mgłach zaczarwanego świata, zdołał przetrwać konfrontację z Nocnym Cieniem – lecz do trzech razy sztuka. Patrzył, jak smok powoli unosi ponad nim głowę i wolno wdycha powietrze. Jeden ognisty podmuch i będzie po nim. Rozpaczliwie szukał ratunku. Musiał coś zrobić! Do licha! Nie mógł przecież stać tak i pozwolić się pożreć.

– Poczekaj! – zawołał zdecydowanie. – Nie rób tego! – Ręką sięgnął pod tunikę i wydobyl stamtąd medalion. – Mam jeszcze to! Jeśli będę zmuszony, użyję magii medalionu!

Strabo powoli wypuścił powietrze, rozsiewając we mgle dym, parę i płomień. Spojrzał na medalion, oblizując się przy tym jęzorem.

– Masz medalion, lecz nie władasz jego magiczną mocą!

Ben wziął głęboki oddech.

– Mylisz się. Władam. Jeśli nie pozwolisz mi odejść, wezwę Paladyna.

Zapadła cisza. Smok przyglądał mu się uważnie w milczeniu. Ben modlił się w duchu. To była jego ostatnia nadzieja. Paladyn dotąd przybywał do niego zawsze, gdy znajdował się w niebezpieczeństwie. Może...

Zacisnął dłoń na medalionie, czując odciskający się na dłoni wyryty na nim wizerunek. Nagle doznał nieoczekiwanego olśnienia. O czym pomyślał? O tym, że w każdej chwili może uciec, jeśli tylko tego zechce! Zapomniał zupełnie, że medalion daje mu taką moc. Medalion przeniósłby go w mgnieniu oka do jego starego świata. Powinien jedynie o tym pomyśleć!

Lecz oznaczałoby to pozostawienie przyjaciół uwięzionych w Abaddonie na pastwę demonów. Oznaczałoby to opuszczenie Landover na zawsze. Znaczyłoby to, że się poddaje. Oznaczałoby to jednak również pozostanie przy życiu. Rozważał te możliwości bez przekonania.

– Myślę, że kłamiesz, Holiday – rzekł nagle smok i znowu zaczął wciągać powietrze.

Żegnaj świecie – pomyślał Ben i przygotował się do skoku, który zapewne i tak na niewiele by się zdał.

Nagle jednak we mgłach unoszących się ponad kraterami ognistych źródeł zabłysło ostre, jasne światło, i ukazał się Paladyn! Jednak! Ben nie mógł w to uwierzyć. Rycerz pojawił się znikąd. Samotny, odziany w zniszczoną zbroję) dosiadał swego starego rumaka, dzierżąc przed sobą lancę. Strabo odwrócił się gwałtownie, najwyraźniej spłoszony. Z jego paszczy wydobyl się potężny ryk. Buchnął płomień, który pochłoniął sylwetki rycerza i konia, by po chwili zmienić się w kłęb dymu.

Ben cofnął się, czując uderzenie potężnego żaru. Odwrócił się, przysłaniając oczy i znowu spojrzął w kierunku błędnego rycerza.

Paladyn stał niewzruszenie w tym samym miejscu.

Strabo wznosił się powoli na swe potężne tylne nogi, rozkładając przy tym skrzydła, niczym tarczę. Zmrużonymi oczami szukał Bena.

– Dwadzieścia lat – tak, upłynęło dwadzieścia lat – wyszeptał niskim głosem. – Myślałem, że zniknął na zawsze! Jak zdołałeś go sprowadzić, Holiday? Jak tego dokonałeś?

Ben usiłował wyjąkać coś w odpowiedzi, w równym stopniu zaskoczony pojawieniem się Paladyna. Szybko jednak zebrał się w sobie. Była to okazja, na którą czekał.

– Medalion! – wykrzyknął. – Sprowadził go medalion!

Wypisane są na nim magiczne zaklęcia – tu, na jego odwrocie. Sam zobacz!

Wyciągnął medalion przed siebie, trzymając go za łańcuch w ten sposób, aby przyćmione mgłą światła odbijały się na jego powierzchni. Strabo pochylił się, wyciągnął szyję i zbliżył ku

Benowi głowę. Olbrzymia paszcza była otwarta, a język lizał wargi. Ben wstrzymał oddech. Smok pochyłał się nad nim coraz bardziej. Jego gigantyczna sylwetka przysłoniła światło.

– Spójrz! Czy widzisz napisy?! – ponaglił Ben, chcąc, by bestia pochyliła się jeszcze odrobinę...

Jedna z krzywych przednich łap sięgnęła po medalion.

Ben wydobył wolną rękę z kieszeni tuniki i cisnął garść pyłu Io prosto w nos smoka. Zaskoczony Strabo wciągnął powietrze i kichnął. Kichnięcie to niemal powaliło Bena na ziemię. Puścił medalion, sięgnął do drugiej kieszeni i wydobył strąk Io. Głowa Strabo była tuż nad nim. Szczęki szukały już swej ofiary. Ben cisnął strąk w otwartą paszczę. Smok był na tyle szybki, że chwycił go w locie, miażdżąc zębami.

Zbyt późno zdał sobie sprawę z własnego błędu. Pył Io unosił się teraz wszędzie, wydobywając się z paszczy smoka w postaci strumieni białego dymu. Strabo wydał z siebie przeraźliwy ryk i buchnął płomieniami. Ben rzucił się w bok, dwukrotnie przetoczył, znowu zerwał na nogi i rzucił w kierunku stosu kamieni, który minął w drodze. Dotarł do niego sekundę przed płomieniami i rzucił się rozpaczliwie w znajdujące się za nim zagłębienie. Strabo wpadł w szal. Walił łapami o ściany i dno kotliny, wił się i miażdżył skały, jak gdyby usypane były z piasku. W górę buchnął z głośnym dudnieniem słup płomieni i dymów. Smok ryczał i ział wokół ogniem. Płomienie i dym wypełniły wkrótce całą kotlinę, zasłaniając wszystko inne. Zniknął Paladyn. Zniknęły Ogniste Źródła. Ben kulił się w swej kryjówce i modlił się, by okazało się, że smok nie zdążył zauważyć, gdzie się schował.

Po jakimś czasie łomoty przycichły, a płomienie osłabły. Zapanowała cisza. Ben czekał cierpliwie w ukryciu, nasłuchując głuchych dźwięków towarzyszących ruchom smoka. Huk eksplodujących kraterów przerodził się w jednostajne syczenie.

– Holiday?

Smok charczał z gniewu. Ben nie drgnął z miejsca.

– Holiday? To był pył Io! To był strąk pełen pyłu! Skąd go wzięłeś? Powiedziałeś przecież, że nie jesteś jedną z czarodziejskich istot! Skłamałeś!

Ben czekał. Na razie nic w słowach smoka nie wskazywało na wymuszoną działaniem pyłu uległość. Znowu nasłuchiwał. Smok poruszał się gdzieś po jego lewej stronie.

– Czy wiesz, jak niebezpieczna to magia? Czy wiesz, jaką krzywdę mogłeś mi tym wyrządzić? Dlaczego to zrobiłeś?

Ruchy ustały. Ben usłyszał, że smok przesuwają się gdzieś, a potem doszły go odgłosy picia. Pomyślał nagle, że być może popełnił pomyłkę. Może cały strąk pyłu to zbyt wiele nawet dla smoka? Może smokowi stało się coś złego?

Smok westchnął przeciągle.

– Holiday, dlaczego mi to zrobiłeś? Czego ode mnie chcesz? Powiedz i miejmy to z głowy – głos smoka pobrzmiwał raczej żalem, niż gniewem.

Ben zdecydował się zaryzykować.

– Chcę, byś dał słowo, że nie zrobisz mi krzywdy! – zawołał.

– Masz moje słowo – wysyczał cicho smok.

– Chcę, żebyś mi przyrzekł, że będziesz robił wszystko, co ci nakażę, i nic poza tym. Musisz usłuchać tak, czy inaczej – sam przecież wiesz.

– Wiem, Holiday! Zgadzam się! Powiedz, czego chcesz!

Ben ostrożnie wyslizgnął się ze swej kryjówki. Nad Ognistymi Źródłami ciągle jeszcze unosiły się przyćmiewające światło dzienne kłęby dymu i pary. Strabo siedział przycupnięty pomiędzy kraterami o kilkadziesiąt metrów od Bena i przypominał wściekle zwierzę, które wpadło w potrzask.

Powoli kręcił swym przerażającym łbem, szukając przymrużonymi oczami Bena. Ben wyprężył się i przygotował do ponownego skoku do kryjówki za stertą kamieni. Smok jednak tylko czekał na niego i patrzył.

– Podejdź tutaj! – zażądał Ben.

Smok posłusznie podszedł bliżej. W jego oczach widać było nie skrywaną nienawiść. Ben obserwował zbliżającą się bestię. Beczkowaty tułów wspierał się na potężnych, pokrytych łuską nogach. Skrzydła poruszały się w rytmie kroków, a długi ogon wił się niespokojnie. Ben poczuł się jak Fay Wray* w towarzystwie King-Konga.

– Uwolnij mnie! – zażądał Strabo. – Uwolnij mnie, a daruję ci życie!

Ben pokręcił głową.

– Nie mogę tego zrobić.

– A więc nie zrobisz tego? – wyszeptał smok chropawym głosem. – Ale nie możesz mnie tak trzymać na zawsze. Kiedy się od ciebie uwolnię, a wtedy...

– Może darujmy sobie te pogrożki.

– ...nie zostanie z ciebie więcej, niż trzeba, by zapełnić gnomową miseczkę, by wykarmić najmniejszego nawet jaskinnika. Sprawię, że będziesz cierpieć tak, jak sobie nawet...

– Czy jesteś gotów, by mnie wysłuchać?

Smok wznosił głowę z pogardą.

– Nie przyrzeknę tobie wierności, Holiday! W tych okolicznościach przysięga nie miałaby znaczenia!

– Rozumiem – zgodził się Ben. – Nie chcę, żebyś mi przyrzekał.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Smok przyglądał się uważnie. Nienawiść w jego spojrzeniu ustąpiła miejsca ciekawości.

Wyglądało na to, że najgorsze już minęło. Strabo był we władzy Bena – przynajmniej na jakiś czas. Ten odczuł przyjemną ulgę. Po raz trzeci zdołał uniknąć śmierci. W dłoni cały czas dzierżył medalion. Ścisnął go mocno i schował pod tunikę.

Szybko rozejrzał się wokół. Paladyn zniknął.

– Jak duch... – wymamrotał pod nosem.

Zwrócił się znowu do smoka. Strabo ciągle mu się przyglądał. Odrażający jęzor wił się nerwowo w zamglonym powietrzu.

* Fay Wray grała wybrankę King-Konga w pierwszej realizacji filmu (USA, 1933) w reż. M. Coopera i E. Schoedsacka.

– W porządku, Holiday. Poddaję się. Czego ode mnie chcesz?

Ben uśmiechnął się.

– Uspokój się, zaraz ci powiem.

ABADDON

Prawie już zmierzchało, gdy Ben przymocował ostatnie pasy przygotowanej naprędce uprzęży, nakazał Strabo przykleknąć i wspiał się na jego grzbiet. Ostrożnie zajął miejsce na siodle, umocowanym pomiędzy kilkoma z pokrywających grzbiet smoka kolców, sprawdził, czy wszystko przymocowane jest wystarczająco solidnie i wsunął buty w strzemiona.

Miał przynajmniej uprzęż i był z tego powodu bardzo zadowolony. Ta niezgrabna konstrukcja powstała ze szczątków różnych zwierząt, które padły ofiarą smoka i zostały zniesione tutaj, by bestia mogła je w spokoju konsumować. Leżały wszędzie wokół, rozrzucone na dnie kotliny. Ben zamocował siodło na grzbiecie smoka, na wysokości jego przednich łap.

Do głowy przytwierdził lejce, które poprowadził wzdłuż szyi aż do miejsca, w którym zasiadał. Ani przez chwilę nie oczekiwał, by mógł kierować smokiem tak jak wierzchowcem. Było to raczej dodatkowe zabezpieczenie przed upadkiem.

– Jeśli spadniesz, Holiday, będzie z tobą krucho – ostrzegł go wcześniej smok.

– W takim razie lepiej zatroszcz się o to, żebym nie spadł nakazał Ben. – Rozkazuje ci zrobić wszystko, żebym nie spadł.

Nie był jednak wcale przekonany, czy smok będzie w stanie tego dokonać, niezależnie od mocy działającego na niego pyłu.

Zstępowali do podziemnego świata i obaj narażeni byli na poważne zagrożenie. Strabo może mieć trudności z zapewnieniem bezpieczeństwa im obu. Wyprawa na ratunek przyjaciółom nie zapowiadała się łatwo i mogła się przecież nie powieść.

Ben przerwał rozmyślania, usadowił się w siodle i rozejrzał po okolicy. Ruszyli i dotarli do skraju Ognistych Źródeł, opuszczając wreszcie okolice usianą kraterami i gęstymi krzewami. Dzień dobiegał już końca i słońce chowało się za widoczne w oddali wierzchołki gór. Mgły i mrok brały we władanie całą dolinę. Landover było ponurym zbiorowiskiem cieni i niewyraźnych kształtów. Ben obserwował zapadający dosłownie na jego oczach zmierzch. Miał nieprzyjemne przeczucie, że widzi to po raz ostatni w życiu.

Podniósł się w strzemionach, starając się zwalczyć w sobie wszelkie objawy niezdecydowania i słabości. Zmusił się do ponurego uśmiechu. Oto Ben Holiday, rycerz na swym rumaku, wyruszyć ma na odsiecz! Niemal wybuchnął śmiechem.

Don Kichote, wyprawiający się na walkę z wiatrakami. Cóż za zdjęcie mógłby posłać rodzinie i przyjaciółom, gdyby miał teraz przy sobie aparat! Do licha! Nigdy przecież nie myślał, nie przypuszczał nawet, że kiedykolwiek będzie coś takiego robił. Tyle lat spędził w ścianach budynków z betonu i stali, tyle lat w zatłoczonych salach sądowych i cuchnących stęchlizną prawniczych bibliotekach. Nieskazitelnie biały papier podań i prawniczej korespondencji. Księgi, kodeksy i statusy.

Jakże daleko był teraz od tego wszystkiego!

Był pewien – a sam dziwił się, skąd owa pewność się bierze – że już nigdy do żadnej z tych rzeczy nie powróci.

– Co tam robisz u góry? Podziwiasz widoki? – syk niezadowolonego Strabo przerwał mu dalsze rozmyślenia. – Lepiej już ruszajmy.

– W porządku – powiedział cicho Ben. – Ruszajmy.

Smok rozpostarł skrzydła i jednym ich szarpnięciem oderwał się od podłoża. Ben kurczowo trzymał się upręży, obserwując, jak ziemia szybko ucieka pod nimi w dal. Krzaki jeżyn, poszycie leśne i martwy las mignęły mu przed oczami i zniknęły w tumanach mgły. Teraz otaczał go tylko mrok.

Gdzieś tam, na dole, w ukryciu siedzieli zapewne Filip i Sot.

Przed odlotem odnalazł ich tylko, by powiedzieć, jaki obrót przybrały sprawy, i że leci na grzbiecie smoka do Abaddonu na ratunek swym towarzyszom. Odesłał ich do Sterling Silver, aby tam oczekiwali jego powrotu. Aż nadto pragnęli odejść jak najdalej z tego miejsca. Ich przerażone twarze jasno wyrażały przekonanie, że widzą go po raz ostatni.

Może rzeczywiście widzą mnie po raz ostatni? – pomyślał.

Może powinien był odesłać ich do domu i powiedzieć, by o nim zapomnieli? Prawdopodobnie jednak nie poszliby. Ciągle bardzo serio traktowali swą przysięgę.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, jak wiele mu pomogli – para niedomytych złodziejasków i kanibali. Kto by przypuszczał? W duchu życzył im powodzenia.

Strabo leciał w ciemnościach nocy ze wschodniej części pustkowi ku granicom Greensward, a potem dalej na zachód.

Na niebie świeciły księżycy Landover. Tej nocy widoczne były wszystkie: brzoskwiniowy, ciemnopurpurowy, zielonkawy, w kolorze akwamaryny, morskozielony, fiołkoworóżowy, turkusowy, i lśniącobiały. Unosimy się niczym olbrzymi, porwany wiatrem z jakiegoś ogrodowego przyjęcia balonik – myślał Ben.

Mijały minuty. Ben czuł, jak w rytm uderzeń niosących ich na zachód skrzydeł, faluje pod nim potężne cielsko smoka. Z całych sił trzymał się upręży i lejców, robiąc wszystko, by w tej powietrznej przejażdżce nie postradać życia. Pęd powietrza zapierał mu dech, wiatr chłostał po twarzy. Czuł przenikliwy chłód. Landover zdawało się teraz być olbrzymim naczyniem, pełnym gotującej się stawy. Lot na smoku podniecał go, lecz i przerażał. Nie przepadał za jazdą konną, o podróży na smoczym grzbiecie nie wspominając. Strabo nie wykonywał jednak gwałtownych ruchów, co z pewnością pomagało Benowi (który jednak ciągle nie był przekonany, czy w pełni panuje nad sytuacją) – utrzymać się w siodle.

Zdawał sobie sprawę z tego, że pył Io może przestać działać w każdej chwili, i że będzie to oznaczało jego koniec.

– To bezsensowna wyprawa – rzekł chwilę później Strabo, jakby czytając w jego myślach. Odwrócił swą pokrytą kolcami i łuskami głowę, błyskając oczami. – Wszystko dla tej garstki ludzi!

– Moich przyjaciół! – krzyknął Ben w odpowiedzi. Pęd powietrza wciskał mu słowa na powrót do gardła.

– Twoi przyjaciele nic dla mnie nie znaczą!

– I odwrotnie – ty też nie znaczysz dla nich nic! Może z wyjątkiem Questora Thews. On chyba uważa cię za kogoś niezwykłego.

– Mag? Ha!

– Rób tylko to, co ci nakażę – przypomniał mu Ben.

– Nienawidzę cię, Holiday!

– Przykro mi, ale nie ma to dla mnie znaczenia.

– Wkrótce go nabrać! Prędzej czy później uwolnię się spod działania czaru, a wtedy bardzo pożałujesz, że w ogóle pomyślałeś, by mnie w ten sposób wykorzystać!

Głowa znowu odwróciła się. Chropawy, zimny, jakby wydobywający się z maszyny głos smoka tonał w poszumie wiatru. Ben nie odpowiedział. Chwycił się tylko jeszcze mocniej uprząży. Byli teraz nad Greensward, prawie w samym środku doliny. Ben nie wiedział, dokąd lecą. Wiedział, że smok wiezie go do Abaddonu, lecz nie miał najbłedszego pojęcia, gdzie ów Abaddon leży. Abaddon był podziemnym światem Landover, lecz przejście do niego było przesmykiem czasu podobnym do tego, przez który Ben przedostał się ze swego świata do Landover. Przejście to było podobne, lecz nie identyczne, i nie można było go znaleźć we mgłach otaczających dolinę. Jak powiedział mu Strabo, ukryte było gdzieś w obrębie samej doliny. Gdzieś, gdzie dostać się potrafią tylko demony...

Strabo zwolnił nagle i zaczął opadać, zataczając coraz szersze kręgi. Ben spojrzał w dół. Cała dolina była okryta mgłą i ciemnościami. Strabo rozpostarł szerzej skrzydła i zaczął wyhamowywać, lecąc pod wiatr.

– Trzymaj się mocno! – krzyknął.

Zanurkował nagle i leciał teraz szybko w dół. Przykurczył nieco skrzydła i wyciągnął długą szyję. Nabierali prędkości, schodząc coraz stromiej w dół. Wiatr w uszach Bena ryczał złowrogo, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. W dole zaczął dostrzegać zbliżającą się z każdą sekundą ziemię. Bena przeszył lodowaty dreszcz. Lecą zbyt szybko! Za chwilę rozbiją się w samym środku Greensward!

Wtem z gardła smoka wydobył się olbrzymi, połyskujący płomień purpurowego ognia. Powietrze zdawało się w nim topnieć. Niczym płonący celofan rozstąpiło się na boki, pozostawiając po środku postrzępiony otwór. Ben zmrużył oczy i dojrzał w ciemnościach nocy jeszcze ciemniejszą dziurę.

Ogień z paszczy smoka zgasł, lecz dziura pozostała. Przelecieli przez nią, wpadając w czarną pustkę. Landover zniknęło. Zniknęło tonące we mgłach Greensward. Dziura zamknęła się za nimi z głośnym dźwiękiem zasysanego powietrza.

Potem zapanowała cisza.

Strabo wyrównał lot. Ben podniósł nieco głowę i rozejrzał się ze swego siodła na smoczym grzbiecie. Świat wokół przeszedł radykalną metamorfozę. Zniknęły księżycy i gwiazdy.

Czarne jak atrament niebo rozciągało się ponad urwistymi skałami, rozpadlinami i kotlinami. Na horyzoncie błyskały pioruny. Przypominało to jakiś dziwaczny pokaz sztucznych ogni. W oddali widać było czynne wulkany. Z ich szczytów biło czerwone światło, a po zboczach spływała niczym strumienie krwi czerwona lawa. Ziemia drżała i dudniła od erupcji. W górę buchały gejzery ognia i stopionych skał.

– Abaddon – oznajmił powoli Strabo.

Opadał z ogromną prędkością, a Ben czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Wierzchołki gór migają obok nich, wszędzie wokół buchał ogień z wulkanów. Ben był przerażony.

Abaddon stanowił urzeczywistnienie najgorszych koszmarów.

Nigdy jeszcze nie widział tak niegościnnego miejsca. Któż mógłby przetrwać w tym świecie?

Obok przemknął jakiś uskrzydłony cień. Po nim następny, potem jeszcze jeden, i kolejne. Dało się słyszeć ostre syki. Ben dostrzegł błyskające zęby. Wtem smok buchnął ogniem i jeden z mijających go cieni zwałił się na ziemię. Ben przywarł do grzbietu Strabo, kryjąc się pomiędzy kolcami. Ogień buchnął znowu i kolejny zwęglony demon zanurkował ku ziemi. Strabo zrobił kilka uników, wymijając coraz liczniejsze latające potwory, wyprężył swe potężne ciało i zwiększył prędkość.

Minęli kilka postrzępionych szczytów i smok znowu zwolnił.

– Komary – mruknął z zadowoleniem. – Nie mogą się ze mną równać!

Ben był zlany potem i z trudnością łapał oddech.

– Jak daleko jeszcze?

Smok zaśmiał się chropawo.

– Kawaleczek, Holiday. W czym rzecz? Czyżbyś się spodziewał przyjemniejszej podróży?

– Nic mi nie będzie. Rób, co ci kazałem, i znajdź mych przyjaciół!

– Cierpliwości, Holiday.

Smok leciał poprzez rozjaśnianą błyskami ciemność. Komary atakowały ich jeszcze dwa razy i za każdym z nich Strabo palił kilka z nich swym płomieniem, nie zwalniając nawet lotu.

Abaddon opadał coraz głębiej, nie zmieniając jednak wyglądu. Był światem skał i ognia. Na horyzoncie cały czas szaleńczo błyskały białe światła, czerwienią jaśniała spływająca po zboczach wulkanów lawa, lecz ciemności kotlin i rozpadlin pozostawały nieprzeniknione. Jeśli nawet były tam jakieś żywe stworzenia, nie mieli szans, by dostrzec je z takiej wysokości.

W Benie zaczęło narastać poczucie beznadziejności i próżności jego wysiłków. Jego przyjaciele uwięzieni byli tutaj od niemal pięciu dni!

Strabo skręcił w lewo, przelatując pomiędzy dwoma gigantycznymi wulkanami i zaczął obijać swój lot. Powietrze zawirowało, a po zboczach popęzły języki ognia. Ben wpatrywał się w strumienie lawy. W ogniu poruszały się jakieś stworzenia!

Z ciemności za jednym z wierzchołków wyłonił się nagle potężny kształt bestii, wyciągającej ku nim swe macki. Strabo syknął i zionął ogniem na jedną z nich. Ramiona zadygotały i cofnęły się. Stworzenie zniknęło.

Przedarłszy się pomiędzy szczytami, znaleźli się w otoczonej stromymi, postrzępionymi górami dolinie. Strabo gwałtownie zanurkował, po czym wyrównał lot nie wyżej niż kilkanaście metrów nad powierzchnią ziemi. W dole bulgotały zbiorniki rozżarzonej lawy, miotając co chwila w niewielkich eksplozjach odłamkami skał. Nagie dno doliny pocięte było mrocznymi pęknięciami i szczelinami. W purpurowej poświacie zewsząd zaczęły u się ukazywać niewielkie, dziwaczne, lecz w jakimś stopniu przypominające ludzi, stworzenia. Na widok zbliżającego się smoka wydawały z siebie przenikliwe krzyki, niknące szybko w ryku wulkanów. Smok zaskrzeczał w odpowiedzi.

Wokół nich pojawiły się większe i bardziej przerażające uskrzydłone stworzenia. Strabo przyspieszył i wyrównał lot.

Ben przylgnął do smoka tak mocno, że wyczuwał jego puls.

Pasy uprząży trzeszczały pod jego ciężarem. Czuł, że demony pozostają w tyle.

Wtedy ukazała się przed nimi gigantyczna dziura, gardziel głęboka na tysiące metrów. Na jej środku wisiał zawieszony na łańcuchach kawał skały – kamienny dysk o średnicy nie większej niż kilka metrów. Dysk ten kołysał się i chwiał nieustannie na swej stalowej pajęczynie. Z dołu sięgały ku niemu płomienie ognia.

Ben wstrzymał oddech. Na kamiennym dysku przycupniętych było kilka drobnych postaci, usiłujących utrzymać równowagę.

Byli to jego przyjaciele!

Strabo zanurkował w ich kierunku, a za nim – ścigające ich stado wszelkiej maści demonów. Setki innych zgromadzone były wokół dziury. Ciskały kamienie w kierunku przycupniętych na kamiennej platformie ludzi i szarpały utrzymującymi ją łańcuchami. Wszystkie radośnie wyły. Ben z przerażeniem zdał sobie sprawę z tego, że grają w jakąś grę! Demony schwytały jego przyjaciół, umieściły na owym kawałku skały, a teraz robiły wszystko, by tamci spadli prosto do płonącej gardzieli!

Smok zbliżał się do otworu. Dopiero teraz dostrzegły go rozbawione demony. Zawyły i rzuciły się ku zaczepom łańcuchów. Zamierzały strącić jego przyjaciół w przepaść, nim smok zdąży do nich dotrzeć!

Ben był bliski szaleństwa. Łańcuchy odpadały jeden po drugim, skalny dysk trząsł się i kołysał. Strabo zionął ogniem, zamieniając w popiół parę tuzinów demonów, lecz pozostałe nadal odczepiały łańcuchy. Ben wrzasnął, przerażony, widząc teraz wyraźnie sylwetki Questora Thewsa, Abernathy'ego, koboldów i Willow! Strabo niczym rakietą, minął krawędź otchłani, przelatując ponad zwalnającymi łańcuchami demonami. Zbyt późno – pomyślał Ben. Dotrą tam zbyt późno!

Nastąpiła chwila, w której czas zamarł. Była to wieczność, a zarazem moment nieuchwytnie krótki. Ben z porażającą precyzją widział wszystko, co się działo. Widział, jak łańcuchy zwolnione całkowicie z jednej strony, opadają w przepaść, a z nimi – skalna platforma, zwisająca już tylko na pozostałych kilku łańcuchach. Jego przyjaciele rozpaczliwie czepiali się jej rękami, ześlizgując się jednak powoli w dół.

Strabo znowu ostro zanurkował, ciągnąc za sobą Bena prosto w płomienie. Dotarł do kamiennej platformy, gdy tamci zaczęli z niej spadać. Uzbrojone w pazury łapy chwyciły w locie

dwóch z nich. Paszczą schwytał następnego. Odwrócił olbrzymi łeb i usadził przed Benem kobolda. Drugi kobold zdołał sam chwycić się pasów uprzęży. Ostatnia osoba runęła w otchłani. Był to Questor Thews.

Przerażony Ben widział, jak spada w swych powiewających ozdobionych barwnymi wstęgami szarych szatach, przypominających teraz spadochron. Strabo runął w dół, lecz po chwili znów zaczął się wznosić ku czarnemu niebu. Od maga dzieliła go już zbyt wielka odległość. Nie mógł go ocalić.

– Questor! – wrzasnął Ben.

Wtedy zdarzyło się coś prawdziwie magicznego. Coś, co nawet po wszystkich poprzedzających to wydarzeniach, do głębi wstrząsnęło Benem. Questor zdał się opadać coraz wolniej, aż w końcu całkowicie się zatrzymał, wisząc w powietrzu.

W świetle purpurowego ognia z dna otchłani rozpostarł ramiona i jego tyczkowata sylwetka wolno poczęła wznosić się ku górze.

Ben wstrzymał oddech. Istniało tylko jedno możliwe wyjaśnienie. Questor Thews zdołał w końcu użyć właściwego zaklęcia. Zapanował nad magią!

Strabo znowu runął w dół, paląc po drodze swym ogniem parę tuzinów komarów i innych latających demonów, które usiłowały mu przeszkodzić. Dotarł do Questora, gdy ten lewitował na wysokości wylotu otchłani. Wleciał pod niego i poderwał się, sadzając go na grzbiet tuż za Benem.

Ben odwrócił się błyskawicznie i oniemiał. Questor siedział za nim, nieruchomy niczym posąg, z twarzą pokrytą popiołem i jaśniejącymi zaskoczeniem oczami.

– To... to tylko kwestia odpowiedniego ułożenia palców, panie... – zdołał wydusić, nim zemdłał.

Ben odwrócił się i jedną ręką mocno chwycił za szatę maga, by zabezpieczyć go przed upadkiem. Strabo nabierał wysokości. Przez chwilę dało się słyszeć wściekłe piski, wrzaski i przekleństwa demonów, które jednak ucichły, kiedy pędzący smok zostawił je daleko w tyle. Wznosili się szybko, a ziemia pod nimi zmieniała się stopniowo w morze ciemności posiekanych płomieniami ognia. W oddali znowu widać było taniec tnących białym światłem horyzont błyskawic.

Cały Abaddon zdawał się trząść i dygotać.

Po pewnym czasie Strabo znowu zionął ogniem i znowu powietrze zdawało się przed nimi topić i rozstępować. Przemknęli przez otwór o postrzępionych, zdających się smażyć brzegach.

Ben zmrużył oczy. Gdy otworzył je znowu, na zamglonym, nocnym niebie świeciły gwiazdy i barwne księżyce.

Znowu byli w Landover.

Parę chwil zajęło Benowi, nim się zorientował, gdzie się znaleźli. Byli w Landover, lecz już nie w Greensward, a gdzieś na północnych krańcach doliny. Strabo zatoczył kilka kół ponad gęstym lasem i nagimi wzgórzami, by w końcu wylądować na opustoszałej łące.

Ben zszedł z jego grzbietu. Bunion i Parsnip powitali go sykami i błyskami białych zębów. Byli tak podnieceni, że z najwyższym trudem nad sobą panowali. Abernathy ponuro zsunął się

na ziemię, podniósł się, otrzepał i przeklął dzień, w którym ich wszystkich poznał. Questor, półprzytomny, opuścił się wolno po pasach uprząży prosto na Bena. Jego oczy utkwione były w smoku.

– Nie przypuszczałem nigdy, że dożyję dnia, w którym ujrzę, iż ktoś panuje nad tym... tym wspaniałym stworzeniem! – wyszeptał z podziwem. – Strabo, ostatni ze starych smoków, największe z czarodziejskich stworzeń na usługach króla Landover! To tylko pył Io, ale mimo wszystko...

Wsparł się o Bena i nieco bardziej oprzytomniał.

– Panie! Jesteś cały i zdrow! Byliśmy przekonani, że zginąłeś! Jak zdołałeś się wydostać z czarodziejskiego świata?

Nigdy się nie dowiem, jak było to możliwe! Osiągnąłeś to... Był tak rozentuzjasmowany, że na chwilę odebrało mu głos.

Sięgnął po dłoń Bena i z trząśł nią z wigorem. Ben nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. – Poszliśmy cię szukać, kiedy nie powróciłeś po całym dniu nieobecności i wtedy dopadła nas wiedźma – opowiadał pospiesznie mag. – Wysłała nas do Abaddonu i umieściła na tym kamiennym dysku, ku uciesze demonów. Prawie pięć dni, panie! Spędziliśmy tam prawie pięć dni!

Koboldy zaczęły posykiwać i mówić z podnieceniem, wskazując na nimfę. Questor pokiwał głową, a jego entuzjazm nagle przygasł.

– Tak, macie rację, mówię zbyt wiele, a są pilniejsze sprawy. Zapomniałem – ujął ramię Bena. – Sylfida jest bardzo chora – zawahał się, a potem pociągnął Bena za sobą. – Przykro mi, panie. Ona chyba umiera.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Bena. Szybko ruszył w kierunku przycupniętego, obserwującego ich przymrużonymi oczami Strabo. Abernathy pochylił się nad leżącą nieruchomo w trawie Willow. Ben przyklęknął obok, a Questor i koboldy również zbliżyli się do leżącej.

– Jej czas połączenia z ziemią nadszedł, gdy była uwięziona w Abaddonie – wyszeptał Questor. – Nie mogła się oprzeć tej przemożnej sile, lecz skały nie przyjęły jej...

Ben zadrzał. Willow próbowała przejść swą metamorfozę, która najwidoczniej udała się tylko częściowo. Jej skóra stała się chropowata i podobna do kory, palce u nóg i rąk przekształciły się w powykrzywiane korzenie, włosy stały się wiotkimi witkami, a tułów był skręcony i rozdzielony. Widok był tak potworny i odrażający, że Ben z ledwością mógł na to patrzeć.

– Ciągle oddycha, panie – rzekł cicho Abernathy.

Ben walczył z obrzydzeniem.

– Musimy ją ocalić – powiedział, rozpaczliwie zastanawiając się nad sposobami ratunku. Z przerażeniem ujrzał, jak ciało Willow skręca nagła konwulsja i spod skóry na ramionach wydobywają się kolejne korzenie. Sylfida zamrugnęła nieprzytomnymi oczami i znowu je zamknęła. Była w agonii. Bena przeszył ogień gniewu. – Questorze, użyj czarów!

– Nie, panie! – mag powoli pokręcił głową. – Moje czary nie mogą jej pomóc. Ocalić ją może tylko jedno. Musi dokończyć swej metamorfozy.

Ben odwrócił się do Questora.

– Jak ma to zrobić, do licha! Przecież jest ledwie żywa!

Nikt się nie odezwał. Ben znowu odwrócił się do dziewczyny. W żadnym wypadku nie powinien był zostawiać jej samej z Nocnym Cieniem. W ogóle w żadnym wypadku nie powinien jej po, ^olić iść ze sobą. To była jego wina! Jeśli dziewczyna umrze, to właśnie z jego winy...

Zaklął cicho i odepchnął te myśli. Jego umysł pracował na pełnych obrotach.

Nagle coś mu się przypomniało.

– Stare sosny! – wykrzyknął. – Lasek koło Elderew, na którego polanie tańczyła jej matka, i na której Willow przeszła metamorfozę tamtej nocy! To było dla niej szczególne miejsce. Może tam będzie w stanie dokończyć transformacji. Znowu stał i wydawał już polecenia pozostałym. – Pomóżcie mi ją przenieść! Strabo, pochyl się!

Przymocowali nimfę do grzbietu smoka, a sami uczepili się uprzęży. Ben zasiadł przed nieprzytomną dziewczyną, Questor i Abernathy za nią, a koboldy zajęły miejsca przy strzemionach.

Strabo mruknął z niezadowoleniem, słysząc kolejne rozkazy Bena, lecz poderwał się do lotu. Lecieli na południe. Smok to wyrównywał lot, to wznosił się i opadał, wyężdżając siły, by zwiększyć prędkość. Pęd powietrza zagrażał im wszystkim upadkiem z grzbietu Strabo. Mijały minuty. W dole kraina gór ustąpiła miejsca równinom Greensward. Ben sięgnął ręką za siebie, by dotknąć dziewczyny. Stwierdził, że jej podobna do kory skóra staje się zimna i twarda. Willow umierała. Na ratunek było już za późno. Minęli Greensward i znaleźli się nad lasami i wodami krainy jezior – przyćmionymi, barwnymi plamami, widocznymi poprzez opary mgły. Smok obniżył lot i pędził teraz tuż ponad wierzchołkami drzew. Ben drżał z rozpaczy i niecierpliwości. Rękę trzymał stale na ramieniu Willow i zdawało mu się, że czuje, jak z nimfy uchodzi życie.

Wtem Strabo gwałtownie zakręcił w lewo i zniżył się tuż nad las. Powitały ich gęste drzewa. Poprzez ich gałęzie dostrzegli niewielką polanę. Po chwili znowu byli na ziemi. Ben bez słowa opuścił się na dół z grzbietu smoka. Inni w szaleńczym tempie uwalniali Willow z zabezpieczających ją części uprzęży. Otaczała ich ponura ściana lasu. Pomiędzy pniami drzew wiły się strumienie mgły. Bunion zasyczał na nie i, wiedziony niezawodnym instynktem, poprowadził całą grupę za sobą. Weszli pomiędzy drzewa. Przedzierając się w ciemnościach przez zarośla, nieśli zeszywniałe ciało dziewczyny.

W ciągu kilkunastu sekund znaleźli się przy starych sosnach. Mroczne drzewa stały wokół zasnutej mgłą polany niczym jej odwieczni strażnicy. Ben poprowadził towarzyszy ku jej środkowi – ziemistej scenie, po której w noc przed jego odejściem z Elderew tańczyła matka Willow.

Delikatnie ułożyli Willow na ziemi. Ben ujął ramię dziewczyny ponad korzeniami, które przebiły jej skórę na wysokości nadgarstków. Ręka była zimna i bez życia.

– Ona nie oddycha, panie! – wyszeptał Questor.

Ben był bliski szaleństwa. Uniósł zeszywniałą nimfę w swych ramionach i przytulił. Płakał.

– Do licha! Nie możesz umrzeć! Nie możesz mi tego zrobić, Willow! – kołysał ją, czując jak jej chropawa skóra drapie jego policzki. – Willow! Powiedz coś!

I nagle zdało mu się, że w ramionach trzyma połamane i zakrwawione ciało rannej w wypadku Annie. Jeszcze jeden wrak do usunięcia ze sceny życia. Czuł połamane kości, krew i poszarpane ciało. Czuł w jej wnętrzu jeszcze słabo pulsujące życie nie narodzonego dziecka. – O, mój Boże! – jęknął cicho.

Potrząsnął głową i wizja zniknęła. W ramionach trzymał znowu Willow. Pochylił się, całując policzek i usta nimfy. Jego łzy padały na jej twarz. Utracił Annie i dziecko, które nosiła w łonie. Nie przeżyłby, gdyby miał teraz utracić i Willow.

– Nie umieraj! – błagał. – Nie chcę, żebyś umierała! Willow, proszę!

Jej delikatne ciało zadygotało, niemal cudem zdobywając się na reakcję na jego słowa. Willow otworzyła oczy. Ben patrzył w nie, nie dostrzegając już zniekształconego niedokończoną transformacją ciała i twarzy. Pragnął wskrzesić tę odrobinę tłącego się jeszcze w jej głębi życia.

– Wróc do mnie, Willow! – błagał. – Musisz żyć!

Oczy znowu zamknęły się, lecz ciało, nad którym Willow usiłowała odzyskać władzę, wyprężyło się w wysiłku. Przełknęła.

– Pomóż mi, Ben. Postaw mnie.

Pospiesznie postawił ją na nogi i podtrzymał. Pozostali odsunęli się od nich o krok. Trzymał ją w ten sposób, czując, jak siły życiowe ziemi torują sobie już w niej drogę. Czuł, że zaczyna się metamorfoza. Jej korzenie wbiły się głęboko w leśną glebę, konary wydłużyły i rozdzieliły. Pień zeszywniał i stwardniał.

Potem wszystko ucichło. Ben spojrzał w górę. Metamorfoza dokonała się. Willow stała się drzewem, którego imię nosiła. Wszystko było na dobrej drodze.

Ben zacisnął mocno powieki.

– Dziękuję – wyszeptał.

Pochylił się, objął ramionami pień i zapłakał.

Przed świtem ukazał się demon. Zmaterializował się nagle w mroku: mroczne, przerażające stworzenie, odziane w czarną zbroję. Stało się to szybko i zupełnie niespodziewanie. Zaszepotał wiatr, zawirowały mgły, i demon stał już przed Benem.

Ben obudził się niemal natychmiast. Drzemał tylko, zbyt podekscytowany minionymi wydarzeniami, by głębiej zasnąć, i zeszywniały od wspierania się o pień drzewa, w które zamieniła się Willow. Strabo prawdopodobnie cały czas znajdował się na polance, na której go pozostawili.

Demon zbliżył się do Bena, a ten powstał, by wyjść mu naprzeciw. Wtedy koboldy rzuciły się, by zagrozić potworowi drogę. Abernathy drgnął, przebudził się i kopnął Questora. Mag również obudził się i poderwał na nogi. Zakuta w hełm głowa demona wolno obróciła się. Jego purpurowoczerwone oczy z wystudiowaną uwagą przyjrzały się zgromadzonym w sosnowym zagajniku.

Potem przemówił. Ben nie rozumiał niczego, a przemówienie demona się skończyło, nim zdążyło się na dobre rozpocząć. Questor zawahał się, potem spojrzał na Bena.

– Mark wyzywa cię na pojedynek, panie. Żąda, byś stawił się do walki za trzy dni o świcie w Sercu.

Ben bez słowa pokiwał głową. A więc stało się to, co było nie do uniknięcia. Jego czas dobiegł końca. Był ledwie w pół przebudzony, bliski całkowitego wyczerpania po tym, co się działo przez ostatnie kilka dni, lecz w jednej chwili pojął, jakie znaczenie będzie miał ten pojedynek.

Mark miał go dosyć. Był wściekły.

Lecz może – ale tylko może – również się go obawiał?

Questor powiedział mu kiedyś, że demon wyzywał zwykle władców Landover na pojedynki w środku zimy. A przecież do zimy było jeszcze daleko. Demon najwyraźniej chciał przyspieszyć bieg wypadków.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym i usiłował wysnuć jakieś wnioski, lecz tylko pokręcił obojętnie głową. Nie miało to znaczenia. Decyzję, że pozostanie, podjął już dawno temu, i nic nie mogło jej teraz zmienić. Jego własne zdecydowanie mile go zaskoczyło. Dzięki niemu poczuł się lepiej.

Skinął głową w kierunku posłańca.

– Będę tam.

Mgły zawirowały i demon zniknął. Przez chwilę Ben patrzył w miejsce, gdzie stał, a potem wznosił wzrok na drzewa, nad którymi pojawiła się już słaba, zapowiadająca świt luna.

– Chodźmy spać – rzekł do pozostałych.

Znowu wsparł się o pień wierzby, przytulił policzek do chropawego pnia i zamknął oczy.

Gdy obudził się ponownie, był już ranek. Leżał wyciągnięty na ziemi w cieniu starych sosen. Jego głowa spoczywała na kolanach Willow, która znowu wróciła do swej ludzkiej postaci.

– Ben – powitała go cicho.

Spojrzał na jej smukłe ramiona, ciało i twarz. Była dokładnie taka, jak wtedy, gdy ujrzął ją po raz pierwszy, kąpiącą się w wodach jeziora Irrylyn. Odzyskała dawną barwę, urodę i wypełniającą ją energię. Była taką, jakiej się obawiał i jakiej zarazem pragnął. Ale nie miało to teraz takiego znaczenia.

Znaczenie miało to, że uczucia odrazy, lęku i alienacji minęły. Zastąpiła je nadzieja.

Uśmiechnął się.

– Potrzebuję cię – wyszeptał, i była to najszczęśliwsza prawda.

Pochyliła się nad nim i pocałowała go. Ben przytulił ją do siebie.

ŻELAZNY MARK

Pierwszą rzeczą, za jaką Ben zabrał się tego dnia, było uwolnienie smoka z mocy pyłu Io. Zwrócił Strabo wolność pod warunkiem, że ten nie będzie już polował w Greensward i innych zamieszkałych rejonach Landover, i nie będzie prześladował mieszkańców Landover, póki Ben będzie jego królem.

– Czas twego królowania to kropla w oceanie mego życia, Holiday – rzekł chłodno smok, mrużąc w zamyśleniu oczy.

Stali teraz na polanie, na której Strabo spędził noc.

Ben wzruszył ramionami.

– Tym łatwiej będzie ci dotrzymać warunków naszej umowy.

– Warunki stawiane przez ludzi nigdy nie są łatwe do przyjęcia, szczególnie, jeśli są to ludzie zdradliwi jak ty.

– Komplementy nie pomogą ci zyskać niczego więcej, ponad to, co już ci zaoferowałem – odrzekł Ben. – Zgadzasz się, czy nie?

Strabo rozszerzył nozdrza i błysnął zębami.

– Ryzykujesz, że moje słowo może okazać się nic nie warte, jeżeli zostało dane pod wpływem pyłu Io!

Ben westchnął.

– Tak, czy nie?

Strabo wydobył gdzieś z głębi siebie niski syk.

– Tak. – Rozprostował swe pokryte skórą skrzydła i wznosił długą szyję ku niebu. – Wszystko, byle się od ciebie uwolnić. – Zawahał się i jeszcze raz pochylił nad Benem. – Mam nadzieję, iż rozumiesz, że sprawa pomiędzy nami jeszcze nie jest dokończona? Spotkamy się kiedyś jeszcze i wyrównamy nasze rachunki!

Wzniósł się z łopotem bijących powietrze skrzydeł i znalazł się ponad drzewami. Potem skierował się na wschód i zniknął w promieniach wschodzącego słońca. Ben śledził go przez jakiś czas wzrokiem.

Najpierw zaskoczony, później zły, a w końcu rozczarowany Questor Thews nie mógł pojąć postępowania króla. Co zamierzał osiągnąć w ten sposób? Dlaczego uwolnił Strabo?

Smok jest przecież potężnym sprzymierzeńcem – mógłby być bronią, z którą nikt nie śmiałby się zmierzyć. Za jego pomocą można by wymusić przysięgę poddanych, których Ben tak bardzo potrzebował.

– Trzymanie go dalej dałoby wręcz przeciwny efekt – wyjaśniał magowi Ben. – Skończyłbym, używając go jako bata na swych wrogów. Chcę, by przysięga wierności wobec mnie wynikała z szacunku, a nie ze strachu przed smokiem. Nie chcę lojalności ze strachu. Poza tym, Strabo byłby mieczem obosiecznym. Prędzej, czy później pył Io przestałby działać, i co wtedy? W jednej chwili zwróciłby się przeciw mnie. Nie, Questorze – lepiej, bym uwolnił go teraz, a swój los wziął we własne ręce.

– Łatwo powiedzieć, panie – przerwał mag. – A co, gdy przyjdzie ci stawić czoła Markowi? Strabo mógłby cię ocalić!

Powinieneś był trzymać go choć do tego czasu.

Ben pokręcił głową.

– Nie, Questorze – odrzekł łagodnie. – To nie jest walka smoka – to mój pojedynek. Stanać do niego muszę ja sam.

Pozostawił tę sprawę, odmawiając dalszej dyskusji na ten temat z kimkolwiek. Przemyślał to już wystarczająco dokładnie. Podjął decyzję. Dowiedział się o paru rzeczach, o których nie miał

wcześniej pojęcia, a z nich wyciągnął kolejne wnioski. Miał teraz wystarczająco jasny obraz tego, jakim królem winien być, by przedstawiać sobą dla poddanych i kraju jakąkolwiek wartość. Pod wieloma względami powrócił do sytuacji, w jakiej znajdował się, przybywszy do doliny. Pragnął, by przyjaciele zrozumieli go, lecz nie zamierzał im niczego wyjaśniać. Zrozumienie to powinno przyjść inną drogą.

Na szczęście nie było teraz czasu, by dalej się nad tym zastanawiać i sprzeczać. Pośród drzew ukazał się Władca Rzek, zaalarmowany przez swych ludzi, że coś dziwnego dzieje się w okolicy starych sosen. Powiadomiono go, że Strabo wylądował tam o północy, a odleciał stamtąd o świcie.

Przywiózł ze sobą garstkę ludzi, a wśród nich człowieka nazwiskiem Holiday, uzurpującego sobie prawo do tronu Landover, maga Questora Thewsa i zaginioną córkę Władcy Rzek.

Ben powitał go przeprosinami i krótkim wyjaśnieniem tego, co się z nim działo w ciągu ostatnich kilku tygodni i co go zmusiło do wtargnięcia w okolice Elderew. Powiedział, że Willow towarzyszyła mu na jego prośbę i że jego niedopatrzaniem było niepowiadomienie o tym wcześniej jej ojca. Dodał, że chciałby Sylfidę zatrzymać jeszcze przez jakiś czas.

Poprosił Władcę Rzek o spotkanie za trzy dni w Sercu.

Nie wspomniał ani słowem o wyzwaniu na pojedynek, jakie rzucił mu Mark.

– W jakim celu mamy się tam spotkać, panie? – zapytał Władca Rzek. Otaczały go ukryte we mgle blade sylwetki jego ludzi. Ich oczy błyskały w oparach pośród drzew.

– Jeszcze raz poproszę cię o złożenie przysięgi wierności tronowi Landover – odpowiedział Ben. – Myślę, że tym razem nie odrzucisz mojej prośby.

Twarz wodnika przybrała sceptyczny, nieco spłoszony wyraz. Skrzela na szyi przestały się poruszać.

– Przedstawiłem ci moje warunki, panie – rzekł Władca Rzek cicho. W jego głosie brzmiało ostrzeżenie.

Ben nie spuszczał z niego wzroku.

– Tak, pamiętam.

Władca Rzek skinał głową.

– Dobrze. Przybędę tam.

Uścisnął Willow, pozwolił jej pozostać z Benem i odszedł.

Jego ludzie zniknęli wraz z nim, mieszając się z mrokiem lasu.

Ben i jego towarzysze byli znowu sami.

Willow podeszła do niego i objęła go ramieniem.

– On nie zamierza złożyć ci przysięgi – szepnęła, zniżając swój głos tak, by nie słyszeli tego inni.

Ben uśmiechnął się ponuro.

– Wiem. Lecz mam nadzieję, że nie będzie miał wyboru.

Czas było ruszać w drogę. Ben wysłał Buniona do Rhyndweir, by wezwał Kallendbora i innych lordów Greensward.

Uczynił to, czego żądali: uwolnił ich od Strabo. Teraz ich kolej. Za trzy dni mieli przybyć do Serca i złożyć mu przysięgę wierności.

Bunion bez słowa zniknął w lesie, a Ben i reszta jego towarzyszy ruszyli w drogę do Sterling Silver.

Tym razem powrót z krainy jezior zabrał im więcej czasu, niż poprzednio, gdyż podróżowali pieszo. Ben nie przejmował się tym zbytnio. Miał czas, by myśleć, a spraw do przemyślenia była cała masa. Willow stale była w pobliżu niego, lecz nie mówiła zbyt wiele. Questor i Abernathy wypytywali go od czasu do czasu o plany dotyczące pojedynku z Markiem, lecz Ben nie odpowiadał. Prawdą było bowiem, że nie miał żadnych planów. Wolał jednak, by oni sądzili inaczej. Lepiej, by po prostu uważali, że nie chce im na razie niczego ujawniać.

Dużo czasu spędzał na obserwacji krain, przez które podróżowali, i wyobrażaniu sobie, jak mogły wyglądać, nim siły magiczne zaczęły podupadać. Często stawała mu przed oczami wizja wywołana przez czarodziejskie istoty – olśniewający, niezwyklej urody obraz świata wolnego od mgieł i mroku, świata nie tkniętego degeneracją i upadkiem żywotnych sił. Jak dawno temu dolina wyglądała w ten sposób? zastanawiał się. Wizja przywołana przez czarodziejskie istoty była czymś więcej, niż tylko wspomnieniem. Była obietnicą. Ben przyglądał się obłokowi mgły, który powoli zasłonił słońce i góry, rzadniejącym skupiskom drzew bonnie blues, wędnących i pokrytych czerniejącymi plamami, szarzejącym jeziorom i rzekom, łąkom i pastwiskom o wyschniętej, marnej trawie. Przyglądał się zamieszkującym dolinę ludziom, żyjącym na ziemi, która przestała dawać plony. Znowu przypomniały mu się twarze tych, którzy przybyli na jego koronację i tych, których spotykał na drodze do Rhyndweir.

Całe to zło da się jednak odwrócić, a magia może odzyskać swą dawną moc. Questor wierzył, że król wiernie służący krainie i pewnie prowadzący jej lud może to osiągnąć.

Największym problemem Landover było ponad dwudziestoletnie bezkrólewie.

Sam Ben jednak miał trudności z pojęciem tej zależności.

Dlaczego taka – wydawałoby się, że zwykła – rzecz, jak brak króla wywierała tak dalece posunięty wpływ na całą krainę?

Król to przecież tylko człowiek. Tylko figura. Jak to możliwe, by tak wiele zależało od jednej osoby?

A jednak jest to możliwe – doszedł w końcu do konkluzji.

Kraina czerpie swe siły życiowe z magicznych mocy, które ją stworzyły, a istnienie tych sił podtrzymuje osoba króla. Być może sytuacja taka nie byłaby możliwa w świecie rządzonym wyłącznie zwyczajnymi prawami natury, lecz tu mogło być przecież inaczej. Wszak Questor wspominał, że Landover narodziło się dzięki mocom magicznym. Może więc moce te będzie w stanie czerpać również z osoby króla?

Wnioski te były dla Bena szokujące. Nie potrafił jeszcze objąć myślą wszystkich implikacji tej przedziwnej zależności.

Ograniczył się do rozważenia tych, które w największym stopniu dotyczyły jego obecnej sytuacji, a przede wszystkim tego, co czynić, by pozostać przy życiu. Bez niego magiczne moce słabły. Bez magicznych mocy podupadała kraina. Między tymi trzema elementami istniał jakiś związek. Czuł, że jeśliby zdołał go pojąć, może zdołałby również ocalić swą skórę. Czarodziejskie

istoty nie stworzyły Landover jednego dnia, by oglądać jego upadek dnia następnego tylko z powodu braku władcy.

Musiały przewidzieć tę ewentualność i zapewnić jakiś sposób przywrócenia monarchii.

Lecz na czym ów mechanizm polegał?

Pierwszy dzień podróży do Sterling Silver zdawał się nie mieć końca. Gdy zapadła noc i towarzysze Bena zasnęli, on długo jeszcze leżał, rozmyślając w samotności.

Drugi dzień minął znacznie szybciej. W południe dotarli wreszcie do brzegu wyspy, na której wznosił się zamek Sterling Silver. U wrót czekał na nich Bunion, który zdążył już powrócić z Rhyndweir. Mówił szybko, silnie przy tym gestykułując. Ben nie mógł go zrozumieć.

W końcu wtrącił się Questor.

– Twoja wiadomość została dostarczona, panie – jego głos był pełen goryczy. – Władcy Greensward przybędą do Serca, lecz dopiero tutaj zdecydują, czy złożyć przysięgę wierności tronowi.

– Nic w tym zaskakującego – mruknął Ben. Zignorował wymianę spojrzeń pomiędzy Questorem i Abernathym, i ruszył ku bramie, dziękując po drodze Bunionowi.

Szybko maszerował korytarzami i przejściami ku wewnętrznemu dziedzińcowi. Za nim podążali pozostali. Ledwie zdołał zrobić krok w pierwszej z komnat, para jakichś obszarpanych i przemoczonych stworzeń rzuciła się bez opamiętania do jego stóp.

– O, możny panie!

– O, wielki panie!

Ben jęknął. Rzecz jasna, były to gnomy-dodomy. Filip i Sot padli przed nim na kolana, pochlipując i zawodząc w sposób zaiste żenujący. Ich futerka były sfilcowane i postrzępione, łapy oblepione błotem. Wyglądali jak gdyby dopiero co wyciągnięto ich z rynsztoka.

– Och, panie! Myśleliśmy, że pożarł cię smok! – chlpał Filip.

– Myśleliśmy, że zginąłeś w czeluściach podziemnego świata! – wył Sot.

– O, panie! Posiadasz wielką moc magiczną! – wielbił go Filip.

– O, tak! Powstałeś z martwych! – wtórował mu Sot.

Ben miał szczerą ochotę obsypać ich kopniakami.

– Czy zechcielibyście uprzejmie się ode mnie odczepić? nakazał. Gnomy przyłgnęły do jego nóg, całując go po stopach. Usiłował się z nich otrząsnąć, lecz one nie zwalniały swych rozpaczliwych uchwytów. – No, już, pozwólcie mi przejść!

Odpadły od jego nóg, nie wstając jednak z kamiennej posadzki. Mrużyły oczy, patrząc na niego wyczekująco.

– O, wielki panie! – wyszeptał Filip.

– Potężny...! – zaczął Sot.

Ben uciał mu wpół zdania.

– Parsnip, Bunion! Weźcie te dwie kule błota do kąpieli i nie wpuszczajcie ich tutaj, póki nie da się ich rozpoznać.

Koboldy zabrały nieustannie zawodzące gnomy z komnaty. Ben westchnął, zmęczony.

– Questorze! Abernathy! Chcę, byście jeszcze raz przestudiowali historię zamku i odszukali wszystko – wszystko! – na temat związków łączących magiczne moce, osobę króla i całą tę krainę. – Smutno pokręcił głową. – Wiem, że to już robiliśmy. Ale może... może jest jednak coś, co umknęło naszej uwadze... – zamikł.

Questor przytaknął skwapliwie.

– Tak, panie. Możliwe, że coś jednak przeoczyliśmy. Nie szkodzi sprawdzić jeszcze raz.

Po chwili zniknął razem z Abernathym w głębi sali. Mina skryby wyrażała powątpiewanie.

Ben pozostał sam z Willow. Przez chwilę stali tak w milczeniu. Potem wziął nimfę delikatnie za rękę i poprowadził ją korytarzami i schodami do krainogłędu. Czuł potrzebę przyjrzenia się dolinie jeszcze jeden raz. Ostami raz – miał powiedzieć, lecz ugryzł się w język. Chciał, by dziewczyna odbyła tę podróż razem z nim. Nie rozmawiali ze sobą zbyt wiele od czasu, gdy cudem zdołała ocaleć po pobycie w Abaddonie, lecz ciągle przebywali blisko siebie. Sama obecność Willow wiele mu pomagała. Dawała mu wsparcie, którego jeszcze w pełni nie był zdolny pojąć. Dawała mu siłę.

– Chcę, byś o czymś wiedziała – rzekł, gdy stali razem na platformie krainogłędu. – Nie wiem, co z tego wszystkiego wyniknie, lecz wiem, że twoja przyjaźń znaczy dla mnie bardzo wiele.

Nie odpowiedziała. Ścisnęła jego dłoń. Potem obydwójce chwycili się mocno poręczy, a po chwili mury zamku zniknęły gdzieś we mgle.

Nie było ich całe popołudnie.

Tej nocy Ben spał głęboko i spokojnie. Obudził się dopiero przed południem. Gdy schodził ze swej sypialni na dół, natknął się na Questora. Mag wyglądał na wyczerpanego.

– Nie mów nic. – Ben uśmiechnął się współczująco. – Pozwól mi zgadnąć.

– Nie ma czego odgadywać, panie – odrzekł Questor. Abernathy i ja pracowaliśmy całą noc i nie znaleźliśmy niczego. Przykro mi, panie.

Ben objął ramieniem tyczkowatą postać.

– Nie ma powodów do przykrości. Próbowałeś. A teraz idź spać. Spotkamy się na obiedzie.

W kuchni zjadł trochę owoców, sera i wypił nieco wina.

Parsnip przyglądał mu się w milczeniu. Potem poszedł sam do kaplicy, w której spoczywała zbroja Paladyna. Pozostawał tam przez pewien czas, klęcząc w mroku i zastanawiając się nad losami królewskiego czempiona. Usiłował zrozumieć cokolwiek, wpatrując się w spoczywającą na piedestale wysłużoną zbroję. Przed oczami stawały mu mgliste wizje, sekwencje niewyraźnych obrazów wyrzeźbionych w powietrzu. Pozwolił sobie rozkoszować się tym wszystkim, co w jego życiu było najlepsze. To, co dobre w starym i nowym życiu, wymieszało się i obdarzyło go poczuciem spokoju.

Do komnat Sterling Silver powrócił późnym popołudniem.

Spacerował wolno po korytarzach, wodząc dłonią po kamiennych ścianach, czując ciepło ciała zamku. Magiczna moc, która dała mu życie, stale tliła się gdzieś w jego głębi. Była jednak coraz słabsza. Zmatowienie przybierało na sile i obejmowało coraz to głębsze zakątki twierdzy.

Życie ze Sterling Silver uchodziło coraz prędzej. Ben pamiętał o swojej obietnicy, że pewnego dnia znajdzie sposób, by pomóc zamkowi. Teraz zastanawiał się jednak, czy w ogóle kiedyś to nastąpi.

Zebrał swych przyjaciół – Willow, Questora, Abernathy'ego, Buniona, Parsnipa, Filipa i Sota – na kolacji w jadalni.

Nie było zbyt wiele żywności. Szpizarnia zamku opustoszała.

Mocy magicznej nie starczało już nawet, by zapełniać ją nowymi zapasami. Wszyscy jednak udawali, że posiłek jest wyborny. Rozmowa nie kleiła się. Nikt nie narzekał. Nikt nie sprzeczał się. Za wszelką cenę usiłowali uniknąć wspomnienia choćby słowem o tym, co ich teraz czeka. –

Gdy skończyli jeść, Ben powstał. Mówił z trudem.

– Mam nadzieję, że wybaczycie mi, ale chciałbym się choć parę godzin przespać, nim... hm... – zamilkł. – Wyruszę około północy. Nie oczekuję, by siedł ze mną ktokolwiek z was.

W zasadzie lepiej byłoby, gdybyście tutaj pozostali. Doceniam waszą wierną służbę i oddanie. Nie mógłbym marzyć o lepszych przyjaciołach. Chciałbym móc...

– Panie! – przerwał Questor cicho. Powstał, kryjąc szczupłe ramiona w szarych szatach. – Proszę, nic już nie mów.

Wszyscy zdecydowaliśmy, że pójdziemy tam razem z tobą.

Choć to jesteście tobie winni. A teraz idź już spać.

Wszyscy patrzyli na niego – mag, skryba, nimfa, koboldy i gnomy. Ben powoli pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Dziękuję wam.

Opuścił jadalnię i przez chwilę stał samotnie w sąsiadującej z nią sali. Potem powoli wspiał się po schodach do swojej sypialni.

O północy przybyła Willow, by go obudzić.

Ben wstał. Stali, w mroku sypialni obejmując się. Ben przymknął sennie oczy i pozwolił przenikać się bijącemu od dziewczyny ciepłu.

– Boję się, Willow – wyszeptał. – Nie tego, co może stać się mi... – przerwał nagle. – Nie, to nieprawda. Jestem przerażony, kiedy pomyślę, co może się ze mną stać. Lecz jeszcze bardziej się lękam tego, co stanie się z Landover, jeżeli Mark mnie zabije. Jeśli nie przetrwam tego pojedynku, zagłada może zagrozić całej krainie. A obawiam się, że przegram, bo nie znam żadnego sposobu, który pozwoliłby mi powstrzymać demona.

Objęła go mocno i szepnęła rozgorączkowanym głosem:

– Ben! Musisz uwierzyć w siebie! Osiągnąłeś więcej, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. Zaczysze potrafiłeś na czas znaleźć rozwiązania problemów. I tym razem są one w zasięgu ręki. Myślę, że je odnajdziesz.

Ben pokręcił głową.

– Nie zdążę. Mark nie pozostawił mi zbyt wiele czasu.

– Wystarczy ci go.

– Słuchaj, Willow. – Ben odsunął swoją twarz od jej twarzy. – Istnieje dla mnie tylko jeden ratunek przed śmiercią z rąk Marka. Paladyn. Jeśli Paladyn pojawi się, by stanąć w mojej

obronie, będę miał jakieś szansę. Możliwe, że przybędzie. Przecież ocalił mnie już kilkakrotnie w czasie mego pobytu w dolinie. – Znowu pochylił się nad nią. – Ale on jest tylko duchem! Brak mu materialnej siły! Jest tylko zjawą, a zjawy nie może odstraszać nikogo zbyt długo! Nie jest mi potrzebna zjawy – potrzebuję prawdziwego rycerza! A, do licha, nie wiem, czy on w ogóle jeszcze istnieje!

Zielone oczy sylfidy pozostawały nadal spokojne w obliczu jego rozgorączkowania.

– Jeśli przybywał do ciebie wcześniej, przybędzie i tym razem – przerwała. – Pamiętasz, jak ci mówiłam, że wróżby uplecione w łożu mych rodziców powiedziały, iż to ty jesteś mi przeznaczony? Nie wierzyłeś mi, lecz teraz sam już widzisz, że tak jest. Powiem ci coś jeszcze. Mówiłam ci, że czuję, iż jesteś inny. Mówiłam ci, że wierzę, iż jest ci przeznaczone zostać królem Landover. Nadal w to wierzę. I wierzę, że Paladyn znowu przybędzie, by cię chronić.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią bez słowa. Potem delikatnie pocałował jej usta.

– Obawiam się, że jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

Uśmiechnął się do niej nieco raźniej i ujął jej ręce. Razem ruszyli ku drzwiom.

Świt skradał się ku Sercu cichymi krokami. Pierwsze srebrne promienie zajaśniały już na wschodnim niebie ponad koronami drzew. Ben i jego towarzysze przybyli tu kilka godzin wcześniej i zebrali się na podeście. Pozostali przybywali przez całą noc. Władca Rzek stał na skraju lasu, otoczony przez tonące we mgle, blade sylwetki swych ludzi. Byli władcy Greensward, odziani w zbroje, błyskający orężem. Rumaki dudniły kopytami po ziemi, a rycerze stali przy nich niczym stalowe statuy. Różne czarodziejskie stworzenia i ludzie otaczali całą polanę, czujnymi spojrzeniami usiłując dostrzec coś w półmroku.

Ben cicho zasiadł na tronie po środku podestu. Z jednej jego strony stanęła Willow, z drugiej – Questor i Abernathy.

Koboldy przycupnęły tuż przed nim. Filipa i Sota nie było ani śladu: gnomy znowu gdzieś zniknęły.

Pewno wkopały się jakieś dziesięć metrów pod ziemię pomyślał, nie bardzo jednak rozbawiony, Ben.

– Abernathy – Ben zwrócił się nagle do skryby.

Pies podskoczył, spłoszony dźwiękiem jego głosu. Po chwili opanował się i pokłonił sztywno.

– Tak, panie?

– Idź do lorda Kallendbora i władców Greensward, a potem do Władcy Rzek i poproś, by tutaj do mnie dołączyli.

– Tak, panie – rzekł i natychmiast ruszył. Od czasu opuszczenia zamku nie sprzeczał się z Questorem. Obydwaj zachowywali, jakby stąpali po potłuczonym szkle. Bena drażniło to jednak bardziej, niż ich normalne sprzeczeki.

– Panie – szepnął, pochylając się ku niemu Questor. – Już prawie świt. Nie założyłeś zbroi. Nie wzięłeś broni. Pozwól, że pomogę ci się teraz przygotować.

Ben spojrzał na postać przypominającą stracha na wróble, odzianą w szare szaty, ozdobione barwnymi wstęgami, na rzednące, siwe włosy i brodę, i szczupłą, pociągłą twarz.

– Nie, Questorze. Ani zbroi, ani broni. Nie pomogą mi ani trochę w walce z kimś takim, jak Mark. Tym sposobem i tak go nie pokonam. Muszę wymyśleć coś innego.

Questor Thews chrząknął.

– Czy może już masz, panie, coś na myśli?

Ben poczuł przenikający go do głębi chłód.

– Może – skłamał.

Questor odsunął się o krok. Promienie poranka powoli rozświetlały ciemności kryjące polanę. Z mroku wyłoniły się postacie: władcy Greensward i Władca Rzek ze swą rodziną.

Ben wstał i podszedł do krawędzi podestu, mijając czujne koboldy. Przed nim tłoczyły się zakute w stal postacie lordów i wiotkie sylwetki czarodziejskich istot z krainy jezior.

Wziął głęboki oddech.

– O świcie przybędzie tutaj Mark. Przybędzie, by się ze mną pojedynkować – rzekł cicho. – Czy staniecie przeciwko niemu razem ze mną?

Odpowiedzią była głucha cisza. Ben przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. Pokiwał głową.

– W porządku. Pozwólcie, że ujmę to inaczej. Kallendbor i władcy Greensward dali mi słowo, że złożą przysięgę wierności, gdy uwolnię ich od smoka. Uczyniłem to. Strabo został wygnany z Greensward. Nie wolno mu przebywać w żadnej zamieszkałej części doliny. Proszę więc was o obiecaną przysięgę wierności. Jeśli wasze słowo cokolwiek znaczy, winniście teraz mi ją dać.

Ben czekał. Kallendbor wyglądał na niepewnego.

– Skąd mogę mieć pewność, że zrobiłeś tak, jak mówisz?

Skąd mogę wiedzieć, że przegnałeś smoka na dobre? – rzekł szorstko Strohan.

Bena kusilo, by powiedzieć, że nie przegnał smoka na zawsze, a tylko na okres swojego władania Landover, powinni więc poważnie się o swego króla zatroszczyć!

Nic jednak takiego nie powiedział. Zignorował Strehana i nadal patrzył w oczy Kallendbora.

– Gdy złożysz przysięgę, nakażę ludowi Greensward, by zaprzestał zanieczyszczania wód, które zasilają krainę jezior.

Twój lud wraz z ludem Władcy Rzek zajmie się ich oczyszczeniem i utrzymaniem w czystości. – Odwrócił się w kierunku Władcy Rzek. – Ty, Władco Rzek, spełnisz wtedy swe przyrzeczenie i również złożysz mi przysięgę wierności. Zaczyniesz wtedy nauczać lud Greensward sekretów swych uzdrawiających mocy. Pomożesz im pojąć znaczenie zachowania czystości ziemi i wód.

Przerwał, nie spuszczając spojrzenia z twarzy wodnika.

Również ona wyrażała niepewność. Nikt się nie odezwał.

Nagle zerwał się wiatr, a jego podmuch uderzył Bena w twarz. Gdzieś z oddali doszedł ich łomot, przypominający grzmot błyskawicy. Ben starał się zachować zewnętrzne pozory opanowania. Na horyzoncie widać już było rąbek słonecznej tarczy.

– Nikogo nie będę zmuszał, by stanął wraz ze mną przeciw Markowi – rzekł cicho.

Poczuł, jak Questor położył mu dłoń na ramieniu, lecz n.e zwrócił na niego uwagi. Na polanie panowała cisza, w której coraz głośniejszy słychać było zbliżający się odgłos grzmotu. Srebrne

promienie słońca rozświetliły powoli zaciemnione zakamarki. Mieszkańcy krainy jezior cofnęli się głębiej w las. Rycerze z rumakami zaczęli zdradzać oznaki niepokoju.

– Panie – rzekł Kallendor, robiąc krok ku niemu. Spojrzenie jego ciemnych oczu było przejmujące. – Obietnice, jakie sobie daliśmy, nie mają znaczenia. Jeśli Mark cię pokona, zabije cię. Będzie tak, nawet jeśli byśmy się do ciebie przyłączyli. Nikt z nas – nawet lud krainy jezior – nie potrafi stawić czoła Markowi. Jest on potęgą, którą może pokonać jedynie największa moc magiczna. A mocy takiej nam brak. Ludzie nigdy jej nie posiadali, a mieszkańcy krainy jezior utracili ją już bardzo dawno temu. Jedynie Paladyn miał taką moc. Lecz Paladyn odszedł.

Władca Rzek również postąpił o krok do przodu. Spojrzenia otaczających go stworzeń naznaczone były lękiem. Wiatr wył nisko, a odgłos gromu zaczynał trząść leśną ziemią. Polana nagle opustoszała. Ławy i oparcia stały równo niczym rzędy nagrobków.

– Setki lat temu dobra moc magiczna przegnała demony z Landover, panie. Utrzymywała je z dala od tej krainy. Talizmanem tej mocy jest Paladyn. Nikt nie da rady Żelaznemu Markowi bez pomocy Paladyna. Przykro mi panie, lecz ta walka jest twoją walką.

Odwrócił się i oddalił od podestu. Za nim pospiesznie podążyła jego rodzina.

– Niechaj moc będzie z tobą, królu-marionetko – mruknął Kallendor i również odszedł. Za nim, bez słowa, ze szczękiem zbroi i oręza, poszli pozostali lordowie z Greensward.

Ben stał samotnie na skraju podestu i przez chwilę patrzył, jak odchodzą. Bezradnie pokręcił głową. Ale przecież i tak nie oczekiwał, by zechcieli mu pomóc.

Odgłos gromu zatrzęsł całym podestem, tocząc się po ziemi z przeciągłym dudnieniem. Słabe, srebrne promyki wschodzącego słońca zniknęły w nagłym natłoku ciemności.

– Uciekaj, panie! – wołał Questor. Jego szaty łopotały szaleńczo na wietrze. Pokazała się również Willow, Abernathy i koboldy. Otoczyli go kręgiem, trzymając się mocno za ręce.

Bunion i Parsnip wściekle syczeły.

Ciemności gęstniały.

– Odejdźcie! Odejdźcie stąd wszyscy! – krzyknął Ben. Zejdźcie z podestu!

– Nie, panie! – wrzasnął Questor w odpowiedzi, kręcąc rozpaczliwie głową.

Nikt nie chciał odejść. Ben starał się za wszelką cenę od nich uwolnić. Wiatr wył dziko.

– Powiedziałem – odejdźcie stąd, do licha! Trzymajcie się ode mnie z dala!

Pierwszy usłuchał Abernathy. Koboldy stały, szczerząc swe długie zęby na wiatr i ciemności. Wahały się. Ben chwycił Willow i mocno pchnął ją w ich objęcia, pozbywając się w ten sposób całej trójki. Odeszli. Willow patrzyła na niego z przerażeniem.

Pozostał Questor.

– Mogę ci pomóc, panie! Mam już władzę nad mocami magii i...!

Ben chwycił go za barki i obrócił, walcząc z wściekłymi uderzeniami wiatru podziemnego świata.

– Nie, Questorze! Tym razem nie pozostanie przy mnie nikt! Natychmiast zejdź z podestu!

Pchnął maga o kilka metrów przed siebie. Questor obejrzał się na chwilę, lecz widząc determinację w oczach Bena, ruszył dalej.

Ben pozostał sam. Władcy Greensward i ich rycerze, Władca Rzek i jego rodzina stali gdzieś w mrokach lasu, kryjąc twarze przed chłuszczącym wiatrem. Questor i pozostali towarzysze Bena przycupnęli przy podeście. Wicher darł flagi na strzepy. Przerażające dudnienie niosło się coraz głośniejsze po polanie.

Ben trząsł się ze strachu. Niezłe efekty specjalne – pomyślał.

Na przeciwległym końcu polany mgły zawirowały.